JAN PARANDOWSKI

NIEBO W PŁOMIENIACH

POWIEŚĆ

WARSZAWA
ODBITKA Z „GAZETY POLSKIEJ"
1936

Drukarnia
Współczesna
Sp. z o. o.
Warszawa
Szpitalna 10

I

Teofil obudził się wcześniej niż zwykle, chociaż mógł sobie pozwolić na sen długi i spokojny. Miał bowiem dzień wolny od nauki, jako część „małych wakacyj" po rozdaniu świadectw za pierwsze półrocze. Jego własne roiło się od not dostatecznych, a nad jedną unosiła się wizja dwójki. Groziła mu ona z łaciny, ale profesor okazał jeszcze łaskę i dał czas poprawy do końca roku. Oczywiście, nie zdradził się z tem w domu, który i tak stał się nieznośny; patrzono na Teofila jak na zbrodniarza. Ojciec, rzuciwszy okiem na marne świadectwo, wezwał go do swego pokoju, otworzył jedną z dolnych szuflad biurka, wydobył plik starych papierów i jeden z nich mu podał:

— Przeczytaj to sobie!

Chłopiec wziął do ręki gruby szorstki arkusz o szaroniebieskim odcieniu, ale trudno mu było czytać zawiłą śpiczastą kaligrafję niemiecką. Oswoiwszy się z nią po chwili, zauważył że wyraz: ausgezeichnet powtarza się nieustannie wzdłuż rzędu przedmiotów.

— Takie było moje świadectwo z pierwszego półrocza szóstej klasy, a uczyłem się w warunkach o jakich ty, pieszczochu, nie możesz mieć pojęcia — rzekł ojciec i zatrzasnął biurko, zanim Teofil miał czas zajrzeć w jego schludne i powabne wnętrze.

Stamtąd wychodziły najaw świeże stalówki różnych kształtów, ołówki, obsadki, arkusze papieru w kilku gatunkach, wszystko udzielane zawsze skąpo i podejrzliwie, z mnóstwem uwag i napomnień; tam kryły się flaszki z atramentem niebieskim, fioletowym, zielonym i czerwonym, gdyż radca Albin Grodzicki, jako urodzony skryba, przepadał za wielobarwnością atramentu, który lubił zmieniać; może były w tem jakieś klimaktery, może w ten

sposób hołdował nastrojom swej duszy, która przez sporą część dnia miała za jedyny krajobraz zielone sukno i akta urzędowe, kwitnące czerwonemi lub niebieskiemi parafami. Biurko zawierało również kolekcję brzytew, a zapewne i mydełek do golenia, jak należało sądzić po zapachu, który przekradał się szparami. Musiała w niem być gdzieś kraina sznurków, skąd pochodziły wszystkie szpagaty, dawane — nie bez oporu — na potrzeby domowe i gdzie znikały nowe nabytki, przyniesione z miasta. Istniał jakgdyby monopol sznurków, samowolne ich zatajanie lub przechowywanie przez kogokolwiek radca uważał za rodzaj kontrabandy. Kryły się w tem biurku jeszcze przedmioty różnorodne i nieokreślone, objęte ogólną nazwą „narzędzi", chociaż oprócz młotka, dłótka, świderka, pudełka gwoździ, nic na nią nie zasługiwało. Były to bowiem jakieś ułamki w rodzaju oderwanych zawiasów lub skobla, stare knoty, klucze od niewiadomych drzwi, mnóstwo rzeczy, z których każda „mogła się przydać" i od lat oczekiwała tego momentu napróżno.

Ale ponad tym materjalnym światem biurko posiadało wyższe regjony, skąd właśnie wynikło owo stare świadectwo, jeden z licznych dokumentów, zajmujących całą szufladę w plikach starannie posegregowanych, w kopertach z nienaruszonemi znaczkami, w osobnych kieszonkach płóciennych, jeśli były tak ważne, jak metryki albo stopniowe nominacje w karjerze radcy. Teofil od dziecinnych lat miał kult dla tego zamczyska tajemnic, pragnął je kiedyś posiadać i niezawsze z tych pragnień umiał wypędzić myśl o śmierci ojca.

Jego świadectwo weszło również w treść czcigodnego sprzętu. Złożone w czworo zmieściło się w starem pudełku od czekoladek, które samo było jakąś pamiątką. Na cienkiej warstwie białoczerwonych świadectw ze szkoły ludowej, układały się rok za rokiem świadectwa gimnazjalne, — sztywny papier, gdzie na bladozielonem tle rozpościerał się dwugłowy orzeł monarchji. Do wczoraj było ich dziesięć, każde następne gorsze od poprzedniego, a najgorsze ostatnie, jedenaste.

Teofil obudził się w niepokoju winy i skruchy. Czemuż szkoła nie jest jak kościół, w którym można pozbyć się grzechów i wyjść zeń bielszym nad śnieg? Przez jakie zaklęcia możnaby odzyskać prymusostwo, utracone tak wcześnie, w drugiem półroczu pierwszej klasy? Od czegóż jest anioł-stróż, jeśli nie potra-

fi podszepnąć potrzebnych odpowiedzi, albo przynajmniej uży-czyć trochę więcej pilności, pamięci i uwagi?

Teofil, urodzony 2 października, w dzień Aniołów Stróżów, liczył na ich szczególną opiekę. Wizerunek jednego z tych du-chów skrzydlatych wisiał na przeciwległej ścianie, niewidoczny w mroku, ale Teofil miał go tak dobrze w pamięci że i teraz zda-wało mu się że nań patrzy. Był to stary oleodruk, kupiony w pa-rę dni po jego urodzeniu w bramie Andriollego, i który odtąd nigdy nie opuszczał jego pokoju. Został na tej samej ścianie, przy której stało dawniej jego łóżeczko z siatką. Bosemi nogami wspi-nał się mały Teofil po kołdrze i poduszce, aby dosięgnąć obrazu i pocałować stopę anioła, przed zaśnięciem; można tam było wi-dzieć jeszcze ślady tych pocałunków w kształcie małych stulo-nych warg.

Obraz przedstawiał las ciemny i groźny, pełen wykrotów, powalonych pni, gęstych zarośli, wysokich drzew, pod któremi czerwieniły się główki muchomorów. Przez tę knieję szła mała dziewczynka, w długiej nocnej koszuli i boso, a prowadził ją anioł-stróż głową sięgający po korony drzew. Na ścieżce wiła się żmija, jej żądło było odległe o dwa palce od nogi dziecka. Ten wypadek chodzenia boso, w nocnej koszuli po lesie, teraz wy-dał się Teofilowi tak wyjątkowym, że poprostu go zgorszył. „To chyba tylko przyśnić się może!“ O ileż bardziej pożyteczny byłby anioł-stróż w postaci niewidzialnego kolegi umiejącego podpo-wiadać!

Przez naturalny kontrast profesor łaciny przypomniał mu djabła. Jego czarne oczy widziały wszystko, ostatnio zaś dostrze-gły drobniutkie rządki liter, któremi Teofil wpisywał tłomacze-nie między wiersze łacińskiego tekstu. Prastary zabieg, który dziedziczy się z pokolenia na pokolenie i który trafia do zupeł-nie nieświadomych przez książki z antykwarni, służył mu przy Neposie, Cezarze i Owidjuszu, pod kilku zmieniającymi się ko-lejno profesorami, aż wreszcie zawiódł tak haniebnie!

Profesor Rudnicki nie był podobny do żadnego ze swych poprzedników. Tamci byli młodymi suplentami, których los rzu-cał po najbardziej nieprzewidzianych przedmiotach, i gdy każdy z nich marzył o wykładach propedeutyki filozoficznej albo o go-dzinach historji czy polskiego w ósmej klasie, uśmierzano ich po-lot konjugacją łacińską. Ten zaś miał to już poza sobą. Nie są-

dził żeby konjugacja ujarzmiała ducha ludzkiego, taki pogląd był gotów uważać za niewłaściwe pojmowanie etymologji tego wyrazu. Uznawał fakt że ludzie nie przynoszą na świat wiadomości zawartych w „zwięzłej gramatyce języka łacińskiego“, co jest godne ubolewania, ale co da się naprawić między dziesiątym a dwunastym rokiem życia. Cztery następne lata wystarczały do zapełnienia dalszych niedostatków natury, mianowicie w zakresie składni, i człowiek szesnastoletni nie mógł już mieć wątpliwości, jakiego rodzaju cum łączy się z konjunktywem. A z tem właśnie zdradził się Teofil Grodzicki w piątem zdaniu pierwszego rozdziału pierwszej księgi Liwjusza.

Po nieco zbyt gładkiem tłumaczeniu, które trąciło stylem „prozajkera“, profesor Rudnicki kazał mu powoli rozsupłać to zdanie, w którem stary Padewczyk z szatańską zręcznością ukrył wszystkie zasadzki gramatyki, a więc i ut niezwykle dwuznaczne, i gerundivum, i consecutio temporum, i wreszcie owo nieszczęsne cum, w rzeczy samej jasne jak na dłoni, a przecież, niby zwodnem echem, omamione malutkiem tum, zupełnie mu zresztą obcem, odległem o dwa przecinki.

Profesor kazał sobie podać książkę. Pocóż wtedy, Teofilu, było mówić że nie ty wpisałeś tłumaczenie między wiersze; że nawet nie zwróciłeś na to uwagi; że książka jest stara i wogóle nie twoja? Gdzież miał być kres twojego kłamstwa? Czy nie groziło ci że w końcu zaprzeczysz własnemu istnieniu?

To zbędne, małoduszne kłamstwo doskwierało mu dotkliwie. Wstyd go osaczał wielooki. A tuż za wstydem szedł strach, na wpół senny gorączkowy strach, który pożera czas, tak że z całego półrocza zostaje miesiąc, tydzień, jedna doba, jedna godzina, i oto już wszystko stracone, „repetent“ zostaje porzucony na drodze jak bezużyteczny przedmiot.

Zerwał się z łóżka, drżącemi rękami wciągnął spodnie, włożył bluzę i zapalił lampę. Spod białej umbry padł szeroki krąg żółtego światła, ciepły, pojednawczy i zachęcający. Teofil otworzył Liwjusza, kajet do słówek łacińskich; po lewej ręce miał słownik i gramatykę. Szedł w tekst jak w las, karczując najpierw nieznane wyrazy. Po każdym takim wyrębie robiło się trochę jaśniej, ale poszczególne człony zdań stały tu i owdzie, mroczne i niedostępne jak osobne knieje. Zapuszczał się w nie z gramatyką, która wodziła go po manowcach i nieraz długiem kołowaniem wra-

cał tam skąd wyszedł, i nagle odnajdywał wolną drogę o parę kroków od natrętnych chaszczy. Po półgodzinnem wędrowaniu, jakby istotnie wyszedł z lasu, zdumiał się na widok wielkiej rze=ki, rozlanej powodzią wiosenną po równinie, z której parę wzgórz podnosiło się nakształt wysp. W nieruchomej ciszy pustkowia dał się słyszeć płacz dzieci, a gdzieś zdaleka, od strony gór, nad=biegła wilczyca i znikła pod nawisłemi gałęźmi figowego drzewa.

Teofil wrócił do początku i dopiero teraz zrozumiał słowa: „vi compressa Vestalis", i spłoszył się, jakby wprost w jego obec=ności zgwałcono Westalkę, tak ostro i jaskrawo rzucił się w oczy sprężysty zwrot łaciński. Dramat Rei Sylwji, Romulusa i Remu=sa, zdobyty tak samodzielnie, wzruszył go nie jak ustęp z książ=ki szkolnej, ale jak fakt, który się wykryło, nieomal podsłuchało, po części złożyło z niedomówień i urwanych szeptów. Było to zu=pełnie nowe doświadczenie. A jeszcze bardziej niespodziany był urok samej pracy, cierpliwe wnikanie w słowa, zawsze wielozna=czne i jakby śliskie czy gibkie, które — zdawało się — już przy=legają do myśli, gdy nagle wymykały się i jakaś część zdania znów zasklepiała się w twardej skorupie.

Zachowanie się syna nie uszło uwagi pani Grodzickiej, która posłała służącą, by zapaliła u niego w piecu. Ale on nie czuł zi=mna. Coś pałało w nim, coś niosło go w gorącym podmuchu. Nie odrywając się od Liwjusza, w nagłych uskokach myśli ogarniał inne przedmioty, które odtąd tak samo zdobywać będzie. Przeni=kał go dojmujący prąd woli, wszystko zwierało się w nim, prę=żyło jakby dusza miała potężne mięśnie, których brakło jego cia=łu. Uderzenie zegara — samotny dźwięk — padło jak wielka cięż=ka kropla na jego rozżarzenie. Było pół do siódmej. Po szybach okna kwitła fantastyczna flora, nasiąkając światłem dnia. Za chwilę uderzy w nią słońce, kwiaty i liście mrozu zaczną się szklić, jarzyć, migotać, i znów zrośnie się znajomy dobrotliwy świat, w którym kiedyś czytało się Andersena, przy trzasku polan pa=lących się w piecu. Teofil zdmuchnął lampę i poszedł się myć.

— Morgenstunde hat Gold im Munde — rzekł radca Gro=dzicki, gdy syn usiadł przy stole w jadalnym. — Poznaję po twoich oczach że dobrze ci poszło. Co robiłeś?

— Łacinę.

— Masz z tem, zdaje się, trochę kłopotu. Nie ty jeden, mój

drogi, nie ty jeden. To trzeba przełknąć jak gorzką, ale skuteczną pigułkę.

Radca zanurzył w kawie kęs bułki, zjadł i popił. Nie lubił bułek, zwłaszcza świeżych, o zbyt pulchnym miąższu. Lubił tylko chleb i to czerstwy, który pokrawywał sobie scyzorykiem; ten obyczaj przejął po ojcu, razem ze scyzorykiem o kościanej rączce. Ojciec jego rozpoczął samodzielne życie jako mularz i tak właśnie jadł suchy chleb, siedząc na stosie cegieł i marząc o wędzonce, na którą będzie mógł sobie pozwolić po sobotniej wypłacie.

Ale Teofilowi smakowała chrupiąca bułka z paru ziarnkami kminku; smakowała mu również kawa, chociaż było w niej więcej zboża i cykorji niż prawdziwej kawy, której pani Grodzicka dodawała tylko dla zapachu. Sama ledwo ugryzła kawałek kajzerki i zebrała łyżeczką kożuszek, zostawiając swą szklankę niedopitą. Źle spała w nocy, nie mogąc pozbyć się myśli o aeroplanie, który wczoraj z okrutnym łoskotem przemknął nad jej głową, gdy wychodziła z katedry po nieszporach. Na ulicach mówiono, że to aeroplan rosyjski, że nadleciał od strony Zamarstynowa. Ktoś opowiadał, że lecąc nad ulicą św. Mikołaja zapalił reflektory. Najwięcej jednak zaniepokoiło ją zdanie jakiegoś oficera: „To już nie pierwszy raz. Oni tędy wciąż przelatują, oglądają, a nam nie wolno strzelać".

— Musi już być o tem w rannych gazetach.

— To głupstwo — odparł radca — dowiem się wszystkiego w biurze.

Należał do tej szczęśliwej generacji, która pokój zaczynała już uważać za naturalny stan rzeczy, przynajmniej w Europie, przynajmniej w tej błogosławionej monarchji, czerpiącej swą rację bytu z jakiejś nieuzasadnionej konieczności. „Gdyby Austrji nie było, należałoby ją stworzyć" — lubił radca powtarzać zdanie jakiegoś wiedeńskiego Woltera.

— Wojny omijają nas bokami — rzekł ten człowiek spod bezchmurnego horyzontu.

Ale Teofil czuł na sobie spojrzenie matki i rozumiał je; obliczała przez ile lat może być jeszcze o niego spokojna. Oparłszy policzek na dłoni, patrzyła nie wprost na niego, ale gdzieś powyżej, jakby widziała tam jego głowę, osadzoną na dojrzalszem, bardziej dorosłem ciele, i Teofil podniósłszy oczy znad szklanki, widział jej rozszerzone źrenice w szarej tęczówce, której perłowy

blask białka dodawał niezwykłego uroku. Serce zadygotało nieśmiałym trzepotem, nieuchwytny podmuch radości zaczął się szerzyć w nim i szumieć jakąś odwieczną kołysanką. Był to jeden z tych momentów ciszy i powagi, kiedy duszy lat przybywa, kiedy czuje nagle za cały wielki czas, rozproszony po niezliczonych dniach.

W tej chwili ojciec wstał i poszedł do swego pokoju, skąd wrócił z trzema grubemi księgami. Zawierały one kronikę, którą codzień pisał, od dwunastu lat, i codzień czytał z niej to co wypadało na ową datę, najczęściej wieczorem, ale niekiedy rano, jeśli to było święto lub dzień, w którym Teofil nie śpieszył się do szkoły, a żona na kupno. Ozdobne wstążki, włożone między karty, wskazywały miejsce, gdzie wypadała data dnia w poszczególnych latach. Radca zaczął:

— 1 lutego 1900. Czwartek. Odwilż, w południe 4°. Ojciec już wstaje i dopomina się o fajkę. W biurze kłótnia z Baczyńskim o drugą katedrę literatury ruskiej. Teofilowi obierał palec, Mama kazała mu trzymać w mleku i pękło. Z Zosią na kolację do Hotelu Francuskiego, szynka na gorąco z purée grochowem. Po powrocie gazety. Żadnych nowych wiadomości z Transvaalu. O ½11 spać.

— 1 lutego 1901. Piątek. Ciepło, błoto. Mama dokucza służącej, Zosia płakała przy obiedzie. Teofil ją uspokajał i przepraszał tak jakby to on był winien. Korytowski został tajnym radcą. Pierwszy to raz w Austrji wiceprezydent dyrekcji skarbu dostał takie odznaczenie. Na pogrzebie królowej Wiktorji był arcyks. Franciszek Ferdynand, ale w Radzie Państwa, gdy prezydent wspomniał o nieboszczce, zaczęto krzyczeć: „Precz z Anglikami! Niech żyją Boerowie!“ O 9 na Strzelnicę, gdzie wieczorek urzędników Namiestnictwa. Zosia ślicznie wyglądała, dużo tańczyła. O 1 do domu fiakrem.

— 1 lutego 1902. Sobota. Mróz. W południe — 3°. Żeleski przeniesiony do Wiednia do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, może zrobić karjerę. Po drodze z biura do Ditmara po nowy knot do lampy. Po obiedzie z Teofilem do Pasażu Mikolascha na Ben ali Beja. Mama nie chciała nas puścić, bojąc się rozruchów. Cała ulica Kraszewskiego pełna policji i agentów. Przed konsulatem rosyjskim wzmocniona kompanja piechoty z 4 oficerami. Zosia

przyszła po nas do pasażu. Po kolacji czytała głośno „Quo Vadis". O ½11 spać.

— 1 lutego 1903. Niedziela. Odwilż, śnieg, deszcz. Po kościele zaniosłem czynsz Dąbrowskiej. Prosiłem o naprawienie pieca w salonie. Stara skąpica zaczęła mówić o podwyżce czynszu! Bawiłem się z Teofilem w kolej, poukładał krzesła w jadalni na podłodze jak wagony, on był konduktorem, ja pasażerem. Dałem mu swoją torebkę podróżną, chce mieć jeszcze taką maszynkę do przecinania biletów jak konduktorzy. Zosia słaba. Cały dzień w domu. Po kolacji czytałem jej „Chata za wsią". O 10 spać.

— 1 lutego 1904. Poniedziałek. Mróz, o 7 rano —8. Przy pensji wypłacili 50 koron na komisję, na którą wyjeżdżam pojutrze. W biurze był Piekarski, aby zaprosić na niedzielę. Instruktor nie przyszedł, sam robiłem lekcję z Teofilem. Irytacja. Teofil w żaden sposób nie mógł przeczytać: gil. Teraz widzę że to moja wina, trzeba przy sylabizowaniu poddawać same dźwięki, a nie nazwy liter. O 6 z Zosią do Hali Aukcyjnej. Kupiliśmy b. ładny stolik do kart za 11 kor. Po kolacji gazety. Wojna rosyjsko-japońska wisi w powietrzu. O ½11 spać.

— 1 lutego 1905. Środa. Zrana mały mróz, potem cieplej. Pochmurno ,trochę śniegu. Podobno u Jezuitów była msza za pomyślność oręża japońskiego. Wielka dyskusja w biurze, czy wolno się modlić za pogan przeciw chrześcijanom. Ja utrzymywałem, że w tym wypadku poganie są narzędziem Bożem. Rozruchy za kordonem, w Warszawie krew się leje, nikt dobrze nie wie co się tam odbywa. Smutno. Mieliśmy iść na „Zaczarowane Koło", ale Teofil zaczął się skarżyć że go głowa boli. W nocy miał gorączkę. Zosia przy nim, ja parę razy wstawałem.

— 1 lutego 1906. Czwartek. Mróz, o 7 rano —3. Pogodnie. Teofil skarżył się przy obiedzie, że w szkole nauczyciel uderzył go linją po ręce. Tak nie powinno być. O 5 z Zosią po kalosze. Kupiliśmy wysiewki herbaciane u Lewickiego. Na ulicach pełno „siczowników" w pasach i szarfach żółtoniebieskich, jutro ma być jakiś ich wiec na Wysokim Zamku. Po kolacji lekcja z Teofilem. Potem gazety i „Nasi zagranicą". We Francji awantury po kościołach, spowodu rozdziału Kościoła od państwa. O 11 spać.

— 1 lutego 1907. Piątek. Mały mróz, śnieg sypie. Koleje stają, brak węgla. Ale nie w naszym domu! Po wczorajszym balu niewyspany, zmęczony. Zosię głowa bolała do obiadu, po obie-

dzie poszła do łaźni. Ja spałem, potem lekcje z Teofilem. O 7 obaj do łaźni po Zosię, stamtąd do restauracji Ilkowa. Przysiadł się jakiś sędzia, rozmowa o napadzie na uniwersytet i o aresztowaniach ruskich akademików. Mówił, że aresztują ponad 100 osób. Po 9 w domu.

— 1 lutego 1908. Sobota. O 7 rano —1, potem cieplej, pochmurno. Jeden z woźnych Namiestnictwa podejrzany, że należał do bandy Wasińskiego. O 6 z Zosią i Teofilem do Zippera kupić Teofilowi zegarek, który mu obiecałem za dobre świadectwo. Srebrny, marki „Cyma", 22 kor. Potem do Krakowskiego Hotelu. Teofil opowiadał b. zabawnie o profesorach i kolegach. Podczas naszej nieobecności był u nas kapitan Siekierski z żoną, czekali z pół godziny. Gazety. Okrutne szelmostwa w pruskiej Izbie Panów przy dyskusji nad ustawą o wywłaszczeniu Polaków. Zosia aż się spłakała...

— 1 lutego 1909. Poniedziałek. Mróz, rano 6°. Do biura później, bo przedtem na policję zawiadomić o skradzeniu Zosi torebki; pomoże jak umarłemu kadzidło. Szwedzicki, który był starostą w Bochni, wrócił do Namiestnictwa: niezadowolony. Znów kilka wypadków szkarlatyny, Teofil w domu, bo małe wakacje. Zosia robiła kreple i pączki. Wieczorem zanieśliśmy tego trochę Pańci, ale jej nie było w domu. Teofil po drodze pokazywał nam śliczny księżyc za chmurami. W gazetach dużo o sprawie Azewa. Czyta się to całkiem jak romans kryminalny. O ½11 spać.

— 1 lutego 1910. Wtorek. Przymrozek, pogodnie. Pierwszy dzień wstałem. Woźny przyniósł pensję i pilne akty. Teofil zaniósł czynsz Dąbrowskiej. Popołudniu Zosia z Teofilem do sali Sokoła na odczyt o komecie Halleya. Zosia nie chce wierzyć że całą kometę można zmieścić w walizce. Gazety piszą o możliwej wojnie Turcji z Grecją. Wcześnie spać, jeszcze osłabiony.

— 1 lutego 1911. Środa. Wielki mróz. W południe 10°. Porcelaniarz Lewicki kupił w Krakowie pałac Lubomirskich. Pranie. Zosia kazała nam pójść na obiad do restauracji. Teofil czekał na mnie na Wałach Gubernatorskich, zmarzł strasznie. Obiad w Hotelu Krakowskim (zając!). Rozmowa o awanturach krakowskich spowodu ks. Zimmermana. Teofil mówi, że i u nich w gimnazjum mówi się o tem, i że są chłopcy, którzy pochwalają awantury. Pajdokracja! Po kolacji lekcje z Teofilem, ślicznie opowiada z wypisów polskich. Gazety. O ½11 spać.

— 1 lutego 1912. Czwartek. Silny mróz, w południe —10°. Teofil w domu, małe wakacje. Trzeba go pilnować przy nauce, za dużo czyta niepotrzebnych książek. Znowu przy pensji dali jedną złotą stukoronówkę, Zosia chce składać. Jan Taff, dyrektor szkoły im. Sobieskiego rzucił się z okna i zabił, mówią, że to rozstrój nerwowy. Niewiadomo czem mógł się gryźć ten przezacny człowiek. Po obiedzie spałem. Potem z Zosią i Teofilem do księgarni Altenberga po „Grom Maciejowicki" Walerego Przyborowskiego. Autor w Warszawie skazany na 6 miesięcy więzienia za to, że w tej książce „sieje nienawiść" do Moskali; książka ma być tam zniszczona. Na kolację do Hotelu Krakowskiego, potem sankami do domu. O ½11 spać.

Radca nie lubił żeby mu przerywano czytanie uwagami, żona i syn szanowali to uprzedzenie, starając się zapamiętać ten i ów szczegół, aby go później omówić. Ale bystry prąd czasu, który przetaczał się w tych krótkich zdaniach, zacierał wszystko i pani Zofji nie pozostawało wkońcu nic prócz paru westchnień. Była w nich oczywiście odrobina melancholji, którą przynosił powiew z młodszych lat, lecz w gruncie rzeczy były to westchnienia pogodne i ufne. Dzień po dniu, słuchając opowieści swego życia, mogła patrzeć na jego czysty horyzont i z uśmiechem myśleć o przelotnych zachmurzeniach, które zapewne kiedyś wydawały się groźne. Jakże równa, spokojna, pewna była ich miłość! Jak niezmienne miejsce zajmowała w życiu i w myślach Albina! Ileż ciepła mieściło się zawsze w pewnych ustępach kroniki, które Albin pomijał, trochę niezręcznie, chrząkając przytem! Teofil domyślał się tych opuszczeń i odgadywał w nich tajemnice miłosne rodziców.

Dla niego również kronika miała wiele czaru. Bawiła go sama historja dnia, który wciąż zmieniał swe miejsce w tygodniu, i tak samo niestały w pogodzie raz pachniał odwilżą, to znów okrywał się lodem i śniegiem. Patrząc zaś na siebie samego, widział jak rośnie, co przypominało mu filmy przyrodnicze, gdzie pokazywano w ciągu paru minut rozwój rośliny z małego kiełka. Oto przed chwilą układał z krzeseł pociąg, a w połowie drugiego tomu otrzymywał zegarek za dobre świadectwo. Parę wyrazów, skąpe zdanie wynosiło na jaw przyćmionej pamięci rzeczy i wrażenia i jakby je na nowo tworzyło; chwilami zdawało mu się że słyszy własny głos i tupot dziecinnych stóp, biegnących po tych

pokojach, których wszystkie zmiany dokonywały się tak samo powoli na kartach owych ksiąg niezawodnych.

Kiedyś było tu ludniej, ale te czasy nawet kronika odświe=żała zbyt skąpo. Dziadek i babka znikli za jakimś zakrętem czasu, zanim Teofil zdążył im się przyjrzeć. Dziadka, którego zupełnie nie pamiętał, wyobrażał sobie jak ze starej ryciny: w szlafroku, w szlafmycy z kutasem i z fajką o cybuchu metrowej długości. Tę fajkę ojciec wiernie przechowywał, Teofil miał ją parę razy w rękach i wąchał. Z rurki cybucha wynikał słaby lecz wyraźny zapach dymu tytoniowego, który wsiąkł w wiśniowe drzewo i trwał dłużej niż człowiek. Babkę przypominał sobie jako czarno=ubraną staruszkę, mocno pochyloną, która podczas burzy, wśród gromów i błyskawic, chodziła po podwórzu z dzwoneczkiem lore=tańskim, aby uśmierzyć złowieszcze niebo. Kruchy dźwięk i ni=kła woń dymu — to było wszystko czem trzymały się jego pamię=ci te dwie zamierzchłe istoty.

Czas okrutnie ścieśnił tę rodzinę. Grodzicka weszła w jej skład sierotą, a jedyna jej siostra jeszcze przed początkiem kro=niki wywędrowała z mężem do Ameryki, do tego dziwnego i po=dejrzanego kraju, w którym defraudanci szukali opieki. Słuch o niej zaginął, i tych troje nie posiadało na świecie nikogo, ktoby miał prawo do ich uczuć i troski.

Pani Zofja przygotowała mężowi drugie śniadanie do biura, które on włożył do teczki razem z plikiem papierów. Już w futrze zawrócił do przedpokoju, by pocałować żonę i podać synowi rękę.

— Nie trać czasu! — powiedział mu na pożegnanie.

Wkrótce i matka wyszła ze służącą do miasta. Teofil został sam w cichym obszarze godzin, liczonych tykaniem kilku zegarów i mieszkania w którem już piece pomilkły. Za oknami mróz chrzę=ścił pod kołami wozów, przez szyby szły kose promienie słońca, wzdłuż których układał się drżący pył. Przypominało mu to wiele podobnych godzin, kiedy pozostawiony sobie, nie naruszał ich żadnem zajęciem, szczęśliwy z samego trwania w bezpiecznem i pe=wnem schronieniu, wśród mnóstwa przedmiotów, które nie zmie=niły swego miejsca, odkąd je zapamiętał.

Nagle odezwały się dźwięki brzmiące tak jakby mała szkla=na kulka obsuwała się po zazębieniach zawiłego mechanizmu, pa=rę razy zawahała się w pobliżu melodji, gdy znów nieoczekiwana przeszkoda w drodze wytrącała ją z rytmu, i wreszcie mała szkla=

na kulka utknęła w ciszy jak w wyżłobionym dołku. To zepsuty zegar grający z figurami Świętej Rodziny, nienakręcany od lat, pod działaniem jakichś obcych sił — gorąca, rdzy czy podmuchów zimna które przenikało porami ściany — poruszył się na chwilę w swym letargu. Teofil czekał czy nie odezwie się jeszcze — stary sprzęt, wierny i poufały fetysz.

II

Profesor Rojek, zobaczywszy o kilka kroków przed sobą gimnazistę, przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie nie było chodnika i gdzie szło się z trudem po nierównym i śliskim gruncie. Był pewny, że jest to któryś z jego uczniów. Ukłoni się, a potem będzie się wlókł za człowiekiem jak cień, albo zacznie dreptać tuż obok, może nawet zagada! Profesor bał się tych chłopców, w których nie widział nic więcej prócz zuchwałości, pozatem drażniła go ich młodość, która w każdym z nich mogła się obrócić na lepsze niż to się stało z jego własną.

Znów dziś wyszedł z domu, nie dopiwszy kawy, którą czuć było brudnym garnkiem i gdyby mógł nie wróciłby tam więcej, do tych pokojów nigdy nie sprzątanych ,pełnych czadu i swądu. Przed piętnastu laty ożenił się z panną, która wyglądała jak bóstwo i którą marna egzystencja zmieniła w jędzę. Mając przez pierwsze lata na utrzymanie domu niewiele ponad sto koron, ratował się długami, które pożerały każdą podwyżkę pensji. W trzecim roku przyszło na świat dziecko, które urodziło się bez krzyku, żyło parę dni wodząc oczyma po zakopconym suficie, i umarło nie wydawszy głosu, jakby spostrzegło, że niema tu dla niego miejsca. Rojkowa odprawiła służącą, w nadziei że własną pracą uda się przysporzyć trochę oszczędności, ale osiągnęła tylko to, że ręce jej zgrubiały i że kuchnia spaliła na żużel jej urodę. W nieustannych zatargach o piwnicę ,strych, wodociąg, nieporządki w sieni stała się opryskliwa, rzucała się na służące i współlokatorki, miała kilka spraw sądowych, parę razy wyrzucano ich z mieszkania. Jakkolwiekbądź, był to jeszcze okres buntu, Rojkowa zmagała się z zalewem życia, ponad które chciała się wydźwignąć. Poddała się wreszcie i poszła na sam spód; po całych dniach przesiadywała u stróżów, u służby po cudzych kuchniach i utytłana w plot-

kach wracała do domu, aby z niedoskrobanych kartofli i łykowa-tego mięsa ugotować obiad, do którego głód tylko mógł człowieka przymusić.

Profesor Rojek zatajał przed żoną wysokość swej pensji. Czynił to jednak tak ostrożnie, że pozwalał sobie na odjęcie z całej sumy tylko ułamków, co ostatnio wyrażało się w kwocie 4 koron 52 halerzy miesięcznie. Te składał na książeczce Kasy Oszczędności, którą nosił w woreczku na szyi pod koszulą. Dorobił się w ten sposób niespełna dwustu koron ,na które patrzył jak na zalążek nieokreślonej przyszłości. Marzył jednak o czemś więcej. Spodziewał się w niedługim czasie VIII rangi i postanowił nie zdradzić się z tem w domu...

Zbliżając się do gimnazjum, w chłopcu idącym po drugiej stronie ulicy poznał Teofila Grodzickiego. Ten był mu ze wszystkich najbardziej niemiły jako syn dawnego kolegi. Ośm lat przesiedział z jego ojcem, jeśli nie na jednej ławce, to zawsze w najbliższem sąsiedztwie. Teraz zaś nie mógł myśleć bez zgrozy, że spotka go znowu, że poczuje na sobie wzrok, który go odmierzy pogardliwą litością. Unikał wszystkiego coby umożliwiło to spotkanie i przeczytawszy w katalogu VI-a nazwisko: Grodzicki, był gotów prosić dyrektora żeby mu dał inną klasę. Nie zrobił tego, wiedząc że się to na nic nie przyda, ale omijał Teofila ile tylko zdołał, prawie go nie pytał, bał się że chłopiec zasłuży na złą notę i sprowadzi mu na kark ojca, podczas konferencji dla rodziców. Teofil również miał się z nim na baczności.

— O, Rojek! — zawołał radca, gdy mu syn powiedział, kto będzie uczył greki — pilnuj się! Coś mi się zdaje że on się zrobił ogromnym samurajem.

Ale to określenie źle przystawało do człowieka, który swą bezradność osłaniał starym, wystrzępionym notesem, gdzie w skąpo odmierzonych przedziałkach zmieściło się już parę pokoleń uczniów. Trzymał ich w niejakiem posłuszeństwie zapomocą greckich czasowników nieregularnych. Nigdy jednak nie było absolutnej ciszy w jego klasie. Panował w niej szmer szeptów, stłumionych śmiechów, nieustanna krzątanina książek i zeszytów, i nigdy nie wznosząc się do wyraźnego zgiełku, ten tuman niecierpliwości i nudy odgradzał trzydzieści niesfornych głów od profesora, który stał na podjum przy katedrze, jak na wybrzeżu mglistego morza. Spoza okularów jego zmęczone oczy rozróżniały

rysy zaledwie tych co siedzieli w pierwszych trzech rzędach; dalej były już same widma, przywidywały mu się tam postaci nieistniejące i nagle wywoływał nazwisko z jakiejś innej klasy, i dopiero śmiech wyprowadzał go z błędu.

Raz po raz czyjś młody głos wyciągał z otwartej książki heksametr Homera jak złotą nić, która błyszczała przez chwilę i natychmiast rozpadała się w popiół. Profesor Rojek każdy wiersz kruszył na słówka, formy gramatyczne, potem żuł go w przekładzie żmudnym i dosłownym, aż zostawała zeń obrzydliwa miazga. Cały ten świat bajki i poezji wychodził z jego rąk w stanie zupełnego rozkładu, na kupie gruzów i zgliszcz, pośród zardzewiałych zbroi, w stęchłych łachmanach, w których niktby się nie domyślił tyryjskiej purpury.

Teofil, nienagabywany przez profesora, który zawsze gdzieś poza nim szukał swych ofiar, czytał spokojnie „Lalkę" Prusa. Kupił ją parę dni temu za 98 centów, wysypawszy antykwarjuszowi na ladę pudełko pełne samych miedziaków. Były to oszczędności ze śniadań szkolnych, z zeszytów, z różnych innych podstępów, które stanowiły jedyne źródło dochodów, odkąd marne świadectwo za pierwsze półrocze pozbawiło go dawnego dobrobytu. Kazano mu się wypisać z wypożyczalni i skonfiskowano 3 korony, które odebrał stamtąd za kaucję, zamknięto mu wszystkie książki nie mające bezpośredniego związku z nauką, tak że pozostawała tylko bibljoteka szkolna, gdyby miał ochotę z niej korzystać. Nie zachodził tam jednak nigdy. Była ona otwarta w każdą środę, od pierwszej do drugiej, co wyglądało w ten sposób, że stary jowjalny profesor Kubisz wpadał do bibljoteki, otwierał z hałasem szafę, wyjmował z niej co mu wpadło w ręce — niemiłosierną starzyznę ledwo trzymającą się okładek, zamierzchłą „lekturę dla młodzieży" — i rozdawał gromadce smarkaczów, którzy jeszcze mieli złudzenia. Nie było czasu na perswazje i prośby, wszystko razem, z zapisywaniem pożyczonych książek, z żartami, kuksańcami, ciąganiem za ucho, trwało dziesięć minut, szafa zamykała się i profesor, krzycząc na progu: „smacznego!" biegł na obiad do córki, której bał się tak samo jak przez trzydzieści lat bał się nieboszczki żony.

Teofil szybko uzbierał owe 98 centów, w pudełku po wizytówkach ojca, które ukrył na piecu w swoim pokoju, w pokładach kurzu i pajęczyny. Ale nie był pewny czy przyszłość będzie rów-

nie hojna i dwa tomy „Lalki“ należało eksploatować powoli, jak skarb, którego nie da się pomnożyć. Czytał więc tak aby nie uronić ani słowa i powtarzając już przeczytane, jeśli coś odwróciło jego uwagę. Zaczynał właśnie VI rozdział, w którym po opisie przedwiośnia, zawierającym niespełna pięć wierszy, następowało: „Jest około piątej popołudniu. Panna Izabela siedzi w swoim gabinecie i czyta najnowszą powieść Zoli: Une page d'amour“... Teofil, sądząc że jest jego obowiązkiem zrozumieć każde słowo drogo nabytej książki, wydarł kawałek kartki z zeszytu, napisał na niej te trzy wyrazy i trącił siedzącego przed nim Kalta, który chodził na francuskie.

— Napisz mi co to znaczy — szepnął, wsuwając mu kartkę pod ławkę.

Lecz w tej chwili Rojek wymówił jego nazwisko. Teofil w popłochu porwał książkę sąsiada, Smolika, który mu palcem wskazał, gdzie należało czytać. Na szczęście miał ten ustęp przerobiony; widząc znajome wiersze, natychmiast ochłonął i czytał je bez zarzutu. Profesor zatrzymał go na trzecim heksametrze. Już Teofil zabierał się do przekładu, gdy Rojek nagle usiadł przy katedrze, zapatrzył się w okno i zaczął sam mówić, jakby nie do klasy, ale w to szare powietrze, które wisiało nad boiskiem gimnazjalnem. Nie odrazu spostrzeżono się, że jest to wykład, — czegoś podobnego trudno się było spodziewać. W pierwszej minucie klasa ucichła, patrzono po sobie z niedowierzaniem, wreszcie ten i ów z hałasem zamknął Iljadę, za chwilę już połowa utknęła w książkach i zeszytach do następnej godziny, którą miała być matematyka.

Rojek, nieprzyzwyczajony do długiego mówienia, urywał, zamyślał się, postukiwał ołówkiem, parę razy zdawało się, że da spokój. Trudził się jednak dalej, aby wyłuszczyć, że po ostatnim wierszu, który przeczytał Teofil, zaczyna się późniejsza interpolacja, i dopiero na następnej stronicy znajduje się dalszy ciąg t. zw. Patroklei, jednej z najstarszych części poematu. Teofil stał jeszcze i spoglądał z przerażeniem w tę nową stronicę, ciemną jak noc. Ktoś z tyłu ciągnął go za bluzę żeby siadał, on jednak nie mógł się rozstać z nadzieją, że mu pozwolą przetłumaczyć jak Tetyda wychodzi z morza w gronie Nereid. Było w tym kawałku 11 wierszy, które szumiały samemi imionami, wierszy nie nasuwających żadnych trudności, śpiewnych i niemal tak samo brzmiących po

polsku, jak w oryginale. Lecz były one skazane na zagładę. Rojek odmówił im autentyczności, a kiedy wreszcie cała scena z Tetydą okazała się niepotrzebnym dodatkiem, Teofil usiadł, zgnębiony i rozczarowany.

Nikt z tych szalonych chłopców nie mógł wiedzieć, że ich stary belfer odprawia święto swej wiosny. Oto bowiem zaleciał go zapach ich płaszczów, które pod ciepłem pieca parowały na szaragach, i póty go drążył aż wydobył z niego wspomnienia sali uniwersyteckiej, gdzie kiedyś miał miejsce niedaleko takich szaragów, i gdzie, z grubym kajetem na ławce, słuchał pierwszych wykładów młody, gorliwy i pełen wiary. Nazwisko Grodzickiego, które nieopatrznie wywołał, odmłodziło go jeszcze okrutniej. Wywlokło z niego marzenia o samodzielnej twórczej pracy naukowej, któremi zawstydzał niegdyś ojca Teofila. Z tych odległych czasów wyszły do niego myśli, które były tak stare że już je uważał za swoje.

Nieporadnemi słowami profesora Rojka wypowiadało się sto lat zapamiętałej pracy filologów niemieckich, którzy w małej książeczce Fryderyka Augusta Wolffa zachłysnęli się trucizną odbierającą rozsądek. Po wszystkich uniwersytetach, z dziesiątków katedr poważni starcy zwabiali tysiące młodych ludzi w przesąd, któremu sami poświęcili życie, i ci znów skolei dorabiali się hemoroidów i orderów, w poszukiwaniu Pra-Iljady.

Żyli w pamięci i wierności swych uczniów wodzowie zawrotnych wypraw na majaki: Gotfryd Hermann, który pierwszy szukał jądra poematu; Karol Lachmann, który pierwszy rozkroił Iljadę na szesnaście części; nieustraszony Bethe, który latami rył się jak kret w tekście Iljady, póki nie rozsypał wszystkich pieśni, aby z nich układać nowe — starsze i młodsze, pierwotne i wtrącone — odnajdując wkońcu 1400 wierszy właściwej Iljady i kilkanaście odrębnych powieści poetyckich; von Wilamowitz-Moellendorff o niezachwianym autorytecie, który jak geolog przekopywał Homera i na dnie jedenastu pokładów odkrył prastary epos, zachowany niemal tak dobrze jak epoka sylurska; dobrotliwy Elard Hugo Mayer, który zakończył starożytny spór miast i wysp mających być ojczyzną Homera, obdzieliwszy częściami Iljady poetów ze Smyrny, Kyme, Chios...; niepospolity Edward Schwartz, któremu było dane oglądać prawdziwą Odyseję, w jej kształcie nieomal zaziemskim, czyli tym jaki sam stworzył, — Schwartz,

który wykrył wszystkich poetów co przerabiali i rozszerzali poe-mat o cierpliwym tułaczu, i oznaczył ich literami jak spiskow-ców: O, K, T, F, L aż do owego B, wierszoklety z czasów Pizy-strata, partacza, któremu zawdzięczamy tę lichą książkę — dzi-siejszą Odyseję!

Z przerażającym uporem mirjady umysłów krzątały się w tym zaułku wiedzy. Ani jeden heksametr nie uniknął osobnej rozpra-wy albo artykułu w czasopiśmie naukowem, a jeśli przez parę po-koleń udało mu się ukryć przed okiem powag uniwersyteckich, stawał się wkońcu łupem nauczycieli prowincjonalnych, którzy, nakształt kłusowników, szli śladami wielkich łowów i w progra-mach swoich gimnazjów wyprawiali harce z półtuzinem daktylów i spondejów. Literatura o Homerze rosła jak rafa koralowa, przez taki sam proces krótkotrwałego życia i mineralnej śmierci; książ-ki i broszury mnożyły się, pożerały się wzajemnie i marły na pół-kach bibljotek, wyczerpawszy w rok, w miesiąc, niekiedy w parę dni swe bezużyteczne istnienie. To zdumiewające zbiorowe sza-leństwo trwało przez cały XIX wiek, i docierało wszędzie gdzie był kult niemieckiej nauki. Cesarsko - królewskie uniwersytety poddały się jej razem z wojskami austrjackiemi pod Sadową.

Profesor Rojek był również ofiarą tego podboju, tak samo jak wszyscy jego koledzy, starsi i młodsi, i ci poczciwi emeryci, którzy kompilowali wstępy do szkolnych wydań Homera. Zresztą smutna teorja odpowiadała jego goryczy i rozczarowaniom. Było mu lżej obcować z czemś bezimiennem i pozaczasowem, i gdyby się nad tem zastanowił, odczułby wdzięczność do ludzi, którzy go uwolnili od genjusza wymagającego podziwu.

Dzwon szkolny przerwał mu w połowie zdania; umilkł, jak opowiadał Teofil w domu „na przecinku", i nigdy już nie było mowy o dokończeniu wykładu. Teofil nabrał nowej nieufności do profesora, jednego z tych uczuć nieświadomych i dokuczliwych, które wzmagają się jakgdyby dlatego, że ich żadnem słowem nie-podobna objaśnić.

— Zupełnie ciebie nie rozumiem — radca wzruszył ramiona-mi. — Czy słyszałaś, Zosiu, żeby się ktoś tak upominał o istnie-nie Homera?

Pani Grodzicka, kładąc mężowi na talerz dwa pulchne szny-celki, uśmiechnęła się bezradnie:

— Zdaje mi się, Teofilu, że mógłbyś w tych rzeczach zaufać ojcu i profesorowi.

— Mój mały — radca podniósł widelec — primo: nie naprzykrzaj się Rojkowi, bo twoja znajomość greki całkiem się do tego nie nadaje, secundo: nie bierz sobie tak do serca poglądów uczonych, które są poto, aby je inni uczeni mogli zbijać, tertio: ucz się pilnie, bo to ci da kawałek chleba, ale nie masz obowiązku wierzyć w nic oprócz tego co Kościół katolicki podaje do wierzenia.

III

Teofil, wyszedłszy z kościoła Marji Magdaleny, ujrzał świat przeobrażony. Zostawił go niedawno w szarem powietrzu, na granicy odwilży, a teraz lekki mróz przynosił płucom swą szklaną czystość i niebo bezszelestnie osuwało się białą ścianą śniegu. Teofil podstawiał rękaw płaszcza, aby pochwycić duże gwiaździste płatki, których niewiele zaznał w tym roku. Zbiegłszy ze szkarpy, skręcił w ulicę Kopernika, chcąc jak najrychlej uciec zpobliża domu. Nie słuchał wołania kolegów; pragnął być sam, iść w to białe miasto, które majaczyło w dole. Przed nim szły dwie panny i mówiły po niemiecku. Posłyszał:

— Die Luft ist sehr angenehm.

Aż odetchnął głęboko, aby poczuć smak mrozu, zwilżonego śniegiem. Jedna z nich, ta właśnie, która mówiła przed chwilą, odwróciła się i zajrzała wprost w oczy Teofila, czarnym błyskiem spod ośnieżonych rzęs. Natychmiast przyśpieszył kroku i wyminął je, aby nie wyglądało, że idzie za niemi. Panny zniżyły głos do szeptu, napewno mówiły o nim. Czuł ich wzrok na wszystkich niedostatkach swej osoby: na czapce już zniszczonej i śmiesznej, bo miała klapy do opuszczania na uszy; na płaszczu, który był nieco wytarty na siedzeniu i którego fałdy przy dragonie otwierały się niekształtnie; na wykręconych obcasach bucików. Wiedział, że nie posiada nawet tych pozorów elegancji, które przy dobrej woli można przysporzyć szkolnemu ubraniu, i cierpiał nad tem. Już wyrastał ze stanu niewinności, w którym beztrosko wysiadywał swe grube szare spodnie, póki ich tył nie stał się przezroczysty jak pajęczyna, wygniatał łokcie, gubił guziki w zamę-

cie burd, szukał czapki za piecem. Dziś rano, po raz pierwszy, odczuł potrzebę szczotki, którą odkrył tam gdzie zawsze dotąd istniała, chociaż o tem nie wiedział, — w starej pochewce z zielonego sukna, wiszącej w alkierzu.

Obejrzawszy się spostrzegł, że panny znikły za białą gazą śniegu. Nie widząc ich, nie czując na sobie ich wzroku, przygarnął się z rozkoszą do tych czarnych oczu, które wyjrzały ku niemu z zaróżowionej twarzy, znad brzegu futerka. „Die Luft ist sehr angenehm". Nigdy słowo niemieckie nie było równie powabne. Dotychczas przychodziło do niego spod pożółkłych od tytoniu wąsów profesora Mayera — mdłe i zgryźliwe, albo z gęstwiny czarnej brody profesora Kleina — rozciągnięte i pretensjonalne, albo z twardych szczęk profesora Pawlika — szorstkie i chrzęszczące, u niego zaś samego jakby puchło na dziąsłach i bulgotało zdaniami bez składni. A oto miało kształt i dźwięk i zapach. Przez nie śnieg stawał się bardziej gwiaździsty, powietrze rzadsze i podniebne, to ono tajało w płucach melodją szerokich oddechów!

Wchodząc w ulicę Karola Ludwika, otrzepał się ze śniegu, nawet wytrząsnął czapkę, której denko pokryło się białą skorupą. Nie był to jeszcze czas „corsa", ludzi było niewielu i nie z gatunku tych, którzy w południe zapełniają chodniki od Kasy Oszczędności do końca Akademickiej. Ten salon Lwowa był jakby w pokrowcach pod śniegiem, którego nikt nie kwapił się uprzątać. Ale już od strony teatru policjant odbywał swój ront, dzwoniąc po bramach na stróżów, aby wychodzili z miotłami. Jego mosiężny półksiężyc ustąpi niebawem na jezdnię, między fiakry i tramwaje, gdy zaczną wschodzić gwiazdki oficerów. Jeszcze ich nie widać, jeszcze forysie glansują buciki, wydobywają najwyższy blask z ostróg, pochew szabli, guzików, które przeznaczone są na to, aby rwać oczy pań i panien idących na „dwunastówkę".

Teofil w skrytości ducha zazdrościł wojownikom Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości, gdyż podzielał pospolite mniemanie, że ich smukła talja, ich krok taneczny, okrągłe ruchy ramion podnoszących się do salutowania — są szczytem elegancji. Co więcej, postanawiał przejąć od nich sposób noszenia czapki, „na bakier", jeśli uda mu się przy wiosennem odnowieniu garderoby uzyskać czapkę nie granatową, lecz czarną i wyższą od przepisowego fasonu.

Idąc bez celu, dotarł aż pod teatr. Z żydowskiej dzielnicy wychodzili starzy izraelici w wytartych cylindrach, zmierzając powoli na miejsce codziennych zebrań na Wałach Hetmańskich. Teofil przeszedł na drugą stronę, przypomniawszy sobie, że ma z polskiego zadanie domowe na temat: „Pamiątki historyczne miasta Lwowa". Postanowił rozejrzeć się w nich, zaczynając od rynku.

Był on świątecznie pusty. Ratusz, niepodszyty zamętem targu, stał osowiały w swym szarym czworoboku, ziewając otwartą bramą, przez którą nikt nie wchodził. Neptun, zupełnie sarmacki w baranicy śniegu, zamroził na ten dzień studnię, która zazwyczaj bębniła po kamieniach dwoma prętami wody. Zdawało się, że wieża ratuszowa urosła, podciągnęła się jeszcze trochę wgórę, aby móc zajrzeć w ciekawsze strony miasta; na ganku u szczytu strażak, okutany w długie futro, odmierzał bez przerwy swą kwadratową przestrzeń, ze zgiełkiem zegara pod stopami, z ciszą białego nieba nad głową, — więzień śnieżystych przestworzy.

Teofil poprzestał na jednem spojrzeniu, jakby uchylił drzwi do dużego zimnego pokoju, w którym nikogo niema; ulica Ruska z dalekim profilem Wołoskiej cerkwi zamajaczyła wgłębi jak ciemna sień; zawrócił w stronę katedry. Obszedł ją od kaplicy Boimów, która odrazu go znużyła. Nie miał ucha dla ciszy kanonicznego zaułka, nie miał oka dla tej fasady opitej i obżartej rzeźbą. Spod stromej ściany katedry umknął, jakby miała się zawalić. Radosna droga, na którą wszedł z pierwszemi gwiazdami śniegu, przepadła gdzieś wśród ulic miasta. Włóczył się jak zbłąkany. Od czasu do czasu potykał się o nieszczęsne „pamiątki historyczne", kościół Bernardynów, kolumnę błogosławionego Jana z Dukli, kościół Jezuitów — i coraz głębiej nasiąkał nudą. Całe miasto zszarzało jak godzina profesora Majewskiego.

Ugrzeczniony pedagog, który na ukłony studentów odpowiadał szerokim ruchem kapelusza, który bardzo umiejętnie omijał zaimek „ty", tą właśnie uprzejmością więził chłopców na swoich godzinach w ciszy i uwadze godnej lepszego użytku. Był to nieskazitelny urzędnik nauki. Gdyby Wysokie c. k. Ministerstwo Oświaty zdołało ożywić paragraf swych instrukcyj dotyczący nauczania języka ojczystego i gdyby ten paragraf ubrało w piaskowy garnitur, nie mógłby on sprawować się lepiej niż profesor Majewski. Każda lekcja była odrobiona starannie, w przepisowej ilości stronic podręcznika i odchodziła do aktów, które już były za-

łatwione i zarejestrowane, poza możliwością jakichkolwiek uchybień. Rzecz zdumiewająca, że oprócz upadłych dwójarzy, nikt nie naruszał tego porządku, wszyscy mieli w głowach dobrze ułożone epoki, okresy, stulecia literatury, od pieśni o św. Aleksym do „Żeńców" Szymonowicza, zadanych w sobotę. Dyrektor lubił pokazywać inspektorom i wyższym dygnitarzom schludne lekcje profesora Majewskiego, wolne od niespodzianek, prowadzone „zupełnie nowocześnie" czyli bez katalogu, rzekłbyś w muzycznym nastroju, tak dalece wstawanie i siadanie uczniów było podobne do ruchu klawiszy. Każdy z baronów Rady Szkolnej Krajowej zapisywał sobie w pamięci ujmującą postać profesora, o rumianych policzkach i ostrych blond wąsikach.

Dla świętego spokoju, Teofil stał się jednym z jego najlepszych uczniów. Osiągnął to najpierw samym zeszytem do zadań, który był zawsze wzorowo utrzymany, w co wdrożył się bez przymusu, mając po ojcu zamiłowanie do czynności kancelaryjnych. O resztę postarał się równie małym kosztem, gdyż zawsze w jakiś sposób zwrócił na siebie uwagę profesora w momencie w którym mógł pośpieszyć z odpowiedzią trafną i w jego smaku. „Grodzicki zachowuje się na polskiem jak kurwa" — taka była opinja wąsatego repetenta Bieniasza, i Teofil czuł że musi być w tem coś prawdy, chociaż miał bardzo niejasne pojęcie o tego rodzaju kobietach.

Śnieg przestał padać, ulica Karola Ludwika szumiała gęstym tłumem, ale Teofil ledwo to zauważył. Wcisnął się w tę ciemną pustkę, którą od pewnego czasu odnajdywał w sobie i gdzie karmił się goryczą i smutkiem. Nie umiałby powiedzieć czego mu brak, a trapił go bezgraniczny niedostatek. Nie dorósł do słów, któreby to mogły wyrazić. Znalazł się na tej przełęczy życia, gdzie pragnie się być w jakiejkolwiek sprawie przyczyną, a nie zawsze tylko skutkiem, i gdzie rodzi się lęk, że człowiek może zostać na resztę swych dni oszołomionym i bezradnym widzem.

Mała, wąska i kręta ulica Sienkiewicza była właśnie na miarę jego wewnętrznego ucisku. Zaniedbana, z kupami śniegu pamiętającemi pierwsze mrozy, oparta z jedej strony o parkan całkowicie zalepiony afiszami, cuchnęła uryną, łajnem i potem koni śpiących przy dyszlach dorożek, których właściciele nie odstępowali szynku, ziónącego z otwartych drzwi swym kwaśnosłonym oddechem. Teofil nigdy jej nie omijał ze względu na okna wystawo-

we sklepu Propsta. Wisiały w nich długie rzędy widokówek, kolorowe reprodukcje obrazów, fotografje rzeźb, i Teofil cotydzień wybierał sobie nowy ideał: jakąś główkę marzącą lub zalotną, jakieś jasne pukle wyłaniające się z kwiatów, jakieś białe ramię, któreby mógł obsypać pocałunkami. Ale dziś przypomniał sobie o tem dopiero w połowie ulicy, gdy już nie chciało się wracać, a przejście przez okropną jezdnię było niemożliwe. Za chwilę stał w bramie Pasażu Mikolascha.

Bojko, w długim baranim kożuchu, rzucał świeże garście kasztanów na gorącą blachę. Była to jedna z tych wiekuistych postaci, które Teofil pamiętał od pierwszych dni pamięci. Ileż to książek z końcem każdego roku, przemieniło się w niklowe szóstki i piątaki, które następnie znikały w skórzanej torbie tego szafarza najwcześniejszych czereśni, wybornych andrutów, pierników, czekoladek! Teofil nie dochowywał mu absolutnej wierności, miał jeszcze inne budki i stragany i małe cukierenki, rozproszone po mieście, niby gospody przydrożne, lecz w ogólnym rachunku Bojko z pasażu stał na czele jego wszystkich wydatków. Teraz minął go ukradkiem, gdyż nie miał ani halerza.

Wchodząc do pasażu, doznawał zawsze podniecenia, jakby w oczekiwaniu niespodzianki. Tyle już rzeczy zdarzyło się pod tym oszklonym dachem, pod patronatem zagadkowych postaci wymalowanych z wielką rozrzutnością szkarłatu i złota na dwóch olbrzymich obrazach, umieszczonych pod środkowem sklepieniem! Tu widział pierwszego w życiu dzika u progu restauracji Ilkowa; tutaj oczarował go nurek w swej bani z mosiądzu i szkła, w gumowem ubraniu i trzydziestokilowych butach, który włazil do ogromnej kadzi, napełnionej brudną wodą i wyszukiwał na dnie centy rzucane mu z krzeseł; tu po trzykroć podziwiał Papuasa o białej wełnie włosów i czerwonych tęczówkach ,który kilku wężowemi ruchami uwalniał się z kajdanów, łańcuchów i kłódek, w jakie go zamknięto; tu widywał karły i dziewczęta przeraźliwie tłuste, ważące sto pięćdziesiąt kilo, i siostry sjamskie, i murzynów mających skórę wytatuowaną w obrazy bitew, lasów, słoni. Przez ten pasaż szła odrobina zapachu dalekich światów, które nawiedzały skromny Lwów rzadko i ubocznie. Aż któregoś dnia rozwarła się głębsza i szersza szczelina z pierwszym filmem. Teofil miał ośm lat. Żywe migające obrazki przedstawiały epizod z wojny rosyjsko-japońskiej, „Napad Chunchuzów na pociąg“, i sala, która, jak cały

Lwów, była w sojuszu z Japonją, krzyczała: Banzaj! po spektaklu. Trwało to kwadrans, kosztowało 20 centów, śniło się po nocach i nie miało się tak rychło powtórzyć. Dopiero w rok później otwarto w pasażu prawdziwe kino, a minęło jeszcze parę lat, zanim Teofil uzyskał tyle samodzielności by mógł z niego korzystać. I teraz oto cały parter kina był wyklejony afiszami zapowiadającemi nowy program, a wgórze wisiały olbrzymie fotografje Psylandra, Asty Nielsen, Maksa Lindera, Henny Porten, cudotwórców i czarodziejów nowego porządku.

Teofil mógłby iść przez pasaż z zawiązanemi oczyma, kierując się strefami zapachów. Oto kończy się woń kawy i tytoniu, która wieje od kawiarni, tuż za nią przecina drogę wąskie pasmo świeżej, soczystej woni owoców z koszów wystawionych przed sklepem Schleichera, i wreszcie drogerja Mikolascha nasyca powietrze zapachem chemikaljów. W tej ostatniej, surowej strefie, nad muszlą bez wody, w podmuchach zimna z dwóch bram, stoi biała marmurowa panna, której twarzy Teofil nie zna i nie pamięta, bo zawsze patrzy tylko na jej nagie uda, biodra i piersi.

Przygarbiony, ze zziębniętemi rękami w kieszeniach płaszcza, wszedł spowrotem w ulicę Kopernika, która go przed godziną tak lekko zaniosła wgłąb miasta.

IV.

Goście zeszli się prawie jednocześnie, przedpokój zaludnił się hałaśliwie, od zaśnieżonych futer powiało chłodem, koło drzwi tworzyły się mokre plamy. Każdy powtarzał to samo o zamieci, o kaprysach marcowych. Grodzicki pomagał się rozbierać, ściskał się z panami, całował ręce pań, dziękując za życzenia. Ale z upominkami czekano na wejście do pokoju.

— Przy świetle się okaże, kto naszego Albina kocha najwięcej — mówił radca Bieniek.

Sam przyniósł laskę, której rączka z rogu wyobrażała kopyto końskie. Była trochę ciężka, lecz Grodzicki chwalił, że taka właśnie przyda mu się na spacery za miasto. Pozatem znalazła się i papierośnica, i zapalniczka, i ołówek w srebrnej oprawie, i małe słonie szklane od panien, na szczęście.

Młodzi Fajtowie trzymali się na uboczu, zażenowani. Nie przy-

nieśli nic, uważając że nie wypada praktykantom rachunkowym składać prezentów radcy, i to gdy się jest po raz pierwszy w jego domu. Ubrali się za to we fraki, co zrobiło dobre wrażenie. Było ich troje, dwóch braci i siostra, właściwa ich ostoja w tem towarzy-stwie. Alina Fajtówna chodziła do gimnazjum Strzałkowskiej ra-zem z córką Piekarskich, u których Grodziccy ją poznali.

Salon, którego dwie ściany były odsłonięte jako narożnik do-mu, a trzecia przytykała do sieni, wystawiony na gwałtowne pod-muchy wiatru wymagał więcej opału niż inne pokoje; okrągły ka-myczkowy piec zdawał się pęcznieć pod naporem gorąca. Był ma-lowany w ten sam deseń co ściany, niebieski ze złotem, ulubiony kolor pani Grodzickiej, który panował tu wszędzie: w obiciu me-bli, w dywanie na podłodze, nawet nigdy niezapalane, kręcone świece, ozdabiające wielką wiszącą lampę były niebieskie, a sufit wyobrażał pogodne niebo z grą białych obłoków, podobnych do wą-sów z waty. Radca Piekarski, rozparłszy się w fotelu, uniósł nieco głowę i zapatrzył się w czarne krzyżyki paru jaskółek szybujących po malowanem niebie.

Ostatnia przyszła Pańcia. Ta pieszczotliwa nazwa została jej po dwóch kudłatych pinczerach, do których mówiła o sobie w ten sposób, a które już dawno leżały pod jakiemś drzewem na Pohu-lance, każdy w pudle z kartonu, w oddzielnych grobach wykopa-nych przez nią samą nożem kuchennym. Jej właściwe nazwisko — Małgorzata Paykart — tak się od niej oderwało że Grodzicki, po-syłając jej kartę z życzeniami Nowego Roku, kolorową widokówkę, na której stary zgrzybiały starzec o długiej siwej brodzie, z ośnie-żoną choinką na plecach, ustępował przed gołym bachorem niosą-cym róg obfitości, — miał zawsze chwile wahania, zanim napisał adres. Obdarzył ją tem nazwiskiem pół wieku temu młody kapi-tan, pijak i utracjusz, który w rok po ślubie zostawił ją siedmna-stoletnią wdową, w noc wigilijną, skończywszy ze sobą okropnym strzałem w usta. Nikt już nie pamiętał jak zdołała odrzucić czasowi tę roztrzaskaną, krwawą głowę, niktby się nawet nie domyślił, że coś podobnego mogło się ukrywać pod jej równą, pogodną, pełną życia starością. Sznurówka, której nie zdejmowała nawet w nocy, trzymała ją prosto i był to jej pancerz, taki sam dobry jak każdy inny, — chciała mieć pewność, że następny dzień nie zastanie jej z pochylonemi plecami.

Przyniosła solenizantowi pantofle sukienne, które sama wy-

haftowała; przy składaniu życzeń całowali się z radcą w ramiona. I zaraz przygarnęła Teofila. Był to jej „król granatowy“, jej „kapka“, jej „zguba“, w jednej szybkiej pieszczocie otulała go w całe dzieciństwo, sypiąc nań wspomnienia jak pocałunki. Należała do jego najdawniejszych czasów; dokąd sięgał pamięcią, odnajdywał w przeróżnych momentach jej śniadą twarz i zapach tytoniu, którym zawsze była przesiąknięta. Ona jedna zwróciła nań uwagę i wydobyła go z mroku, gdzie stał wpółukryty pod liśćmi palmy, marząc o jakiemś zamieszaniu, któreby mu pozwoliło wymknąć się do swego pokoju.

Pańcia nie zdążyła wypalić papierosa, gdy Grodzicka poprosiła do stołu. Zabrano z salonu parę foteli, bo w jadalni nie starczyło krzeseł. Stół, rozsunięty dwiema deskami, pozwalał rozsadzić gości swobodnie, oczywiście z zachowaniem należnej hierarchji. Ale Fajtów nie zepchnięto na sam koniec, zawdzięczali to równej ilości płci żeńskiej, której niepodobna było skupić razem. Alina dostała nawet wysokie miejsce przy kapitanie Siekierskim, co może było błędem ze względu na córkę kapitanostwa. To prawda, że była ostatnia, lecz któż mógł być lepszym dla niej towarzyszem od Teofila, z którym była prawie w jednym wieku i bawiła się z nim kiedyś w piasku, w ogrodzie Jezuickim?

Nie bardzo to ich jednak zbliżało. Teofil nie miał pojęcia od czego zacząć rozmowę. Nastręczało się, rzecz prosta, pytanie: czy ma trudną naukę, czy dużo zadano na poniedziałek, ale posiadał natyle rozsądku, aby ocenić skromne powaby tego tematu. Na szczęście, obowiązki gospodarza wybawiały go z kłopotu; przynosił butelki, nalewał kieliszki, ojciec który nie lubił wstawać od stołu, chciał go mieć wciąż pod ręką. Ilekroć udało mu się pochylić nad swym talerzem, którym opiekowała się matka, chwytał uchem poszczególne zdania z tego co mówił starszy Fajt. To był prawdziwy mistrz, ten czarnooki pan z bokobrodami! Zapewne, Niusia Piekarska, siedząca po jego lewej stronie zajmowała go więcej, ale i kapitanównie z prawej strony nie zbywało na jego uwadze. Teofil bardziej czuł niż słyszał, że jest to właściwa rozmowa z pannami, w najlepszym gatunku, pełna jakichś napomknień, domysłów, nalegań, zwierzeń, podstępnych uwag, pytań na które nie otrzymywało się odpowiedzi, stłumionych śmiechów, obrażonych min, zdziwienia, nagłej ciszy, szeptu.

Fajt mówił półgłosem, nie dlatego żeby się obawiał Grodzi-

ckiej, która wybrała sobie miejsce przy Teofilu, ale znikała co chwila w kuchni, chociaż na ten dzień mogłaby być spokojna, mając kucharza, — nie, Fajt mówił półgłosem, aby broń Boże nie wtargnąć jakiemś niebacznem słowem w wyższe regjony stołu. Tam radca Bieniek zdołał już zapanować nad ceną podszewki jedwabnej duchesse i nad pościelą z weby cesarskiej, którą się raczyły Pańcia, kapitanowa i Piekarska, i teraz natrząsał się nad policją:

— Tego już nawet w „Smigusie“ nie znajdzie. Policjant, proszę państwa, aresztował parobka, który wypytywał ludzi, dlaczego jedni żołnierze mają czerwone portki a inni niebieskie. Sprowadził go do komisarjatu i mówił, że to szpieg. Zapisałem sobie numer tego policjanta i postawię na loterji.

Sięgnął ręką do kieszeni, ale nie był przecież w swej zwykłej marynarce, tylko w anglezie. Pomiarkował więc swoje ruchy, tembardziej, że służąca wdarła się między niego a Pańcię z ogromnym półmiskiem indyka. Kapitan źle przyjął jego historję:

— Gdyby radca miał o szpiegostwie rosyjskiem te wiadomości co my, nie wyśmiewałby się pan z tego policjanta.

— Proszę mi powiedzieć, panie kapitanie, — odezwał się Grodzicki — jakie może być z tego niebezpieczeństwo dla monarchji, jeśli nieprzyjaciel dowie się, że nasi żołnierze noszą kolorowe spodnie?

— Z tego można wnioskować o formacjach wojskowych.

Radca Bieniek, który już uporał się z półmiskiem i zdążył przełknąć wyborny kęs indyka, nie żywił żadnych obaw. Podniósł wgórę widelec:

— Za pięć dni, proszę państwa, nastąpi demobilizacja armji rosyjskiej.

— O której godzinie? — zadrwił kapitan.

— Myślę, że w południe. Po nabożeństwie. Nie, nie, nie jestem jasnowidzącym, pani kapitanowo, to wszystkim wiadomo. W tym dniu jest jubileusz dynastji rosyjskiej i demobilizacja ma być wielką manifestacją pokojową.

— No, dobrze to pan powiedział: manifestacja!

Kapitan był nie w humorze, bo już nalewano wino, a przed nim wciąż jeszcze nie pojawiała się smukła butelka Klosterneuburgera. Czyżby zapomniano, że on nic innego nie pije? Nie,

nie zapomniano i mógłby już udobruchać się, pociągnąwszy łyk swego blado-żółtego wybrańca, ale trudno mu było przystać na zbyt długi okres pokoju. Zaczynał już porządnie siwieć, a złoty kołnierz omijał go przy każdej porcji awansów. Jego awans miał ciężką drogę po różnych schodach, korytarzach, gabinetach, ileż to piętr musi zwędrować, pod iluż to suknami przeleżeć! Piętra, korytarze — oto co znaczy pokój! A wojna to parter i otwarte pole. Sposobność garnie się do człowieka jak pies. Jeden rozkaz wydany w porę, jedna minuta dłużej lub krócej w jakimś lesie, między chałupami czy gdzieś za stokiem pagórka, i zdobywasz to, czego się nie dosłużysz ani w koszarach ani przy biurku. Tak mówił sam z sobą kapitan Siekierski i od czasu do czasu stukał lekko obcasami; cienki brzęk ostróg odzywał się pod stołem, jak duch życzliwy który go wspiera i rozumie.

Ale u szczytu stołu dał się słyszeć inny brzęk, o wiele głośniejszy; radca Bieniek trzykrotnie uderzył nożem w rżnięty kieliszek i wstał:

— Kochany solenizancie! Albin czyli Albinus pochodzi od albus, to znaczy biały. Dobre imię dano ci na chrzcie, nasz drogi radco. To jest imię twojej duszy, która jest czysta jak śnieg. I twego serca.

Tak zaczął radca Bieniek, a Teofil stojąc ze świeżo odkorkowaną butelką zdziwił się, że Niusia Piekarska podniosła do ust serwetę, jakby dla ukrycia śmiechu. Oczywiście, radca nie powinien spodziewać się, że wzruszy tę pannę o wysokiej kopicy włosów, żółtych jak słoma, a suchych i szorstkich jak siano. Pod niemi ukrywał się płochy mózg, prędki jak wiatrak, który już zmełł wszelkie możliwe książki, wydane od czasu, kiedy radca poniechał lektury. Nie, to nie było dla niej, to wszystko o gołębiem sercu, o gołębicy gruchającej w gniazdku (spojrzenie w stronę gospodyni), o pisklęciu, któremu rosną skrzydła (spojrzenie na Teofila, który się zarumienił, — ach nieborak!), i ten nieoczekiwany zwrot, że wśród białych ptaków jest jeden, którego wszyscy nosimy w sercu, orzeł srebrnopióry! Chyba nigdy nie przyjdą lata, żeby ona, Niusia Piekarska, słuchała podobnych rzeczy z zaczerwienionym nosem, jak jej matka, która patrzy w stół i wzdycha.

Nareszcie można wstać, i trącać się kieliszkiem, i śmiać się jakby się brało udział w powszechnej wesołości, którą radca Bie-

niek sam rozplanował w swej ornitologji, schodząc nagle od górnolotnych ptaków do indyka na półmisku. Śpiewano „sto lat“, w czem wyróżnili się Fajtowie i ich zapał przetrzymał całe towarzystwo aż do pięciokrotnego powtórzenia. Teofil uwijał się przy kieliszkach, które jednym tchem wypijano. Służąca, żonglując z tacą, wyłapywała spośród gości talerze. Grodzicka krajała tort orzechowy. Tę chwilę wybrała Alina Fajtówna, żeby jej szepnąć parę słów, o które bracia nieustannie dawali jej znaki.

Grodzicka, zaskoczona, patrzyła na nią spoczątku jakby nie rozumiejąc, wreszcie ocknęła się:

— Ależ naturalnie, moje dziecko! Bardzo się cieszę. A gdzież to jest?

— Zostawiliśmy u stróża.

— Ależ nie! — zawołała Grodzicka, widząc, że jeden z Fajtów biegnie do przedpokoju. — Zaraz poślę służącą.

To była niespodzianka, przygotowana przez Fajtów — gramofon. Wypożyczyli go na ten wieczór od znajomych, razem z tuzinem płyt. W sieni domu, już pod samemi drzwiami Grodzickich, przestraszyli się nagle swej zuchwałości i błagali stróża, aby ich nie wydał. Teraz całowali gospodynię po rękach i zapewniali, że jest to najcichszy gramofon, jaki można sobie wyobrazić. Grodzicki, sądząc po olbrzymiej czerwonej tubie, podejrzewał w tem pewną przesadę. Ale i on nie protestował.

— Całe szczęście, że nad nami mieszka astronom, który na noc wychodzi do obserwatorjum.

— Ciekawam — odezwała się Niusia — czy o takim człowieku można powiedzieć: nocny ptaszek?

— Ależ, bój się Boga — zgorszyła się Pańcia — to musi być bardzo mądry człowiek.

— Nie wiem — rzekł Grodzicki — raz z nim tylko rozmawiałem. Nie posiadał się wtedy z oburzenia, że któryś z jego kolegów profesorów dostał wyższą rangę. Przyzna Pańcia, że siedzieć przy lunecie, patrzeć w gwiazdy, w nieskończoność i myśleć o naszych biednych ziemskich awansach — to nie jest wielka filozofja.

— A jaką on może mieć rangę? — zapytał radca Bieniek.

— Szóstą.

— Fiu, fiu, fiu!

Radca Bieniek, który jeszcze tak wysoko nie zaszedł, był zdumiony. Widział tego astronoma na znacznie niższym szczeblu, z pewnem więc uszanowaniem spojrzał na sufit.

Gramofon przełamał obrzędowość całego wieczoru i gospodarz skrócił do ostateczności swój toast, w którym dziękował i pił zdrowie gości w ręce Pańci. Czerwona tuba odzywała się co chwila innym głosem. Starszym panom najwięcej podobała się terkotliwa śpiewaczka z piosenką „Bum-cyk-cyk“, ogłuszająco prędka, — czuło się w niej pulchne a zwinne kobieciątko, bardzo roztrzepane, szelmowskie, wyzywające, z jakimś akcentem czerwieni w stroju. Grodzicki jednak doznawał głębszego wzruszenia przy „Leise fliehen meine Lieder“, gdzie miękki mezzosopran roztkliwiał się smutkiem niebieskich, jak się zdawało oczu, patrzących z bladej twarzyczki o delikatnych rysach. Na jego życzenie, po wygraniu paru monologów i hałaśliwie wesołej „Fidra-fidra“, raz jeszcze powtórzono tę płytę.

Tymczasem Grodzicka spomocą Teofila ustawiła w salonie dwa stoliki do kart, jeden do preferansa, drugi do labeta, przy którym sama usiadła razem z Pańcią i kapitanową. W jadalni została młodzież i radca Piekarski, który nie grał, nie palił i który nie ruszył się z fotela, tłusty, milczący i tak bezwładny, że nawet go nie przeproszono, gdy odsunięto stół bliżej do ściany, aby zrobić więcej miejsca. Starszy Fajt, widząc, że Teofil wychodzi, rzucił się ku niemu:

— Bardzobym pana prosił zostać z nami. Zatańczy pan z panną Zosią.

— Nie umiem tańczyć — odpowiedział ostro i niegrzecznie, odwrócił się i przeszedł do salonu.

Nie było to kłamstwem, ale i nie było prawdą. Nigdy nie uczył się tańczyć, był jednak pewny, że potrafiłby to robić niegorzej od innych. Czuł w końcach palców gotowość do zręcznych obrotów, mięśnie łydek prężyły się jak naelektryzowane, całe ciało przenikał prąd, i zdawało się: nie może być nic prostszego, jak wejść do jadalni, roześmiać się, objąć wpół Zosię i oczarować wszystkich niesłychaną umiejętnością. Gramofon grał walca. Po każdym załomie melodji w Teofilu coś się odsuwało, cichło, to znów jakby się odwracały białe kartki, które na zawsze mają pozostać puste.

Ukradkiem wypił kieliszek wina. Uczyniło mu się lżej, prze-

stronniej, za chwilę był już w nowym pejzażu, gdzie jedno uderzenie myśli wynosiło na wysoki szczyt, upajający rozkoszą wzgardy. Nie utrzymał się na nim zbyt długo, ściągnęło go zeń spojrzenie matki:

— Czemu się nie bawisz? — szepnęła.

Nachylił się ku jej uchu:

— Bardzo mi tu dobrze.

I odrazu zaczęło mu być dobrze w szeleście tasowanych kart, w brzęku monet rzucanych na talerzyk z papier-maché, w dymie papierosów, które Pańcia nieustannie paliła, i wśród wciąż tych samych zdań, wypowiadanych po każdej partji:

— Ja miałam singel króla!

— Żeby jeszcze na dyskę zrobić lewę, to się w głowie nie mieści!

— Któż tak długo trzyma sasa?

— Rabowałam chłopca, a nie miałam nic, dopiero kupiłam trzy atuty.

Patrząc na ruchy rąk Pańci o dłoniach różowych jak płatki szynki, przypominał sobie Teofil wszystkie wieczory, które u niej spędził, licząc mniejwięcej od siódmego roku życia. Rozrzewniło go wspomnienie jej pokoju, w którym tyle razy przypatrywał się grze, mając za rówieśnicę tylko pasterkę na haftowanym obrazie, pasterkę z barankiem i motylkiem fruwającym nad głową, trwał tak godzinami między matką a Pańcią, póki sen nie odpędził go na wielką, rozłożystą kanapę, pełną zaczętych robótek i igieł powtykanych w jej oparcie, skąd wywlekano go w dreszczach niedospanej nocy, o białym świcie, na długą wędrówkę do domu, przez ulice puste i świeże, z dalekim turkotem wozów, z wysoką modlitwą dzwonów kościelnych, przez skwery pachnące rosą i gwarne od ptasiego świegotu. Zachciało mu się nagle snu na tej kanapie i być może krótkich spodenek.

Nie trzeba przeżyć połowy życia, aby znać urok własnego dzieciństwa. Teofil miewał chwile głębokiej tęsknoty za tym małym chłopcem, który wszystko inaczej widział, inaczej czuł i który był czemś naprawdę innem dla siebie i dla drugich, czemś co miało o wiele więcej powabu niż ten szczupły młodzieniec w grubych ciemnopopielatych spodniach, w ciemnogranatowym mundurku z dwoma złotemi paskami na aksamitnym kołnierzu. Tamta istota była ze wszechmiar bardziej zrozumiała, taka wy-

raźna, taka pewna siebie, gdy tymczasem to co w tej chwili odbijało się w lustrze naprzeciw, poprzez mgłę dymu, rozgoryczało poprostu swą nieporadnością. Lustro, jakgdyby odbijało samo wnętrze jego istoty, nie mówiło mu nic o pięknych kasztanowatych włosach zaczesanych wysoko, o jasnych oczach pod nieskazitelnemi łukami brwi, a czarującym owalu twarzy, o ustach czerwonych i śnieżnych zębach, odsłaniających się w uśmiechu, którego gorycz on sam tylko odczuwał. Ojciec zawołał nań od drugiego stolika żeby mu nalał wina, Teofil nie słyszał więc, jak kapitanowa powiedziała do matki:

— Taka twarz przyniosłaby szczęście niejednej pannie. Strach, jaki to będzie kiedyś mężczyzna!

Tymczasem jadalnia przestała huczeć gramofonem i Teofil znalazł tam przygotowania do nowej zabawy. Przez środek pokoju ustawiono rząd krzeseł, panny i młodzi panowie pozasiadali jedno za drugiem, Teofila również wciągnięto, krzycząc mu: „Telegraf!" Nadawcą był starszy Fajt, który siedział ostatni. Miał przed sobą siostrę i na początek uszczypnął ją zlekka w policzek, co natychmiast zostało powtórzone przez wszystkich. I tak szło dalej: burzono sobie włosy, ciągnięto się za uszy, łaskotano się w kark, nikt nie wiedział co go spotka za chwilę, co się za nim dzieje, ktoby się odwrócił — dawał fant. Wtem, siedząca za nim Zosia pocałowała Teofila w szyję. I on bez namysłu pocałował siedzącą przed nim Piekarską. Za chwilę znów pocałunek, — w usta. Zrobił i to, ale z tak strasznym lękiem, jakiego nigdy nie doświadczał. Nie było sposobu wstać, przeżył jeszcze kilka pocałunków, czując war rumieńca aż na karku. Czemuż lampa nie zgaśnie? albo nie zerwie się z haka u sufitu? Czemuż radca Piekarski nie uśnie lub nie umrze? Chciałby się nagle zmienić w murzyna, żeby schować pod czarną skórę swoje okropne pałające policzki. Ale zniósł i to jeszcze że, kiedy nagle przerwano zabawę, przeszedł (może przebiegł?) cały długi pokój, aby znów ukryć się w salonie, pod wiszącemi tam jeszcze wspomnieniami dzieciństwa.

Potargał je natychmiast. Nie dzieckiem chciał być teraz, ale despotą, jakimś królem wszechwładnym, który posiada moc życia i śmierci nad wszystkimi tymi ludźmi. Nie mogąc utrzymać w sobie tych myśli, odszedł w kąt, pod palmę, i szeptał je na-

miętnie. Oto wchodzi do jadalni, w majestacie władzy i okrucieństwa, za nim dwór i straż; każe wszystkich mężczyzn zakuć w kajdany, a panny rozebrać do naga. Teraz one drżą i wstydzą się i czerwienią, a on może robić z niemi co zechce. Jednej tylko okazuje łaskę i tem potężniej syci się szlochem Zosi i Niusi. Byłby w kłopocie, gdyby ktoś, podsłuchawszy jego myśli, zapytał co ma zamiar z niemi robić. Okazałoby się wówczas, że jego wyobraźnia nie może sprostać tym osobliwym okolicznościom. Była to wyobraźnia anemiczna, wychowana na pokarmie niejako wegetarjańskim. Kwiaty, drzewa, polany leśne, wiosny, poranki tworzyły w jego umyśle nieustanne zacisza, ustronia ze śpiewem ptaków, szeptem strumyków, grą słońca, wiekuiste oczekiwania i tęsknoty, zbliżające się niekiedy do czyjejś nieuchwytnej, ciepłej, pachnącej obecności. Nie miał pojęcia o surowem mięsie miłości i nigdy go nie łaknął.

Ojciec kazał mu przynieść nowych świec do lichtarzy, które stały przy graczach. Był w dobrym humorze, szła mu karta, w drewnianem pudełku, które zabobonnie przymykał, gromadziły się sztony żółte, niebieskie, czerwone, i cienkie metalowe blaszki o złotym połysku. Wetknął synowi palec za kołnierz i połechtał go lekko, co było prastarą pieszczotą. W tej chwili nadbiegł młodszy Fajt i z wielkim animuszem rzucił się na Teofila:

— Ach, tu jest nasz adresat! Jest list do pana, polecony i nieofrankowany. Trzeba go odebrać w urzędzie! — wołał, ciągnąc go za rękaw do jadalni.

Towarzystwo było teraz rozproszone po krzesłach i fotelach, starszy Fajt trzymał na kolanach kapelusz, na którego widok ciarki przeszły Teofila. Wiedział, że są tam ukryte fanty, był pewny, że niema tam jego własnego, mimo to zadrżał. Parę razy w życiu przeżył tę okropną chwilę, kiedy ktoś podniósłszy wgórę zaciśniętą pięść, wołał: „Co mam zrobić z fantem, który trzymam w ręku?“ Wymyślano najdziksze historje, kazano ofierze fantu chodzić na czworakach, zgadywać myśli, tańczyć, gimnastykować się, zresztą najbłahsza czynność w rozbawionem i szyderczem kole zamieniała się w hańbę.

Teofil wlókł się za Fajtem jak potępieniec, przez ten jasny pokój, pod ociężałem spojrzeniem radcy Piekarskiego, który nieruchomy, uśmiechnięty, tłusty, z grubym brzuchem wyglądał jak bożek chiński, ustawiony na miejscu kaźni. Teofila wepchnięto

w drzwi jego własnego pokoju, które natychmiast zamknięto. Nie ruszał się, czekał. Szept:

— Nie poznajesz mnie?

Teofilowi zabrakło oddechu.

— Alina — powiedział tak cicho, że ledwie sam posłyszał ponad łoskotem serca.

Dziewczyna zbliżyła się może o pół kroku.

— No... więc... masz list... Zdaleka... — mówiła stłumionym, niskim głosem, wśród nerwowego chichotu.

W zamkniętym pokoju było zupełnie ciemno, tylko po bokach rolety, nieco za wąskiej na okno, przekradały się nikłe refleksy latarni z ulicy, — parę nitek światła wszytych w gęsty mrok. Jedna z nich, zielonawa i drżąca, jak przelot świętojańskiego robaczka, oświeciła zarys ręki Teofila, którą trzymał zgiętą w łokciu i wyciągniętą niepewnie, jakby badał kształt ciemności. Alina pochwyciła ją swoją dłonią; była miękka, gorąca, trochę wilgotna. Teofil pochylił się ku przodowi, prosto ku temu miejscu, skąd szło ciepło oddechu i przykrył je swemi ustami. Wargami dotknął jej warg, które były tak samo jak i jego zamknięte. Nie uczynił więcej żadnego ruchu, czuł tylko, że zwolna pochyla się jeszcze bardziej, a jej głowa osuwa się wdół. A może było to złudzenie? a może, oderwany od świata, wyszedł z koliska jego praw i doświadczał obrotu ziemi? Przez sekundę miał oczy zamknięte i gdy je otworzył zobaczył tuż pod swemi oczami dwa ciemne połyski i w tej chwili dwa zgodne westchnienia rozdzieliły od siebie dwoje milczących suchych ust.

Drzwi skrzypnęły, zakłębiło się w nich żółte światło, które natychmiast znów zgasło, zostawiając po sobie cienką smugę w niedomkniętych drzwiach. Młodszy Fajt zapukał:

— Czy jest tam jaka poczta?

Nie otrzymał odpowiedzi, gdyż Teofil wymknął się tymczasem drugiemi drzwiami do alkierza matki. Szczęście mu sprzyjało, albowiem całe towarzystwo wpadło nagle do jego pokoju, dając mu wolną drogę. Schronił się w pokoju ojca, skąd zabrano stojącą lampę i gdzie było tylko tyle światła, ile go szło od salonu i od jadalni. Jedną połowę okna ktoś otworzył, aby wpuścić trochę świeżego powietrza. Po wieczornej zamieci było ono mroźne, lecz ciche, na rąbku nieba, widocznym ponad ogrodem naprzeciw, migotało parę gwiazd. Patrząc ku nim Teofil sondował głęboką

ciszę która opadała w nim jak bezmiar natchnienia. Tam, na samem dnie, było wszystko jasne, świadome, dojrzałe, myśli które ogarną wszechświat, słowa które rozstrzygną wszelką zawiłość, a chociaż ani jedna myśl, ani jedno słowo nie wynikło na powierzchnię, Teofil czuł się w posiadaniu nieobjętych skarbów ducha.

W jadalni znów było gwarno. Fajtowie wywąchali gdzieś butelkę wina i rozpoczęli pijatykę. Kieliszek szedł kolejką, pijącego poganiano śpiewem: „Glo-glo-glo glorija, jak sem to winecko wypija. A wypiwszi otrij bradu, podaj swemu kameradu"... Panny krztusiły się i śmiały piskliwym, rozdrażnionym śmiechem, jakby je łechtano. Teofil nasłuchiwał czy posłyszy również głos i śmiech Aliny. Lecz ona właśnie przemknęła szybko z jadalni do salonu. Gorąca fala uniosła się w nim, opadła, poczuł łzy pod powiekami. A więc to było to co szło ku niemu z krańca długiej alei, to co płynęło ku niemu łódką po rzece, między szuwarami i opadającemi nad wodą gałęźmi wierzb, to co nań czekało na ławkach pod rozkwitłemi kasztanami, to co umykało brzegiem nieznanego morza, nie zostawiając śladów na piasku? Niczem nie uchybiało najtkliwszym marzeniom, ale było niewymownie trudniejsze od snu.

Trzeba było jednak wyjść z ukrycia, gdyż w salonie zaczęto się ruszać. Towarzystwo od preferansa wstało najpierw. Radca Bieniek przeciągnął się i ziewnął:

— Już pierwsza — rzekł, spojrzawszy na zegarek.

— Ależ jutro niedziela — uspokajał Grodzicki.

Grodzicka również zatrzymywała gości, proponując wino, ciasta, herbatę, albo żeby coś odegrzać. Teofil widział, jak coraz więcej smutku przybywało w jej oczach, gdy się z nią żegnano. Rozumiał ją, albowiem czuł to samo co ona: bał się tej nagłej pustki, która obejmie mieszkanie po wyjściu tylu ludzi, gdy w pokojach zostanie dym z papierosów, zapach tortów rożkrojonych, plamy wina na obrusie, niedopałki na podłodze. Bał się również pożegnania z Aliną i gdy nadszedł ten moment, cofnął się jeszcze o krok, aby stanąć poza obrębem światła lampy, którą ojciec niósł w ręce, wyprowadzając gości. Uścisk ich dłoni był krótki i słaby, lecz Alina spojrzała mu prosto w oczy, zanim zdążył nakryć je powiekami, i ten jeden błysk w niewymier-

nej części sekundy odarł go z ciała, ziemi, przestrzeni, czasu, pozbawił wszystkich praw kosmosu, aby go porwać jak atom zbłąkany w zawieruchę niewylęgłych światów.

V.

Dyrektor Zubrzycki chodził niespokojnie po swym gabinecie. W ciągu tygodnia spadły nań trzy ciosy. Biskup, który w zeszłym roku prowadził rekolekcje wielkanocne, obiecał się w innym zakładzie, „złotousty" kanonik Paliwoda wyjechał, a pierwszy katecheta gimnazjum, ks. Grozd, przysłał list zawiadamiający o chorobie. Ten właśnie list najbardziej go zaniepokoił. Co chwila wracał do biurka, aby mu się jeszcze raz przyjrzeć. Nie było wątpliwości: tak nie pisze człowiek, który leży w łóżku. Ale czyż trzeba aż leżeć, aby nie być zdolnym do godzinnych przemówień? Influenza — to zrozumiałe w taki czas. Dyrektor od rana patrzył w okno i zależnie od chmur lub słońca zmieniał zdanie. „Coś w tem musi być!" — „A może należałoby go odwiedzić? Nie, w każdym razie nie zaraz, jeszczeby pomyślał, że go śledzę."

Ksiądz Grozd uczynił z tego prostodusznego matematyka dyplomatę. Zjawił się w drugim roku jego rządów i odrazu powikłał je w sposób niezwykle kunsztowny. Dyrektor spostrzegł, że obok jego władzy jest inna, ukryta i milcząca, ale bardzo stanowcza. To odkrycie najpierw go rozgniewało, potem zatrwożyło; było to tak jakby kapitan okrętu wpadł na trop, że ktoś z załogi wysyła poza jego wiedzą sygnały i jest w kontakcie z ludźmi od których on zależy. Ks. Grozd nawet postarał się dopomóc jego domyślności, zapowiadając nikomu jeszcze nieznane rozporządzenia wyższych władz, jakby był obdarzony duchem proroczym. Od tej pory dyrektor, z natury szczery i hałaśliwy, stał się ostrożny i skryty. W niewielu sprawach pozwalał sobie na szybką decyzję, nawet zupełnie błahe podglądał ze wszystkich stron, czy nie kryją w sobie zasadzki. To go wyczerpywało do tego stopnia, że zrobił dokładne obliczenie, ile jeszcze dni dzieli go od emerytury i kładąc się spać, po nakręceniu zegarka a przed zdmuchnięciem lampy, z ulgą odejmował skończony dzień od czterocyfrowej liczby, którą miał zapisaną w pamięci.

Zmęczony chodzeniem, usiadł i zapalił cygaro. Wielki kłąb dymu, wciągnięty w płuca, orzeźwił go i podniecił. Było nonsensem upatrywać związek między odmową biskupa i kanonika a chorobą księdza Grozda. To niewątpliwie przykry zbieg okoliczności, nic więcej. Jeśli ksiądz nie wyzdrowieje do soboty, pójdzie go odwiedzić. Nie wcześniej. A rekolekcje muszą się odbyć we właściwym czasie, — na to niema rady. Przysunął od rana otwartą grubą księgę, o bardzo już zużytej okładce płóciennej, w której od ćwierćwiecza dyrektorowie wpisywali swe kurendy i gdzie kształt liter zmieniał się warstwami jak w średniowiecznych kronikach klasztornych. Jego własne pismo miało tam bezmała dwa tuziny kart, które świadczyły o stopniowym upadku ducha. Z kształtnych, dużych liter przeszedł nieznacznie wciągu kilku lat do niemal drobnych, odskakujących od siebie i pełnych zawijasów. Wystylizowawszy zarządzenie o rekolekcjach, podpisał się, a biorąc rozmach od ostatniej litery pociągnął długą linję, która zwinęła się pod nazwiskiem jak ogon lisi.

Zadzwonił.

— Roznieście to, Michale, po klasach i powiedzcie księdzu katechecie, żeby był łaskaw przyjść do mnie po godzinie.

— Ksiądz katecheta jest w sali konferencyjnej, proszę pana dyrektora — rzekł tercjan.

— No, to prosić.

Ksiądz Skromny, drugi katecheta gimnazjum, miał wolną godzinę i spędzał ją, jak zwykle, nie w sali konferencyjnej, lecz w przyległym pokoiku, który służył za skład map i globusów. Siedział pod oknem i jadł kajzerkę, zasłaniając sobie usta ręką. Na kolanach miał rozłożony papier na okruszynki — „Colligite fragmenta ne pereant“ — idąc do domu wysypywał je wróblom na ulicy. Starszy tercjan uchylił drzwi i krzyknął:

— Proszę księdza, pan dyrektor czeka na księdza katechetę.

Starszy tercjan gardził księdzem, który żywił się suchą bułką, kupioną w w sklepiku. Jego żona bowiem prowadziła bufet w gimnazjum, gdzie można było dostać masło, szynkę, kiełbaski, szklankę mleka lub herbaty, nie mówiąc o słodyczach. Z ciała profesorskiego jeden tylko ksiądz Skromny opierał się pokusom tych ciepłych woni, które podczas wielkiej pauzy niosły się na cały gmach od stołów pani Motykowej, ustawionych w hallu.

Krzyknąwszy swoje, tercjan znikł za drzwiami, zanim ksiądz zdążył przemówić.

Ksiądz Skromny zawinął razem z okruszynami kawałek niedojedzonej bułki i schował w tylnej kieszeni sutanny.

Nigdy nazwisko trafniej nie zespoliło się z człowiekiem. Tak małego wzrostu, że od V klasy nie było ucznia, na którego mógłby patrzeć zgóry i tak tłusty, że nie potrafiłby zacisnąć dłoni w pięść, gdyby mu przyszła ochota grozić komuś, uwijał się po korytarzach jak bąk, świecąc zdaleka starą wytartą sutanną, wiecznie w poszukiwaniu kilku naraz profesorów, aby żebrać u nich pobłażliwości dla upadłych uczniów. Los powołał go na orędownika wszystkich którym groziła dwója i na przemycanie pytań dla maturzystów. Pełnił to przeznaczenie z wielkiem bohaterstwem, albowiem profesorów bał się jak uczeń, nieśmiało podawał im swą drobną pulchną rękę, miał chwilę wahania, zanim po przywitaniu spowrotem włożył kapelusz. Swój własny przedmiot całkowicie wyłączał z zasadzek klasyfikacji; pisał każdemu najwyższą notę, głęboko przekonany że skrzywdziłby katolickie dziecko, posądzając je o niedoskonałość w religji. W tem jednem był niezachwiany i głuchy na cierpkie uwagi podczas konferencji, gdy z anielskim spokojem kładł „bardzo dobry“ na czele świadectwa, w którem wszystko inne było niedostateczne.

Z bijącem sercem wszedł do gabinetu dyrektora.

— Proszę, proszę... — mówił Zubrzycki, podniósłszy się zlekka, aby go powitać.

Ksiądz usiadł na brzeżku, gdyż wszystkie krzesła były dlań za wysokie i jego krótkie nogi musiałyby zawisnąć w powietrzu.

— Mamy w tym roku kłopot — zaczął dyrektor.

Urwał i podniósłszy do ust cygaro, patrzył spod zmrużonych powiek na księdza, tknięty nagłą myślą, że może i ten należy do konspiracji. Ale poprzez dym spoglądała ku niemu para piwnych oczu tak szczerze zaniepokojonych, że miał chęć uściskać to stare dziecko, tę gomółkę ludzką, ulepioną z samej dobroci.

— Mamy w tym roku kłopot — powtórzył. I, opowiedziawszy o biskupie i kanoniku, dodał: — Cóż robić! trzeba własnemi siłami urządzić rekolekcje.

— A tu ksiądz Grozd chory! — zmartwił się katecheta.

— A ksiądz skąd wie o tem? — dyrektor pochylił się ku niemu przez biurko.

— Zastępowałem go dzisiaj w V c.

— Z czyjego polecenia?

— Pan profesor Majewski, gospodarz klasy... — szepnął ksiądz.

— A, tak. Dobrze. (Zubrzycki przypomniał sobie, że mówił już o tem z Majewskim).

— No, więc liczę na księdza — dyrektor wstał.

Ksiądz Skromny wstał również, wskazujący palec przytknął do piersi:

— Jakto, panie dyrektorze?

— Niema rady. Rekolekcje zaczynają się we czwartek, już rozpisałem. Będzie ksiądz miał czas przygotować się przez dziś i jutro. Mogę nawet księdza zwolnić z godzin, jeśli to potrzebne.

I podał mu rękę. Ksiądz Skromny przetoczył się do drzwi, zgarbiony i jeszcze mniejszy niż zwykle.

— A to pech — szepnął dyrektor, patrząc na znikającą w drzwiach starą wytartą sutannę.

Ks. Skromny był w rozpaczy. Corocznie, w największym podziwie, słuchał kaznodziejów, którzy wstrząsającą wymową opowiadali symboliczną tragedję chrześcijaństwa. Ich słowa i gesty rozpinały sklepienie katedry ponad aulą gimnazjalną. Ale nie miał pamięci do pięknych zwrotów i napróżno starał się cośkolwiek z nich przypomnieć. Czytał więc tylko ewangelje do późnej nocy, aż mu oczy zachodziły łzami, zarówno ze zmęczenia jak i z prawdziwego bólu, który zawsze wzbudzał w nim opis męki i śmierci Pańskiej. We czwartek rano przyszedł do szkoły w swej nowej rewerendzie, która od trzech lat służyła mu na wyjątkowe uroczystości. Tercjan skierował go do sali gimnastycznej, gdyż w auli naprawiano podłogę.

Niezwykłość miejsca wprawiła młodzież w szał. Katecheta zastał ją wśród najdzikszej swawoli. Na drabinach, trapezach, rekach, linach nie było ani cala wolnej przestrzeni; wszystko było oblepione ciałami, które bujały się, pięły wgórę, schodziły wdół spychając się wzajemnie. Z podłogi podnosił się kurz, w którym tarzały się pary zapaśników. Piekielny hałas nie pozwalał słyszeć własnego głosu. Ksiądz stanął przezornie na progu szatni, w słusznej obawie, że jeśliby zrobił jeden krok, nicby go już nie wybawiło z zamętu. Dopiero z nadejściem paru profesorów zapanował

ład, ale nie odrazu, zwłaszcza jakiś mikrus z pierwszej klasy, który siedział pod samym pułapem i nie wiedział co się dzieje, hałasował okropnie, aż, zatrwożony nagłą ciszą, omal nie spadł z wysokości piętra.

Tak ks. Skromny zaczął swe pierwsze rekolekcje. Nie przygotowano mu stołu, ani pulpitu, ani nawet krzesła; stał więc mały, gruby i śmieszny przed zbitemi szeregami kilkuset chłopców, od których oddzielało go parę kroków wolnej przestrzeni, a tuż nad nim wisiał trapez i jeszcze kołysał się po kimś, kto zeń zeskoczył. Nieodparcie narzucała się myśl, że to sam ksiądz czepiał się trapezu, albo jakby to wyglądało, gdyby podniósł nagle swe krótkie ręce i starał się wzbić wgórę, aby pochwycić chwiejący się drążek. Katecheta znacznie potęgował komizm sytuacji, ilekroć spojrzał wgórę, bo wydawało się wtedy, że i jego myśli zaprząta ów kuszący przyrząd gimnastyczny.

Zapowiadała się kamienna nuda, obostrzona bólem nóg od stania. W szeregach, do których należał Teofil, co chwila odzywały się szepty i śmiechy. Ale raz po raz uderzało weń imię Chrystusa i szerzyło popłoch, aby jednak przemóc się i rozumieć. Wyplątał się ostrożnie ze swej gromady i stanął przy ścianie, mając za towarzysza Kościuka, który, wyciągnąwszy szyję, słuchał z otwartemi ustami. Syn chłopa dokładnie wiedział, ile ojca kosztuje jego nauka, poczuwał się więc w obowiązku nic z niej nie uronić, zresztą sprawiało mu przyjemność, że słyszy w tych murach coś co można rozumieć bez wysiłku.

Ks. Skromny opowiadał ostatni tydzień Zbawiciela niemal słowami ewangelistów wtrącając tu i owdzie nieśmiały komentarz. Teofil słuchał go w zadumie. Było to dla niego nowe przez swą prostotę. Przywykł bowiem do rekolekcji, które były nauką moralności i patrjotyzmu i gdzie głos ewangelji mieszał się z cytatami poetów. Wiedziało się, że w ostatnim dniu będzie mowa o zmartwychwstaniu Polski i czekało się na to niecierpliwie jak na wielką arję, która sprawiała zawsze głębokie wrażenie. Ale sam Chrystus zacierał się w pamięci i w roztargnieniu można go było wziąć za metaforę. Tu zaś był obecny w każdem słowie, każde zdanie jakby go przysparzało, tak wszystko było szczegółowe i niemal naoczne. Żaden z prostaczków ewangelicznych nie opowiadałby inaczej. Ks. Skromny nie kusił się o plastykę, był nawet zagmatwany w swej trosce by nie ominąć lada drobiazgu, co

miało jednak ten skutek, że widziało się mnóstwo wzruszających rzeczy jak przy oglądaniu starych rycin.

Teofil stracił naiwność wiary z postępem nauki religji, która w tym roku przeszła do dogmatów i stała się abstrakcyjna. Wykłady ks. Grozda sproszkowały Pismo św. na niezliczoną ilość cytatów, które miał wypisane na karteczkach. Archiwum tych karteczek, wciąż uzupełniane, było chlubą i mieściło się w osobnej skrzynce, z kilku rzędami przegródek, którą dał zrobić w Spółce Stolarskiej, według własnego rysunku. Każdą przegródkę wypełniała jakaś kwestja dogmatyczna z pewną ilością karteczek, ponumerowanych w porządku chronologicznym, od Księgi Rodzaju do Apokalipsy św. Jana. Z tej apteczki duchownej ks. Grozd wybierał na każdą lekcję stosowną porcję i wkładał ją do portfelu z pięknie wytłaczanej skóry z wizerunkiem bazyliki św. Piotra, który przywiózł mu z Rzymu profesor Majewski. Skoro katecheta wyjął z kieszeni portfel, w klasie podnosił się szelest zeszytów, szukano na gwałt ołówków, bo można było na wiele sobie pozwolić, ale nie na ominięcie któregoś z cytatów.

Okazało się w tym roku, że wiara nie jest rzeczą łatwą. Wszystko co było dotychczas proste i takie, że niepodobna sobie wyobrazić inaczej, wybujało w niezwykłe zawiłości. Teofil gorąco się zaniepokoił, gdy w pewien wrześniowy ranek ks. Grozd zaczął wykład o istnieniu Boga w taki sposób, jakby to była myśl, po którą dopiero należało się trudzić. Przez kilka lekcyj trzy święte głoski wisiały na wątpliwościach, ku przerażeniu Teofila, póki nie spostrzegł, że owe wątpliwości są wątłe jak nitki pajęcze, które snuły się za oknem. Odtąd lekceważył niebezpieczeństwa, zagrażające nieśmiertelności duszy, aniołom lub nauce o objawieniu, pewny, że ks. Grozd zdoła je ocalić z pomocą podręcznika dogmatyki i swego pięknego portfelu. Znalazł natomiast upodobanie w tajemnicach wiary, których komplikacje dawały mu poczucie wyższości. Przygotowując lekcje, prosił matkę by uważała czy dobrze powtarza wyuczony ustęp. Pani Grodzicka patrzyła w książkę i nie pozwalała na żadne zmiany tekstu, który ją oszałamiał.

— Pokładam ufność w Bogu — mówiła — że, jeśli umrę zaopatrzona św. Sakramentami, przyjmie mnie do siebie, chociaż nic z tego nie rozumiem.

Wzdychała, a Teofil gryzł się, że nie może matki obdzielić

swojem bogactwem. Wydawało mu się ono bez porównania więk- sze niż było w istocie, jeśli zważyć, że składało się z samych słów. Bardzo niewiele z nich przeniknęło weń naprawdę, reszta osiadła na powierzchni duszy, okrywając ją suchą frazeologiczną skoru- pą. Razem z ostatniemi liśćmi jesieni odszedł od niego Bóg w po- staci siwobrodego ogrodnika i zostawił go sam na sam z Istotą, złożoną z kilkunastu przymiotników w superlatywie; a w pierw- szych dniach marca Chrystus o białem czole i ciemnych włosach spadających na ramiona wypłowiał w niejasne widmo poza trze- ma stronicami „Dogmatyki", które objaśniały znaczenie dwóch natur, boskiej i ludzkiej, w osobie Zbawiciela.

Ks. Skromny przywrócił mu wiarę w absolutną rzeczywistość zdarzeń opowiedzianych w ewangelji. Słuchając go, Teofil odna- lazł w pamięci wszystkie kartki swej kolorowej biblji, które czas dawno rozmiótł. Razem z niemi powrócił serdeczny ton tych ja- kichś wieczornych godzin czy niedzielnych południ, wszystkich momentów ciszy i samotności, kiedy, pochylony nad obrazkiem, wysączał do dna jego barwną treść w najgłębszem upojeniu. Ko- lor szat, załamania fałdów, kształt sprzętów, układ piór w skrzy- dłach anioła schodzącego po smudze światła do Oliwnego Ogrój- ca, blask i dym pochodni strażników arcykapłana, ilość stopni podwyższenia na którem siedział Piłat, nawet liczba liści jedyne- go drzewa na zboczu Golgoty — to wszystko nawiedziło go zno- wu, świeże i wyraziste. Ileż snów, ileż widzeń przywarło do tych szczegółów, aby je pomnożyć! ileż tkliwości nagromadziło się w ich rozpamiętywaniu! Teofil nie był już skłonny do płaczu nad biczowaniem, ciernistą koroną i krzyżem, ale łzy które kiedyś im poświęcił pozostawiły trwały ślad. Droga Chrystusa, od triumfu jerozolimskiego do Golgoty, przeszła przez jego życie, gdy było ono jeszcze puste i gdy wszystko odciskało się w niem jak ślady stóp na niezamieszkałej ziemi.

Po egzorcie była msza, podczas której Teofil trwał w żarliwej modlitwie. Wyszedłszy z kościoła, doświadczał tej samej chwili wahania, która chłopców zbierała w niezdecydowane gromady. Sta- li na wysokiej szkarpie i patrzyli wdół, na ulicę Leona Sapiehy, na przejeżdżające tramwaje, na robotników uprzątających resztki śnie- gu, który przetopił się w grudy czarnego błota. W chłodnem po- wietrzu wyczuwało się prądy ciepła, które niosły zapach wilgotnej ziemi, szorstki powierzchu i gorzki, a na spodzie lepki i mdły, odu-

rzająca w swej szczerej prostocie opowieść przedwiośnia o pączkach nabrzmiewających w kwaśnych sokach i o życiodajnej zgniliźnie wszystkiego, co się rozpada i butwieje. Chłopcy rozpinali zimowe płaszcze, mrużyli oczy pod blaskiem słońca, odbijającego się na szynach, w kałużach, po brzegach dachów, ten niedokarmiony dzień nużył ich lenistwem i sennością, wreszcie rozłazili się w różne strony. Teofil szedł z Kościukiem, który prawie nic nie mówił, stawiając długie kroki swemi ciężkiemi podkutemi butami. Ale nawet i ten towarzysz stawał się uciążliwy i Teofil porzucał go pod najbłahszym pretekstem, aby samemu włóczyć się po ulicach z niedorzeczną nadzieją, że uda mu się spotkać Alinę. W najdziwniejszy sposób przechodził po tych samych włóknach melancholji od religijnego wzruszenia do swej pisklęcej zatrwożonej miłości.

Ks. Grozd wyzdrowiał do soboty, aby być obecnym przy spowiedzi. Zdawało się, że uczynił to na usilne prośby dyrektora, który odwiedził go w piątek, w istocie jednak nie miał wcale zamiaru uchylić się od obowiązku, wynagradzającego go pewną ilością szczegółów z życia uczniów i szkoły. Niestety, były to rzeczy drobne, gdyż cieszył się zaufaniem tylko niższych klas, w których sam nie uczył. Starsi studenci omijali go zdaleka. Kierowała nimi tradycja, którą może zrodził instynkt a może jakiś określony wypadek czy choćby niejasne podejrzenie z dawnych lat. Teofil postąpił jak inni i ukląkł przy konfesjonale ks. Skromnego, wybrawszy sobie prawą stronę, gdzie było trochę jaśniej. Miał, jak zwykle, grzechy wypisane na karteczce, w porządku przykazań, które przekroczył.

Ale siódme przykazanie odłożył na koniec i nawet w całości go nie opracował. Pozostawił natchnieniu doraźnych słów sprawę Aliny. Nie umiał ich teraz znaleźć, ksiądz, nie wiedząc czy skończył, zapytał:

— Czy masz coś jeszcze?

— Tak. Pocałowałem jedną pannę.

— W jaki sposób?

— Podczas zabawy.

— Mówiłeś już o tem.

— Nie, to było co innego. Tę pocałowałem z myślą, że... z myślą, że ją kocham. I myślałem o niej potem cały czas.

— Czy widzieliście się znowu?

— Nie, ale jej szukałem po mieście i chciałem do niej pójść, i bardzo mi smutno...

Poczuł łzy na rzęsach.

— Moje dziecko... — szepnął katecheta.

Miał gotowe słowa o tem, że za młody, że powinien myśleć o nauce, że Bóg sam zaopiekuje się jego sercem, jeśli jest szczere i niewinne, ale oświecony iskierką świętości, którą w sobie posia=dał, nie powiedział nic więcej, przeżegnał go i wymówił formułę rozgrzeszenia. Teofil, dygocąc od wzruszenia, jakiem go przejęła ta olbrzymia cisza, czekał na pokutę.

— W twoich przewinieniach — rzekł ksiądz — za pokutę star=czy modlitwa. Sam będziesz wiedział, ile jesteś winien Bogu.

W kościele nie było już nikogo ze studentów, gdy Teofil pod=niósł się z klęczek przed głównym ołtarzem. Zanim wrócił do do=mu, przeszedł przez ogród Jezuicki i w ustronnej alei, zdaleka od latarń, podarł na najdrobniejsze cząsteczki kartkę z grzechami, po=czem wyjął małą łopatkę, która mu ocalała z dziecinnych zabawek, wykopał jamkę pod krzakiem bzu i ukrył w niej tę garść papiero=wego pyłu. Zawsze tak robił, nie wiedząc, czy robi to z obawy, by ktoś nie odczytał jego grzechów, czy przez niejasne poczucie, że, oddając na zgnicie w ziemi swój rachunek sumienia, pozbywa się zła z własnej duszy.

VI.

W Wielką Sobotę radca Grodzicki wyszedł z synem na Boże Groby. Teofil zamiast płaszcza wziął pelerynę, aby ukryć książkę, którą chciał zmienić w wypożyczalni. Była to „Stara Baśń“, o któ=rej myślał z rozrzewnieniem i jakby z wdzięcznością za ciepły kolo=ryt niedościgłej przeszłości polskiej, za szum wielkich lasów, za=pach miodu i ogromnych ilości „mięsiwa“; samo to słowo budziło w nim głód i kazało myśleć o wybornej domowej wędlinie, której smak już przeczuwał.

Mógł znów korzystać z wypożyczalni, gdyż na ostatniej kon=ferencji okazał wyraźną poprawę, ale wolał unikać tego tematu w rozmowach z ojcem. Radca nie był zresztą w najlepszym humo=rze. Zamiast obiadu dostał śledzia, parę pieczonych kartofli, suro=wej kapusty z oliwą i szklankę herbaty. Umartwiwszy w ten spo=

sób ciało, rozdrażnił duszę, której równowaga była ściśle związana z talerzem zupy, kawałkiem mięsa i stosowną porcją leguminy.

— Twoja matka — odezwał się, gdy wyszli na ulicę — nie rozumie świąt bez wielkich wydatków. Niema to żadnego sensu, jeśli się już miesiąc temu sprawiało tak huczne przyjęcie. Żyjemy nad stan. Wszyscy w tym kraju żyją nad stan. Tylko de publico bono nikt nie myśli. Ot, weź na przykład. „Słowo Polskie“ ogłosiło, żeby zamiast win i wódek na święta składać datki na T. S. L. Warto przeczytać listę składek. Ks. Sapieżyna — 2 korony, ks. Lubomirska — 5 koron. To wstyd. Ale dobrze, że to jest wydrukowane, może przyjdzie czas, że to im się przypomni.

— Na tych ludzi nigdy nie można liczyć, to są cudzoziemcy w narodzie — rzekł Teofil i aż się zawstydził tego poważnego zdania, a chrząknięcie ojca, które wziął za pochwałę, rozszerzyło w nim błogie ciepło.

Ale radca, który unikał zbyt ostrych wniosków, nie przyznał mu słuszności.

— To prawda, że dziś są tytuły książęce, ale dusz książęcych już niema — rzekł, — trzeba jednak rachunek robić w całości. Ks. Sapieżyna dała tylko dwie korony, ale może jej ojciec dał połowę majątku, albo i własną krew. Bardzo wątpię, czy o naszej rodzinie dałoby się coś takiego powiedzieć. Ojczyzna to straszna rzecz, rozumie się w tych warunkach, w jakich żyjemy.

Teofil zdumiał się, posłyszawszy słowa, których nie oczekiwał, ale już wchodzlii do kościoła Marji Magdaleny, a gdy spowrotem przecisnęli się przez tłum i znów znaleźli się na ulicy, nie miał odwagi odnowić tego tematu. Ojciec przybrał swój zwyczajny dobroduszny wygląd, cieszył się gwarną ulicą, mówił o rzeczach potocznych. U Jezuitów i Bernardynów panował ścisk jeszcze większy, radca uważnie rozpatrywał wszystkie szczegóły, porównywując je z poprzednim rokiem, zatrzymywał się przy stolikach kwestarskich, czytał ich napisy, tu i ówdzie rzucał na tace dziesięciohalerzówki, których znaczny zapas sobie przygotował.

Z nadciągającym zmierzchem Teofil zaczął się niecierpliwić, w obawie, że mu zamkną wypożyczalnię. Liczył jednak, że uda mu się zgubić w tłumie, który już oblegał katedrę, czekając na rezurekcję. Nawprost księgarni Gabrynowicza stał oddział żołnierzy z karabinami przy nodze. To apostolski monarcha wysłał cząstkę swoich sił zbrojnych, aby uczcić Zmartwychwstanie Pańskie. Uczy=

nił jeszcze więcej: przysłał pół tuzina generałów, których błękitne płaszcze i jasnozielone pióropusze wyłoniły się z ulicy Halickiej, powodując wielki napór tłumu. Teofila zepchnięto, a że nie opierał się, wyniosło go aż na plac św. Ducha. Był wolny, lecz, zanim odszedł, wspiął się jeszcze na palcach i dostrzegł ojca, który rozglądał się zatroskany, ze wzruszającą zmarszczką nad nosem. Z uczuciem popełnionej niegodziwości Teofil ruszył w swoją drogę.

Skręcając ku Akademickiej, posłyszał huk salwy. Prawie jednocześnie uderzyły dzwony. Teofila przebiegł dreszcz. „I słyszałem jako głos wielkich gromów mówiących: Alleluja!" — przypomniały mu się niewiadomo skąd słowa Apokalipsy. Dzwony biły; dwa po dwa i trzy po trzy, i parły na siebie, i znów się rozchodziły; pod ciemniejącem niebem kłębiły się chmury spiżowego głosu, i raz po raz silniejsze uderzenie spadło jak ciężka kropla płynnego metalu. Zaczął biec jakby uciekał przed burzą.

Drzwi wypożyczalni były już zamknięte.

— Nie szarp tak, bo urwiesz klamkę.

Jurkin, kolega starszy o jedną klasę, wyłonił się z klatki schodowej.

— Jeśli nas nie wpuszczą, możemy się zamienić. Co tam masz?

Teofil zawstydził się „Starej Baśni". Tak samoby się zawstydził, gdyby miał Platona pod pachą. Jurkin zawsze go onieśmielał. Nie mógł sprostać jego bystrym zuchwałym oczom, jego śmiechowi, jego czapce, najwyższej na jaką mógł sobie ktokolwiek pozwolić we wszystkich c. k. gimnazjach, jego bluzie, która była nie granatowa, ale czarna. Jurkin z politowaniem pokiwał głową nad pożółkłą i zabrudzoną kartą tytułową „Starej Baśni":

— Lubię tę książkę, przypomina mi wczesne dzieciństwo.

Teofil nie stawiał oporu.

— A ty co masz? — zapytał.

— Coś zabawnego. Radzę ci, weź to. W sam raz lektura wielkanocna.

Był to „Żywot Jezusa" Renana. Teofil stropił się. Coś nieświadomie ubodło go w tej książce, może sam tytuł, w którym święte imię było tak ogołocone z czci, a może poprostu, że to właśnie Jurkin mu ją zalecał. Ten zaś patrzył nań z szyderczem zadowoleniem:

— Nie bój się, stary, można to przeczytać i żyć jeszcze dwa tygodnie. Ale nie traćmy czasu.

I poprowadził go ciemnym korytarzem, gdzie znał jakieś tajemne wejście. Otworzyła im drzwi jedna z panien, wydających książki, z którą Jurkin bardzo zgrabnie się przywitał.

— Wiele tracisz, mój Grodzicki — szepnął, gdy znaleźli się przy katalogu — że nie chodzisz na ślizgawkę...

Teofil tymczasem wziął książkę, zwróconą przez Jurkina i jakby bezwolnie podał jej numer starej chudej damie, która zapisywała pożyczone książki. Kolega spostrzegłszy to, uśmiechnął się i skinął mu ręką na pożegnanie.

Nie śpiesząc się do domu, zawędrował aż na ulicę Mickiewicza i tu dopiero uświadomił sobie, że zdąży na rezurekcję w kościele św. Elżbiety. Wziął to za widomy objaw łaski uczynkowej, za tę nadprzyrodzoną wewnętrzną pomoc bożą, bez której nic zasługującego na niebo uczynić nie możemy. „Gdybym — myślał — był został z ojcem przy katedrze, spełniłbym swój obowiązek, nałożywszy sobie przymus. Byłby to uczynek chwalebny, ale nie byłoby w tem łaski, którą teraz czuję w sobie, i ten uczynek nie miałby wartości na niebo“. Nigdy dogmatyka nie przemówiła doń dobitniej. Nawet porównanie, użyte w podręczniku, że łaska uczynkowa jest „jak światło ,zapalone na chwilę w naszej duszy“, zgadzało się nieomylnie z tym stanem nagłego rozjaśnienia, który stworzyła w nim myśl o rezurekcji.

Był już ciemny wieczór. O parę kroków przed Teofilem latarnik niósł błękitny płomyk na swym długim kiju i zapalał światła gazowe, które wybuchały z nagłem krótkiem parsknięciem. Nieinaczej zapewne wyglądał latarnik z jakichś dawniejszych czasów, z epoki lamp naftowych, z której jeszcze nie wyszła ta ulica Szeptyckich, mroczna jak wąwóz. Jezdnia leżała w głębokich warstwach błota, które w jednem miejscu przecinała ścieżka, wydeptana wzdłuż smugi światła, padającego zza oszklonych drzwi szynku narożnego. Ale oto już plac i kościół, bijący w dzwony!

Gotycki gmach błyszczał światłem wszystkich okien, od największych do najmniejszych, tu i ówdzie otwierały się jakby małe szczeliny, przez które szło trochę żółtego blasku, lecz w górze panował mrok, ginęły w nim zarysy dachu, a wieża wyróżniała się jak coś ciemniejszego od samego nieba. Ciągnąca procesja niosła świece, wzruszające, ufne, migotliwe płomyki. Szła ze śpiewem,

opowiadającym o Zmartwychwstaniu, i kiedy znikła po drugiej stronie kościoła, został po niej oddalający się śpiew, jakby ci ludzie dookoła błyszczącego baldachimu, z chorągwiami swojego tryumfu, ruszyli na wyprawę wgłąb nocy, aby wszędzie po drodze zapowiadać nieunikniony świt.

Jeszcze nigdy tak silnie do Teofila nie przemówiły wszystkie czary kultu, w którym się urodził i wychował. Nie ruszał się z miejsca, póki procesja nie wróciła do kościoła, w srebrnej rosie dzwonków i w dymach kadzideł. Dopiero w ulicy Leona Sapiehy, pod Politechniką, opuściły go dzwony kościoła św. Elżbiety, które nagle umilkły, lecz znów gdzieś z głębi miasta odezwały się inne; niebo wciąż jeszcze modliło się spiżem.

Wszedł przez kuchnię, całą w ogniu i oparach. Matka stała przy kotle, w którym gotowała się szynka.

— Chrystus zmartwychwstał!

Na głos syna pani Grodzicka obejrzała się, wytarła ręce w fartuch:

— Zaprawdę zmartwychwstał — rzekła i pocałowała go w czoło.

Służąca odstawiła garnek, który myła i błyszczącemi od wody palcami przeżegnała się:

— Zaiste zmartwychwstał — szepnęła.

Ojca zastał w swoim pokoju przy nalewaniu nafty do lampy. Robił to z wielkiem skupieniem, nie spuszczając oka ze srebrzystej strugi, która płynęła z blaszanej bańki. Dopiero kiedy spowrotem zakręcił knot, odezwał się:

— Gdzieżeś to uciekł, urwisie?

Ale ze słów Teofila wynikało, że to ojciec zgubił się w tłumie czy nawet porzucił syna, który przykładnie i z poświęceniem trwał przed katedrą, dopóki nie został nikt oprócz żebraków. Pod koniec wymówek wspiął się na palce i pocałował ojca w fałdę tłuszczu na karku, co dało mu sposobność do zręcznego wsunięcia książki z wypożyczalni między zeszyty i podręczniki, leżące na półce. Był najgłębiej przekonany, że dla tego rodzaju lektury ojciec nie szafowałby naftą i nie wycierał tak starannie knota.

— Nie mam ochoty ci przeczyć — mówił radca — ale aż do tej pory myślałem, że postąpiłeś tak jak wtedy w Lubieniu, pamiętasz?

Ta sromota miała już chyba z dziesięć lat, ale wspominało się ją niekiedy dla przykładu i skarcenia. Ojciec prosił go wówczas,

by mu towarzyszył na dworzec po matkę. Teofil zgodził się, ale za cenę czekolady. Otrzymawszy jednak czekoladę, po stu krokach powiedział, że go nogi bolą i wrócił do domu, gdzie miał psa do zabawy. To był w istocie haniebny uczynek i Teofil czuł się zmuszony raz jeszcze przeprosić ojca. Zrobił to tem chętniej, że ojciec położył mu rękę na ramieniu i patrzył mu w oczy ze swą nieporównaną dobrocią.

Zdecydował się wyjąć z ukrycia swą książkę nie pierwej aż posłyszał w pokoju ojca szelest rozkładanej gazety. Bardzo dokładnie przyjrzał się karcie tytułowej i znów doznał tego samego co wprzódy uczucia niechęci. Obydwa nazwiska, autora i tłumacza, Renana i Niemojewskiego, były mu nieznane. W parę minut przeczytał krótką przedmowę Niemojewskiego i ogarnął go niepokój. Nic się tam nie mówiło wyraźnie, ale w taki sposób, jakby to był dalszy ciąg namiętnego sporu. Teofilowi nasunął się następujący obraz: przez uchylone drzwi widać pokój cały zasnuty dymem tytoniowym, wie się, że jest tam kilku czy kilkunastu mężczyzn, dyskutujących zaciekle, słyszy się zwłaszcza gromki głos jednego z nich, który co chwila zmusza innych do milczenia.

„Polak dziś chce był wolnym we wszystkich kierunkach, a więc i w kierunku myśli"... Ale gdzież to zaprowadzili oni Naród Polski?".... „Ale czasy ciemnoty mijają".... Oto co wykrzykiwał ów głos za drzwiami. Teofil zmieszał się i tak samo, jak byłby się cofnął od tego skłóconego i niebezpiecznego pokoju, tak teraz odłożył książkę. Nie miał wątpliwości, że pozostaje ona w najgorszych stosunkach ze światem dzwonów, śpiewów i świec, z którego właśnie powrócił.

Nazajutrz w samo południe przyszedł ksiądz Marcinkowski, stary znajomy Grodzickich, który chrzcił Teofila i corocznie święcił im stół wielkanocny. Radca uściskał go i ucałował w ramię, gdyż naprawdę go lubił, a zarazem ksiądz otwierał mu dostęp do wybornych darów bożych, których już bardzo łaknął. Krzątał się koło niego, pomagał włożyć komżę, stułę, mrugnął na Teofila, żeby służył za ministranta. Chłopiec znał swoje powinności i spełniał je z ogromnem przejęciem. Stojąc obok księdza, nawprost okien, miał przed oczyma skrawek nieba, który pozwalał dojrzeć jeszcze bezlistne drzewa. Okna świeżo umyte, objęte białemi firankami, jakby rozszerzały dzień, dając mu jednocześnie osobliwą czystość.

Stół, nakryty białym obrusem, na swój sposób wyobrażał święto wiosenne. Czarodziejska rzeżucha, posiana na dużej butelce ,oklejonej szarą bibułą, wyrosła w rozwichrzony słup zieleni. Cztery wazoniki hijacyntów, białych, czerwonych, niebieskich i liljowych, mieszały swą wielkanocną woń z promieniem słońca, który przekradł się gdzieś ponad dachami, wszył się w górną szybę w pokoju ojca i przez uchylone drzwi dobiegł do kryształowej karafki z wodą święconą, załamując się w niej wielokrotną tęczą. Światło i zapach czyniły lekkim ten stół, który przedewszystkiem zdawał się być zbiorem kształtów i kolorów.

W rzeczywistości był aż nadmiernie ciężki od dostatku. Pośrodku, przedzielone hijacyntami, leżały dwa torty, orzechowy i prowanski, wyłaniające się z papierowych koronek, połyskujące szklistym lukrem, z wianuszkiem różnobarwnych kandyzowanych owoców powierzchu. Na jednym końcu zebrały się wędliny: szynka o różowym uśmiechu, kiełbasy zczerniałe od jałowcowego dymu, polędwica; na drugim dwie baby, przedstawicielki tuzina swojego rodu, który jeszcze w Wielki Piątek wyszedł z wysokich glinianych form.—jedna baba była nadkrojona, aby świadczyć o swej szlachetności złocistem jak miód wnętrzem. Jasna tafelka nugatu, przyodzianego w bladożółte andruty, i ciemny złom przekładańca symbolizowały inne gatunki ciast, dla których nie znalazło się miejsca. Tak samo symboliczna była butelka wina i karafka z niebieskiego szkła, napełniona wiśniową nalewką. A pomiędzy tych dostojników stołu, wciskało się pospólstwo świąteczne: baranek z cukru ze srebrnym dzwoneczkiem na czerwonej wstążce, kawałek chrzanu jak ostrugany kijek, kilka jaj ufarbowanych na niebiesko, czerwono i zielono, masło w szaroniebieskim kamiennym naczyńku, wreszcie na osobnym talerzyku jajka pokrajane i przeznaczone do składania życzeń.

Grodzicka nalała na miseczkę wody święconej, Teofil podał księdzu kropidło. Ksiądz podniósł okulary znad benedykcjonału i rozejrzał się po stole, aby zapamiętać jego treść, którą miał przyjąć do chwały łacińskiego języka. Wymieniał po kolei mięsa, jaja, ciasta, napoje i zanurzając w wodzie kropidło, strząsał na każdą rzecz parę kropel, jakby ją nietylko błogosławił, ale i chrził dostojniejszem imieniem. Dla niektórych nie znalałszy nazwy, objął je łaskawem: et caetera comestibilia, i raz jeszcze potrząsnął kropidłem:

— Per Christum Dominum nostrum.

— Amen — odpowiedział Teofil.

W godzinę później ksiądz Marcinkowski wyszedł, zabierając ze sobą spore pudło, w którem Grodzicka pomieściła wszystkiego potrosze, i ciast i wędlin. Radca, któremu ciężyła głowa po obfitem jedzeniu i po paru kieliszkach, poszedł spać, Grodzicka krzątała się jeszcze chwilę, ale wkrótce i w jej alkierzu dał się słyszeć trzask guzików i fiszbinów odpinanego gorsetu. W jakiś czas potem w kuchni ostrożnie skrzypnęły drzwi, to służąca wykradała się na miasto, zostawiając niedomyte naczynia. Teofil otworzył okno na ulicę, która była tak samo niema. Tylko od czasu do czasu wybuchał gdzieś zdaleka huk: to chłopcy uliczni strzelali z kalichloricum. Świat, nasycony modlitwą i święconem, ukołysany dzwonami, które biły przez cały ranek, trawił w spokoju dzień Zmartwychwstania. W takiej chwili Teofil wyruszył w drogę, z której powrócił zupełnie innym człowiekiem.

Tam, gdzie się teraz znalazł, panowała wiosna dojrzalsza i bardziej ciepła, niż ta, którą pozostawił za oknem swego pokoju. Winnice pięły się na wzgórza, wśród drzew oliwnych pasły się baranki, drogi kurzyły się białym pyłem, pod stopami wędrowców, szukających studni, przy których kobiety śmiały się i rozmawiały; słońce sunęło wzdłuż cichych dolin ku górom, których szczyty płonęły o zachodzie; przychodziły noce gwiaździste, łodzie rybackie wypływały bez szmeru na jezioro i opuszczały sieci w wodę, osrebrzoną księżycem.

Po raz pierwszy Teofil ujrzał krajobraz ewangeliczny, którego nikt mu dotychczas nie pokazał. Doznał nieomal tej samej rozkoszy, jaka towarzyszyła Renanowi przy pisaniu tych stronic w czarujące dni letnie, na stokach Libanu, skąd widać było Sareptę, Hermon, Karmel, góry plemienia Dan, w orszaku upajających godzin egzaltacji i natchnienia. Ogarnęła go niewysłowiona świeżość, biegł rozdziałami jak łąką, póki nie utracił tchu, i wtedy dopiero spostrzegł, jak złowieszcze myśli go ścigają. Książka była słodka jak miód i gorzka jak piołun. Zabłądził w niej, wszystkie urocze ścieżki okazały się zdradzieckie i kończyły się na pustynnych rozpalonych skałach, gdzie jego Boga rozbierano z boskości. Była to wizja bardziej przejmująca niż wszystko, co dotychczas przeżył.

Suchemi bezlitosnemi oczami patrzył Teofil na okropne detro-

nizowanie Boga. Ani jednem słowem, ani jedną myślą nie wsparł go w tej chwili, chyba cięższej od Golgoty. Pozwalał mu umrzeć bez zmartwychwstania, nie krzyknął gdy po zdjęciu z krzyża, zamykano go w grobie, którego żaden anioł nie otworzył. Był pewny prawdy, którą poznał przed paru godzinami, bardziej, jak mu się zdawało, niż kiedykolwiek był pewny tej, którą poznał z pierwszemi słowami pacierza. Nie przydała się na nic łagodność Henrietty Renan, która czuwała nad tem, aby dzieło jej brata nie było zbyt ostre i aby jak najwięcej ocaliło z tego co miało burzyć. Im tkliwiej, im serdeczniej stary seminarzysta mówił o Jezusie, im gorliwszym zachwytem otaczał jego naukę i ujmującą postać, tem szczelniej zamykał przed nim niebo, które miało się stać pustą grą błękitu i chmur.

VII

Teofil obudził się wśród nocy. Był pewny, że ocknął się tylko z chwilowego zaśnięcia, albowiem te same myśli, z któremi kładł się wczoraj tak późno, nie zdołały w nim ucichnąć. Zdumiał się, gdy zegar w jadalni wybił czwartą godzinę. Prawie jednocześnie odpowiedział mu zegar z kuchni, ze swym starczym chrapaniem i brzękliwym zgrzytem wag, obsuwających się na kółkach i łańcuszkach, i zdaleka, z pokoju ojca, poważny dzwon wielkiego szafkowego zegara. I jeszcze: wysoka, rozległa fala stłumionego dźwięku z wieży ratuszowej, ostatnie z czterech uderzeń, głos podniebny i zagubiony, jakby się zabłąkał w swej drodze do gwiazd.

Myśl że przespał pełne cztery godziny pogłębiła niepokój Teofila. Zdawało mu się że czuje wyraźnie różnicę między ciałem i duszą, że jego ocknienie odbyło się na granicy dwóch światów. Niema wątpliwości że dusza nie spała, że dla niej cały ten czas, podzielony tysiącznem tykaniem sekund, albo nie istniał wcale, albo był znikomem i bezszelestnem mrugnięciem powieki, której sen nigdy nie zamyka. Jeśli zaś dusza nie jest cząstką czasu, musi chyba należeć do wieczności. Przypomniało się opowiadanie o zakonniku, który wyszedł z klasztoru ze śpiewem skowronka i wrócił, jak mu się zdawało, za chwilę, a naprawdę po upływie trzystu lat, i anioł w postaci młodego furtjana objaśnił mu mechanizm wieczności.

Ta historja przylgnęła do Teofila z nieodpartem natręctwem. W żaden sposób nie mógł wyjść poza krąg obrazów, które się nieodmiennie powtarzały: Klasztor — zakonnik w białym habi- cie — las — pole — czarny punkt skowronka wśród promienne- go nieba — starzec z siwą brodą przed furtą klasztorną, którą mu otwiera braciszek o anielskiem obliczu. Był w tych obrazach nie- wysłowiony urok, słodycz ciepłego poranku i spokoju bez granic, — tak wyglądałby świat, gdyby był utkany z samych promieni słonecznych.

Tkliwość, tęsknota, żal, wiele innych uczuć tego rodzaju, nie mających nazwy, ponieważ żadne słowo nie zdołałoby ich wyra- zić, byłoby zbyt obszerne lub za ciasne i nazbyt związane z ja- kimś przedmiotem — rozrzewniły go do łez, których nie umiał powstrzymać. Zdawało mu się, że go coś opuszcza, coś od niego odchodzi, ale tak, jakby się odsuwało powoli, zostawiając wciąż jeszcze za sobą długą świetlistą smugę. Gdy owo światło skróciło się znacznie, biegł za niem, wpadając w krąg tych nieodpartych, już symbolicznych obrazów. Znów był przy swoim zakonniku, i szedł z nim w las, i doznawał głębokiej cichej rozkoszy na wi- dok drzew rozjaśnionych plamami słońca. W pewnej chwili las porósł samemi brzozami, a ich białe pnie i błyszczące chybotliwe listki wydarły zeń nowy spazm płaczu.

W oknie, po bokach zasłaniającej je rolety, szarzał już dzień; ciężki wóz turkotał na ulicy i chrzęszczał żelaziwem; ktoś szybko przeszedł po trotuarze. W pokoju był mrok zupełny, w całym domu jeszcze trwała noc, kiedy szafy trzeszczą, kiedy podłogi skrzypią, chociaż nikt po nich nie chodzi. Teofil nie mógł pozo- stać obojętnym na to osobliwe życie nocy, którego nie znał. Ale wrychle wszystko pomilkło, jakby ustępując miejsca jego we- wnętrznym zmorom. Wrócił lęk, ten sam który go obudził. Serce zamierało, tchu brakło, kołdra drażniła skórę, którą ogarniało ner- wowe swędzenie; było mu gorąco, pocił się; bojąc się odwrócić do ściany, leżał na lewym boku, z gwałtownie bijącem sercem, z oczyma wlepionemi w szarzejące okno.

Nagle uświadomił sobie, że już doświadczał podobnych sta- nów. Dwa, może trzy razy. Było to po spowiedzi, kiedy szedł spać z rozpaczą, że zapomniał o jakimś grzechu i trwożył się, że jutro nie starczy mu czasu na dodatkową spowiedź, i że albo nie przystąpi do komunji, albo — co gorsza — przyjmie ją w strachu

przed katechetą, splamiony i niegodny. Tak, to było to samo; tylko nie trwało tak długo i było wiele sposobów, aby zażegnać zło. Ileż to rąk było gotowych zdjąć zeń ów ciężar, ileż troski i życzliwości i pobłażania mógł się spodziewać, i jakże ostatecznie wszystko rozpraszało się w lekkim jak mgła smaku opłatka!

„Corpus Domini nostri, Jesu Christi, custodiat animam tuam in vitam aeternam!" Któż teraz obejmie straż nad jego duszą, skoro to zbawienne ciało oddał na pastwę ziemi i zniszczenia? W gniotącym ucisku, pomiędzy odwiecznym poczuciem grzechu a nową wyzwalającą świadomością, znalazł się zupełnie osamotniony. Wszedł w patos tego nowego gorzkiego życia. Zmieniał się na różne metafory: wędrowiec zabłąkany w czarnym lesie — pielgrzym na odludnej pustyni — wygnaniec nie mający wstępu do osiedli ludzkich. Przez chwilę zapamiętał się w tym romantyzmie, jakby szukał dlań strofy i rymów. Czuł siebie jak żywy wiersz, tragiczny i wzniosły.

Znów jednak zasnął i obudził się już w rozgwarze dnia, gdy w kuchni skrzypiał młynek do kawy, szumiał kran wodociągu, stukały garnki. Był znużony, miał duszę jakby obrzękłą. Dzień jeszcze świąteczny i wolny od wszelkich zajęć nie mógł mu nawet dopomóc pośpiechem, który otrzeźwia lub oszałamia. Stanąwszy bosemi nogami na dywaniku przed łóżkiem, odkrył nieprzewidzianą próżnię: co począć z modlitwą? Rozejrzał się po obrazach: tam Anioł-Stróż ze śladami jego pocałunków, tu Matka Boska z dzieciątkiem, tu znów żłóbek uwity z kwiatów betlejemskich. Te wszystkie przedmioty kultu w niczem nie odmieniły się przez noc, ale on nie był już zdolny po nie sięgnąć.

Został w nim jednak osad niepewności, może nawet szczątek nadziei, że wszystko się jeszcze odwróci i naprawi. Nie wiedział zresztą dokładnie co przestało istnieć, i czy z wczorajszego spustoszenia nie ocaleje naprzykład Anioł, którego byt nie był bezpośrednio zagrożony ani jednem słowem Renana. W tej chwili pojął że Ojcze Nasz jest modlitwą jakby bezwyznaniową i, że mógłby ją odmówić, mając na myśli Boga, bez wszelkich mitów. Tak, ale czy można to zrobić, nie przeżegnawszy się przedtem? Porzucił ten zamiar i wyrzekł się modlitwy, nie chcąc brać przez nią nowych zobowiązań.

Rodzice, wróciwszy późno, spali jeszcze. Służąca, gdy poprosił o wodę do mycia powiedziała:

— W jadalni jest dla panicza koszyczek.

Był to ten sam, w którym w dzieciństwie Pańcia posyłała mu słodycze świąteczne. Otworzywszy go, poczuł znajomy zapach tortów i ciast, różny od domowego, ale tak samo dawny. Przez jedną chwilę zobaczył kuchnię, bardzo żółtą od słońca, babkę otwierającą koszyk, i to miejsce na stole, na którem siedział — może dwuletnie dziecko. Czuł na tem miejscu swoją obecność, lecz siebie samego nie widział, ani twarzy, ani kształtu. Wziął to za objaw rozłąki ze swoim światem, pomyślał, że odtąd wszystko za≠cznie go tak opuszczać.

Zjadłszy śniadanie na brzeżku święconego stołu, wrócił pręd≠ko do swego pokoju, olśniony myślą, że w dogmatyce powinien znaleźć jakieś oparcie. Zaczął od rozdziału o autentyczności ewangelij, którego stronice były pełne zakreśleń i dopisków, że każdem zdaniem przypominał sobie następne, tak dobrze się ich wyuczył przed miesiącem. Pamiętał miejsca z których był pytany, nawet to w czem go katecheta poprawiał. Ale jakże ubogo brzmia≠ło to wszystko! między wiersze surowego szkolnego tekstu wkra≠dała się upajająca opowieść Renana, a z nią nowy sąd, któremu nie mogły podołać te poczciwe dowodzenia. Tam panował nieod≠party ład, tu zaś frasobliwa krzątanina.

Przerzucając kartki, co chwila spostrzegał coś na coby nigdy przedtem nie zwrócił uwagi. Na przykład: że św. Marek i św. Łukasz nie byli naocznymi świadkami opowiadanych zdarzeń; że wszyscy czterej ewangeliści pisali w późniejszym wieku i w wiele lat po śmierci Chrystusa; że najwcześniejsze cytaty z ewangelji, mające potwierdzać ich autentyczność, pochodzą z II wieku po Chrystusie. Zupełnie innemi oczami czytał takie zdania: „że nie≠podobna przypuścić, by tacy ludzie jak ewangeliści całe swe ży≠cie oddali na usługi kłamstwa"... Albo: „Nie mieliby interesu kła≠mać, a kłamie tylko ten, kto ma w tem interes. Nie mogli się też spodziewać nagrody w niebie, bo wiedzieli że Bóg kłamstwo ka≠rze, a nie nagradza". Ach, czyż w istocie były tu przedtem te sło≠wa i jakże mógł ich nie widzieć! A kiedy doszedł do dowodów o prawdziwości Zmartwychwstania, opuściła go wszelka otucha.

Ojciec, w pantoflach, przesunął się cicho przez pokój i na≠straszył Teofila, zjawiwszy się tak nagle. Ponad głową syna zaj≠rzał do otwartej książki:

— To dogmatyka? A zląkłeś się tak, jakbym cię przyłapał

na złej lekturze. I wogóle nie rozumiem, żeby sobie ktoś tak rozburzył włosy przy dogmatyce. Sprawia ci to trudność?

Teofil patrzył na ojca, nie mogąc opanować niepokoju, że on odgadnie jego myśli. Ale ojciec, z rękami w kieszeniach szlafroka, spoglądał nań wesoło, świeżo umyty, zaróżowiony, ze starannie wyczesanemi wąsami, pachnący wodą kolońską, którą skropił włosy, — taki miły, serdeczny, wręcz powabny, miałoby się ochotę wziąć go za szyję, pocałować w pulchny policzek, przytulić twarz do jego małej, gładkiej ręki. Teofil usiłował zmiękczyć swe spojrzenie, czuł bowiem, że patrzy szorstko i nieufnie. Radcę bawiła jego zafrasowana mina, którą brał za kłopot ucznia z twardą lekcją. Wyciągnął rękę i dwoma palcami skubnął książkę leżącą na stole.

— Mój Boże! jakie to cienkie, a ty się jeszcze skarżysz. Za moich czasów podręczniki były dwa razy grubsze, a dogmatyki uczyło się tyle, jakby z nas mieli zrobić teologów. Czy jadłeś już śniadanie? No, to przyjdź na kronikę.

Teofil rozważał w coby się obróciła niefrasobliwość ojca, gdyby mu nagle opowiedział swoją przygodę. W zdumienie? smutek? gniew? A może potraktowałby go jak sztubaka? Toby było najgorsze, bo może wtedy sam zacząłby mówić tak jakby tego nie chciał i wywołałby atak irytacji, któremu radca rzadko podlegał, ale zawsze z przerażającą gwałtownością. A może ojciec sam przechodził podobne rzeczy i może to jest coś z czego się później wyrasta? Może byłoby lepiej zadać mu parę pytań, wybadać mimochodem i zdaleka?

Weszła matka, aby mu powiedzieć: dzieńdobry.

— Pańcia bardzo żałowała, że nie przyszedłeś. Była Niusia i Alina.

Teofil wstał i zaczął przerzucać książki na półeczce.

VIII.

Alina po raz pierwszy odważyła się w swej modlitwie rannej prosić Boga o spotkanie z Teofilem. Nie widziała w tem nic grzesznego, ponieważ była pewna, że go kocha, i że Bóg będzie błogosławił ich miłości. Zdobyła wiadomość, że we wtorki Teofil ma popołudniu angielski i że, jeśli o szóstej znajdzie się u zbiegu

ulic Ujejskiego i górnej Sykstuskiej będzie mogła go spotkać niby przypadkiem. Wykonanie tego planu uważała za drobnostkę dla wszechmocy boskiej, która może nań zezwolić, nie zakłócając porządku świata.

W tem jednak bardzo się myliła. Profesor Matz, który uczył angielskiego, nie przyszedł na lekcję, co samo w sobie było splotem tylu różnych zdarzeń, że, aby je odmienić, musiałoby się zacząć robotę przynajmniej tydzień naprzód, i chociaż były to zdarzenia pozornie zewnętrzne, wymagały pewnych poprawek w charakterze, temperamencie, usposobieniu i zdrowiu paru osób, i być może nie dałoby się ich uskutecznić bez zmiany warunków życia i rozwoju tych ludzi, co już w każdym razie naruszyłoby historję kosmosu aż wgłąb pierwszych lat panowania Franciszka Józefa. Z tych względów prośba Aliny nie została wysłuchana, i kiedy ona, ufna i radośnie niespokojna, wyszła o wpół do szóstej z domu, Teofil znajdował się gdzieś między Michałem Korybutem a Stanisławem Leszczyńskim z galerji portretów matejkowskich, wiszących na ścianach klatki schodowej gimnazjum, — poczem w paru susach dobiegł bramy. Zmiął w kieszeni Lamba „Tales of William Shakespeare", od których tak cudownie wybawiło go oznajmienie tercjana, że profesor nie przyjdzie na lekcję, i bajronicznie udrapowawszy swą pelerynę, wymknął się w rozkoszną szarą godzinę miasta. Wiosenne chmury znacznie ją przyspieszyły, czuło się jeszcze za niemi słońce, które niekiedy wydobywało się z nich złotym szlifem.

Iść, mając przed sobą otwarte miasto, zapatrzone w zielony stożek Wysokiego Zamku, to nie to samo co krążyć od wylotu Sykstuskiej do wylotu Technickiej, pod stromemi murami Zakładu karnego dla kobiet, i jeszcze uważać, aby się miało naturalny krok przechodnia, a nie kogoś, kto się niecierpliwi i czeka. Trzeba przytem znieść niejedno, do czego daje prawo smukła figura, opięta granatowym płaszczykiem, śliczna twarz i dwa płowe warkocze z białemi jedwabnemi kokardami. Tych sześciu studentów, którzy wysypali się z gimnazjum, nikt nie oszuka. Jeśli niewiele wiedzą o życiu, zdążyli się jednak przekonać, że widok ich czapek i mundurów nie może budzić niczyjego zainteresowania, bez należytego powodu. A któżby zwłaszcza dbał o ich twarze, które oto zarumienią się lub zbledną, gdy je pochwyci tak szybkiem kołem para oczu niby cyrkiel ze srebrzystej nieziemskiej stali! Ale śmiech wszystko zwycięża, śmiech wyzwala z gwałtow-

nej i niedorzecznej rozterki, i gromada chłopców śmieje się, rzuca bezładne okrzyki, wreszcie śpiewa „Panienka dokąd?“..., aby umilknąć za zakrętem i pozostawić ten szary kąt ulicy w zupełnem osamotnieniu.

Tymczasem Teofil, zwędrowawszy całą ulicę Batorego, gdzie zatrzymywał się przed każdą antykwarnią, póki nie odczytał tytułów wszystkich książek wystawionych w oknach, zawrócił do Igla i poprzez zmierzch, z oczyma przy samej szybie, raz jeszcze obejrzał książkę, która go znęciła i sprawdził cenę na okładce. Cena była dość niska, nie przekraczała jego funduszów, mimoto cofnął się o parę kroków, aby przeliczyć pieniądze. Dopiero potem wszedł do sklepu.

Ślamazarny antykwarz kazał sobie powtórzyć o co chodzi.

— Radlińskiego „Dzieje jednego z synów bożych“, to co jest na wystawie, proszę pana — rzekł Teofil, już trochę niepewnie, zauważywszy, że w głębi sklepu ktoś się poruszył.

Igel, posługując się więcej dotykiem niż swemi krótkowidzącemi oczyma, wymacał na jednej z półek książkę, przytknął ją tuż pod nos jakby chciał obwąchać, strzepnął dla pozoru trochę kurzu który ją obrastał, i podał chłopcu. Teofil wysypał mu wzamian garść szóstek i piątaków, i zaczęli je razem przeliczać. Ale po chwili, słysząc nowy szelest, odwrócił się. W głębi sklepu stał mężczyzna, chyba w wieku ojca, o gęstych szpakowatych włosach. W rozpiętem palcie, z rękami w kieszeniach spodni, nieznajomy przypatrywał się Teofilowi jakby w zadumie. Kiedy ten spojrzał na niego, odezwał się:

— Skąd panu przyszło na myśl kupić tę książkę?

— Zobaczyłem ją na wystawie.

— Zajmują pana takie rzeczy?

— Owszem.

Nieznajomy podszedł do lady, wziął książkę, obrócił ją grzbietem do góry jakby mierzył jej objętość, i położył spowrotem:

— No cóż! nie pozostaje panu nic innego jak zabrać ją pod pachę, pójść do domu i przeczytać.

Teofil zaniepokoił się:

— Czy to może nic nie warte?

— No, nie. Trochę mętne. Wstęp może pan opuścić. Od kiedy pan interesuje się taką lekturą?

— Od dość dawna...

— Hm.

Teofil zarumienił się, ale mógł spokojnie ochłonąć, nikt nań nie patrzył. Igel, przeliczywszy pieniądze, sprawdzał je teraz, każdą sztukę po kolei podnosząc do oczu. Nieznajomy zaś zdjął binokle i wycierał je chusteczką. Teofil zbliżył się do niego:

— A wogóle co pan myśli o tem wszystkiem? — zapytał półgłosem.

Spod zaczerwienionych, jakby zlekka opuchłych powiek wyjrzały ciemne oczy.

— Niech pan siada — nieznajomy wskazał dwa krzesła we wnęce sklepu, wyłożonej książkami aż pod sufit.

Włożywszy binokle, wyjął drewniane pudełeczko z tytoniem i zaczął kręcić papierosa. Wśród zupełnej ciszy szeleściała tylko bibułka i nuciły dwie lampy gazowe nad ladą. Antykwarjusz schowawszy pieniądze stał nieruchomo, zapatrzony w okno. Teofilowi waliło serce z niecierpliwości i strachu: oto obcemu człowiekowi wydał swą samotną tajemnicę, aby on ją rozniecił lub zniszczył. Zapałka błysła i zgasła, niebieskawy dym powirował ku pajęczynom.

— Pyta mnie pan co ja myślę? Myślę, że jest pan na dobrej drodze. Przerabia pan teraz pewną starą historję. To jest jedyna część historji, która poniekąd zależy od nas. We wszystkich innych rzeczach nic już nie możemy zmienić. Żeby się pan jak uparł, nie przesunie pan daty śmierci Juljusza Cezara ani o jeden dzień. A tu z samym bohaterem może się pan obejść tak nieludzko żeby mu odebrać nawet możność istnienia.

— Jakto? — szepnął Teofil — nie wierzy pan wogóle...

— Mam wątpliwości, oto wszystko. Oprócz ewangelij, nie potwierdza tego ani jedno źródło, rozumie się źródło obce czyli bezinteresowne. Chyba nie liczy pan na Józefa Flawjusza?

Teofil nie liczył na Józefa Flawjusza, o którym słyszał po raz pierwszy. Sądził natomiast, że wśród księży znajdują się uczeni, którym nieobce są te zarzuty i którzy chyba nie usuwają ich podstępem. Wyraził to jednak w tak niedoskonałej składni, że nie został odrazu zrozumiany.

— Zapewne. Gdyby religje składały się z samych podstępów, nietrudno byłoby je pokonać. Co najwięcej onieśmiela, to dobra wiara, czystość serca, prostoduszność.

— Nie, ja myślę, że jednak różni mądrzy ludzie są wierzący...

— Nie wiem co pan nazywa mądrością. Jabym się wahał mówić tak o kimś, kto jest przekonany, że ojciec Noe pomieścił w swej arce 300 łokci długiej, 50 łokci szerokiej, a 30 łokci wysokiej po parze ze wszystkich zwierząt ziemi.

— Może nie biorą tego dosłownie.

— W takim razie są w błędzie, gdyż święty autor nigdzie nie daje wskazówki, że posługuje się tu przenośnią. Co najwyżej można dojść do przekonania, że mierzył innym łokciem niż ten który my znamy. Nie, panie. Jeżeli ktoś nie nauczy się przymykać swego rozsądku na podobne rzeczy, musi go bardzo wiele kosztować zachowanie wiary. W księdze objawionej wszystko jest prawdą nie może być w niej ani sprzeczności, gdyż dwie rzeczy sprzeczne nie mogą być jednocześnie prawdziwe, i nie może być w niej żadnych nieścisłości. Księga objawiona nie może zawierać pomyłek.

— Nawet w drobiazgach?

— W księdze objawionej niema drobiazgów. Byłoby to obrazą bóstwa, które natchnęło świętych autorów, gdyby się to lub owo zdanie uważało za błahostkę. Nie można tu wybierać, tu najdrobniejsza cegiełka dźwiga na sobie cały gmach. Jeśli ją pan zechce usunąć, wszystko runie.

Przerwał, zdjął binokle i wywijając niemi, wpatrywał się w Teofila przez szparki swych opuchłych powiek. Zdawało się, że bierze go na cel, w obawie by to co powie nie padło w próżnię:

— Jeśli wierzyć, to już tak jak Bossuet. (Był taki kaznodzieja w XVII wieku — strzepnął niecierpliwie ten nawias, uprzytomniwszy sobie niedokładną wiedzę swego słuchacza). Bossuet wołał: „Jakiż to cud że Cyrus jest wspomniany w biblji o 200 lat wcześniej nim się urodził!". Pan rozumie? Izajasz, który żył VIII wieku przed Chrystusem, parokrotnie w swej księdze nazywa po imieniu Cyrusa, który panował w VI wieku. I czy wolno się panu wyrzec tego cudu dla hipotezy, że ta księga nie jest dziełem Izajasza, ale apokryfem z okresu niewoli babilońskiej? Niech pan pomyśli, jakie to może mieć konsekwencje dla wiary w księgi kanoniczne!

Teofil odczuł falę ciepła, z którą zawsze nawiedzała go rozkosz odkrycia czegoś lub zrozumienia. Ciasny, stęchły kąt antykwarni jakby się uchylił na nieznany świat, ten właśnie z którego

pochodziła książka Renana i którego subtelny czar był mu coraz bliższy. Chyba i ten szpakowaty pan, o palcach pożółkłych od dymu tytoniowego, zajmuje w tym świecie jakieś stanowisko?

Teofil nie mylił się. Dr. Wincenty Kos dwa razy w tygodniu prowadził na uniwersytecie ćwiczenia z zakresu logiki, a jedną godzinę poświęcał na wykład o Kancie. Temi trzema godzinami służył swej docenturze, na której przybywało mu coraz więcej siwych włosów. Profesor Twardowski, nie mogąc pomieścić swych słuchaczów w żadnej z sal uniwersyteckich, wykładał w kinie „Apollo", profesor Wartenberg nawet w niewdzięcznej porze między pierwszą a drugą popołudniu zapełniał XIV salę swym „Wstępem do filozofji", a Kos za dobry uważał dzień, w którym miał przed sobą tuzin osób. Byli to przeważnie gorliwcy z pierwszego roku, nierozgarnione głowy, którzy nie zdążyli się jeszcze zorjentować, że jego podpis na indeksie jest bez znaczenia.

Nie dbał o to. Żył z profesury gimnazjalnej, która mu wystarczała na kawalerskie gospodarstwo i zostawiała dość czasu, aby włóczyć się po księgarniach i antykwarniach, gdzie przeglądał nowe i stare książki, czasopisma, katalogi, nigdy nic nie kupując. Zajmowało go wszystko, od matematyki do socjologji, mógł mówić o każdej rzeczy z pozorami fachowca, zdumiewał ludzi pamięcią, spodziewano się, że lada dzień wystąpi z dziełem, które uczyni go sławnym. On jednak na nic nie mógł się zdecydować. Po kilka razy na dzień zmieniał plany, zależnie od tego z kim i o czem mówił. Łaknął rozmowy, i nie przebierał ani w środkach ani w ludziach aby się nią nasycić. Był tak pełny dialogów, że dyskutował nawet z milczeniem.

— Zapomina pan — zarzucał milczącemu chłopcu — że księga objawiona jest cudem. Cud! — oto kamień węgielny religji. Nie było takiej, w której nie działyby się cuda. Od początku swego istnienia ludzkość znajdowała upodobanie w niesfornym świecie, gdzie cała budowa przyrody jest rozchwiana. Oczywiście, jeśli jest pan wierzący, zechce pan odpowiedzieć, że tylko w kościele katolickim istnieją cuda prawdziwe, a wszystkie inne są bajką. Skądże ten monopol? Jeśli cud jest możliwy, możliwy jest wszędzie, i starożytny politeizm, który szanował logikę, tak właśnie wierzył. Ale, jeśli ktoś używa wybornej metody historycznej do interpretacji mitów greckich czy egipskich, a odkłada ją na bok przy ewangeljach, postępuje albo nierozumnie albo nieuczci-

wie. Nie można mieć dwóch sprzecznych sądów o tej samej rzeczy. A może cuda chrześcijaństwa są lepiej od innych poświadczone? Myli się pan. Znam tylko jeden cud naprawdę dobrze poświadczony, i ten znajduje się tu.

Wskazał palcem półkę, pod którą siedział Teofil.

— Niechno pan wyjmie tę książkę. Nie, tę drugą.

Były to „Historje“ Tacyta. Dr. Kos z zadziwiającą wprawą odszukał właściwy ustęp i zaczął go tłumaczyć tak szybko, jakby czytał gotowy przekład:

— „Podczas miesięcy, kiedy Wespazjan czekał w Aleksandrji na pomyślne wiatry i spokojne morze, stało się wiele cudów, świadczących o łasce i przychylności bóstw dla Wespazjana. Jakiś człowiek, znany ze swej ślepoty, rzuca się do jego nóg i jęcząc prosi o uzdrowienie, gdyż bóg Serapis kazał mu prosić cesarza, aby raczył napluć mu na powieki i obwody oczne. Inny, chory na rękę, z objawienia tego samego boga, prosił aby cesarz łaskawie postawił na nim swoją stopę. Wespazjan śmiał się z początku i słuchał tych próśb z lekceważeniem, potem zwrócił się o poradę do lekarzy, czy tego rodzaju ślepota i kalectwo dadzą się uleczyć sztuką ludzką. Lekarze zaczęli rozprawiać. O ślepym mówili, że wzrok jego nie jest jeszcze całkiem zniszczony i można go przywrócić, usunąwszy pewne przeszkody, o kalece zaś, że jego członki mogą wrócić do stanu normalnego, jeśli się użyje siły zbawiennej. Może jest to wyraźna wola bogów... Wespazjan, widząc, że wszystko sprzyja, z obliczem wesołem, przy powstaniu całego otoczenia, spełnił o co go proszono. I natychmiast kaleka mógł ręki używać, a ślepy przejrzał. Ci co tam byli obecni wspominają te uzdrowienia dziś jeszcze, gdy niema już nikogo, ktoby zapłacił za kłamstwo“. To mówi Tacyt, a to samo podaje Swetonjusz i Dio Kasjusz. Czegóż panu więcej potrzeba? O istnieniu Wespazjana nie będzie pan chyba wątpił, ma on za sobą przynajmniej parę kilogramów monet i trochę inskrypcyj o niepodejrzanej autentyczności.

Wstał, aby wsunąć książkę na dawne miejsce. Przechodząc koło Teofila, położył mu rękę na ramieniu:

— Widzi pan, to jest inny fason cudu. Cywilny. Skromny, ostrożny, z odcieniem niedowiarstwa. Czy chce pan wiedzieć co mówi o tem jeden z naszych teologów, historyk Kościoła, którego rozprawę może pan przeczytać w „Gazecie Kościelnej“? Poprostu

wyśmiewa Wespazjana. Powiada, że oplucie powiek wygląda na sztuczkę maga i, że nie przystoi cudowi. Dziwi się, że wyrocznia Serapisa nie dała piękniejszej recepty. Ale żart źle służy temu, kto się z nim nie umie obchodzić, i uczony ksiądz znajduje się w dwuznacznej sytuacji, zapominając, że w ten sam, jego zdaniem, niewybredny sposób uzdrowiono ślepego w ósmym rozdziale ewangelji Marka.

W tym czasie Alina, zawiedziona w swej nadziei, odważyła się podejść pod okna Grodzickich. Było w nich ciemno, stor nie zapuszczono, jedno zostawiono u góry otwarte. Zdawało się jej, że to właśnie należy do pokoju Teofila i, przechodząc pod niem, rzuciła na gzyms bukiecik fiołków, który nieużytecznie zdobił jej płaszczyk.

— Nie wierzymy w cuda — zapewniał dr. Kos w swojem i Teofila imieniu. — Żadne świadectwo nie wystarcza do ustalenia cudu, chyba, że byłoby ono tego rodzaju, że jego falszywość byłaby większym cudem niż fakt, który ma być na podstawie tego świadectwa ustalony. A to się do tej pory nie zdarzyło.

Skręciwszy sobie nowego papierosa i podnosząc go do ust, jakby przywołał tym gestem początek rozmowy:

— Tak, mój synu — rzekł — niema się pan czego obawiać. Czas wiary minął. Dla ludzi cywilizowanych, oczywiście. Istniał on wtedy, kiedy rozpalanie ognia zapomocą drewienek lub krzesiwa było czynnością czarnoksięską. Zmuszało się demona, aby dał żar, którego był panem. I dziś jeszcze ten rodzaj myślenia absolutnie wolny od pojęcia przyczynowości istnieje, — o nie trzeba się trudzić na wyspy Polinezji żeby go odnaleźć. Codzień ocieramy się o ludzi, dla których wszechświat jest igrzyskiem samowoli. Ten stary Izraelita, na przykład, zachował z pewnością wiarę z epoki paleolitu.

Stary Izraelita wyszedł na ulicę, aby zapuścić żelazne rolety sklepu.

— Niech pan siedzi — mówił Kos, przekrzykując ogłuszający hurkot. — Jest tu drugie wyjście. Mamy jeszcze trochę czasu, zanim Igel przeliczy swój dzienny obrót.

Ale Teofil, rozżarzony słowami nieznajomego, miał inne powody do niepokoju. Czuł, że wszedł w grę, gdzie przyjdzie mu postawić coś więcej niż autentyczność paru tekstów semickich. Któż bowiem jest ostatecznem źródłem zarówno porządku świata,

jak i cudu który go narusza? Czyż nie Ten, o kim ludzkość zgodnie świadczy przez wszystkie wieki? Niema przecież drugiego przekonania tak powszechnego jak wiara w Boga. Ledwo jednak naszkicował tę myśl, dr. Kos machnął ręką:

— Ach, ten nieszczęsny consensus gentium! On raczej przeczy istnieniu Boga, bo to w co wszyscy wierzą jest zawsze niedorzecznością. Żaden teolog nie odważyłby się ubiegać o consensus omnium sapientium, boby go nie znalazł, a tylko taka zgodność mogłaby nas pobudzić do zastanowienia.

Teofil pożałował, że niema w pamięci tej budującej litanji fizyków, chemików, biologów, filozofów, których nazwiska zdobiły w dogmatyce ustęp „o dowodzie z powszechnego przekonania", a którą ks. Grozd znacznie jeszcze powiększył przy pomocy karteczki ze swego powabnego portfelu. Ale dr. Kos już o tem mówił:

— Nie da się zaprzeczyć, że rozmaici uczeni i myśliciele byli wyznawcami tej lub innej religji. Niema w tem nic dziwnego. Najczęściej nie zastanawiali się nad tem, pochłonięci swą specjalnością. Jeśli ktoś na przykład cale życie pracuje w nauce o elektryczności, może nigdy nie mieć czasu na kwestje metafizyczne, co najwyżej odbierze swemu bóstwu arsenał piorunów, gdyż nie pozwoli na wtrącanie się do rzeczy, o której jest dobrze poinformowany. Co do reszty, może zachować obyczaj w którym wyrósł i z którym łączy go sentyment. Człowiek, z samego zamiłowania do wygody jest gotów przyjąć najdziwniejszą koncepcję świata za racjonalną, jeśli ona nie krępuje jakiejś jego czynności, którą on łatwo wykonywa albo jakiejś zdolności, którą rozwija z upodobaniem. Wiara ludzi inteligentnych, jeśli jeszcze istnieje, jest niesłychanie bałamutna i chaotyczna. Znajdzie pan tam i artykuły wiary wyuczone w dzieciństwie, i świadome, a jeszcze bardziej nieświadome wpływy innych wierzeń, i pojęcia filozoficzne, i fakty naukowe, to wszystko fermentuje, burzy się, walczy ze sobą, aby nakoniec zmienić się w rezygnację i obojętność, albo w spełnianie praktyk religijnych, których urok może się nawet wzmagać z latami.

Antykwarjusz był już w płaszczu i stał za krzesłem profesora, nieruchomy i milczący, nawykły do zwyciężania wszelkich przeszkód cierpliwością. Dr. Kos odwrócił się, powiedział: Aha!, i zaczął szukać kapelusza. Znalazł go na małym żelaznym piecyku, na którym imbryk do gotowania herbaty stał jeszcze od zimy.

— Niech pan uważa — mówił do Teofila — tu są schodki.

Czując chłodniejsze powietrze, Teofil domyślił się, że wyszli na podwórze, ciemne jak studnia. Parę gwiazd migotało wgórze. Dr. Kos zatrzymał Teofila.

— Nie, nie wierzę — rzekł — żeby człowiek inteligentny albo jak pan mówi: mądry, mógł być dzisiaj wierzącym. Mogło to się zdarzać dawniej, gdy wiedza była nieśmiała i tak szczupła, że właściwie nie dawała o niczem jasnego pojęcia. Ale my znajdujemy się w zupełnie nowej sytuacji. Wiek XIX rozwiązał zagadnienia, które przedtem były dręczącą tajemnicą. Astronomja nauczyła nas jak powstają światy, teorja ewolucji objaśniła dzieje życia na ziemi, historja pokazała jak religje rodzą się i umierają. Weszliśmy w nowy okres ideałów, mamy przed sobą wszystko do zdobycia!

Ostatnie słowa podniosły się niemal do krzyku, ale w ciszy która po nich zapadła, Teofil posłyszał odgłos oddalających się kroków. Nieznajomy znikł, na całem podwórzu nic nie zdradzało żywej duszy. Chłopiec poczuł się nieswojo w tej ciemnej pustce. Biegnąc potrącił jakiś ciemny kształt, który potoczył się za nim z głuchem dudnieniem; musiałby mieć większą równowagę umysłu, aby zdać sobie sprawę, że była to beczka stojąca pod rynną. Znalazłszy się nakoniec w bramie, oświetlonej czarną od kopciu lampką naftową, zatrzymał się na chwilę, aby uspokoić omdlewające serce.

Dr. Kos porzucił tak nagle swojego słuchacza trochę z ostrożności, aby się nie pokazywać na ulicy w towarzystwie gimnazisty, który może nie umiałby przejść na obojętną rozmowę, a więcej jeszcze pod wpływem animuszu intelektualnego. Szedł prędko do domu, uwiedziony myślą, że dałoby się napisać książkę p. t. „Nowa Epoka“, bardzo potrzebną, aby rozbudzić w ludziach świadomość, w jak wielkich i mądrych czasach żyją. Z rozkoszą układał sobie rozdział „O wymieraniu zabobonów“.

„Trzeba było jeszcze powiedzieć temu młodzieńcowi — myślał — że jego obawy przed porzuceniem chrześcijaństwa nie są żadnym argumentem. Takie same zmartwienia przeżywał efeb grecki, gdy rozmowa z filozofem albo jakaś celna książka zachwiała w nim wiarę w Dzeusa. Czuł się napewno spocziątku równie nieszczęśliwy, gdy zaczynały go opuszczać wszystkie bóstwa i miłe duchy gór, lasów, zbóż, nieba, gdy wszystko stawało

się jakby czerstwe, gdy świat tracił swój soczysty smak, i gdy nie miało się już nic do roboty przy posągach i ofiarach. Trzeba było mieć w tych czasach tęgą głowę, aby, kryjąc w niej takie myśli, stać spokojnie pod niebem strzelającem błyskawicami.

Stojąc z kluczem przy drzwiach swego mieszkania, dr. Kos rozważał czy możliwa byłaby do napisania „Psychologja kryzysów religijnych", objaśniająca sposób w jaki najważniejsze religje świata, począwszy od egipskiej, zamierały w duszach zbudzonych do prawdy.

Ścigany dzwonem zegara ratuszowego, który bił ósmą godzinę, Teofil biegł do domu, goniąc w popłochu swe myśli. „Może kiedyś będę żałował, ale dziś wiem, że będę żałował stokroć więcej, jeśli się w tej drodze zatrzymam. Może będę nieszczęśliwy, ale czy mogę być szczęśliwy, jeśli wyrzeknę się poznania prawdy?".

O krok przed bramą rozdeptał bukiecik fijołków, który spadłszy z gzymsu walał się na ulicy. Nie zauważył tego, zapomniał że istnieją kwiaty i że są dziewczyny które je przynoszą. Nowa namiętność, o cierpkim i kuszącym uroku, owładnęła nim niepodzielnie.

IX

Grodzicka siedziała pod oknem, które dostarczało jej jeszcze trochę światła do cerowania skarpetek. Jak zawsze o zmierzchu, zapadał w niej cichy i nieokreślony smutek. Szukając sobie celu, przywierał na chwilę do młodych par idących pod ramię, do pałacu ukazującego swe brzydkie czerwone mury spoza starych drzew, do wozu pocztowego, który codzień o tej samej godzinie zsuwał się po pochyłości ulicy, z przeraźliwym jękiem hamulców. Lecz, nie znajdując dostatecznego oparcia ani w tęsknocie za młodością, ani w obrazach bogactwa do którego nie czuła się powołana, ani wreszcie w monotonji życia — Grodzicka wypełniała ten pusty smutek myślami o dwóch centrach swojego istnienia.

Odsunęła wazon z amaryllisem, aby nie przeoczyć jak mąż wejdzie do bramy. Miał dziś sesję w Namiestnictwie. Chociaż była to rzecz zwyczajna, Grodzicka już z pewnym niepokojem wyczekiwała jego powrotu. Zastanawiała się czy pójdzie pieszo, czy też wsiądzie do tramwaju na rogu Łyczakowskiej. Od tego zależało,

z której strony — z lewej czy prawej — ukaże się jej w polu widzenia.

Nagle serce jej drgnęło: Teofil przemknął pod oknem i znikł w bramie. Wszedł jak zwykle przez kuchnię; idąc przez jadalnię, nie zauważył matki, skierował się wprost do swego pokoju. Zdawało się Grodzickiej że westchnął. Cóż mogła o tem wiedzieć? Wyrósł z lat, kiedy mogła znać i liczyć jego westchnienia. Zawołała nań.

— Mama jest w domu?

Stanął przed nią — zdawało się jej: okrutnie wysoki.

— Ojciec jeszcze nie wrócił — powiedziała, aby czemś zapełnić ciszę.

Teofil, jakby nie słyszał, zbliżył się do okna, odchylił firankę, spojrzał w ulicę i wrócił do swego pokoju. Słychać było, jak zapala lampę, przesuwa krzesło, otwiera książkę. Grodzicka w parę chwil później zastała go już pogrążonego w czytaniu. Gdy usiadła przy nim, obrzucił ją prędkiem, trochę zdziwionem spojrzeniem.

— Od jakiegoś czasu zupełnie cię nie poznaję — rzekła.

Przechylił się na oparcie krzesła i patrzył gdzieś ponad lampą, ku ścianie na której rósł olbrzymi cień matki. Nie była przygotowana na jego milczenie, przeraziła się naprawdę:

— Co się stało?

Teofil czuł potrzebę zwierzeń, ale nie chciał na nie przystać za ladajaką cenę. Pierwszy to raz w życiu był w posiadaniu tajemnicy, która była istotnie coś warta; nie należało jej zaplątać w jakieś niebaczne dziecińśtwo. Pragnął obciążyć ją jak największą wagą, przesunął więc dłonią po czole i szepnął:

— Trudno mi o tem mówić z mamą.

— Bój się Boga!

— A właśnie! — postarał się o uśmiech, który powinien był być gorzki i szyderczy.

Zerwał się nagle z krzesła, przeszedł się po pokoju i z głębi któregoś kąta powiedział bardzo cicho:

— Straciłem wiarę.

Po westchnieniu matki poznał, że sprawił jej raczej ulgę, co nieomal go rozzłościło. W krótkich, bezładnych, urywanych zdaniach wyrzucił nagle z siebie treść swych ostatnich przeżyć, mówiąc rzeczy zuchwałe i bluźniercze. Tu i owdzie wkradły się akcenty jego bolesnej rozterki, nieopanowane i mimowolne, i one

dopiero sprawiły najgłębsze wrażenie. Grodzicka zrozumiała od=razu wszystko, o wiele więcej niż powiedział. Siedziała bez ruchu, obezwładniona tą niesłychaną nowiną. Miała takie uczucie, jakby jej syna ktoś okaleczył.

— Skądże to... Kto ci... — szepnęła.

Teraz już nic nie rozumiała, albowiem Teofil, pod wpływem jej zalęknienia i wilgotnych oczu, zmiękł natychmiast, i zaczął jej rozpowiadać wszystkie szczegóły swej nowej duszy. Chwilami mogło się zdawać, że ma zamiar i ją przekonać, tyle tam było ar=gumentów zasłyszanych i własnych. Czuła się oszołomiona i bez=radna, jakby się starała przeniknąć bardzo trudną książkę.

— To musi być skutek nauki — rzekła. — Może każdy taki jak ty musi przez to przejść.

— Ale nie spodziewam się już wrócić! — zawołał zniecier=pliwiony.

— Nie mów tak, moje dziecko. Kto jest wierzący i spełnia swe obowiązki katolickie, Bóg nie pozwoli mu porzucić wiary z takich powodów. To sprzeciwiałoby się jego sprawiedliwości i dobroci.

Skrzypnęły drzwi w przedpokoju. Grodzicka podniosła się z krzesła.

— Nie mów nic ojcu — szepnęła. — Pamiętaj! Będę się mo=dliła za ciebie.

Radca wrócił bardzo podniecony.

— Miałem dziś po sesji długą rozmowę z namiestnikiem — rzekł, zaciągnąwszy żonę do salonu. — Czy wiesz co mi ekscelen=cja proponował? Ach, nigdybyś się nie domyśliła! Żebym prze=szedł do Rady Szkolnej.

— I co?

— Podziękowałem, kochanie, podziękowałem. Wyjaśniłem mu, że to są dla mnie nieznane rzeczy i że jestem za stary żeby się uczyć.

— Nie wiem, czyś dobrze zrobił.

— Masz tobie! Ekscelencja przyznał mi rację i rozstaliśmy się nadzwyczajnie. Czy chciałabyś żebym sobie wpakował na głowę te wszystkie historje z Rusinami?

— Nie, ale może byłoby to dobrze ze względu na Teofila...

Grodzicki puścił ręce żony.

— Wiesz Zosiu!... Niech już on sam o sobie myśli. Nie mam zamiaru ciągnąć sztubaka wgórę protekcjami.

Teofil nie sprawił ojcu kłopotu; w parę tygodni później przyniósł świadectwo, któremu niewiele można było zarzucić. Znalazłszy się na drodze buntu, odkrył że przedewszystkiem powinien być wolny od dokuczliwych wad swojego wieku, i potrafił się z niemi uporać. Byłoby nieznośne, gdyby dał się wyprzeć ze swoich myśli, pospolitem ostrzeżeniem, że ma inne obowiązki. Nie zrobił nadzwyczajnych postępów, ale przez niewielką dyscyplinę zapewnił sobie przyzwoitą klasyfikację, w której nie obawiał się już niespodzianek. Jednocześnie zaś wrzał w swem gwałtownie rozburzonem wnętrzu.

Codzień doświadczał jak kruchy jest ten jego nowy świat, sklecony z paru książek i ze strzępów rozmowy w antykwarni, która wciąż trwała w nim jak wielka przygoda. Nie był nawet na tyle silny, ów świat, aby wytrzymać głos sygnaturki, która co rano budziła Teofila swem śpiesznem natarczywem dzwonieniem. Jeszcze wyraźniej chwiał się, gdy odezwały się dzwonki przy Ofiarowaniu, i gdy razem z niemi rozbrzmiewały słowa religji, która chleb zamienia w Boga. „Kościół mnie wychował, nie przestałem go kochać" — mówił sobie Teofil otwarcie. Nie spełniał jednak żadnych czynności religijnych, zachowując tylko nieuniknione pozory. Aby się nie zdradzić, brał do kościoła kieszonkowe wydanie Boskiej Komedji, w złoconej oprawie, która przypominała książeczkę do nabożeństwa, i czytał te uniesione tercyny w niejasnem poczuciu, że mogłyby mu być wybaczone, gdyby mimo wszystko przyszło mu kiedyś jeszcze szukać usprawiedliwienia.

Nie uniknął również spowiedzi przed końcem roku. Wyznał ks. Skromnemu swą niewiarę, co uczynił nawet o wiele twardziej niż czuł w głębi duszy. Katecheta przyjął to spokojnie.

— To są pokusy, mój synu, któremi Pan Bóg pozwala nas doświadczać. Trzeba mieć cierpliwość. Nie trzeba odpowiadać nieprzyjacielowi, ani go słuchać. Niech sobie stoi przy drzwiach i puka. Jeśli mu nie odpowiesz, jeśli nie zapytasz: kto tam? przestanie cię wkońcu nachodzić.

Tak ks. Skromny wyobrażał sobie najpiękniejszego z Serafinów. Nie stać go było na bardziej okazałego djabła. Ulegając nauce Kościoła, który ostrzega, że „djabeł jest istotą rzeczywistą, osobową i rozumną, nie zaś uosobieniem szkodliwych sił przyrody

i wytworem fantazji jak mówią niedowiarkowie", ks. Skromny użyczył mu tych cech w stopniu możliwie najmniejszym. Była to istota wątła, drobna, nieśmiała i naiwna, której mógł się pozbyć jednem tupnięciem albo poprostu nie zwracając na nią uwagi. Latami nie dawała o sobie znać, i niewątpliwie znikłaby wkońcu doszczętnie, gdyby się niejako sam o nią nie zatroszczył. Nie mogąc jej dać przy sobie zajęcia, odkrywał ją od czasu do czasu w sąsiedztwie młodych dusz, które spowiadał.

Teofil przeżył ciężką noc po dniu w którym przyjął komunję. „Gdybym w tej chwili umarł, byłbym potępiony na wieki". Popełnił grzech tak wielki, jakiego sobie nigdy nawet nie wyobrażał, a nie zdobył jeszcze absolutnej pewności że mu nic za to nie grozi. W popłochu myślał o modlitwie, myślał tak silnie że, kiedy wkońcu rozbroił go sen, być może stare kojące słowa przesunęły się po jego bezwiednych wargach. Niklejsze od pajęczyny, rozpięło się nad nim sklepienie z wyzłoconemi obrazami, znów czuwały przy nim głowy w aureolach i jasne ramię z plamką krwi pośrodku dłoni podniosło wieko nocy.

Dzień rozpraszał te widma. Teofil czuł na sobie tylko spojrzenie matki, która zachowywała się ostrożnie i jakby nieśmiało. W obawie, że nie zechce przeżegnać się przed jedzeniem, wołała go na obiad, gdy radca już brał do ust pierwszą łyżkę zupy.

Ale tajemnica mocno jej doskwierała, jak i to że nie znajdowała w swem doświadczeniu żadnej wskazówki co począć w takich okolicznościach. Po wielu wahaniach poszła zwierzyć się Pańci. Z niemałym trudem udało się jej przekonać starą damę, że jest to rzecz godna zastanowienia. Trzy klatki z kanarkami trzęsły się od ogłuszającego świegotu, drzwi na balkon były otwarte, wpuszczając do salonu skwarny dzień i wszelkie hałasy ulicy, Pańcia co chwila wstawała i biegnąc po rozeschniętych parkietach posadzki budziła dźwięk szklanych drobiazgów na komodzie. Grodzicka kilka razy powtarzała swoją historję, wśród kieliszków ratafji, płatków szynki i świeżych bułeczek, któremi Pańcia ją częstowała. Ilekroć pojawiało się imię Teofila, Pańcia wybuchała jakiemś wspomnieniem z jego dzieciństwa.

— Jak długo żyje, nie widziałam jeszcze takiego chłopca!

Wysłuchawszy nareszcie o co chodzi, spoważniała.

— To przykrość, droga pani. Zawsze myślałam, że pierwszy kłopot jaki będziemy z nim mieli, będzie spowodu panny. Ale co

się odwlecze, to nie uciecze. Jak mu jakaś dziewczyna wpadnie w oko, o wszystkiem zapomni. Ach, te jego oczy!

Grodzicka nie miała sił oprzeć się zachwytom Pańci i nawet trochę się popłakała.

Spóźniła się na obiad, radca był zły, że „nic jeszcze nie zrobiono“. Ale łóżka już były poskładane, poduszki i pościel upakowane w tłómoki, Teofil pomagał zbierać drobiazgi. Na czwartą zamówiono furę, która to wszystko miała zawieźć do Brzuchowic. Zanim ją naładowano, była już szósta, a służąca, która jechała razem z chłopem, parokrotnie wylatywała z wozu do kuchni po zapomniane naczynia.

Grodziccy wynajęli na lato piętro willi położonej w głębi lasu. Nie było tam mebli, oprócz jakiegoś stołu i paru plecionych foteli. To co trzeba było wziąć ze Lwowa, wyglądało na przeprowadzkę. Ojciec, matka i syn mieli oddzielne pokoje i jeszcze zostawał jeden duży, w samym środku, który można było przeznaczyć na jadalnię. Ale przyjemniej było siedzieć na wielkiej oszklonej werandzie, pachnącej od sosen. Tu więc nakrywano stół obrusem w niebieskie kwiaty, a radca przywiózł trąbkę, pamiątkę z dzieciństwa Teofila, którą dawał znak służącej w odległej kuchni, kiedy miała przynieść następne danie.

Grodzicki, nie mając jeszcze urlopu, w powszednie dni przyjeżdżał na obiad, odbywał drzemkę w swoim pokoju, chodził na spacery i wracał do Lwowa po kolacji; nocował tylko w sobotę albo przed jakiemś świętem. Teofil wychodził po ojca na stację i odprowadzał go wieczorem, z latarką. Sam namówił rodziców na Brzuchowice, aby być blisko Lwowa i korzystać z wypożyczalni. Z pieniędzy, które dostawał od matki na drogę, zaoszczędzał połowę, idąc w jedną stronę pieszo.

Wybierał się rano, po śniadaniu, i szedł wzdłuż toru kolejowego, ścieżką biegnącą po wszystkich załamaniach gruntu, raz wysoko pod lasem, to znów nisko brzegiem pól; na słupkach kilometrowych sprawdzał ilość przebytej drogi, pociągi mijały go z hukiem, wypoczywał chwilę w Rzęśnie Polskiej, na ławce przy stacji, w sąsiedztwie fur stojących w bajorach końskiego moczu, nareszcie dostawał się w obszar Lwowa, który zdaleka zapowiadały coraz liczniejsze szyny. Znał miejsce, gdzie, przepychając się między staremi nieużytecznemi wagonami, docierał do przełazu w parkanie i wychodził w jakiś martwy zaułek, o parę minut od ulicy

Gródeckiej. W kieszeni miał zawinięty w papier gałganek do wy-tarcia bucików z kurzu i błota. Zmieniwszy książkę w wypożyczalni, snuł się jeszcze trochę po ulicach, gdzie spotykało się ludzi innych niż zawsze, przechodził pod oknami swego mieszkania o zapuszczonych storach, i wracał najbliższym pociągiem gryząc w wagonie precel z białemi bąblami soli na ciemnobrunatnej skórce.

Znużony drogą i upojony zapachem lasu, kładł się niedaleko willi na wzgórku wysypanym igliwiem, i budził się w sam czas, aby pójść po ojca na stację. Wpierw jednak chował książkę w głębokiej dziupli starej wierzby, pachnącej piżmówkami, które roiły się na popękanej korze i których pary, przywarte na sobie miłośnie, latały dookoła, połyskując w słońcu swym ciemnozielonym bronzem.

Długi skrawek papieru, na którym wynotował z katalogu wypożyczalni numery książek mających jakiś związek z jego wątpliwościami, był już cały pokreślony. Teofil z wielką cierpliwością przebrnął przez tuzin dzieł, przy których „Żywot Jezusa" wspominał jak świeży poranek wiosenny. Nieraz brała go pokusa, aby zamiast podać usługującej pannie któryś z tych numerów, pogrzebać w uroczym katalogu, i przez jaką nieprzeczytaną jeszcze powieść Coopera zamienić lasy brzuchowickie w amerykańską puszczę, albo wejść w trudny i bolesny świat Żeromskiego, albo dać się prowadzić Prusowi wśród ulic i domów Warszawy, tak niepojętej jakby nigdy nie leżała razem ze Lwowem w barwach tej samej mapy, albo z Sieroszewskim słuchać jak bije ludzkie serce w szałasach Czukczów, albo choćby wrócić do staroświeckiego Klemensa Junoszy. Przezwyciężał się jednak, i znów brał jakiś gruby tom, o schludnych, rzadko czytanych kartach, zasługując sobie na cichy podziw piegowatej panny. Podtrzymywała go w tej lekturze niespokojna ciekawość i szczególny rodzaj złośliwości, z jaką teraz przyjmował wszystko co mogło się przyczynić do pognębienia wiary.

W osobnym kajecie robił notatki, które wciąż odczytywał aby je utrwalić w pamięci. Mieszały się tam z sobą sprzeczności dostrzeżone w ewangeljach, kłopotliwe analogje obrzędów pogańskich z chrześcijańskiemi, fakty historyczne nie dające się pogodzić z tradycją Kościoła, nierozstrzygnięte pytania. „Skąd wiemy o upadku aniołów, skoro o tem nie wspomina się w Piśmie św.?"

— „Znamy tylko trzy lata z życia Chrystusa. Cała jego młodość, do trzydziestego roku, jest nieznana". To zaprowadziło go do apokryfów, był zdumiony odkryciem tej jarmarcznej literatury, ale, porobiwszy z niej wypisy, zakończył takiemi słowami: „Przez jaką protekcję czy przypadek cztery ewangelje stały się kanoniczne?" Raz po raz osaczała go puszcza herezyj, która wyrosła w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Jak wytłumaczyć, że ludzie, bliscy czasom i miejscom ewangelicznym, przedstawiali każdą rzecz inaczej i byli gotowi ponieść za swoje przekonanie śmierć i męki, co Dogmatyka uważa za wysoką próbę prawdy? Do XI wieku w Betanji przetrwali Ebjonici, którzy utrzymywali, że wśród nich żyją potomkowie Jezusa!

Kupiwszy tanie wydanie Nowego Testamentu, nie rozstawał się z niem przy lekturze dzieł krytycznych, doglądając pilnie cytatów. Pierwszy rozdział ewangelji Łukasza jest późniejszą wstawką mesjanistyczną o cudownem narodzeniu z dziewicy, nieznanem Mateuszowi. Krzyż, na którym wieszano skazańców, był prostym słupem (po grecku: stauros) i nie miał nic wspólnego z symbolicznym kształtem, pojawiającym się na wiele wieków przed Chrystusem w rozmaitych religjach. Mitra — Sol Invictus — rodzi się dnia 25 grudnia. Maleńki Dionysos kołysze się co rok w jasłach przy śpiewie kapłanów delfickich. Hathor z dzieciątkiem Horusem ucieka do Egiptu przed pościgiem Seta, na osiołku; ilustracja tego mitu, powtórzona z fresku pompejańskiego, z aureolą dokoła głowy bogini, wydała mu się aż nieprawdopodobna. Kiedy urodził się Kriszna, zły król Kansa kazał wymordować wszystkie niemowlęta w kraju. Czy Herod mógł sobie na to pozwolić bez zgody prokuratora rzymskiego?

Sielanka Renana przypominała się już teraz jak bajka, zasłyszana w dzieciństwie. Zastąpił już smutny obraz kraju, pozbawionego wolności, na niskim stopniu cywlizacji, bez sztuki i nauki, bez żadnych aspiracji umysłowych, fanatycznego i niedorzecznego, którego wielkorządctwo mogło się wydać wygnaniem dla oświeconego Rzymianina. Teofil nabrał wielkiej sympatji dla Piłata. Szukając wiadomości o nim zabłąkał się aż do „Wojny Żydowskiej" Józefa Flawjusza, aby w niej znaleźć kilkanaście zdań, wreszcie w zbiorze nowel Anatola France'a przeczytał „Prokuratora Judei", który go napełnił przenikliwą rozkoszą. Oto należyta perspektywa zdarzeń! oto wiarogodne odczucie czasów i ludzi!

Niemojewskiego „Bóg Jezus" znużył Teofila, mity astralne wydały mu się naciągane i niedorzeczne. Tak samo zraził się do krytyki biblijnej w guście niemieckim, gdzie dla jednego rozdziału Genesis wynajdywano paru autorów, krajano tekst na co raz węższe paski i gdzie wcześniejsze i późniejsze redakcje oraz interpolacje wikłały się w nierozwiązalne supły. Uznał to za zbyteczne, nawet szkodliwe. Jeśliby miał dalej czytać takie książki, mogłoby się zdarzyć że któregoś dnia zapragnąłby uwierzyć w jednolitą autentyczność Biblji, z samego zmęczenia tą wyrafinowaną i zawiłą podejrzliwością.

W swym grubym ceratowym kajecie notował najskrzętniej poglądy ojców kościoła różniące się między sobą lub niedające się pogodzić z obecną wiarą. Św. Augustyn zapytuje czy duchy powietrzne mogą się ucieleśniać do tego stopnia, aby mieć sprawę z kobietami, i podziela wiarę, że duchy leśne lub polne bywają inkubami. Przy tej notatce napisal: „De civitate Dei XV, 22. Sprawdzić!" Ale zaraz przyszła mu refleksja: „Dlaczego dziś Kościół nie zajmuje się wypędzaniem demonów z ludzi? Chyba nie dlatego, że przestał w nie wierzyć, tylko że ta wiara jest tak okropnie niepopularna. Nie robi się z niej użytku, ale niepodobna się jej wyrzec bez ujmy dla ewangelji". Notując niektóre drastyczne cytaty, zaopatrywał je zawsze w dokładne uwagi o źródłach, aby nie dać się schwycić w pułapkę. Zdarzały się bowiem rzeczy wręcz nie do wiary. Cerynt i Pappias zapewniają, że cielesne królowanie Chrystusa, po ponownem przyjściu trwać będzie 2,000 lat, a Laktancjusz twierdzi, że sprawiedliwi spłodzą wtedy niezliczone potomstwo. Ewangeliści i św. Paweł spodziewali się ponownego przyjścia Zbawiciela jeszcze za swojego życia.

Z różnych wzmianek zaczerpnął Teofil pierwszych wiadomości o gorszących kartach w historji kościoła, zebrał nie bez trudu jeszcze trochę szczegółów o Marozji, Janie XII, wreszcie „Leonardo da Vinci" Mereżkowskiego nasycił go rozpustną i krwiożerczą atmosferą życia Borgiów. Mimowolnie wymknęło mu się o tem jakieś słowo, gdy odprowadzał ojca na stację.

— Cóż tu się dziwić — rzekł radca — papież jest człowiekiem.

— Ale mówimy o nim: ojciec święty.

Radca zaśmiał się:

— A ja nazywam namiestnika ekscelencją, czyli doskonałością. Możesz mi wierzyć, że nie biorę tego dosłownie.

— Namiestnik jest zastępcą cesarza, który jest człowiekiem, a papież jest zastępcą Boga.

— Racja, i powinien o tem pamiętać, bo zda rachunek przed Bogiem.

— Ale, zanim to nastąpi, rządzi Kościołem, wydaje dekrety, jest nieomylny. Czy można przyznać nieomylność człowiekowi bez czci i wiary?

— Jeśli się w tem należycie orjentuję, nieomylność papieża dotyczy dogmatów, i trzebaby zapytać jakiegoś teologa, czy źli papieże naruszali w swych postanowieniach dogmaty. Jestem przekonany, że Bóg potrafi utrzymać ich na drodze swych celów, choćby nie wiem jak byli występni.

— W jaki sposób?

— Bardzo prosty, jeśli się tak wolno wyrazić. Zsyła im natchnienie, obdarza ich objawieniem, gdy mają coś postanowić w sprawach wiary.

— Pocóż takich ludzi wybiera dla tak świętych celów?

— A któż zna zamiary Boże? — Grodzicki szedł chwilę w milczeniu, poczem: — Leon XIII — rzekł — otworzył archiwa Watykanu dla uczonych wszystkich krajów, wyznań i przekonań. Powiedział, że Kościół nie boi się prawdy, i miał rację. Pomyśl, mój mały, co to za wzniosła rzecz ta ciągłość i jednolitość Kościoła katolickiego! Nie zdołała jej naruszyć rozpusta i chciwość, żądza władzy i krwiożerczość, wszelkie występki jakie się zdarzały w jego historji. Ileż to powstało herezji, ile sekt, a Kościół katolicki wśród tego dzikiego lasu szedł niezachwianie swą ścieżką, i ani na jotę nie odstąpił od swoich trudnych artykułów wiary. Mnie się zdaje, że trzeba to przypisać temu, że w Kościele istnieje zawsze ten sam ładunek świętości, niemniejszy, tylko inaczej rozmieszczony, w czasach Borgiów co i w katakumbach.

Zapaliwszy w drodze powrotnej latarkę, Teofil szedł przez ciemny las pośród widm katakumbowych. Był z niemi na najgorszej stopie. Sienkiewicz mu obrzydł, w swoim egzemplarzu „Quo vadis?“ wkleił kartkę z parodją tej sceny, gdzie Piotr Apostoł przypatruje się wjazdowi Nerona do Ancjum. Opisywał w niej wyuzdaną procesję Aleksandra VI, której przygląda się Savonarola. Mnich stoi tak samo na jakimś kamieniu przydrożnym, tak samo wzrok jego krzyżuje się ze spojrzeniem papieża i wypowiada te same słowa: „Boże, Boże, komuż to oddałeś rządy nad chrześcijańskim

światem?“ Powinno się napisać książkę o Neronie, gdzie wszystko byłoby inaczej: chrześcijanie spalili Rzym z nienawiści do pogaństwa i aby przyspieszyć oznaki końca świata, zapowiedziane w Apokalipsie. Nie mówiłoby się tam oczywiście o św. Piotrze, który nigdy nie był w Rzymie.

Nagle błysnęło, nad lasem przetoczył się huk gromu. Następna błyskawica rozwidniła niebo, wzdęte chmurami. Teofil zaczął iść prędzej, ale nie porzucał swych myśli, które w zuchwałej gonitwie rozproszyły się po wszystkich dręczących go kwestjach. Aby je mocniej przytrzymać, powtarzał je półgłosem w urywanych zdaniach. Każde było bluźnierstwem, szalone grzeszne słowa kusiły pioruny, które gdzieś daleko raz po raz biły w niewinne drzewa. Teofil czuł niesamowitą rozkosz w tej walce zuchwałości i lęku, która w nim wrzała. Napozór walka była nierówna: wszystkie władze umysłu sprzyjały przekonaniu, że niema żadnego związku między elektrycznym ładunkiem chmur a natrząsaniem się ze starych legend, równie bezbronnych wobec praw kosmicznych, jak wszelkie inne mity, a tylko na samym spodzie, pod tą wspaniałą manifestacją rozumu, czaiła się niepewność, znikomy czerw. Ale za lada rozluźnieniem uwagi, wśród chwilowej a nagłej ciszy między dwiema myślami, serce chwytał dotkliwy mrożący uścisk trwogi. Wtedy Teofil skupiał się w sobie, sprężał i jednym skokiem wyrywał się z narastającego w nim mroku.

Już deszcz bił go po twarzy, już buciki ciążyły od mokrego piasku, świeca w latarce skwierczała od kropli dżdżu, które wiatr wciskał przez dymnik. Zziajany, ociekający wodą, wpadł do willi. Służąca krzyknęła na jego widok. Matka, już w szlafroku i w czepku nocnym, stała na środku przechodniego pokoju. Gdy Teofil wszedł, podniosła wgórę lampę, którą trzymała w lewej ręce. W jej świetle zobaczyła twarz syna, skurczoną i dziwnie zmiętą, z płonącemi oczyma; kąty ust drżały, dźwigając ogromny wysiłek uśmiechu. Nieświadomie, dziedzicznym odruchem obrony przed siłą nieczystą, uczyniła znak krzyża.

X.

Teofil towarzyszył ojcu podczas przeprowadzki, gdy radca rozpoczął wreszcie urlop. Niósł małą i lekką walizeczkę, targując się po drodze o skórzaną torbę podróżną, którą ojciec przekładał z ręki do ręki. Pod żandarmerją mieli wsiąść do tramwaju.

— Ukłonimy się tej tłustej pani, która idzie naprzeciw — rzekł ojciec. .

— Kto to jest?

Nie było już czasu na odpowiedź, Teofil, zdejmując czapkę, ujrzał o krok przed sobą grubą babę o czerwonej spotniałej twarzy, w nieprawdopodobnym kapeluszu, na którym piętrzyły się pióra, kwiaty i chyba jakieś szklane owoce. Odwróciła się ku nim zamaszyście, jakby ich chciała zatrzymać, ale radca przeszedł, udając, że tego nie widzi.

— To Fajtowa — szepnął.

Teofil obejrzał się ostrożnie. Fajtowa maszerowała ociężale, kołysząc się i podtrzymując w garści spódnicę, której ogon potrącał mgiełkę kurzu na chodniku.

— Skąd tatko ją zna?

— Spotkałem ją raz u Pańci. Jedna Pańcia ma sposoby na obłaskawienie takich stworów. Rozumie się, że i Pańcia nie zaprosi jej razem z innymi gośćmi, ale ma tam z nią jakieś konszachty. Nie chcę o niej nic złego powiedzieć, każdy wygląda jak go Pan Bóg stworzył.

W tramwaju Teofil nie odzywał się; wychylony przez okno, patrzył na ulicę. „Matka Aliny". Połączenie tych wyrazów przejęło go zgrozą.

— Alina jest z Piekarskimi w Lubieniu — rzekł ojciec, wysiadając przed dworcem.

Teofil przyjął tę wiadomość obojętnie.

Cały dzień spędził z ojcem, dziwiąc się niemal przyjemności, jaką mu sprawiało przeplatanie swych szkolnych opowiadań ze zdarzeniami w kancelarjach Namiestnictwa. Radca mówił z humorem, jak zawsze, gdy ukazywał w domu rąbek swego urzędowego życia, i Teofila otaczała atmosfera niby jakiejś starszej szkoły. Tak samo skrzypiały tam pióra, szeleściły papiery, pochyleni nad niemi szpakowaci panowie tak samo niecierpliwie patrzyli na zegarki, rozwijali bułki ze szynką, obgadywali przełożonych, albo milczeli, zapatrzeni w otwarte okna, przez które widziało się czuby kasztanów na jasnem niebie. Miało ono ten sam kolor co mundur generalski cesarza, i wręcz wpraszało się do tego porównania przez bliskość jesiennych awansów. Teofil podsycał werwę ojca, rozpytując o rangi; pociągała go zresztą ta drabina tajemnicza,

której dwie trzecie zdobywało się talentem, pracą i zasługą, a sam szczyt można było osiągnąć, wsparłszy się na tytułach, majątkach i przodkach.

— Wcale się nie dziwię, że przychodzą ci takie myśli — mó=wił radca. — Masz to po dziadku, który bywał na najwyższych szczeblach, coprawda drabiny murarskiej.

Matka wróciła nazajutrz, około południa. Była z pielgrzymką w Milatynie, u cudownego Pana Jezusa. Przyniosła ze sobą pod=niecające tętno dwóch dni, spędzonych w ścisku wagonów, na furach chłopskich obijających się po kamienistych drogach, w kar=czmach pachnących anyżówką, w izbach szkolnych przemienio=nych na gospody, gdzie na rozłożonych po podłodze siennikach nocowało kilkadziesiąt kobiet. W jej podniesionym głosie trwało jeszcze echo olbrzymich tłumów, po których trawniki przed ko=ściołem zmieniały się jakby w skopaną ziemię, na jej policzkach nie pogasły jeszcze rumieńce ekstazy, wargi były nabrzmiałe od modlitw i śpiewów, czoło smagłe od słońca. Przywiozła kilka obrazków, parę różańców, pierniki w kształcie serca. Kładąc je na stole, zamilkła nagle i spojrzała uważnie na syna. Ze wszyst=kich przedmiotów, które wydobyła z torby, wybrał on tylko pier=nik i zaczął nożem oskrobywać ornament z różowego lukru. Wte=dy odrazu zapadł w niej zmierzch, wiedziała, że Bóg nie wysłu=chał jej prośby.

— Ufam ci i wierzę, że nie mówiłeś z ojcem, wiesz o czem — powiedziała, gdy radca po obiedzie poszedł do swego pokoju.

— Może mama być spokojna.

Szanował narzuconą sobie tajemnicę aż do najdalszych ustępstw. Co niedziela towarzyszył rodzicom do leśnego kościoł=ka, dając się dopiero w ostatniej chwili odepchnąć tłumowi, który cisnął się u wejścia. Pozostawał jednak do końca nabożeństwa w gromadzie starszych panów wachlujących się kapeluszami „pa=nama“ i ich żon stłoczonych na paru wąskich ławkach, które były posiekane miłosnemi napisami. Z głębi kościoła słyszało się od czasu do czasu głos księdza, z zachowania się tych co stali u drzwi odgadywało się bieg mszy, wreszcie dzwonki ministranta wydo=bywały z kieszeni i torebek chusteczki, które rozścielano na piasku szorstkim od igliwia. Teofil stał, ponad głowami klęczących wi=dział księdza podnoszącego kielich ku żółtym świecom, i pomimo najlepszej woli nie umiał się przymusić do myśli, że ten świetlisty

rytuał ma być ostatecznym szczątkiem krwawych ofiar ludzkich z barbarzyńskiej przeszłości. Ten skromny sprzeciw wobec racjonalizmu poczytałaby matka za swój tryumf, gdyż i ta msza, jak wiele innych, była na intencję Teofila. Nie wiedział o tem, że od kilku tygodni jego imię wspominane jest tuż po imionach papieża i arcybiskupa. „Memento, Domine, famuli tui, Theophili“ — mówił ksiądz szeptem, który tylko Bóg mógł słyszeć, i nie znając właściwej przyczyny modłów, powtarzał formułę: „którego wiara Ci wiadoma, a pobożność znana“.

Teofil utracił dotychczasową swobodę. Wycieczki do Lwowa po nowe książki ustały, zanosiło się na to, że ostatnia, którą wziął z czytelni, musi mu wystarczyć do końca wakacyj. Na szczęście, była ona tego rodzaju, że czytało się ją powoli, każda stronica wymagała dokładnego przemyślenia. Dawida Fryderyka Straussa „Stara i nowa wiara“ wnosiła pewien ład w namiętne i chaotyczne poglądy Teofila. Doniedawna żył jakby wśród rumowisk, wciąż jeszcze dość znacznych aby z nich sklecić bodaj lepiankę dla nieuśmierzonych sentymentów, teraz zaś przyszła pora na ich całkowite uprzątnięcie. Strauss mówił o wszystkiem z chłodną rozwagą, nie obruszał się, nie srożył, poprostu wymiatał stare, zbyteczne przesądy.

Teofil wykradał się na godzinę lektury, gdy ojciec spał po obiedzie, i szedł aż do wsi, gdzie znalazł sobie miejsce zupełnie bezpieczne nad potokiem, rozlanym wśród olch i nieużytków. Czytając po kilka razy te same zdania, zamyślał się nad niemi, póki nie uwiodła go błękitna ważka albo pliszka skacząca po kamykach nawodnych. Owad, ptak, woda narzucały się jako cząstki tej tajemnicy, która pożarła dawny obraz świata, stworzonego w sześciu dniach. Było jednak o wiele łatwiej burzyć się na myśl o naiwnej kosmogonji biblijnej niż wyrzekłszy się Stwórcy pozostawić jego dzieło nieuchwytnym dłoniom przypadku. Ze spisu rzeczy można się było domyśleć, że Strauss postara się rozproszyć ów niepokój, ale Teofil szedł uczciwie od pierwszych rozdziałów, niczego nie opuszczając.

Doskwierała mu zależność od pogody, która się nagle popsuła. Ledwo uszedł parę kroków, deszcz zapędzał go spowrotem do willi. Słońce ukazywało się razem z ojcem, który, wypoczęty, w białych spodniach i czarnej alpagowej marynarce, podawał Teofilowi koszyk na grzyby.

— Wyborna rzecz te piaski brzuchowickie — mówił radca.— Dopiero co była ulewa, a tu już sucho.

W powietrzu pachniało wonną wilgocią lasów, po szpilkach i liściach wieszały się czarujące świetliste krople, chmury, pędzone wiatrem, szły w inne strony nieba. Za powrotem Grodziccy nakładali drogi, aby zajść na stację po gazety. Któregoś dnia radca, przejrzawszy je prędko, zamyślił się na chwilę:

— Trzeba mi będzie na jutro spakować rzeczy, Zosiu.

— Co się stało?

— Z tego co piszą widać, że zanosi się na wielkie powodzie. Myślę, że będę potrzebny w Namiestnictwie.

— Ależ dopiero zacząłeś urlop. Ktoś cię tam zastąpi.

— Nie licz na to, kochanie.

Po ostatnich słowach nie było dyskusji. Wypowiedziane krótko i sucho, ukazywały radcę w tej postaci, w jakiej dom prawie go nie znał, a jaka natomiast była nieobca wszystkim, którzy mieli coś do czynienia w gmachu na Wałach Gubernatorskich. Ten człowiek posiadał dwie natury, niby dwa ubrania na zmianę. Jedna, surowa i dokładna, służyła mu od dwudziestu lat w godzinach urzędowych, kiedy można ją było podziwiać w przeróżnych okolicznościach dających sposobność do okazania cierpliwości, przytomności umysłu, decyzji, godności w posłuszeństwie i trafności w rozkazach. Zostawiał ją w biurze i wychodząc na ulicę odpowiadał na ukłon portjera z uśmiechem, który już należał do ozdób jego cywilnego stroju.

Tak jak starał się nie przynosić do domu żadnych „kawałków urzędowych", tak samo nie wtajemniczał swej rodziny w ów ascetyczny i pracowity byt, od którego wyswobadzał się w życiu prywatnem z nieporównaną zręcznością. Dobroduszny, żartobliwy, uległy we wszelkich drobnostkach, mógłby uchodzić za safandułę, gdy naprzykład zatrzymywał się na ulicy, po wyjściu z domu, i zaczynał się radzić żony czy nie rozsądniej byłoby wrócić po parasol. Jeśli zdarzało mu się wpaść w gniew, do czego po śmierci matki, zrzędnej i dokuczliwej staruszki, syn najczęściej dawał powód, to była to tak zwana „irytacja", krzykliwe mieszczańskie hałasowanie, z czerwonemi policzkami i drżeniem rąk, które żona z łatwością uśmierzała swym łagodnym przytłumionym głosem: „Przestań, Biniu, bo sobie zaszkodzisz". Nie poja=

wiało się tu nigdy owo ostre, zimne spojrzenie, które parę razy w ciągu karjery radcy padło jak grom na jego podwładnych.

Teofil wraz z matką odprowadził nazajutrz ojca do wczesnego rannego pociągu. Dostał na pożegnanie szeroki uścisk miłej pulchnej dłoni, która wyswobodziła się z jego palców, zanim zdążył ją pocałować: — ojciec pomagał matce wejść do wagonu. Tak zawsze wchodziła z nim do przedziału, aby bez świadków zarzucić mu ręce na szyję. Gdy pociąg ruszył, radca wychylił się jeszcze przez okno:

— Jeśli na wieczór nie wrócę, to znaczy, że zostaję we Lwowie.

— Przyjadę jutro do ciebie — mówiła Grodzicka, idąc za pociągiem.

— Dobrze. Gdybym wyjechał, zostawię ci kartkę na stole.

Ale nazajutrz w południowych gazetach była już wiadomość o różnych zarządzeniach Namiestnictwa w związku z powodzią, a także wzmianka, że st. radca Albin Grodzicki wyjechał na inspekcję terenów, które najbardziej ucierpiały.

Teofil przyjął ten obrót rzeczy, jako nowy okres swobody. Czekał go jednak ciężki zawód. Strauss, pozostawiony na parę dni w dziupli starej wierzby, uległ straszliwemu zniszczeniu. Leżał bowiem nie już w wodzie, ale w okropnej błotnistej galarecie z rozmokłego mchu i próchna. Nie pomogło suszenie na słońcu. Okładka wypaczyła się haniebnie, kartki wylatywały, strzępiły się w palcach, wstrętne zgnile plamy pokrywały stronice, z takim zapałem tłomaczone przez Izę Moszczeńską. Katastrofa narażała Teofila na stratę kaucji i zaufania w czytelni, a jednocześnie pozbawiała go książek na resztę wakacyj. Rozgoryczony, cisnął tego papierowego trupa do potoku. Spadł w najgłębszem miejscu, pod mostem, płosząc raki i czyniąc chwilowy zamęt w ruchomym słupie komarów, który piął się od wody ku zbutwiałym belkom.

Zostawszy bez przewodnika, Teofil znacznie mniej troszczył się o kosmos i znów, jak za dawnych czasów, w naiwnem uniesieniu oddał się bałwochwalstwu ziemi. W starym mundurku i w najgorszych spodniach, zaszywał się w las, w sobie tylko znane gąszcza młodych grabów, gdzie pachniało zwiędłemi liśćmi, które chrzęszczały pod nogami; albo wśród małych świerczków wynajdywał pień jakiegoś dawno ściętego starucha i przesiadywał na nim parę godzin w żywicznym upale, zahipnotyzowany krzątaniną mrowiska; albo wspinał się na wysoką sosnę i gdzieś

pod samym szczytem rozsiadał się w konarach jak w fotelu, kołysany podmuchami wiatru.

Wracał na obiad głodny, z igliwiem we włosach, coraz ciemniejszy od słońca, które paląc mu skórę zdawało się jednocześnie rozpromieniać oczy. Mówił rzeczy nieprawdopodobne:

— Trzeba pamiętać, że żyjemy na ciele niebieskiem, które obraca się i pędzi w przestworzach.

Z tem zdaniem (własnem czy cudzem?) zasiadał codzień do stołu, — smarkacz, który nie uznawał pacierza. „Czyż tak mógłby wyglądać chłopiec, którego Bóg opuścił?“ — myślała matka, zachwycona tym żywym ogniem i zdumiona, że go wydała na świat.

Na kolację spóźniał się. Zatrzymywała go w drodze tajemnicza pora, w której jest jeszcze nieco światła po zagasłym dniu, ale wszystko już nasiąka nocą, chłodną, cierpką, wilgotną od rosy. Wtedy na łąkach podnoszą się mgły, a z kominów chat białawe dymy pachnące sośniną i jałowcem. Pierwsze gwiazdy toną w duszy młodego człowieka jak w górskiem jeziorze.

XI

Jakby duchy nawiedziły gimnazjum, słychać w niem było hałasy, łoskot przewracanych ławek, późnym wieczorem światła zapalały się i gasły w różnych częściach budynku. To starszy tercjan, Michał, robił wielkie porządki, tracąc po parę funtów dziennie ze swej wakacyjnej tuszy. Jeszcze gorzej działo się dwom pomocnikom, którzy jak mdłe cienie przelatywali w wichurze jego krzyków. Wysłużony wachmistrz, certyfikatysta, bił w nich kasarnianem słowem jak pięścią, która też była nie od parady.

Gimnazjum odświeżało się gwałtownie, gubiąc po drodze jakiś kruchy drobiazg: kafel ze szczytu pieca albo doniczkę sprzed ołtarzyka. (Bywały takie ołtarzyki w klasach jednolicie rzymsko-katolickich, klasy mieszane — z Rusinami i Żydami — poprzestawały na zwyczajnym krzyżu). Niekiedy brzęk szkła oznajmiał, że znów spadł jakiś obraz, który starszy tercjan odstawiał, aby go dać do naprawy, ale zawsze zapominało się o tem, i z każdym rokiem ubywało coś z bogactwa sztuki antycznej, którem ongi przyozdobił korytarze profesor Rudnicki w zaraniu swej suplentury. Gabinety — fizykalny, przyrodniczy, archeologiczny —

sprzątała pani tercjanowa, słynna z delikatnej ręki. Aby nie uchybić swej sławie, zachowywała się tak jakby sama jej obecność mogła odpędzić kurz, który siwą czapą okrył głowę Homera i wytępić mole, które już ostatecznie dogryzały parę okazów fauny krajowej.

Powakacyjne porządki, pomimo gwałtownych pozorów, nie odbierały zakładowi tej ilości pajęczyn i pyłu, której właśnie trzeba, aby odnaleźć „starą budę“ w znajomym i poufałym kształcie. Nauczyciele, wchodząc do gimnazjum, ogarniali przyjaznem spojrzeniem ten zbiór wiernych rzeczy, i tak samo jak uraziłby ich nowy układ obrazów lub niespodziany kolor ścian, odsunęliby ze zgorszeniem myśl, że należy coś zmienić w zakresie idej i faktów, z których składała się ich wiedza.

Zbudowana jak sam gmach w końcu XIX wieku, nie doznała od tej pory żadnych przeróbek, tak dalece wydawała się solidna i godna zaufania. Opierała się na ziemi, której bieg w przestworzach regulowały niezłomne prawa mechaniki, a której powierzchnia zdradziła chyba swe wszystkie tajemnice podróżnikom, okrętom i kolejom; nakształt cementu spajała ją materja, zwarta i ścisła w swych niepodzielnych atomach, zamkniętych w tablicy pierwiastków Mendelejewa jak anioły w niewzruszonych hierarchjach; panował w niej równy spokojny ład, który z mgławic odwija systemy słoneczne i który pchnął kiedyś pierwszą komórkę w tor życia.

Gmach zakładu, w swej architekturze, miał pewne podobieństwo do wiedzy wyznawanej w jego murach. Przejrzysty rozkład sal i korytarzy, bez mrocznych zakamarków, dobrze osadzona klatka schodowa, szeroka i jasna, całość w zwięzłym czworoboku, który wydawał się wyższy i bardziej monumentalny niż był w istocie, pewien arystokratyzm w odosobnieniu poza sztachetami zamykającemi ogród i boisko, zdala od obcych murów, ślepe okna w dwóch rogach, zachodnim i wschodnim, skąd przychodzą najrychlej dokuczliwe przeciągi — czyż nie był to właściwy kształt dla ducha wypoczywającego wśród osiągniętych celów?...

Teofil nie widział tego podobieństwa. Przeżył, jak w ubiegłych latach, radosne i hałaśliwe oszołomienie pierwszego dnia nowego roku, stojąc pod gimnazjum na dobry kwadrans przed otwarciem bramy i witając się z kolegami, którzy z zazdrością źle

maskowaną śmiechem podziwiali jego twarz ogorzałą, cień wąsów i jakby już męską twardość spojrzenia. Z przyjemnością położył dłoń na poręczy schodów po której kiedyś zjeżdżał, przywitał uśmiechem wizerunki królów polskich, przez uchylone drzwi sali konferencyjnej zaleciał go dym papierosów, kran wodociągu na korytarzu jak zawsze nie domykał się i cienka strużka wody bębniła o muszlę, sznurek od dzwonka wisiał nieruchomo. Wszystko było takie jakie powinno być, znajome i trochę zapomniane, stare i wiecznie nowe, pokryte warstwami wspomnień i pełne niespodzianek, — dziwny gmach, drugi po własnym domu w hierarchji miłości!

Jeśliby szukał dlań porównania, powiedziałby, że jest jak tajemnicza szkatuła, w której co rok otwiera się nowa skrytka. Znał już ich sześć, z gorącą ciekawością oczekiwał siódmej. Czyż nie będzie w niej nic więcej oprócz stosu podręczników i kajetów, dwóch świadectw, skrzypienia kredy po tablicy, rannego wstawania i zapachu lampy gaszonej przed spaniem? Czemże się wypełni ćwierć miljarda sekund, biegnących wśród blasków i słot jesieni, wśród białych i szarych dni zimowych, w podmuchach przedwiośnia i w pachnącem nabrzmiewaniu lata? Na myśl o tem krok jego zwolniał, schody stały się strome. Zaciężyła w nim przyszłość, która — przeczuwał — będzie zależna od niego w takim stopniu, jak nigdy przedtem.

Klasa VII-A mieściła się na drugiem piętrze, i Teofil zauważył, że znów ubyło nieco przestrzeni. Sala była mniejsza od zeszłorocznej, która też w swoim czasie wydała mu się niewielka. Było to uzasadnione, gdyż z każdym rokiem malała liczba uczniów, nie chciało się już wierzyć, że kiedyś, przed siedmiu laty, siedział pośród dziewięćdziesięciu kolegów. Zostało z nich zaledwie sześciu i to nie z tych, którychby się pragnęło zatrzymać, drugie tyle pochodziło z późniejszych lat, reszta znalazła się dopiero przy tych świeżych pulpitach; byli to albo repetenci albo nieznani przybysze. Zwiększali obcość tych czterech ścian, które same przez się nie budziły rozradowania. Zamiast tablicy na sztalugach, poczciwego starego gruchota, który trząsł się pod naciskiem kredy i walił się z łoskotem na każdej pauzie, była tablica ścienna, do podsuwania wgórę, groźna i złowróżbna jak nieznane narzędzie tortur. Nad nią wisiał krzyż, a na lewo od niego, w stronę okna,

jedyny obraz, trójbarwny oleodruk, przedstawiający świątynię w Paestum na tle smutnego pustynnego krajobrazu.

Teofil zajął swe ulubione miejsce w trzecim rzędzie od strony drzwi, ale zajrzawszy pod ławkę spostrzegł, że leży tam czyjaś czapka i gruby zeszyt w ceratowej okładce. Bez wahania przeniósł je na lewą stronę. Ich właściciel nadszedł niebawem. Był to mały chuderlawy chłopiec, który udając zmartwienie westchnął:

— Nie zasiądziesz, Sebastjanie, na prawicy.

To było rzeczywiście jego imię, a nazwisko: Siwak; przyszedł z Chyrowa. Teofil przyjął go chłodno. Miał pogardę dla Chyrowiaków, którą we wszystkich gimnazjach państwowych dziedziczyło się z pokolenia na pokolenie.

— Wylali mnie — pochwalił się Siwak.

Wszedł gospodarz klasy, aby podyktować tymczasowy podział godzin na dwa dni. Teofil wyjął nowiutki notes w skórkowej oprawie, ze złoconemi brzegami — dar Pańci — i zachwycający ołówek, czarny z czerwoną główką, który sam sobie kupił. Te wykwintne przedmioty sprawiły wrażenie.

— Czem jest twój stary? — szepnął Siwak.

— Radcą Namiestnictwa.

— To co, jak mój, który jest w Wydziale Krajowym.

Teofil uśmiechnął się. Jaką minę miałby w tej chwili ojciec, który tak lekceważył Wydział Krajowy! Szkoda, że tego nie słyszy. Lecz ojciec wysłuchał w tej chwili rzeczy o wiele przyjemniejszych i Teofil mógłby pożałować, że nie widział jego twarzy, gdy zamknęły się za nim wysokie białolakierowane drzwi z klamką w kształcie orlej łapy trzymającą w szponach złote jabłko.

Wyszedłszy od namiestnika, Albin Grodzicki nie wrócił do swojej kancelarji; zbiegł niemal po schodach i znalazł się na ulicy, zanim zdążył sobie uświadomić, że jest bez kapelusza. „Mniejsza z tem!". Włożył ręce w kieszenie spodni, co dało mu poczucie swobody i lekkości dawnych czasów, gdy tak oto „wypadał na sekundę" z biura po papierosy. Schodząc w ulicę Ruską, widział zdaleka sklepik w którym je kupował. Czarno-żółte pasy trafiki rozrzewniły go tak samo jak wszystkie znajome szyldy dookoła, jakośniedziały portal Wołoskiej cerkwi, jak wreszcie i kamienne płyty trotuaru, nierówne, wydeptane, odskakujące od siebie, — na wszystkiem oko spoczywało ze wzruszeniem, wszystko było

cząstką tego jedynego w świecie zbioru rzeczy: miasta o niewysłowionym uroku.

Ratusz cisnął w pogodne wrześniowe niebo jeden głuchy dźwięk, na czarnej tarczy zegarowej strzałki złote od słońca wskazywały kwadrans na dziesiątą. Grodzicki przyspieszył kroku, zaniepokojony, że żona mogła już być w drodze do domu.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz byl w rynku o tej porze, chyba jeszcze jako mały chłopiec z matką. Nic się nie zmieniło. W tem samem miejscu, pod studnią Diany, stały stragany z garnkami, tak samo pachniały świeżem pieczywem budy piekarzy i wróble polatywały nad workami krup. W porządku oddziedziczonym zapewne z bardzo dawnych czasów, strefa nabiału rozciągała się aż do studni Meleagra, który z urażoną dystynkcją odwracał się od koszów jaj i konwi mleka. Grodzicki zobaczył żonę w uliczce drobiu, gdzie kury hałasowały w kojcach, tuczone kaczki wisiały na hakach, gospodynie dmuchały w gęsie kupry, aby sprawdzić pod upierzeniem zawartość ich tłuszczu.

Grodzicki posuwał się wolno w trop za żoną. Oto raz wreszcie będzie obecny przy tym obrzędzie, o którym tyle mówiło się codziennie. Chciałby wiedzieć gdzie tu przebywa stary Józef z Sokolnik, któremu zawsze można zaufać we względzie świeżego masła albo podstępna Walentyna z Nowosiółek, od której już nie weźmie się w tym roku kartofli na zimę. Ale widział przed sobą tylko hałaśliwe rojowisko, w którem trudno się było poruszać.

Pani Zofja zatrzymywała się przy budach, pochylała się nad straganami, odpowiadała na pozdrowienia i ukłony któremi ją witano. Czasem wołano za nią, odwracała się z uśmiechem i rzucała parę słów starym znajomym. Jej droga szła w zawiłych meandrach jak droga pszczoły szukającej pokarmu. Pod arkadami kupiła bukiet astrów, w stojącym obok koszu chwyciła garść ziemi ogrodowej, przesiała ją przez palce, zapytała o cenę i poszła dalej. Grodzicki dziwił się jej ruchom, tak powabnym i godnym.

Weszła w zatokę jarzyn, która wielobarwnem półkolem okrążała znaczną część rynku. Nie mógł już teraz za nią nadążyć, te rozkwitłe fale, przez które niosła się tak spokojnie, osaczały go groźnym zalewem. Potrącał ludzi, parę razy zrzucił wiązkę marchwi, nadeptał główkę kapusty, wreszcie zaplątał się w stosy warzyw rozłożone na ziemi, i oszołomiony narzekaniami bab za każdym krokiem szerzył większe spustoszenie. Jak we śnie rósł przed

nim ogród nie do przebrnięcia. Buraki, dynie, ogórki piętrzyły się górami i opadały w zielone brózdy jabłek i gruszek, które ciągnęły się bez końca.

„Oto gdzie jest sens życia. Beatus ille qui procul negotiis paterna rura bubus exercet suis... Cesarz Dioklecjan porzucił władzę i tron, aby hodować kapustę. Jeśli tak mało znalazł naśladowców, nie świadczy to bynajmniej, że świat zmądrzał od tego czasu. Postęp! cywilizacja! wynalazki! Niechże mi ktoś pokaże wynalazek, któryby dał się porównać z kłosem pszenicy i niech mi powie jakie to mądrzejsze słowa wymyślono od dnia w którym po raz pierwszy zostało powiedziane: Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj?“.

W jednej chwili zmiótł z ziemi wszystkie miasta, fabryki, koleje, parowce, jakby obtarł z kurzu złocisto-niebieski globus, i zatrzymał się aby spojrzeć nań w niemym zachwycie. W następnym momencie już wszystkie lądy zaorał, obsiał, doczekał się urodzajów, wobec których Mezopotamja herodotowa mogłaby się wydać uboga, całą ludzkość rozproszył po chatach dających znać o sobie tylko dymem z kominów tak były zarośnięte sadami, dżungle i puszcza wyglądały jak niezmierne parki, Sahara służyła za piaszczyste boisko, po morzach płynęły żaglówki, a nad brzegiem Oceanu Spokojnego siedzieli rybacy zadumani nad wędkami. Jedna półkula nie wiedziała nic o drugiej i obie nawzajem nie troszczyły się o siebie ;nie było ani gazet, ani pieniędzy, ani praw ani urzędów; ludzie rodzili się i umierali w objęciach ziemi, która nakoniec stała się dla wszystkich matką.

Albin Grodzicki wierzył, że człowiek został ulepiony z gliny ziemskiej i źleby mu się przysłużył ten, ktoby mu dowiódł, że jest w błędzie. Czyż może być szlachetniejszy i bardziej właściwy materjał ponad tę tajemniczą substancję, która potrafi stwarzać dziwy nieskończenie więcej ponętne od urzędników cesarskich, bliskich już okrągłego brzuszka i łysiny? Ziemia! — nie było dwóch zdań, że „miał ją w kościach“, które mimo pół wieku bezmała biurowej pracy trzymały mocno jego kręgosłup. I one się jednak zużyją, ale postara się, aby ich nie zamurowano w grobowcu, nie będzie śmieszny, jak ten tłuścioch Piekarski, który już myśli o solidnem pomieszczeniu dla swoich stu kilogramów żywej wagi. Nie, ma leżeć w ziemi, pulchnej, wilgotnej, świeżej, w tej gliniastej lwowskiej ziemi, która wygląda tak jakby z niej właśnie

Pan Bóg wziął lepisko na Adama, i nawet barwą przypomina ciało ludzkie, rozumie się: zdrowe ogorzałe chłopskie ciało, takie właśnie, jakiem szczycił się niechybnie ród Grodzickich, dopóki jeden z nich nie zamienił pługa na kielnię.

Ileż to pól porasta dawne cmentarze, które najpierw deszcz rozmywał, a wiatr rozrzucał białe piszczele po rowach, aż wreszcie rozsypały się w proch, użyźniając odwieczną ziemię! W dzień zmartwychwstania, jakże nudna i pospolita będzie droga z okutej trumny i spod marmurowych płyt, których czas nie poruszył z miejsca, w porównaniu z zawrotną wędrówką pyłków ludzkich, odrywających się z kwiatów, traw, zbóż, korzeni drzew! Aby wskrzesić ród Grodzickich, zajdą Bóg wie jakie przewroty, w których wyginą lasy, już więcej nie zakwitną, po złocistych łanach zostaną ugory, osowiałe i jałowe, gdy je opuści życiodajny sen ich wiernych stróżów i karmicieli.

Tak, brodząc w szczęściu, Albin Grodzicki zawierał sojusz między życiem a śmiercią, na rynku lwowskim, pod sztandarami jesieni.

— Ta co mi dobrodziej depce gruszki — krzyknęła zniecierpliwiona przekupka.

Przeprosił ją grzecznie i rozejrzał się przytomniej po tym kamiennym świecie, który przed chwilą skazywał na zagładę. Żona gdzieś znikła. Odnalazł ją dopiero pod Neptunem. Rozmawiała ze starą żydówką, w której poznał Torbę, pośredniczkę od służby domowej. Wszystkie dziewczyny, jakie pamiętał, pochodziły od niej, chociaż już nieboszczka matka zarzekała się po sto razy zerwać na zawsze z tą „szachrajką". I teraz stały przy niej dwie dziewczyny w kraciastych chustach, z wielkiemi parasolami pod pachą, z gatunku tych, którym nie oprze się żaden sprzęt w domu, póki go nie stłuką lub nie połamią. Spostrzegłszy męża, Grodzicka pożegnała się z Torbą.

— Chodzę za tobą po całym rynku od pół godziny — rzekł, całując ją w rękę.

Przyjrzała mu się uważnie, z tym odcieniem lęku w oczach, którego nie umiała się pozbyć wobec każdej niespodzianki. Lecz, widząc jego twarz wesołą, zaróżowioną od słońca, zapytała tylko gdzie podział kapelusz.

— Zostawiłem w biurze. Chciałbym właśnie kupić sobie nowy.

Odwróciła się do służącej:

— Kup jeszcze zielone i idź do domu. Zaraz wrócę.

Grodzicki wybrał sobie u Kafki jasnopopielaty melonik, tego samego koloru co żakiet. Wziął żonę pod rękę.

— Co to wszystko znaczy, Biniu?

— Powiem ci u Bisanza, jeśli mi nie odmówisz tej przyjemności żebyśmy razem zjedli śniadanie.

Pani Zofja była oszołomiona: czyżby wygrali los turecki, który od dziewięciu lat bywał źródłem wielkich nadziei w chwilach dobrego humoru? Nie pytała już o nic, było jej dobrze z tą podniecającą niepewnością.

— Otóż, kochanie — Grodzicki pociągnął łyk Pilznera — ledwo przyszedłem do biura, zjawia się u mnie woźny i powiada, że ekscelencja mnie prosi. O tej porze, rozumiesz...

Ach, w tem skrupulatnem opowiadaniu, które drażniło jak powolne rozwijanie drogocennego prezentu, otulonego w kilka warstw papieru, — znajdowało się istotnie coś nie do wiary.

— Czyż to być może, Biniu?

Tak, to prawda. Albin Grodzicki został mianowany Radcą Dworu.

— Piąta ranga. Czy zdajesz sobie sprawę? To jest pierwszy stopień generalski. No, nie płacz, bo jeszcze kto pomyśli, że to scena małżeńska.

Ale w pustym o tej porze lokalu nikt się nimi nie zajmował. Kelnerzy stali przy oknie i patrzyli na maszerujący oddział landwery w kapeluszach z piórkami, który poprzedzała orkiestra. Dziarski rytm marsza zatrzymywał przechodniów i wywabiał z sąsiednich ulic pauprów, którzy hałasując, biegli za orkiestrą. Popularny warjat lwowski, rudy żyd, kroczył poważnie na czele orkiestry, niosąc długi sękaty kij przy ramieniu jak szablę. W restauracji, oprócz Grodzickich, znajdowało się tylko jedno towarzystwo, kilku mężczyzn, przy stole pełnym butelek i naczyń do czarnej kawy. Zmięte twarze mówiły o nocy nieprzespanej w kilku zapewne lokalach. Już się nagadali do syta i teraz milczeli, osowiali, jakby w oczekiwaniu czegoś co nigdy nie miało nadejść.

Grodzicki był żonie wdzięczny za łzy; one i jemu samemu objaśniały szczęście, które go spotkało. To przecież niemała rzecz u syna biednego mularza, który uczył się sylabizować w ciemnej wilgotnej komórce, przy łojówce wetkniętej w szyjkę butelki!

— Niejeden wybiera się w przyszłość czterokonną karetą, a wraca o kiju — rzekł. — Ja wyszedłem na piechotę, w starych połatanych butach...

Szeptem zaczął snuć plany przyszłości. Mogą sobie teraz pozwolić na lepsze życie. Przedewszystkiem mieszkanie.

— Zlituj się, Zosiu, już mi się uprzykrzyło chodzić do wychodka przez całe podwórze.

To poprostu nie wypada. Myśląc głośno, szukał w różnych okolicach miasta czegoś odpowiedniego. Może na Lelewela? Tamtędy szła kiedyś ulica Ogrodowa, przy której starzy Grodziccy mieli chałupkę w niewytłomaczonej i krótkotrwałej chwili dostatku. Nie, raczej gdzieś dalej. Może na Kurkowej, o parę kroków od Wysokiego Zamku? Albo przy parku Stryjskim. Pani Zofja dziwiła się: w jakim celu szukać domu przy ogrodach, skoro to miasto całe jest ogrodem? Albin jednak ośmielał się jeszcze bardziej:

— Oszczędności nasze są niewielkie, ale, zaciągnąwszy pożyczkę, możnaby kupić coś na własność. Co o tem sądzisz?

— Sądzę — uśmiechnęła się — że jesteś najbardziej dziecinnym radcą Dworu w całej monarchji.

— Wiem, boisz się kłopotów. Ale nie zastanawiasz się co to jest kawałek ziemi, na którym możesz się dochować własnego jabłka i posiać własną kapustę. Cesarz Dioklecjan... Mniejsza z tem. Może masz rację, ale trzeba coś postanowić.

— Czy to takie pilne?

— Ach, Zosiu, nie możesz przecież obywać się zawsze bez własnego pokoju. Ten twój alkierz przy kuchni, bez okna — to komórka.

— Byłam w nim bardzo szczęśliwa.

Wzruszenie odjęło mu głos. Piętnaście lat — kawał życia! Czuł go jak plaster miodu, ciężki, pachnący, słodki.

— Pamiętasz — odezwała się — sadzili wtedy wzdłuż ulicy te klony, które są teraz już takie duże.

— I nie było jeszcze kamienicy naprzeciw. Z salonu widziało się cytadelę.

Nakrył dłonią jej rękę, leżącą na stole:

— Nasze posiedzenie niema quorum, odkładamy je do wieczora.

— Teofil ma tak blisko do gimnazjum — zamyśliła się.

— Już tego niedługo. Ciekawym na co on pójdzie? Chciałbym żeby został agronomem.

Pani Zofja nie słyszała tego dziwacznego projektu, który był ostatnim owocem rynkowych rozmyślań. Teofil! Wezbrana od myśli o całem swojem życiu, doznała niespodzianego lęku na dźwięk tego imienia. Oto jedyna i właściwa chwila, by odkryć mężowi tajemnicę. Może nie jest ona tak straszna, jak jej się wydaje. On...

Grodzicki spojrzał na zegarek i strzepnął ręką, jakby sobie palce poparzył.

— Płacić — zawołał.

XII.

Teofil słuchał wykładu profesora Szeremety i razem z poezją pseudoklasyczną oczekiwał na przyjście Mickiewicza. Profesor dokładał starań, aby odmalować schyłek tej epoki, jej nudę i jałowość. Romantyk, jak każdy szanujący się polonista, pragnął najrychlej pogrzebać resztki XVIII wieku, które już rozkładały się i truły powietrze od paru lekcyj. Teofil przyjmował jego starannie wyuczone frazesy bez podziwu, ale z pewnym szacunkiem; na równi z wielu innymi był podbity sprawnością językową profesora. W porównaniu z Majewskim wydawał się on orłem, i to białym orłem. W niczyich ustach wyraz: Polska nie brzmiał tak szlachetnie, nikt również nie używał go tak często. Tem słowem umiał on budzić z uśpienia umysły, którymby inaczej nie zdołał narzucić paru wiadomości o Kajetanie Koźmianie.

Ale na kwadrans przed dzwonkiem, wyczerpany i trochę schrypnięty, profesor Szeremeta zaczął pytać. Wtedy Teofil wyjął spod pulpitu kilka kartek, które kolejno zawijał w czysty papier jak w kopertę, i napisał na nim adresy. Wszystkie kartki były jednobrzmiące :„Dzisiaj. Wysoki Zamek. 4 pop.“. Ukończywszy swoją robotę, porozsyłał kartki wśród ławek.

Było ich pięciu — spiskowców. Mieli się zejść po raz drugi; za radą Wajdy Teofil naznaczył spotkanie w innem miejscu niż poprzednio. Sam stawił się już przed czwartą. Oparty o stary kasztan, patrzył na żywą mapę ogromnego obszaru, który rozciągał się wdole aż po sinawą granicę gór. Białe drogi biegły wśród

drzew, niebieskie rzeczułki wiły się między polami, stawy połyskiwały ciemną emalją, szare miasteczka o czerwonych dachach tworzyły rzadkie i ciasne skupiska ludzkie pośród nieogarnionej swobody zielonych przestrzeni. Nic się nie widziało o tym bezimiennym świecie, po którym wędrowały cienie chmur i smugi światła; żaden głos nie przychodził stamtąd, pociąg, mały jak zabawka, przesunął się skrajem lasu i znikł za drzewami.

— Cóż tak dumasz, rabbi?

Siwak był najwierniejszym jego „uczniem"; ten poniżający tytuł sam sobie nadał. Teofil zdobył go od pierwszej poważnej rozmowy. W niespełna godzinę Siwak był tak wolny od wiary, jakby jej nigdy nie posiadał, co ubodło Teofila; oczekiwał korzeni, pnia, konarów nabrzmiałych sokami, a tu już było próchno, które rozsypało się za lada potrąceniem. Siwak jednak przylgnął doń, co mu ułatwiała wspólna ławka, i to on właśnie skojarzył ową piątkę, narzucając Teofilowi kuszące przewodnictwo.

Najbardziej nieoczekiwany w tem towarzystwie był Kościuk. Siwak namawiał go raczej dla żartu, ale on przystał bez wahania, przyszedł na pierwsze spotkanie, słuchał, wzdychał i milczał. Dwaj inni rozumieli się niejako sami przez się. Lewicki, najdawniejszy z kolegów Teofila, jeszcze z ludowej szkoły, po epoce niechęci, która ich dzieliła przez ostatnie miesiące szóstej klasy, okazywał mu bezgraniczne uwielbienie, nie odstępował go na pauzach, odwiedzał w domu, wyciągał do kina, które sam płacił. Wajda zaś wprosił się, zwietrzywszy ich sekret. Sprytny, bystry, ruchliwy pozostawiał życiu do wyboru co z niego zrobi: konspiratora czy szpicla. Miał w swym dorobku tuzin przeczytanych broszurek socjalistycznych, które uczyniły go pewnym siebie i nieznośnym. Teofil go nie lubił; z jego słów wyglądał inny, obcy świat, pełen ognia i zamętu.

Wyplątawszy się spośród nianiek, wózków z niemowlętami, żołnierzy, dzieci, starych panów i młodych par, od których roiły się główne aleje, studenci znaleźli przytułek na ławce w głębi ścieżki zbiegającej wdół i zawieszonej nad jarem burzliwej i stłoczonej zieleni. Było na niej miejsce dla czterech, Teofil stał oparty o pień drzewa.

Wiadomo jak bliski śmieszności jest siedemnastoletni chłopiec, który kolegom zamierza wykładać rzeczy poważne. Aby tego uniknąć, Teofil przyjął ton niedbały, używał zdań prostych,

nie wychodzących poza język potoczny. Z założonemi wtył rękami, kołysząc się zlekka na lewej nodze, patrząc wdół, w gęstwinę krzaków i drzewek, mówił monotonnie, trochę ciszej niż zwykle, co dawało jego słowom pozór zwierzeń.

— Weźcie naprzykład ewangelję Łukasza. Pisał ją Grek, który nie miał pojęcia o Palestynie. Zdawało mu się, że z Kafarnaum do Jerozolimy droga prowadzi między Samarją a Galileą. To jest tak jakby ktoś mówił, że z Lwowa do Wiednia podróżuje się między Austrją a Szwajcarją. Rozumie się, jeśli ktoś przypuszcza, że ewangelja Łukasza jest księgą objawioną, trudno mu wytłumaczyć, że Duch św. tak dalece nie zna geografji.

— Nasypali piasku! — Wajda trzepnął się po udzie.

— Idjota! — oburzył się Lewicki.

— Cóż to? nie wolno mi się dziwić?

— Cicho bądź! — Lewicki trącił go łokciem. — Mów dalej, Grodzicki.

— Łukasz tak jak i Marek sam nic nie widział, opowiadał tylko to co słyszał od innych.

— Ale święty Mateusz był apostołem — wtrącił Siwak.

— Ewangelja Mateusza nie jest dziełem apostoła, ale nieznanej osoby tego samego imienia.

— A święty Jan? — zapytał Lewicki.

— Ze świętym Janem Kościół miał największy kłopot. Długo trwało, zanim go uznano za księgę kanoniczną. Niektóre ustępy jego ewangelji jeszcze św. Augustyn uważał za apokryfy.

— Cóż to są apokryfy?

— Fałszywe pisma, podawane za dzieła apostołów.

W tej chwili z suchego gardła i spiekłych ust Kościuka wydobyły się słowa, których po nim nie oczekiwano:

— Nikt nie widział... nikt przy tem nie był... nic się nie stało... No, to jak to nic mogło świat zmienić?

Trzy pary oczu przeniosły się z rumieńca, który rozpalił chudą twarz Kościuka na Teofila.

— Och — rzekł — to jest zagadnienie historyczne, takie samo jak buddyzm lub mahometanizm. Już Dupuis powiedział, że Jezus stanie się dla nas niebawem tem czem Herkules, Ozyrys, Bakchus.

— Kto to był ten jegomość? — zapytał Wajda.

— To ktoś z twojej parafji. Był członkiem Konwentu.

— Moja parafja zaczyna się dopiero od komuny. Mimo to jestem gotów szanować obywatela Dupuis, pod warunkiem, że będziesz staranniej wymawiał jego nazwisko.

— Powiedz mi, Lewicki, czy to nie wstyd, że t a k i e chodzi na dwóch nogach? — westchnął Siwak.

— Ee, przeceniasz chodzenie na dwóch nogach. Ale swoją drogą, nie bardzo rozumiem co u tego faceta sprzed stu lat znaczy słowo: niebawem?

— To znaczy teraz—rzekł Siwak—żyjemy przecież w ostatnim wieku chrześcijaństwa, oprócz Kościuka, naturalnie, który żyje w pierwszym wieku.

Teofil spojrzał na Kościuka. Był to właściwy słuchacz tych rzeczy. Siedział nieporuszony, z wypiekami na twarzy, od czasu do czasu przecierał swe duże spotniałe ręce. Zachowywał się jak chłopiec uświadamiany w sprawach płciowych.

— Nic nas nie upoważnia — mówił Teofil, podniecony jego błyszczącym jakby spragnionym wzrokiem — do patrzenia na chrześcijaństwo jako na coś jedynego, wyjątkowego. Było to takie samo zjawisko historyczne jak każde inne. Chrystus, jeśli istniał, był potężną jednostką, która tworzy nowe siły historyczne. Przecenia się jednak ich wielkość. Pomimo dwudziestu wieków świat bynajmniej nie stał się chrześcijański. Jeśli dobrze obliczyć, religja ta żyje ze zdobyczy osiągniętych do końca średniowiecza. Od tego czasu ilość nawróceń albo maleje albo równoważy się ilością odstępstw. Dzisiaj ten wielki prąd wysycha, to w cośmy wierzyli, staje się tylko ciekawym mitem. Jeśli nie przyszło do tego wcześniej, to dlatego, że badania historyczne są niedawne. Do XVIII wieku chrześcijanin nic nie wiedział o początkach swojej religji, prócz tego co nauczał Kościół. Teraz wszystko staje się jasne dzięki olbrzymim materjałom porównawczej historji religji. Oto naprzykład: Duch święty w języku aramejskim, którym mówił Jezus, nazywa się Rucha i jest rodzaju żeńskiego. Pojawia się w postaci gołębicy. Jest to symbol bogini — matki, którą czczono od epoki kamiennej. To babilońska Isztar, chananejska Astarte, irańska Anaitis, grecka Afrodyta...

Teofil uwięził nakoniec swoich krnąbrnych słuchaczów. Mówił z rosnącem podnieceniem. Wyrzucał z siebie wszystko czego się dowiedział w ciągu ostatnich miesięcy, czując się pewnym swej pamięci, ulegając łatwości słowa. Musiało ono dojrzeć w nim

w dniach samotności leśnej, pierwszej jakiej w życiu doświadczył. Zawdzięczał jej więcej niż sam przypuszczał. Wyszedłszy ze swej powściągliwości, coraz wyżej podnosił głos, gestykulował. Nikt mu nie przerywał. Wszyscy czterej siedzieli, wpatrzeni w niego, onieśmieleni. Krytyka historyczna, zaczarowany flet owych czasów, ujarzmiała dusze najbardziej przekorne.

Nie trzymał się żadnego porządku, mówił o wszystkiem naraz, odnawiał własne skrupuły, aby je znów pokonywać, wpadał w styl, czasem w żywy tekst przeczytanych książek, i trafność ich zdań jak pocisk rozpalała mózg, który natychmiast sam stwarzał podobne, i zachwycony niemi stawał się coraz bardziej prężny i zwinny.

Od niejakiego czasu Teofil miał nowego słuchacza. To ksiądz Grozd, który po kuracji w Karlsbadzie przywykł do dalekich spacerów, zboczywszy z głównej alei, zamierzał właśnie zejść nadół, gdy głośne perory Teofila zatrzymały go w miejscu. Struchlał. Ukryty za krzakami bzów i jaśminów, nie mógł widzieć mówiącego, ale nie miał wątpliwości, że był to głos młodzieńca, zapewne studenta, i głos ten wydał mu się znajomy. Nie było rzeczą stosowną dla osoby duchownej pozostawać zbyt długo w sąsiedztwie krzaków, w okolicy wcale nie odludnej, musiał więc za każdym szmerem ruszać z miejsca i udawać, że się przechadza. Oddalał się jednak tylko na kilkanaście kroków, aby na chwilę oprzeć się o barjerę i budzić w przechodniach wrażenie, że zajmuje go widok przedmieść leżących wdole, szarych, smutnych, podobnych do olbrzymiego podwórza, zabudowanego brudnemi oficynami, gdzie rampy i stacje kolejowe wyglądały na kupę starego żelaziwa. Gdy wracał pod krzaki, słyszał znów ten sam głos namiętnie zwalczający tradycje Kościoła.

Ostrożnie odchyliwszy łaską parę gałęzi, zdołał dostrzec ławkę z siedzącymi studentami i bluźniercę pod drzewem. Ale był to obraz mglisty, na jaki może się zdobyć oko krótkowidza; twarze jawiły się w białawych, mętnych plamach. Ksiądz Grozd pomyślał z goryczą, że ksiądz Skromny cieszy się rysim wzrokiem, który mu na nic pożytecznego nie służy, i pierwszy raz w życiu był bliski żalu, że tyle wieczornych godzin, ze szkodą dla oczu, przesiedział nad wypisywaniem cytatów z literatury kościelnej. Myślał o tem nietylko z goryczą, ale i z upokorzeniem, ponieważ ów młody zuchwały głos również sypał cytatami, i to

takiemi, których ksiądz Grozd sobie nie przypominał. Jakże mógł je pamiętać, skoro służyły one celom zupełnie sprzecznym z jego powołaniem?

Coraz trudniej przychodziło mu się odrywać od kuszących krzaków. Umyślił zatem stać przy nich i końcem laski kreślić figury na piasku, jakby w roztargnieniu lub zadumie. Ten pomysł pozwolił mu wysłuchać bez przeszkód wielkiej tyrady o niedorzeczności kosmogonji biblijnej. Ze znacznie większą zaciętością niż ewangelje Teofil zwalczał Stary Testament. Miał go wybornie w pamięci po niedawnej lekturze i cały jego srom obnażał z niepohamowanem okrucieństwem. Czuł głęboką odrazę do tych ponurych ksiąg, pełnych zbrodni i postępów, opowiadających o królach, którzy, jak Dawid, „mąż wedle serca bożego" byli okrutnymi, rozpustnymi, przewrotnymi despotami i których bóg, Jehowa, gniewny i popędliwy, żałował nieustannie, że stworzył ludzi, próbował ich wytępić, a przewinienia swego wybranego ludu traktował jako osobiste obrazy.

— Czyż to nie najosobliwsza przygoda, żeby tyle narodów rzucić na kolana przed bóstwem marnego szczepu semickiego? Któż jest tak naiwny, żeby wierzył, że przyczyną powstania świata było to, aby właśnie Jehowie przyczynić chwały? Nic tak nie zaszkodziło chrześcijaństwu jak sojusz ze Starym Testamentem. Gdyby go się było zawczasu wyrzekło, mogłoby zawsze liczyć na naszą sympatję. Jakiż to ciężar, tak upokarzający i zbyteczny, wlec za sobą przez dwa tysiące lat światopogląd ludu nawpół barbarzyńskiego!

— Grodzicki — zapytał nagle Kościuk — czy wierzysz w Boga?

Ksiądz Grozd drgnął.

— Przepraszam — rzekł dr. Kos, nie bez zadowolenia, że nastraszył katechetę.

Ksiądz był istotnie zmieszany. Bąknął parę niezrozumiałych słów i obrzucił profesora ukośnem badawczem spojrzeniem. Nie było wątpliwości: Kos wiedział dlaczego on tu stoi i być może obserwował go już od pewnego czasu. Nie ukrywał tego zresztą:

— Ach — westchnął — jakże niesłusznie sądzimy, że młodzież włóczy się po parkach jedynie w celach erotycznych.

Ksiądz odzyskał już panowanie nad sobą i patrząc profe-

sorowi wprost w oczy, a raczej jak to było jego zwyczajem trochę powyżej oczu:

— Nie widzę powodu — rzekł — aby pedagog mógł sobie w takiej chwili żartować.

Profesor zniósł spokojnie spojrzenie przed którem truchlało gimnazjum. Wysłuchawszy pół tuzina zdań, tak nieoczekiwanych w formie i treści, zwłaszcza w tem miejscu, zdawałoby się nieodwołalnie skazanem na amory żołnierzy z pucołowatemi niańkami, i domyśliwszy się po głosie kto mówi (Kos miał lepszą pamięć słuchową niż Grozd) wpadł odrazu w stan intelektualnego podniecenia, w którem opuszczała go roztropność.

— Szkoda, że nie słyszeliśmy odpowiedzi na to interesujące pytanie — rzekł z uśmiechem.

Nie było jej wcale. Teofil wytrącony ze swych myśli nagłem odezwaniem się Siwaka, nie odrazu zrozumiał o co chodzi.

— Psst! — szepnął w tej chwili Wajda — jakiś katabas tu się włóczy.

Nie mogąc już usiedzieć pod ciężarem przewagi, jaką Teofil nad nimi zawisnął, Wajda od paru minut stał i bezwiednie szpiegując oczami, wypatrzył wgórze cień sutanny.

— Rozejdźmy się w różne strony — doradzał.

— Dobrze — rzekł Teofil. — To wy schodźcie nadół, a ja po chwili sam wyjdę na górę.

Ksiądz Grozd nietyle był ciekaw odpowiedzi na „interesujące pytanie", ile nękała go wątpliwość, czy należycie posłyszał nazwisko; nagłe zjawienie się Kosa ogłuszyło go niemal. Nie chciał więc stracić z oczu wylotu ścieżki, od którego znów Kos usiłował go odciągnąć. Ale już było za późno. Teofil wychylił się zza krzaków i nie widząc nic wokół siebie, przeszedł z pochyloną głową o dwa kroki przed katechetą.

— Czy ksiądz ma pewność, że to on właśnie mówił? — szepnął Kos.

Grozd spojrzał nań z pobłażliwym uśmiechem:

— Dziwią mnie te słowa u profesora psychologji. Jeśliby nas słuch zwodził, wystarczy popatrzeć na jego twarz.

Twarz Teofila pałała. Było mu duszno, rozpiął wysoki kołnierz, który go ugniatał. Zatrzymał się przy barjerze, wyczerpany. Przymknął oczy i słuchał łomotu krwi, która dudniła

w nim jak w próżni. Czuł w sobie pustkę, zupełną, straszliwą pustkę, jakby razem ze strumieniem słów wypłynęła zeń dusza. Oddychał powoli, głęboko. Nogi pod nim drżały. Rozejrzał się, o kilkanaście kroków, przy zakręcie alei, była pusta ławka. Ledwo się dowlókł.

Po odejściu dzieci, starzy rzucili się na porzucone przez nie zabawki.

— Kto wie — mówił Kos — czy nie są to skutki nauczania dogmatyki. Religja jest rzeczą sentymentu, pocóż więc narażać się, chcąc udowodniać argumentami rozumu to, w czem ostatecznie trzeba się zawsze powołać na autorytet św. Ducha?

— Wiara religijna — odparł ksiądz — posiada w sobie samej pewność, która przerasta wszelką logiczną siłę dowodu.

— Czyż właśnie przed chwilą nie byliśmy świadkami, jak bardzo krucha jest ta pewność? Nie! religja nie może być udowodniona, można tylko podać powody, które skłaniają do uznania jej za prawdę. W granicach nauki lub etyki...

— Religja nie może być sprowadzona do nauki lub moralności. Różni się od nich zasadniczo, podkreślając niemoc i niedoskonałość ludzką.

— Możliwe. Ale głos jej słabnie. Duch współczesny jest w istocie swej naukowy.

— I to jest jego klęską. Cóż daje nauka oprócz niepewności i zamętu?

— Wolność.

— Powiedziane jest: „Prawda uczyni cię wolnym".

— W tej samej ewangelji rzucono pytanie: A co jest prawda?

Katecheta z zainteresowaniem spojrzał na swego towarzysza:

— Jakie to smutne, że znając tak dobrze Pismo św., robi pan z tego tak zły użytek. Powołuje się pan na człowieka, który, stojąc w obliczu Boga, w przededniu czasu który świat przeobraził — wcale się tego nie domyślał.

— Nie mam Piłatowi tego za złe, gdyż obawiam się, że na jego miejscu tak samobym się zachował.

— Piłat był człowiekiem bez wyobraźni. Nawet wasz Renan go osądził.

Stali wciąż na tem samem miejscu, uwięzieni namiętnością dyskutowania. Dr. Kos, bardziej nerwowy, odbiegał niekiedy na dwa

kroki i natychmiast wracał, zaskakiwał katechetę to z jednej to z drugiej strony, a ksiądz, oparty na lasce, czynił tylko nieznaczne poruszenia, śledząc go podejrzliwie jak byk banderillera.

— Wolność! Wolność fałszywa, wolność przeciw Chrystusowi — to bunt niewolników! Cóż wam ona dać może oprócz rozczarowania? Wasza wiedza jest martwa i cuchnie rozkładem.

Kos osądził, że jest to właściwa chwila do zapalenia papierosa.

— Dlaczegóż — rzekł, zaciągnąwszy się dymem — zwracacie się do nauki po dowody i potwierdzenia? dlaczego z taką skwapliwością podnosicie wszystko co może się wam przydać z tych nikczemnych i godnych pogardy badań?

— Bo nawet szatan przyczynia chwały Bogu. Zadaniem naszem jest pokazać jak dzisiejsza nauka musi, wbrew woli, służyć Objawieniu. Geolog w głębi ziemi odnajduje ślady potopu; frenolog bada czaszkę ludzką, aby potwierdzić fakt, że trzej synowie Noego podzielili się ziemią. Można powiedzieć, że duch ludzki, pokutując za jakieś stare bluźnierstwo, nie jest w stanie poruszyć żadnej tajemnicy, aby z niej nie wyjrzał Bóg.

Kos aż gwizdnął z uciechy. Katecheta obejrzał się za siebie, tak daleka była od niego myśl, że to mógł gwizdnąć docent uniwersytetu i profesor w VIII randze. Gdy zaś podniósł nań oczy, tamten miał minę poważną i przyzwoicie skupioną.

— Ja jednak myślę — rzekł — że ten chłopiec miał rację. Stary Testament jest niezawinioną winą chrześcijaństwa. Gdyby go ono nie podtrzymało, obróciłby się w zabytek, podobnie jak Enuma-elisz, które zresztą przewyższa go siłą wizji poetyckiej. Przy Starym Testamencie pozostałaby tylko garstka żydów, którzy mogliby sobie trwać w pojęciach z epoki eneolitycznej, choćby dla malowniczości świata. Było aż nadto sposobności wciągu wieków, aby się pozbyć tego smutnego dziedzictwa. Ostatnią, którą zmarnowano, był Sobór Trydencki. Gdyby ówcześni doktorowie Kościoła byli lepiej poinformowani o postępach wiedzy przyrodniczej w XVI wieku, być może uwolniliby raz na zawsze egzegetykę od gorszących i żmudnych interpretacji pierwszego rozdziału Genesis.

— Niepotrzebnie się pan troszczy o egzegetykę, daje ona sobie nieźle radę z tem co pan obrzuca taką wzgardą. Pierwszemu rozdziałowi Genesis nie można nic zarzucić nawet z punktu widzenia pańskiej „nauki współczesnej". Kosmogonja biblijna jest arcydzie-

łem prostoty i logiki, a zarazem czemś nadzwyczajnem w epoce mitów. Sławione przez pana Enuma-elisz jest zbiorem jakby przywidzeń gorączkowego snu.

— Ale jest w nich tchnienie wielkiego obszaru kosmicznego, a nie naiwna opowieść o sześciu dniach stworzenia, od poranka do wieczora.

— Nikt nigdy nie wątpił, że heksaemeron z Genesis jest tygodniem symbolicznym.

— Zdaje mi się jednak że św. Jan Chryzostom i Hieronim...

Ksiądz Grozd uczynił ruch ręki mało stosowny wobec tak wielkich powag Kościoła.

— Biblijny opis stworzenia nie jest tak ściśle związany z heksaemeronem, jakby się zdawało przy pośpiesznem czytaniu. Składa się bowiem z ośmiu twórczych aktów woli Bożej, przedzielonych w sześciu miejscach, niby refrenem, wzmiankami o dniach które wschodzą i zachodzą. Tak wygląda, jakby w pierwotnem opowiadaniu tych dni wcale nie było.

— Cóż to za pierwotne opowiadanie?

— Można przypuszczać, że kosmogonję wziął Mojżesz z tradycji, może z archiwum Abrahama. Było to credo, datujące z czasów patrjarchów.

— To ksiądz dopuszcza interpolację w tak zasadniczym ustępie Pentateuchu? — zdziwił się Kos.

— Nie uznaję tego wyrazu, który został okryty hańbą przez absurdalne prace niedowiarków i teologów protestanckich. Podług hipotezy, proponowanej przez Komisję Biblijną, Mojżesz pracował nad Pentateuchem nie sam, ale przez swoich „soferim" czyli pisarzy, którym dawał odpowiednie wskazówki. Ta robota, w ciągu czterdziestoletniej wędrówki na puszczy, trwała dość długo, zanim wytworzyła się jednolita całość.

— Oczywiście inspirowana?

— Oczywiście. I możliwe tu były pewne zmiany tekstu, a nawet mogły się doń dostać glossy z marginesu.

— To bardzo pociągający pogląd i pochlebny dla urządzeń kancelaryjnych wodza plemion koczowniczych. Ale — proszę mi nie brać za złe tego pytania — czy hipoteza o późniejszem włączeniu sześciodniowego układu nie jest przypadkiem tem co Kościół nazywa: „opinio temeraria"?

— Myli się pan. Opinio temeraria zachodzi wtedy, gdy ktoś

przyjmuje jakiś pogląd religijny, albo z nim ściśle związany bez słusznego powodu — sine ratione sufficiente — i z lekceważeniem autorytetu Kościoła — cum contemptu auctoritatis. To zaś co panu podałem w niczem nie odstępuje od oficjalnych poglądów Kościoła, objaśnia je tylko i uzupełnia.

Odkąd ksiądz Grozd wyszedł z pozycji obronnej, odzyskał naturalną swobodę ruchów i zaczął iść powolnym spacerowym krokiem, zatrzymując się co chwila, aby jakimś gestem zwrócić uwagę na ten lub ów szczegół swoich wywodów. Cierpki posmak początków rozmowy znikł, ustępując miejsca błogiemu uczuciu, z jakiem sam siebie słuchał. Nie wątpił, że i Kos słucha go z przyjemnością, albowiem trudno było przypuścić, aby ten nowy pomysł egzegetyczny nie wzbudzał podziwu. Zrobiło mu się niemal przykro, gdy profesor spojrzawszy na zegarek, rzekł:

— Bardzo żałuję, ale muszę już wracać do miasta.

Mówił to szczerze. Rozmowa z księdzem bawiła go, jak niektóre rozprawy w „Gazecie Kościelnej“ lub w „Miesięczniku Katechetycznym“, w tem od nich ciekawsza, że można nią było kierować według własnego upodobania.

Ksiądz Grozd pożegnał go przy tramwaju uściskiem ręki, który można było wziąć za serdeczny, jeśli się zważy, że zazwyczaj powierzał swą dłoń człowiekowi świeckiemu z tą szczególną eklezjastyczną lekkością, jakby oczekiwał, że tamten podniesie ją do ust.

XIII

Pustka, którą Teofil czuł w sobie, zaczynała się zapełniać dziwną treścią. Jeszcze nie było w niej pojęć ani słów ani obrazów, tylko rodzaj melodji czy rytmu, wznoszącego się i opadającego równą falą. Porał się z tem jak z trudnem wspomnieniem, które przybliża się najpierw jakimś zapachem, jakąś barwą, póki nie zrośnie się w zbiór kształtów, w określoną przestrzeń, w czas osobny i jedyny. Wynikały z pamięci grządki bratków, chłopskie werandki obrośnięte dzikiem winem, za chwilę krzak piwonji, malwy otaczające stare spróchniałe sztachety, łan lnu z czarującem wielookiem spojrzeniem niebieskich kwiatków, rzęsisty śpiew skowronków na polu; na zardzewiałych zawiasach skrzy-

piało okno o szybach zmąconych tęczą, kury gdakały, pies kręcił się przed budą i łapał muchy. Pojawianiu się i znikaniu tych obrazów towarzyszyła wciąż ta sama melodja, ukryta za niemi, tajemnicza i twórcza, gdyż zdawało się, że to ona właśnie zapładnia wyobraźnię.

Z niezrozumiałych manowców, gdzie każdy zakręt dojrzewał na chwilę przykuwającą urodą, wydobyła się wreszcie na jaw sadzawka za młynem, po której pływały kaczki między dwoma strumieniami wody szumiącej w stawidłach. Od niej szła ścieżka wśród niskich jabłoni, o pniach bielonych wapnem, a u jej kresu stał schludny domek wgłębi ogrodu. Zasiany ziołami lekarskiemi, szałwią, majerankiem, rutą, miętą, bożem drzewkiem, otaczał plebanję zapachem wzruszającej dawności, była w nim tkliwa aluzja do czasów, kiedy na skraju puszcz, jeszcze szumiących starymi bogami, taki sam domek, nakształt szkatuły, zawierał w sobie i nowe słowo boże i aptekę na ludzkie dolegliwości.

Ksiądz Prussota, nietylko z nazwiska, ale i z całej postaci wyglądał jakby wyszedł wprost z bulli papieża Innocentego, z tej pierwobytnej gęstwiny drewnianych grodów otoczonych palisadami, wsi podleśnych, łąk i pól, których granice znaczyły się drzewami, pamiętającemi Piasta. Dobroduszny olbrzym, pozbawiony turów, łosi i niedźwiedzi, które byłby ścigał, gdyby los rozsądniej wybrał datę jego urodzenia, uganiał za djabłem po zapadłej wsi galicyjskiej, liczącej paręset dusz. Te zgrzebne dusze truchlały co niedziela pod siłą jego głosu, który w ciągu ćwierćwiecza poważnie nadwyrężył wiązania starego drewnianego kościółka. Teofil przez całe zeszłoroczne wakacje nie ominął ani jednego dnia, chyba w beznadziejną słotę, żeby nie zatrzymać się pod ogrodem na plebanji, gdzie razem z wieczornem słońcem pojawiała się równie szeroka i czerwona twarz księdza Prussoty.

Proboszcz śpiewał godzinki lub odmawiał głośne modlitwy, zakładając gązwy do cepu, który się codzień psuł w tych dłoniach, stworzonych do jakiejś cyklopiej młocki. Niewytłomaczony urok znajdował Teofil w podglądaniu i podsłuchiwaniu księdza, który, nie używając brewjarza, przechodził nagle z łaciny na własny język i modlił się tak, jakby rozmawiał z Bogiem. Była to rozmowa chłopska, gospodarska, sąsiedzka, ze śmiechem, z troską, z wybuchami gniewu, przerywana hukiem kichnięć, albowiem proboszcz zażywał tabakę. Z drewnianej tabakiery brał

„niuch“, który innemu starczyłby na cały dzień, wyjmował z kieszeni wielką kraciastą chustę i krążąc po ogrodzie kichał straszliwie. W minutę chusta była mokra, rozkładał ją na sztachetach, i wracał do przerwanej rozmowy ze Stwórcą, który — zdawało się — takie same chusty porozwieszał na niebie.

Ksiądz Prussota rzeczywiście wyznawał tę osobliwą religję, w której nawet Bóg pracuje. Ale dla niego tydzień stworzenia nie minął. Wyobrażał sobie, jak siwobrody starzec myje w chmurach ręce osmolone od gwiazd, które przez cały dzień lepił niby gomółki sera, czy też uwalane gliną po wykończeniu nowego Adama na jakiejś innej ziemi, świeżo zawieszonej w przestworzach. Nie pojmował Boga w spoczynku, w nieruchomej świetlistej chwale, ani nie sądził, że może mu wystarczyć jeden glob ziemski z marnym miljardem istot ludzkich. Jego Bóg wciąż jeszcze sadził drzewa Raju, posyłał aniołów z płonącemi mieczami, ukazywał się w krzakach ognistych, gdzieś tam — pośród tarniny gwiezdnej.

Spoza sztachetów, objętych skrętami nasturcyj, Teofil patrzył w ten zdumiewający wszechświat, który w olbrzymich a niewyraźnych zarysach ukazywał się poprzez hałaśliwe monologi proboszcza. Doznawał rozkosznej zgrozy na myśl, że może w istocie Bóg jest tu gdzieś obecny, może odwiedza człowieka, który mógłby być jednym z tych, co ścinając święte dęby, budowali z nich pierwsze świątynie Pańskie, na rozkaz księcia Mieszka.

Lecz i druga osoba Trójcy św. nie pozostawała bezczynna. Nowe ziemie księdza Prussoty, tak samo jak nasza, wchodziły pod klątwę grzechu i oczekiwały odkupienia. Śmielszy od Ojców Kościoła, którym się zdawało, że Zbawiciel nie objął swoją ofiarą ludzi z drugiej półkuli, jeśliby tacy istnieli, — mnożył w nieskończoność Golgoty, i dla niego Syn Boży wciąż jeszcze rodził się, nauczał i umierał, niesiony wirem niepojętej spirali kosmosu. Ksiądz Prussota nie umiał się rozstać z dramatem ewangelicznym i gdyby zamienił go w historję, która się już więcej nie powtórzy, straciłby weń wiarę, a cudne słowa Chrystusa, gdyby miały się stać tylko dokumentem, stałyby się martwe jak kamienie. Ale utrzymywał je w nienaruszonej świeżości, przekonany, że i w tej chwili boskie usta wypowiadają je nad jakimś nieznanym padołem płaczu. Obdarzony pamięcią, którąby sprostał ludziom z czasów, kiedy jeszcze nie było książek, mógł godzinami mówić ewan-

gelje, bez opuszczeń ni błędów. I mówił je przy zapadającym zmierzchu swoim lwim szeptem.

Teofil rozpoznał nakoniec melodję, która go nurtowała. Była to kadencja słów chrystusowych, którą niedawno sam w sobie rozbudził kilku cytatami. Powróciła teraz w szkarłatach tych wspomnień, upajająca i mocna jak noc lipcowa.

Czy rzeczywiście można przyjąć, że ten jedyny w świecie głos, nie wyszedł z niczyich ust? Co zdołało go ocalić, że od dwudziestu wieków brzmi taki czysty i niesfałszowany? Czyż nie jest tak, że przy nim każde inne słowo ludzkie wydaje się mdłe lub oschłe, pospolite lub nadęte? Zaprawdę, ono jedno ma w sobie i zapach ziemi i żar ognia i chłód wody i lekkość przestworzy powietrznych. Stopione z czterech elementów świata, może w istocie jest tem Słowem, które „stało się ciałem i mieszkało między nami“?

Utarty zwrot, tak częsty w ustach matki, ukazał mu ją wracającą z nieszporów, z małą złoconą książeczką w dłoni. Pojął natychmiast sens tego obrazu: cokolwiekby w siebie wmawiał, te rzeczy nigdy nie będą mu zupełnie obojętne. Przez chrzest został wciągnięty, poza swą wiedzą i wolą, w metafizykę, która nawet, jeśli zetleją w nim wszystkie jej pojęcia, trwać będzie tysiącem mimolotnych drobiazgów. Raz na zawsze jest przesądzony układ jego duszy, żadne wstrząśnienia i przewroty nie zatrą jej planu, tak jak w rumowiskach umarłych miast, po których przeszły burze wieków, z wciśniętych w ziemię zarysów, rozpoznaje się kształt nieistniejącego kościoła.

„Podnieś kamień, a znajdziesz mnie tam; rozłupaj drzewo, a i tam jestem“ — przypomniały mu się dziwne słowa jednego z apokryfów chrześcijańskich.

Ksiądz Grozd, zostawszy sam, stracił pogodę ducha. Zaczął rozważać historję z chłopcami i coraz bardziej dochodził do przekonania, że nie jest to sprawa tak prosta, jak mu się wpierw wydawało. Byli to jego uczniowie, trudno bowiem przypuścić, aby Grodzicki wynalazł sobie słuchaczów w jakiemś innem gimnazjum. Oskarżając ich, nie zdoła uchylić pytania (wszystko jedno, czy je ktoś wypowie głośno czy po cichu) któż jest właściwie odpowiedzialny za stan ich duszy, jeśli nie katecheta? Wszystko czem zawinili należy niepodzielnie do jego przedmiotu. Jakże mógł nie zauważyć co się w nich dzieje? Przecież taka rzecz nie pow=

staje odrazu, musi mieć swój czas, a tu było go napewno dość wiele, sądząc bodaj z oczytania, jakie zdradzał ten chłopiec.

Napróżno szukał w pamięci jakichś podejrzeń. Widział Grodzickiego, jak wstaje z trzeciej ławki i bezbłędnie odpowiada na parę pytań dotyczących pierwszych gmin chrześcijańskich. Postawił mu wtedy bardzo dobrą notę. Kiedyż to było? Dziś mamy wtorek... W sobotę. Trzy dni temu !

Nie zna sumienia swych uczniów. Jakże może je znać, skoro ich nie spowiada? Przez jego myśli przemknęła mała obła figurka księdza Skromnego i znikła natychmiast, jakby przed pościgiem złych uczuć które poruszyła.

A może o tem wszystkiem zamilczeć? Kos napewno się nie upomni... Nie. Niepodobna. Kos się nie upomni, ale będzie w i e d z i a ł, a ksiądz Grozd znał aż nadto dobrze cenę tego rodzaju sekretów.

Piękny stok ulicy Kurkowej, całej w blaskach przedzachodniego słońca, wiódł go wśród dokuczliwych myśli jak ciemny i chłodny korytarz.

Fizyczne znużenie rozleniwiało Teofila na równi ze słońcem, które owładnęło teraz jego ławką. Lecz w powiewie swych myśli znajdował coraz głębszy spokój. Uchylały się one i zamykały jak gęsta korona drzewa pod słabym wiatrem. Przymknął oczy i usnął.

Ksiądz Grozd wstąpił do Bernardynów, gdzie nie był już od kwartału. Każdy ze spotkanych zakonników skarżył się na złe czasy i znaczny upadek pobożności. Wysłuchawszy tych żalów, ksiądz Grozd nieśmiało zapukał do drzwi prowincjała.

— Laudetur Iesus Christus.

Wysoki kościsty starzec odpowiedział mu gromkiem „Saecula!“, i zapytał o zdrowie. Katecheta zwięźle opowiedział o swych niedomaganiach i wtrącił słówko o kosztownej kuracji w Karlsbadzie.

— Wy, świeccy księża, lubicie się pieścić — machnął ręką bernardyn. — Ale u nas chuda fara. Oto wszystko czem mogę ci służyć.

Dał mu sto koron i spis mszy do odprawienia. Była to długa lista imion z krótkiemi wzmiankami jakich dotyczą intencyj. Rzuciwszy na nią doświadczonem okiem, ksiądz Grozd obliczył naprędce, że są to najbiedniejsze msze, mniejwięcej po trzy ko-

rony. Wziął je, oczywiście, aby nie obrazić porywczego starca, ale żałował, że nie zaszedł wpierw do Jezuitów.

„To mi zagwoździ cały miesiąc“ — myślał z niechęcią, wkładając do swego rzymskiego portfelu spis żywych oczekujących rychłej pomocy z nieba i umarłych, którym się śpieszy wyjść z czyśćca.

Teofil ocknął się na dźwięk głosu, który — zdawało mu się — należał jeszcze do snu. Był jednak rzeczywisty: Alina szła z jakimś młodym człowiekiem. Przewyższał ją znacznie, i gdy mówił pochylał się ku niej w takich skrętach tułowia i tak wywijał rękami, jakby ją miał chwycić w objęcia i porwać w taniec. Temu wrażeniu sprzyjały jeszcze nogi, których posuwiste ruchy przypomniały Teofilowi lansady mistrza tańców, Loefflera, z jedynej lekcji na jaką rok temu zdobył się, ulegając namowom matki. „Takbym wyglądał, gdybym był przeszedł cały kurs“ — pomyślał.

Lecz Alinie musiał się podobać ten facet; z zadartą nieco twarzyczką potrzyła ku niemu, uśmiechnięta. W głębi alei znów podniósł się jej głos.

— Mała strata, krótki żal — szepnął Teofil, gdy dwa jasne warkocze znikły za drzewami.

Wstał z ławki, która znajdowała się w zbyt widocznem miejscu, i zaszył się w zarośla przy barjerze odgradzającej spadzisty stok wzgórza. Miał pod sobą całe miasto perłowo szare w zbitej masie domów, która wchłonęła ulice, zostawiając tylko zielone płaty ogrodów i gdzieniegdzie jakiś plac rozwarty w niemym okrzyku. Ponad kamienną ciszą krzyże kościołów posyłały sobie sygnały świetlne, gasnąc i rozżarzając się w grze obłoków, które ścigały zachodzące słońce.

Niebo było jak gigantyczna mapa, wyobrażająca morze i rozrzucony po niem wielowysep. Był on podobny do archipelagu malajskiego, widziało się Jawę, Sumatrę, Borneo, Celebes, nie brakło nawet małej Ceram, która przeszyta równikiem zwija się jak robak ukłóty szpilką. Teofil, oczarowany, dostrzegał w różnych barwach obłoków, od świetlisto żółtych do granatowych, kolory poszczególnych kolonij, w układzie trochę innym niż rzeczywisty, jakby to była karta dawniejszych podbojów albo nowych planów politycznych. Z tą częścią globu łączyła go stara zażyłość, z okresu marek i wędrówek po atlasie, długich godzin

zadumy i marzeń, które nagle ocknęły się w porywie tęsknoty. „Czy będę tam kiedyś?“ Czemużby nie! Człowiek — nie drzewo, aby rósł, trwał i próchniał na tem samem miejscu gdzie go los posiał.

Tymczasem daleki podniebny wiatr, którego nie czuło się na ziemi, kształtował chmury w nowe lądy drążone przez jasne zatoki, ukazywały się pasma gór, pękały w nich żyły złota i płynny żółty metal zastygał w wielkie płaty błyszczącej blachy. Miasto w dole było coraz bardziej szare, Teofil zmiótł je jednem spojrzeniem i jak ubogie zawiniątko poniósł ze sobą w swój niesyty czas.

Na skraju Ogrodu Jezuickiego, pod wspaniałą topolą nadwiślańską, która dwa lśniące konary rozpinała jak ramiona, wyrzucone w zachwycie czy w uniesieniu ku pożodze wieczornej, siedział na składanem krzesełku przygnębiony stary człowiek. Obok, na trawniku, ułożył na kawałku ceraty parę obrazków własnego wyrobu. Były to smutne pejzaże, w których słońce nie grzeje, drzewa cudem trzymają się ziemi płaskiej i nieżyznej jak stół, niebo jest wypłowiałe jakby zabrakło na nie błękitu. Takie rzeczy mija się z uczuciem melancholji albo litości wobec pogrzebanych w nich nadziei, nierozsądnych i okrutnie żałosnych.

Ksiądz Grozd zatrzymał się jednak, a nawet po chwili, wskazując laską zapytał:

— Ile to kosztuje?

Staruszek zerwał się, aby podać księdzu przedmiot, który zwrócił jego uwagę. Była to rama sklejona z czterech deszczułek, na których wymalowano, przezwyciężając zjadliwe warunki przestrzenne, las, sarnę i myśliwca w tyrolskim kapeluszu, z piórkiem sięgającem najwyższych sosen.

— Koronę — szepnął malarz.

Ksiądz dał mu trzy szóstki, nie oczekując ani podziękowania ani protestu.

Katecheta był amatorem ram. Ściany jego dwóch pokojów gabinetu i sypialni — zajmowały obrazy, obrazki i obrazeczki w niezliczonej ilości. Wciskały się w najciemniejsze kąty, wisiały nawet nad piecem, tuż pod sufitem. Nie było takiego rodzaju ani kształtu ram, któregoby tu brakło. Okrągłe, owalne, trójkątne widziało się wśród zwykłych kwadratów i prostokątów z drzewa złoconego, robionego na mahoń, heban, lakierowanego na zie-

lono, niebiesko; były ramki z pluszu, z muszelek, wycinane laubzegą. Ksiądz Grozd kupował je po najrozmaitszych sklepach, nie wyłączając kramów pod katedrą, którym dawał pierwszeństwo, jeśli chodziło o małe ramki, zbite z czterech sękatych patyczków.

Wartość obrazów nie stała w żadnym stosunku do wartości ram, w sensie materjalnym. Nie kupował ich nigdy. Składały się na nie pobożne obrazki z prospektów, fotografje zbiorowe, gdzie ksiądz Grozd siedział przy dyrektorze, opierając jedną rękę na stoliczku, a poza gronem nauczycielskiem rozwijał się wachlarz młodych twarzy; fotografje pojedyńczych osób, wśród których parę wyblakłych z podobiznami rodziców katechety, zacnych chłopów z Sądeczyzny, i jego samego w stroju alumna; portrety biskupów, arcybiskupów, Leona XIII, zaczerpnięte z jakichś pamiątkowych rozdawnictw. Przyćmiewało je wszakże pstre zbiorowisko pejzaży, kolorowych reprodukcji dzieł sztuki, widokówek i rzeczy zupełnie zagadkowych, które wyglądały na ilustracje z nieznanych powieści.

Nieczuły na piękno, ksiądz Grozd znajdował upodobanie w samych barwach i jeśli obraz nie posiadał ich w dostatecznej ilości, dopomagał mu tłem z kolorowego papieru. Tło — to była słabość księdza, i dzień, w którym podobiznę cesarza Franciszka Józefa podkleił błękitnym papierem usianym złotemi gwiazdkami przyniósł mu chwilę głębokiego szczęścia.

Wróciwszy do domu, zdjął rewerendę, włożył biały kitel, i zabrał się do swej ulubionej pracy. Po drodze obmyślił jaki obrazek wprawi w nową ramkę. Znalazł go w starej ceratowej teczce, razem z tuzinem innych oczekujących swego przeznaczenia. Była to trójbarwna reprodukcja „Nad rzeką“ Apolonjusza Kędzierskiego. Babina wiejska, zaczerpnąwszy wody w gliniany dzbanek wylewała ją do stojącej obok drewnianej konewki. Las na ramce miał niejako rozszerzyć pejzaż, a myśliwiec i sarna przyglądali się niewyszukanej treści obrazka.

Wydobył zza pieca kawał szkła, obtarł z kurzu, przymierzył do ramki i ze zręcznością świadczącą o długiej praktyce wyciął diamentem stosowną szybkę. Wsunąwszy ją w ramy, położył na niej obrazek i zaczął skrupulatnie wbijać ćwieczki. Lekkie stuknięcia młotka przyniosły mu spokój. Nie było to jednak wiele warte, gdyż nadal nie wiedział co począć z całą sprawą. Pod

wpływem tych niewinnych zajęć przedstawiała się ona łagodniej, lecz i bardziej mglisto.

Wbiwszy ostatni gwoździk, powędrował do kuchni z żelaznym garnkiem, w którym rozrabiał karuk.

— Niech mi ksiądz brat nie odsuwa kaszy. Skaranie boskie z tym karukiem!

Była to siostra księdza Grozda, którą zez, wysunięta szczęka o dużych żółtych zębach i odstręczający charakter uratowały od utraty panieństwa. Prowadziła gospodarstwo bratu, zaprawiając go od dwudziestu lat w tych cnotach chrześcijańskich, które pozwalają „nieść swój krzyż“ bez szemrania. Na imię było jej Anastazja i niekiedy ksiądz Grozd wzdrygał się na tkwiącą w niem zapowiedź zmartwychwstania, bliski heretyckiej idei, że Bóg, wskrzeszając umarłych, może jednak czynić pewne wyjątki. O wiele głębiej był o tem przekonany właściciel kamienicy, który był gotów wyrzec się wieczności, gdyby miał ją dzielić z panną Grozdówną. Ona jednak gorliwie ubiegała się o zbawienie, przesiadując po kościołach i pełniąc służbę u brata, co również — jak sądziła — będzie jej policzone. Ale kazała sobie regularnie płacić pensję, którą co miesiąc, prawie nietkniętą, zanosiła do Kasy Oszczędności, zbierając fundusz na wiano klasztorne.

Ksiądz Grozd, pochylony nad gorącą kuchnią, w oparach kaszy, mieszał smolakiem kleistą ciecz, która coraz bardziej się rozrzedzała. Hałaśliwe narzekania Anastazji nie docierały do jego świadomości; dopiero, gdy nagle umilkły, obejrzał się w jej stronę z ciekawością.

— Cóżem to miała powiedzieć? — podrapała się w głowę. — Aha! ksiądz Malinowski bardzo chory.

Karuk był gotów. Nie zważając na sprzeciwy panny Anastazji, ksiądz Grozd wziął jedną ze szmat wiszących na sznurze i owinął nią palce, aby chwycić rozgrzany garnek. Wiadomość o chorobie kanonika bardzo go poruszyła. Z wątłem zdrowiem tego siedemdziesięcioletniego starca łączył nadzieje, które zamykały się w szeregu miłych obrazów: były tam piękne katedralne stalle, tak wygodne i bezpieczne, jeśli ma się prawo w nich siedzieć, różne powabne szczegóły kanonicznego stroju, życie wolne od trosk i zabiegów o licho płatne msze. Idąc w smudze tych obrazów, jak w zapachu kadzidła, dotarł do swego pokoju

z dymiącym garnkiem, który nawet przez szmatę parzył mu palce. Lewą ręką sięgnął po plik starych gazet, aby postawić na nich żelazne osmolone naczynie.

W tej chwili jego wzrok padł na pierwszą stronicę „Gazety Lwowskiej“ sprzed paru tygodni. Był to jedyny dziennik, który czytywał stale; nawet konserwatywny „Przegląd“ nie budził w nim tego szacunku co organ rządowy, równie bogobojny, a bardziej nieomylny i dokładny w informacjach tyczących władz i rozporządzeń. Ksiądz Grozd zawdzięczał mu niejedną wiadomość pożyteczną. Ale oto był numer, który niewątpliwie miał w ręku, bo widniał na nim krzyżyk, narysowany czerwonym ołówkiem (katecheta oznaczał w ten sposób przeczytane stronice, aby już do nich nie wracać) i na samym wstępie „Części Urzędowej“ znajdowało się coś co musiało ujść jego uwagi:

Jego Cesarska i Królewska Apostolska Mość raczył Najwyższem postanowieniem z dnia 1 września nadać najmiłościwiej starszemu radcy Namiestnictwa Albinowi Grodzickiemu tytuł i charakter Radcy Dworu z uwolnieniem od taksy.

Karuk ochłódł i nanowo stężał, a ksiądz Grozd stał w zamyśleniu, pochylony nad biurkiem, jakby wciąż jeszcze czytał tę ważną nowinę, chociaż mrok już zasypał szarym popiołem pożółkłą od słońca gazetę.

XIV

Profesor Rojek pożegnał się z kolegami przed gimnazjum. Wiedział, że, jak zwykle po konferencji, idą do małej restauracyjki naprzeciw Politechniki, ale, ponieważ nigdy z nimi nie chodził, zdziwił się, gdy Szeremeta zapytał:

— A pan profesor nie pójdzie?

Rojek przyjrzał mu się uważnie. Nie, Szeremeta nie mówił tego na kpiny. Był poprostu nowicjuszem, nie znał obyczajów starego dziwaka. Tak samo niewinne było następne pytanie:

— Pan profesor do domu?

Rojek skinął głową i prędko podał mu rękę.

Ostatnie słowo: dom wplotło się smugą stęchlizny w lekki i miły wieczór wrześniowy, w którym nie ostygła jeszcze ciepłota dnia, a chłód nocy dawał zaledwie znać o sobie dalekiem prze-

czuciem rosy. W ulicy Ujejskiego latarnia ukryta za drzewem zmieniła jego puszystą koronę w fantastyczny krzew srebrnozielonego blasku. Gdzieś u końca Technickiej, w mrokach ogrodu Jezuickiego, mandoliny wydzwaniały tango.

Stary filolog zatrzymał się, jakby nie wiedział dokąd idzie. Wytrącony z automatyzmu swych kroków, nie poznawał utartej drogi, która dzień w dzień prowadziła go do gimnazjum i spowrotem. Czyż jednak nieodparty przymus więzi ulice raz na zawsze w tem samem miejscu? Czyż nie mogą one mieć jakiejś pijanej chwili, jakiegoś momentu samowoli, aby rozchwiać się i stanąć wpoprzek, poprzemieniać swe kąty i ukosy?

Profesor Rojek stał pośród nieznajomego pejzażu. Ze stromej góry wyrastał kościół z wieńcem gwiazd wokół ciemnego krzyża; naprzeciw nieociosane bloki dźwigały coś nakształt renesansowego palazzo; po drugiej stronie czworobok kamienny, inkrustowany prostokątami świateł, wpierał się w mrok czegoś pustego i głuchego jak otchłań. Jedyna wolna przestrzeń szła wdół, płynęła jak strumień w grze blasków i cieni. Zdaleka, wgórę strumienia, sunął statek, bijąc w dzwonki i pryskając zielonemi rakietami na szczytach masztów. Rojek ruszył w tę stronę.

Zrobiwszy kilkanaście kroków stanął. Przez niezasłonięte okno widać było pokój, słabo oświetlony lampą o zielonej umbrze. Lampa stała na biurku, przy którem siedział jego kolega szkolny, Radca Dworu Albin Grodzicki, i czytał gazetę. Rojek, stojąc na brzegu chodnika, patrzył w jasne okno jak na scenę, gdzie rozgrywa się ułamek nieznanej mu sztuki, ale gdzie mógłby z biernego widza zmienić się w jedną z działających osób. Nagle podszedł do okna, wspiął się na palce i dość mocno zapukał w szybę. Grodzicki poderwał głowę, wstał. Profesor w tej samej sekundzie przeżył uczucie zgrozy i spokój głębokiego zadowolenia. Grodzicki otworzył okno, wychylił się i, zmrużywszy oczy nasycone światłem, starał się rozpoznać ciemną postać.

— Któż to?

— To ja, Rojek. Czy możesz mnie wpuścić tak, żeby mnie nikt nie widział? Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

— Idź przez bramę do drzwi frontowych.

Zanim poszedł je otworzyć, zajrzał do jadalni.

— Zosiu — szepnął — tu jeden pan do mnie zaraz przyjdzie. Żebyś nie wchodziła.

— A kolacja?

— Dam ci znać.

Z lampą w ręce wprowadził gościa do salonu. Patrzył ze wzruszeniem na jego pochylone plecy, na wielką łysinę w okolu siwych włosów, na wąsy jakby przysypane popiołem, na całą niezgrabność starego odludka, który, zdjąwszy swój biedny płaszcz, niósł go dalej na ramieniu.

— Połóż to gdziekolwiek.

Miał ochotę uścisnąć go, ale się powstrzymał; nawet nie podali sobie ręki.

— Rojek! — rzekł stłumionym głosem. — A to przygoda!

— Przygody czyhają na takich jak ja.

Grodzicki uśmiechnął się niepewnie: czy to był żart czy gorycz? Nie wiedział jakim językiem mówi teraz Rojek.

Człowiek, który przed nim siedział i nieśmiało rozglądał się po pokoju, był tylko z rysów podobny do dawnego kolegi, i to w taki sposób, jak odległy przodek do swego prawnuka. Nogi, obute w staroświeckie sztywlety, z odwiecznym kurzem w załomach skóry, leżały płasko i martwo na dywanie, i niktby się nie domyślił, że kiedyś można było z ich pomocą przeskoczyć mur ogrodu Botanicznego. A Grodzicki widział je właśnie w tym skoku i słyszał swój głos: „Połamiesz nogi, warjacie!“ Ale, wychyliwszy się poza mur, na którym siedział, zobaczył ciemną rozwichrzoną czuprynę i szeroki czarny kapelusz, powiewający ku niemu zdaleka. Za chwilę Rojek znikł za zakrętem, i odtąd przepadł, jakby go tam coś porwało.

Dla Grodzickiego był to ostatni dzień uniwersytetu. Załatwiwszy resztę formalności, z kieszenią wypchaną papierami, które dawały mu prawo ubiegać się o miejsce koncypienta w Namiestnictwie, zapragnął wypalić pierwsze w życiu cygaro wśród jesiennych festonów dzikiego wina, obrzucających królewskim płaszczem stary kostropaty mur Ogrodu Botanicznego. Rojek już tam siedział i powitał go jakiemś szaleństwem makaronicznem, gdzie greckie słowa miały łacińskie końcówki, a wszystko razem ten tylko sens, aby wyrazić radość życia, której nie zdołały uśmierzyć najsumienniejsze starania paru sędziwych filologów. Grodzicki nie pamiętał ani jednego zdania z tej rozmowy, być może nie było w niej nic oprócz nieprzytomnego hałasu, który skończył

się tym szalonym skokiem, skokiem „po szczęście“, jak krzyknął mu Rojek, znalazłszy się na ziemi, po tamtej stronie muru.

Grodzicki milczał, nie mogąc się zdecydować: czy podnieść tego człowieka jak uschnięty liść, pamiątkę z dawnych dobrych lat, czy zatrzymać się w granicach nieoczekiwanego spotkania. Rojek sam rozstrzygnął.

— Wracam z konferencji, na której mówiło się o twoim chłopcu — rzekł i zapatrzył się w okno.

— Zdaje mi się, że Teofil uczy się teraz znacznie lepiej.

— Tak. To wszyscy dzisiaj mówili. Nawet Kowalski. Nie wiem czy wiesz — to matematyk. Stary człowiek, w przyszłym roku idzie na pensję. Bardzo się dzisiaj rozgadał. Ale kto dziś nie gadał! Pomyśl tylko: Hamburger!

Grodzicki zmarszczył czoło:

— Aha, gimnastyka.

— Wyobraź sobie! — Machinalnie wziął papieros z pudełka, które mu podsunięto i tak samo nieświadomie zapalił go od płomyka zapalniczki, nie zdając sobie sprawy jak on wytrysł z palców Grodzickiego. Czuł się coraz swobodniej, jakaś stłumiona radość rozgrzewała go powoli. — Wyobraź sobie! Hamburger był kiedyś atletą, ma tam nawet jakieś medale i szarfy, i skarżył mi się, że go nudzą nasze konferencje. Ale Zubrzycki wymaga jego obecności. Poco mu to jest potrzebne, nikt nie wie. I ot, dziś nawet Hamburger się odezwał. Nie myśl, że powiedział coś pochlebnego o twoim chłopcu. W każdym razie on tego nie uważał za pochlebstwo. „Ten student — powiada — marnuje się, nawet hantli nie weźmie do ręki, jeśli go do tego nie zmusić. Jeszcze w palanta od biedy zagra, ale i to pożal się Boże. A coby to był za mężczyzna, gdyby tylko chciał!“

— Ee, terefere — machnął ręką Grodzicki. — Kto z nas zaprzątał sobie głowę gimnastyką.

Rojek skwapliwie przyznał mu słuszność i aby tem skuteczniej odeprzeć sąd eks-atlety, zacytował entuzjastyczną opinję profesora języka polskiego. Szeremeta pojawił się na konferencji w stroju sokolim, i Rojek, opisując go szczegółowo, wdał się w rozważanie ogólne ludzkich dziwactw. Grodzicki słuchał go uważnie, ale jakby ze względu na sam dźwięk słów. Głos Rojka skrzypiał, czasem zacinał się, — nic dziwnego, wszystko tam musiało być jakby zardzewiałe od upartego milczenia. Z opowiadań

syna Grodzicki znał dobrze i umiał sobie odtworzyć codzienny szkolny język filologa, w którym ilość sylab była policzona z nie-prawdopodobnem skąpstwem.

Papieros dopalił się. Rojek zagniótł go w popielniczce. Zo-stało mu po nim pełno popiołu na kamizelce i niewyraźne przeko-nanie, że nie zdążył ani razu się zaciągnąć. Poczuł suchość w gar-dle od nadmiernego mówienia. Wnet coś się popsuło w jego swa-dzie, jakby to był mechanizm, którego nieoględnie nadużyto. Gro-dzicki zaś przyzwyczajony do punktualnych kolacyj, walczył mię-dzy głodem a obawą żeby nie spłoszyć gościa. Wreszcie położył mu rękę na kolanie:

— Wiesz co, ponieważ zależy ci na tajemnicy, przejdziemy na chwilę do mojego pokoju, a tu tymczasem podadzą nam coś do zjedzenia. No, no, niema mowy.

Zabrał lampę, popchnął go do swego gabinetu, powiedział: „Zaraz“, i wszedł do jadalni. Gdy wrócił, Rojek stał na tem sa-mem miejscu i dłonią pocierał łysinę. Ktoś krzątał się w salonie, myśl, że to pewnie żona Grodzickiego przejmowała go niewytłu-maczonym lękiem. Grodzicki spuścił story w oknach. Od tego sznurka zależało, czy Rojek będzie tu dziś czy nigdy w życiu. Gdyby pół godziny wcześniej odwinięto go z gwoździa, żadna siła na świecie nie zmusiłaby profesora zapukać w zasłonięte okno. Uświadomiwszy to sobie, poczuł Rojek niewysłowioną gorycz wędrówki przez ulice, które od tylu lat przecinały się, krzyżowały, łączyły na to, aby go jak z sieci wyrzucić na próg domu. Ten próg, wytarty, wyokrąglony i wygryziony pośrodku, mógłby zaświad-czyć jak niechętnie stąpały po nim nogi w staroświeckich sztywle-tach, które w mirjadach drobin rozniosły po mieście tak znaczną część jego sosnowej substancji.

Grodzicki z pudełka stojącego na biurku wyjął dwa cygara:

— To sobie potem zapalimy.

Z pewną nieśmiałością krążył wokół gościa. Ale Rojek nie potrzebował jego opieki. Chodził teraz po pokoju, przypatrywał się obrazom, nie widział nic, zatopiony w dziwnym pejzażu swych uczuć. Z czegoś ciemnego jak głęboki i wilgotny parów wysnu-wała się ścieżka wyraźnie idąca ku otwartej i jasnej przestrzeni.

Z salonu zapukano do drzwi.

— Gotowe — ucieszył się Grodzicki, biorąc Rojka za ramię.

— O, lepiej niż przypuszczałem — mówił, rozglądając się po stole, nad którym zapalono wiszącą lampę.

Były sardynki, bryndza, masło i suche cienkie zraziki na zimno — tajemnica kuchni Grodzickiej — które zwykle brało się latem na wycieczki za miasto. Grodzicki z dwóch sardynek, bryndzy i masła zaczął ugniatać „liptauera“, nie żałując papryki.

— Możesz sobie, oczywiście, zjeść osobno sardynkę, ale zobaczysz, jakie to dobre.

Nalał dwa kieliszki domowej wiśniówki. Rojek wypił, nałożył sobie grubo liptauera na kromkę czarnego chleba, na talerzyku miał sardynkę w powodzi oliwy. Zachowywał się z pełną zdumienia biernością, jakby patrzył na urzeczywistnioną bajkę o „stoliczku nakryj się“.

— Ten „komiśny“ chleb — prawda, jaki wyborny? — zawdzięczamy naszej służącej, która chodzi po niego na Cytadelę. Nabywa go za cenę dwóch szóstek i nieznanej mi bliżej ilości uszczypnięć, na które się bohatersko naraża, wyczekując pod kasarnią. Zdaje mi się, że coś jeszcze do tego dokładam w postaci sznyclów, które zjada pewien frajter, zachodzący do niej w niedziele.

Rojek wypił drugi kieliszek i jadł w milczeniu. Ani się nie sprzeciwiał, ani nie podzielał wesołości gospodarza. Zachowywał się jak biedak, któremu los pozwolił nasycić głód i który pragnie jak najbardziej w tem dopomóc losowi. Co jakiś czas jego ręka o kościstych artretycznych palcach sięgała po kromkę chleba, i Grodzicki zauważył, że wszystkie paznogcie są straszliwie poobgryzane.

— Nie bierz mi za złe — rzekł — ale po tylu latach... Jak ci się żyje?

Rojek zatrzymał w powietrzu widelec z kawałkiem zrazika:

— Marnie. — A po chwili dodał: — To już leży w naturze świata, żeby wszystko szło ku gorszemu. Chociaż ty może jesteś innego zdania?

Grodzicki nie czuł się w prawie podejmować tej dyskusji. Zapytał:

— Jesteś żonaty?

Rojek skinął głową.

— A dzieci?

— Było jedno. Umarło. Byłby dziś w wieku twojego syna.

— No, Opatrzność Boska... — westchnął Grodzicki.

— W mojem życiu nie nabrałem wysokiego pojęcia o Opatrzności Boskiej.

Grodzicki zmartwił się, widząc, jakiego spustoszenia narobił przez swą ciekawość. Zaczął się krzątać, podsuwał gościowi mięso, chleb, otworzył nową butelkę piwa. Ale Rojek stracił ochotę do jedzenia. Zapatrzył się w okno, przez które widać było wylot ulicy Kleinowskiej z latarnią świecącą się na rogu. Jej zielonkawy, smutny, zimny blask padał na czarnożółtą skrzynkę pocztową, wiszącą na murze narożnego domu. Żałobne myśli Rojka owinęły się dokoła tej rzeczy, tak pospolitej a tak wstrząsającej dla niego, który patrzył na nią, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. Nie pamiętał, kiedy podnosił jej blaszaną klapę, aby wsunąć w jej otwór list. Czy wogóle pisał kiedykolwiek listy? Nie było przecież na świecie nikogo, ktoby oczekiwał od niego wiadomości.

— Mówiłeś, że masz mi coś ważnego do powiedzenia — odezwał się Grodzicki.

— Aha.

— Czy to w związku z dzisiejszą konferencją?

Rojek sięgnął po szklankę, którą Grodzicki mu nalał.

— Domyślasz się—rzekł, ocierając serwetką pianę, która osiadła na wąsach — że nie była to zwyczajna konferencja. Katecheta się o nią postarał. Czy znasz księdza Grozda?

— Tylko z opowiadań Teofila.

Dwie głębokie brózdy, które jak w nawiasie trzymały usta Rojka, pogłębiły się i przesunęły, szkicując na tej jałowej twarzy znikomy uśmiech. Grodzicki nie byłby tego zauważył, gdyby nie posłyszał:

— Daruj, ale śmieszy mię to imię. Czy pamiętasz jeszcze natyle greki, żeby wiedzieć, co ono znaczy?

— No, tak. „Miły Bogu“. Cóż w tem śmiesznego?

— Właśnie to było przedmiotem konferencji, w jakim stopniu imię twojego syna stało się anachronizmem.

Grodzicki przyjrzał mu się uważnie. Czyżby porter żywiecki pomieszany z jasnem piwem lwowskiem mógł mieć tak niespodziany wpływ na usposobienie ludzkie?

— Nie rozumiem — rzekł.

Rojek nagle odzyskał dar mowy, który go opuścił przy kola

cji, i bardzo szczegółowo opowiedział to, co ksiądz Grozd podał do wiadomości profesorów ze swej przygody na Wysokim Zamku.

— Wielka szkoda — zakończył — że nie było dziś Kosa, który miał o tej samej godzinie posiedzenie na uniwersytecie. Katecheta powoływał się na niego. Kto wie, jakby to wyglądało w oczach tego drugiego świadka.

Grodzicki siedział z pochyloną głową i bezgłośnie przebierał palcami po stole, jak po klawiszach.

— No, nie przejmuj się tem. Wszystko da się jakoś załatwić. Twoje stanowisko... Nie wyrzuca się syna radcy Dworu tak odrazu, bez pardonu. Zresztą nie było o tem mowy.

— A cóż postanowiono? — zapytał Grodzicki nieswoim głosem.

— Coś bardzo głupiego, mojem zdaniem. Na razie ma być o wszystkiem sekret, conajmniej przez tydzień. Każdy z profesorów ma tymczasem pilnie uważać na uczniów i jeśli coś znajdzie lub zauważy, donosić dyrektorowi. Bo sęk w tem, że Grozd widział i słyszał tylko twojego syna, a było tam podobno jeszcze kilku chłopców. Grozd mówi nawet o „całej bandzie".

— Któż to podał ten projekt?

— Grozd. Bo trzeba ci wiedzieć, że nikogo ta historja tak bardzo nie obeszła. Ale katecheta musi udawać, że go to martwi.

— Jakto udawać?

— No, bo, gdyby dziś podniósł naprawdę wielki krzyk, musiałoby się coś zrobić odrazu. Ale on nie krzyczał, albo przynajmniej krzyczał po cichu. Widać i on chce zyskać na czasie.

— Bój się Boga — zawołał Grodzicki — przecież taki tydzień potajemnego śledztwa to zguba dla Teofila. Chłopiec jak nic palnie głupstwo, po którem nie będzie już żadnego ratunku!

— Pomyślałem to sobie i dlatego tu przyszedłem. Pomyślałem sobie — dodał ciszej — jakby to było, gdyby to był mój syn. No, ze mną nie robiliby ceregieli. Wyrzuciliby i jego i mnie razem z nim. Ta metafizyka, która kiedyś żebrakom obiecywała królestwo, może dziś człowieka puścić z torbami.

Grodzicki siedział w zadumie. Rojek, obróciwszy w dłoni niedopitą szklankę, postawił ją spowrotem. Zegar wybił godzinę dziewiątą. Wstał, aby się pożegnać. Grodzicki go nie zatrzymywał.

— Zapomnieliśmy je zapalić — rzekł, zobaczywszy leżące na stole cygara. — Może weźmiesz na drogę?

Rojek, już w płaszczu, wsunął cygara do kieszeni. Grodzicki ściskał mu rękę.

— Dziękuję ci, bardzo dziękuję. Zajdź, kiedy będziesz miał ochotę.

Profesor skinął głową w milczeniu.

Gdy Grodzicki wrócił z przedpokoju, zastał w salonie żonę. Przestraszyła się, widząc w jego twarzy i w całej postaci przygnębienie. Wziął ją za rękę i posadził obok siebie na kanapie. Słuchała go w takim zamęcie, że, gdy skończył, nie umiałaby powiedzieć, co zrobił Teofil ani co mu zagraża, i o kogo właściwie ma się bać: o syna który teraz rozbiera się do snu, czy o męża, który, otoczywszy ją ramieniem, przylgnął do niej, jakby szukając oparcia.

— Nie to mnie najwięcej boli — mówił prawie szeptem — że Teofil znalazł się przez swoją głupotę w niebezpieczeństwie i nie to, że będę teraz świecił za niego oczami i łaził po dyrekcjach. To przykre, ale to drobiazg. Co jest naprawdę nieznośne, to myśl, że syn może się stać nagle takim obcym człowiekiem. Zdaje mi się jakby tu był nie Rojek, ale szatan, który przyszedł zabrać Teofila i zamiast niego zostawił nam w domu nieznajomą osobę, tylko z powierzchowności podobną do mego syna. Nie wiem nawet jak mógłbym z nim teraz mówić.

— Ach, Biniu — zawołała Grodzicka i wśród łkań wyznała, od jak dawna wie o wszystkiem.

— Bój się Boga! dlaczegoż nie mówiłaś mi o tem?

Nie miała odwagi. Odkładała z dnia na dzień. Myślała, że to przeminie.

Własną chustką obtarł jej łzy. Wstał. Przeszedł się po pokoju.

— Ha, trudno. Może to i lepiej. Kto wie, jakbym postąpił i czy nie rozbudziłbym w nim uporu, na który nie byłoby już rady. Teraz, widząc co narobił, może sam się opamięta.

Mówił tak, aby ulżyć żonie, lecz słowa które wypowiadał nie przynosiły mu otuchy. Dom zbawienne schronisko, gdzie zawsze znajdował bezpieczeństwo i spokój, zawisnął nagle na samotnej skale, w obliczu wichrów i burz.

— Nic mu nie mów, tylko żeby jutro zachowywał się w szkole ostrożnie.

Przy wieczornym pacierzu Bóg zajrzał mu w oczy. Ukryty

w starym modlitewniku, oddziedziczonym po matce, w równie sta≈rym obrazku, który wisiał na łóżkiem i który był tak znajomy i poufały, że aż zapominało się o jego istnieniu, w szkaplerzu nie≈odstępnym, rozproszony w tysiącznych obrzędach, spełnianych automatycznie — zrósł się niespodzianie w nieogarniony kształt. ciążący nad światem ogromem swej obecności. Grodzicki długo nie mógł zasnąć, jątrzony obrazem syna podnoszącego rękę, jak≈by tym kruchym badylem zamierzał zepchnąć ów kształt ze skle≈pienia nocy. A kiedy już sen przywarł na nim, jeszcze w głębi mroku czuł źrenicę, płomienną od gwiazd, która z bezkresów pa≈trzyła w znikomy punkt ziemi, gdzie stał jego dom — patrzyła w wiekuistem, mrożącem krew oczekiwaniu.

XV

Nazajutrz Grodzicki wstał późno i zamknął się w swoim po≈koju, dopóki Teofil nie wyszedł do szkoły. Podniósł story, wchło≈nął w siebie wielki płat błękitu wiszący nad ulicą, spojrzał na ter≈mometr który wskazywał 10 stopni ciepła, otworzył okno. Rzucał w nie raz po raz roztargnione spojrzenia, szukając w pamięci zda≈rzeń ubiegłego dnia, które zapisywał w kronice. I ów dzień, jak wszystkie inne, zaczął od stanu nieba, które w bezchmurnej pogo≈dzie przetrwało do wieczora, potem w paru krótkich zdaniach uporał się z drobnemi wypadkami. Ołówek zatrzymał się na chwi≈lę. Ale wnet pobiegł dalej, i te same proste słowa, z których od dwunastu lat składała się historja domu Grodzickich, opanowały niezwykłość wczorajszej nocy, aby za rok przypomnieć ją w tym zwięzłym, suchym kształcie.

Za rok! Złożywszy ręce na zamkniętej księdze, Grodzicki od≈chylił się na oparcie krzesła i zapatrzył w jakiś punkt na przeciw≈ległej ścianie. Trwało to krótko, i kiedy pani Zofja odważyła się wreszcie otworzyć drzwi do jego pokoju, on właśnie szedł do niej. Jeden jego uśmiech odpędził strachy nocne, które jeszcze czaiły się w jej podkrążonych oczach.

W biurze Grodzicki spędził dwie godziny, aby załatwić naj≈pilniejsze sprawy, i bez pośpiechu, jakby szedł na spacer, wybrał się do gimnazjum. Po drodze wstąpił do Musiałowicza, zjadł spo≈rą kromkę chleba grubo okrytego świeżą pachnącą szynką i napił

się Pilznera. Gdy stanął w bramie gimnazjum, nie wyglądał na zatroskanego ojca. Starszy tercjan, który pomagał żonie zbierać naczynia z bufetu po wielkiej pauzie, porzucił wszystko i na ile pozwalała mu tusza wybiegł naprzeciw gościa.

— Chcę się widzieć z dyrektorem — rzekł Grodzicki, podając mu wizytówkę.

Eks-wachmistrz, Michał Motyka, zawahał się, czy nie zaprosić tego poważnego pana do sali konferencyjnej, ale wkońcu zostawił go na korytarzu pod wielką reprodukcją praksytelesowego Hermesa. Nie umiał czytać bez okularów i nie znał się na osobach cywilnych. Wprawdzie żakiet, popielaty melonik, złoty łańcuszek od zegarka, jak zresztą cała postać, od której szedł prawdziwie pański zapach wody kolońskiej — uczyniły na nim pewne wrażenie, dalekie jednak od tego, by mógł przypuszczać, że ma przed sobą generalską rangę. Dopiero pośpiech, z jakim dyrektor, spojrzawszy na kartę, rzucił się do drzwi, przyprawił go o krótkotrwałą zgryzotę, że niema jakichś pewniejszych znaków dla rozróżnienia dygnitarzy, nie używających mundurów.

Zubrzycki był bardzo zmieszany. Gładząc raz po raz bujną siwą czuprynę, powtarzał: „Cenię sobie, cenię...“ i otaczał gościa mnóstwem gwałtownych ruchów. Grodzicki uchodząc przed nim, szukał napróżno kawałka wolnej przestrzeni, skąd mógłby swobodnie przyjrzeć się dyrektorowi; nie lubił zaczynać rozmowy nie rozpatrzywszy się wpierw w fizjognomji człowieka. Gdyby ktoś trzeci na nich patrzył, odniósłby wrażenie pościgu i ucieczki o zdumiewającej zręczności i opanowaniu. Trwało to kilkanaście sekund; wreszcie Grodzicki usiadł na fotelu po drugiej stronie biurka.

— Bardzo miły gabinet — rzekł.

Zubrzycki uśmiechnął się i pochylił głowę, jakby dziękował; i jedno i drugie było nieszczere. Zająwszy swe zwykłe miejsce przy biurku, nie znalazł na niem ani pewności ani spokoju. Zgarniał porozrzucane papiery, jakby się obawiał, że Grodzickiemu może wpaść w oko coś, co należałoby przed nim ukryć. On zaś patrzył na rzecz tak niewinną i bezinteresowną, jakiej nie spotyka się w otoczeniu pieczęci, poduszek z farbą i laku.

Był to kawał bursztynu, znaleziony w ziemi przy kopaniu fundamentów gimnazjum. Za poprzedniej dyrekcji leżał na pulpicie, gdzie stał krucyfiks między dwiema świecami, i nowi nauczyciele, składając przysięgę, mieli przed oczyma lśniący miodny okruch

prawieków, który w tym rytualnym zakątku wydawał się jakimś czcigodnym fetyszem. Dopiero ksiądz Grozd zwrócił uwagę na niestosowność przechowywania w sąsiedztwie krzyża jakichkolwiek przedmiotów, zdolnych zakłócić akt skupienia i absolutnej ciszy duchowej.

— Jakież to piękne! — rzekł z zachwytem Grodzicki, biorąc ostrożnie bursztyn.

W złocistem przezroczu widziało się motyla, który przed pięćdziesięciu miljonami lat zaplątał się w pajęczynę i razem z nią utonął w przejrzystej jak oliwa żywicy.

— Skąd pan to ma?

Zubrzycki niedołężnie opowiedział historję znalezienia bursztynu, każdem zdaniem zdradzając, że nie opanował popłochu, jakim go przejęła nieoczekiwana wizyta. „To doskonale" — pomyślał Grodzicki, i odłożywszy bursztyn, rzekł nagle:

— Pan się zapewne dziwi, co mię tu sprowadza?

— Nie... to jest... właściwie.

— No, tak. Jeśli się ma syna w gimnazjum, powinno się zajść od czasu do czasu, aby zbadać, jaka jest o nim prawdziwa opinja. Załuję, że zaniedbałem dotychczas tego obowiązku.

— Ależ, panie radco Dworu, któżby śmiał trudzić... Miałem parę razy zaszczyt rozmawiać z szanowną małżonką...

—W istocie. Moja żona przynosiła mi zazwyczaj dobre wiadomości, a i świadectwo z końca roku było zadowalające, chociaż nie takie, jakiegobym pragnął. Lecz siódma klasa — to już nie żarty. Jeden krok dzieli ją od matury. Czy uważa pan, panie radco, że mój syn nie sprawi nam jakichś niespodzianek w tym niebezpiecznym okresie?

Zubrzycki poczerwieniał. Nie znajdując odpowiedzi, sięgnął do kieszeni po cygaro. Wyjął dwa.

— Przepraszam, że tak podaję. Może pan radca Dworu zapali?

— Dziękuję. Przed obiadem wolę papierosa.

Certolili się z zapałką, którą wkońcu Grodzicki odebrał dyrektorowi, ale już drewienko przepaliło się i mały ognik spadł na dywan. Zadeptał go nogą. Drugi raz nie powtórzyli tej zabawy, Grodzicki wyjął zapalniczkę, a Zubrzycki mógł sobie spokojnie rozżarzyć cygaro przy własnej i niepodzielnej zapałce. Dym portorika, który zawsze był mu tak miły, gryzł podniebienie jakąś wstrętną goryczą.

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie — wykrztusił.

— Może pan mówić ze mną otwarcie. Znam dokładnie przebieg wczorajszej konferencji.

Dyrektor podniósł rękę do ucha, jakby go ogłuszyły te słowa.

— Rozumiem pańskie zdziwienie. — Grodzicki swobodnie rozsiadł się w fotelu. — Ale nie takie tajemnice wychodzą na jaw. To już jest naturalna przywara sekretów, że pozwalają się zdradzić w najbardziej nieoczekiwany sposób. To jest również często ich wielką zaletą. Wasz sekret jest właśnie z gatunku tych, które stają się zgubne, jeśli przeżyją dwadzieścia cztery godzin. Jest on typowym płodem długiej i chaotycznej dyskusji, zmęczonych mózgów i głodnych żołądków. To fatalna pora — między siódmą a ósmą wieczór. Wtedy zapadają zawsze najgorsze uchwały, na wszystkich sesjach, jeśli biorą w nich udział ludzie, mający za sobą pracowicie spędzony dzień. I nazajutrz zostaje się z paskudnym bagażem, z którym nie wiadomo co robić.

Marny papieros, który starczył nie więcej niż na kilka pociągnięć, dał temu człowiekowi spokój, jakiego on, Zubrzycki, nie mógł osiągnąć w kłębach dymu tak bujnych i gęstych, jakby palił nargile. Wyjął z ust cygaro, przypisując mu niesłusznie uczucie niesmaku, które go przepełniało. W rzeczywistości bowiem pochodziło ono od jego gorzkich myśli.

Grodzicki mówił, jak jasnowidz i dyrektor odruchowo oparł czoło na dłoni, przysłaniając nią oczy, jakby się bał, że tamten, wyczytawszy w nim tak wiele, doczyta do końca upokarzający tekst jego duszy. Myślał o swej niepoprawnej chwiejności, o zmurszałej woli, i że już tak zawsze będzie się cofał, ustępował, ulegał, przyjmując wszystkie dwuznaczne sytuacje, w które komuś podoba go się wtrącić. Wśród takich myśli trudno znaleźć rozsądną odpowiedź, ale i niepodobna było milczeć.

— Dajmy na to — rzekł, z wysiłkiem prostując plecy. — Lecz syn pański popełnił czyn naganny i zmusił nas do myślenia o karze, jakiej wymagają ustawy szkolne.

Radca Dworu był w bardziej zażyłych stosunkach z ustawami niż dyrektor, który swoje najlepsze lata poświęcił konfliktom sinusów i tangensów. Prawo — święta rzecz; Grodzicki szczerze wyznawał tę wiarę, ale doświadczenie pouczyło go, że prawo, podobnie jak fluor, nie daje się zastosować w czystej postaci. Jeśli ma ono wejść w skład rzeczywistości, musi otrzymać przymieszkę sa-

mowoli i nacisku, aby jego eteryczna natura zniosła warunki materjalnego świata. Oto co nigdy nie przyszłoby na myśl Zubrzyckiemu, który sądził, że już Bóg wie jaką fortecę wybudował z tych „ustaw szkolnych".

Grodzicki machnął niecierpliwie ręką:

— Nie mówmy o tem! Przyszedłem tu, aby pana wybawić z kłopotu. To, co zamierzacie zrobić, nie jest właściwe. Chcecie badać, śledzić, przesłuchiwać — strzeżcie się! Nadalibyście zgubny rozgłos rzeczy, która jest dziecińtwem. Podobne sprawy chowa się pod sukno we wszystkich kancelarjach, panie radco.

Zubrzycki był już za stary, by wytrzymać takie ostre spojrzenie, jakiem go przeszywał człowiek, który mógłby być jego zwierzchnikiem i który też zachowywał się w ten sposób. Czuł jednak, że nie powinien siedzieć zgarbiony, z oczami, utkwionemi w kryształowy kałamarz, i milczeć. Mówiły mu o tem gorące fale, któremi burzyła się w nim krew, znacząc mu twarz w białe i czerwone plamy. Urażona duma, pragnienie władzy i złość, że znów ktoś przychodzi mu ją odebrać, wrodzona popędliwość — ileż tam było ładunków, zdawało się, gotowych lada chwila wybuchnąć!

Grodzicki śledził go spod oka; minęło między nimi parę sekund ciężkich jak ołów. Skończyło się jednak na niczem; dyrektor rozłożył ręce:

— Panie radco Dworu — rzekł — to nie ode mnie zależy. W tych sprawach, pan rozumie, katecheta ma głos decydujący.

Grodzicki zrozumiał więcej niż było w tych słowach, i zrobiło mu się żal człowieka, który najwidoczniej marnuje zalety swego serca i umysłu na niedorzeczne zgryzoty.

— Czy mógłbym się tu z nim rozmówić? — zapytał.

— Oczywiście.

Zubrzycki wstał, aby rozejrzeć się w podziale godzin, który w szerokich drewnianych ramach wisiał na ścianie.

— Tak . Ksiądz Grozd kończy właśnie godzinę w ósmej klasie. Każę go uprzedzić.

Nacisnął biały guzik na biurku. Ostry głos dzwonka, wiszącego po tamtej stronie drzwi dyrektorskich, wstrząsnął panem Motyką, który zdrzemnął się na ławce pod salą konferencyjną.

— Poprosicie, Michale, księdza Grozda, żeby był łaskaw zajść do mnie po godzinie.

Gdy tercjan wyszedł, Zubrzycki ukradkiem spojrzał na zegarek.

— Niestety — rzekł — muszę być przed pierwszą w Radzie Szkolnej.

— To może jest jakiś pokój...

— Ależ nie, panie radco Dworu. Tu będzie najlepiej.

Grodzicki zapalił nowego papierosa, dyrektor wrócił do tlejącego jeszcze cygara, i ani się spostrzegli, jak z kilku zdań, rzuconych mimochodem, wylądowali w czasach swojej młodości. Okazało się, że obaj chodzili do tego samego gimnazjum, ale dyrektor był starszy o kilka lat. Przypominali sobie profesorów, program nauki, strach przed maturą, która „nie była tem co dziś“.

Tak ich zastał ksiądz Grozd. Dyrektor zapoznał Grodzickiego z katechetą, potem pożegnał się i wyszedł.

Ksiądz zajął fotel dyrektora, oparł o brzeg biurka splecione dłonie, czekał. Miał oczy przymknięte, blada twarz była bez wyrazu, jakby zabierał się do wysłuchania banalnej spowiedzi.

Gmach huczał pauzą. Schody, korytarze dudniły od tupotu biegnących nóg; drzwi zamykały się z ogłuszającym trzaskiem; sufit zadrżał, gdyż jakiś ciężki przedmiot zwalił się tam w górze. „Przewrócili katedrę“ — pomyślał Grodzicki i z wysiłkiem oderwał się od pejzażu młodości, który ogarnął go w ostatniej rozmowie.

— Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dowiedziałem się o wczorajszej konferencji... — zaczął i zatrzymał się na chwilę, szukając odpowiednich słów. Tę krótką przerwę wypełnił matowy głos księdza:

— To co pan radca Dworu nazywa „szczęśliwym zbiegiem okoliczności“, jest dla nas bardzo smutnem zdarzeniem. Czyż można się dziwić, że młodzież jest rozwiązła, jeśli wśród nauczycieli niema dość dyscypliny, aby zachować tajemnicę, którą im narzuca honor i obowiązek?

Było to powiedziane gładko i beznamiętnie, jakby odczytane z kartki, i pięknie świadczyło o zdolności panowania nad sobą. Obecność Grodzickiego w tych murach przejęła księdza wcale nie mniejszem zdumieniem, niż to, które przeżył dyrektor. Zubrzycki nie miał czasu uprzedzić go ani słowem, tylko, zanim wyszedł, znalazłszy się za plecami Grodzickiego, zrobił parę gestów, mających wyrażać, że nie rozumie, skąd ten człowiek wziął się tutaj tak nagle. Ksiądz więc dziwił się, ale inaczej niż jego prostoduszny prze-

łożony. W najśmielszych przewidywaniach nie spodziewał się tak rychło ujrzeć przed sobą człowieka, którego pragnął wciągnąć w krąg swoich interesów. Czy można to nazwać zrządzeniem Opatrzności? Chociaż swój cel uważał za zbożny, nie był pewny, czy Bóg pochwala środki, jakie obmyślił, aby go osiągnąć.

— Nie trzeba na to patrzeć tak surowo — odparł Grodzicki.— Jeśliby ksiądz wiedział, przez jaki dziwny przypadek otrzymałem tę wiadomość!.. Nie, to doprawdy nie miało nic wspólnego ze zdradą. Ale porzućmy to i mówmy o samej rzeczy. Głównym winowajcą jest mój syn...

— Właśnie tego nie wiemy i było moim zamiarem wybadać. czy nie kryje się w tem ktoś inny.

— To wszystko jedno. Znam swego syna i jestem przekonany, że całą winę wziąłby na siebie. To chłopak ambitny...

— Należałoby powiedzieć: dumny. Pycha, panie radco Dworu, — oto droga, którą szatan najłatwiej wchodzi do młodej duszy. Kiedy go słyszałem mówiącego, mówiącego rzeczy tak straszne, miałem uczucie zgrozy, jakbym słyszał głos ducha ciemności.

Grodzicki żachnął się i nasrożył:

— Co też ksiądz mówi! To jest wybryk dojrzewającego młodzieńca, nic więcej! Każdy w tym wieku chwyta się jakiejś rzeczy niemożliwej: miłości, przygód, albo takiej oto idei.

Katecheta pokiwał głową:

— Pan radca Dworu ma tylko jednego syna i wspomnienia własnej młodości, która niezawodnie była stateczna. A ja od dwudziestu lat mam do czynienia z chłopcami i poznałem ich tysiące. Otóż zapewniam pana, że taką rzecz zdarza mi się widzieć po raz pierwszy.

Przerwał mu silny głos dzwonu szkolnego, po którym znów załomotały mury od zatrzaskiwanych drzwi, a w parę chwil później nastała ta gęsta cisza, w jaką wchodzi gmach z rozpoczynającą się godziną nauki.

— Wątpliwości, kryzysy — mówił ksiądz — nawet głębokie upadki ducha — to częste zjawisko, niestety. Jest ono skutkiem nowoczesnego systemu nauczania, które dopuszcza, by w tej samej sali, gdzie ksiądz objaśnia tajemnice boskie, odbywały się lekcje, jeśli nie wprost zwalczające kościół, to szerzące poglądy wyraźnie mu przeciwne. Dopóki to się nie zmieni, każda młoda dusza będzie narażona na najwyższe niebezpieczeństwo, a Kościół będzie

mógł jej przyjść z pomocą tylko w ostatecznej chwili. Kto wie zresztą, czy i w tem nie dozna przeszkody.

Ostatnie słowa poruszyły w Grodzickim instynkt państwowy:

— Szkoła jest częścią organizmu społecznego i nie może podlegać innej władzy prócz tej, która kieruje całem życiem społecznem.

Katecheta załamał ręce, jakby go opuściła ostatnia nadzieja:

— Ach, więc i pan jest dotknięty chorobą naszego nieszczęśliwego wieku! Czy zdaje pan sobie sprawę, że kto sprzeciwia się władzy Kościoła pod niesłusznym pretekstem, że wdziera się ona w kompetencje państwa, ten ogranicza władzę prawdy? Nie, nie pomyślał pan o tem. A tak jest właśnie. Szkoła jest dziś przeżarta duchem rozkładu. Wydano ją w ręce ludzi, którzy nie są obowiązani służyć prawdzie. Wszystko czego się od nich wymaga mieści się w książkach, potępionych przez Kościół, albo takich, które tylko przez nieuwagę uniknęły tego wyroku. Czemuż tu się dziwić, skoro naszem wychowaniem przestała rządzić zasada, że najlepszym pedagogiem jest ten kto najgłębiej zna podstawy wiary katolickiej?

Grodzicki, patrząc na bladą twarz, której nawet uniesienie nie przyniosło rumieńców, pomyślał, że nie chciałby jej widzieć przed sobą w trybunale św. Inkwizycji, gdyby takie trybunały jeszcze istniały. Ksiądz siedział chwilę z założonemi na piersiach rękami, jakby oczekiwał zarzutów, które mu przyjdzie odeprzeć. Nie doczekawszy się jednak, przysunął się spowrotem do biurka.

— Jeśli o tem mówię, to aby wskazać panu radcy Dworu, ile w postępowaniu pańskiego syna jest winy samej szkoły. To od niej idzie ów niepokój, rozłam wewnętrzny, któremu podlegają młodzi ludzie, zanim dojrzały rozum sprowadzi ich spowrotem na drogę wiary. Ale krzywdziłbym szkołę, gdybym ją obarczał całą odpowiedzialnością.

Grodzickiego niecierpliwiły te ustawiczne dygresje.

— Co więc zamierza ksiądz zrobić?

Grozd nie zwrócił uwagi na pytanie, które było dlań jeszcze za wczesne.

— Powiedział pan przed chwilą: znam swego syna. Czy zna go pan do tego stopnia, że i to wszystko nie było dla pana tajemnicą?

— Jakto? Chyba ksiądz nie przypuszcza...

— Nie, nie przypuszczam. I właśnie to chciałem panu powiedzieć. Proszę się zastanowić. Jest pan ojcem chłopca, który tuż pod pańskiem okiem przeżywa okropną tragedję i nic pan o tem nie wie. Ten chłopiec zdobywa i czyta książki, które nigdy nie powinny się dostać do jego rąk — i nic pan o tem nie wie. Wreszcie, ten chłopiec nie poprzestając na tem, że gubi własną duszę sięga po cudze, aby je oddać na zatracenie. I to wszystko spada na pana jak grom. Czy można twierdzić że pan z n a swojego syna?

Grodzicki milczał. Ksiądz rozdrapał jego wczorajszą ranę, co jednocześnie irytowało go i przejmowało smutkiem. Katecheta oparł się łokciami o biurko i pochyliwszy się bliżej ku Grodzickiemu mówił z naciskiem:

— To jest chłopiec skryty, zdolny do samotności i tajemnicy. Takie cechy dają wielką moc charakteru, zarówno w dobrem jak i w złem. Skoro wybrał zło, należy się mieć na baczności.

— Co ksiądz ma na myśli?

— Jestem sługą Kościoła. Kościół broni praw Boga do człowieka i z całą bezwzględnością czuwa nad obowiązkami człowieka wobec Boga.

Grodzicki miał już tego dość.

— To, trudno — rzekł, wstając — niech ksiądz postąpi jak uważa za stosowne.

Laskę i kapelusz znalazł na krześle pod oknem. Od miejsca w którem stał szła prosta droga do drzwi, nie więcej niż kilka kroków. Ksiądz Grozd przeciął mu ją w połowie.

— Jeśli pan radca Dworu pozwoli, wezmę tylko płaszcz z sali konferencyjnej i wyjdziemy razem.

Było wpół do pierwszej. Zakład trwał w tępej ciszy, jaka poprzedza zakończenie ostatniej godziny. Grodzicki rozejrzał się po pustych korytarzach i podniósł wzrok ku schodom prowadzącym na drugie piętro, gdzie po smudze światła z południowych okien wędrowały ruchliwe pyłki kurzu. Znał smak tej pory dnia, suchy i cierpki jak kredy, znał jej zapach, metaliczny jak atramentu, czuł ją w dotyku, gdy wszystko wydaje się szorstkie, a palce niecierpliwie skubią pod ławką rzemień, którym za chwilę obwiąże się książki i kajety, aby je zanieść do domu. Serce ścisnęło

mu się na myśl, że miałaby to być dla Teofila ostatnia godzina w tych murach, i postanowił go ratować za wszelką cenę.

— Proszę mi wybaczyć moje uniesienie — rzekł do księdza, gdy znaleźli się na ulicy. — Jest to dla mnie najcięższy dzień w życiu.

Katecheta westchnął. Było to westchnienie ulgi, gdyż sądził już, że przeciągnął strunę, ale Grodzicki wziął je za objaw współczucia.

— Nie można się dziwić, że ksiądz tak surowo patrzy na tę sprawę. Sam jestem wierzącym katolikiem i, chociaż to mój syn, nie miałbym odwagi za nim prosić, gdybym nie był pewny, że to się więcej nie powtórzy. Trzeba mu dać czas, aby ochłonął. Zbyt surowa kara obudziłaby w nim bunt, rozjątrzyłaby go, zgubiła. Kościół nasz umiejętności przebaczania zawdzięcza niejedno nawrócenie.

Katecheta słuchał go z przyjemnością. „Stan duchowny — myślał — żąda wielu wyrzeczeń, ale i daje znaczne przywileje. Tej sutannie zawdzięczam, że ten wysoki urzędnik mówi ze mną tak pokornie". Czuł w sobie słodką zdolność przebaczania. Surowość i nieugiętość zostawił w gabinecie dyrektorskim, którego mury potrafią ją zapamiętać i ocenić. Wchodząc bowiem przez drzwi, prowadzące do sali konferencyjnej, spotkał w ich bliskiem sąsiedztwie starego matematyka Kowalskiego, przyjaciela dyrektora, który pomimo swego wieku zachował niezwykłą ostrość słuchu.

— Proszę mi dać czas do namysłu — rzekł. — Idę teraz odwiedzić kanonika Malinowskiego, który jest bardzo chory. Bóg zesłał nań wielkie cierpienia, ale nie odebrał mu jasności umysłu. Zapytam go o radę. Człowiek, który stoi już niemal u wrót nieba, lepiej zna drogi Boże.

Ulica Badenich, jak żadna inna, nadaje się do podobnej rozmowy. Zamieszkała przez ludzi zamożnych, o niezłomnym trybie życia, którzy o tej porze zasiadają do stołu, jest wolna od niepotrzebnych świadków. Ale jest krótka i po jej pochyłości kroki biegną zbyt szybko. Ksiądz Grozd nie mógł już tracić czasu. Zatrzymał się na moment.

— Ksiądz Malinowski — rzekł — był mi od szeregu lat ojcem i wczoraj, żegnając się ze mną, powiedział: „Chciałbym żebyś zajął moje miejsce". Oczywiście, niema o tem mowy. Któż może zwrócić uwagę arcybiskupa na nieznanego katechetę?

— Zdaje mi się — szepnął po namyśle Grodzicki — że mógłby to zrobić namiestnik.

— To prawda — odparł równie cicho ksiądz Grozd.

Więcej niż słowa ów szept, jakim je wymienili, nadał rozmowie pełne znaczenie. Na rogu Matejki podali sobie ręce. Grodzicki, idąc w stronę domu, raz jeszcze się obejrzał: katecheta powoli i ostrożnie schodził spadzistą ścieżką wgłąb ogrodu Jezuickiego.

XVI.

— Teraz już wiesz czem to pachnie — zakończył Grodzicki swoją perorę, w której streścił synowi zdarzenia ostatnich osiemnastu godzin, zatajając oczywiście warunki paktu zawartego z katechetą.

Siedzieli przy stole, nad którym unosił się zapach ryżu z jabłkami. Pani Zofja, ledwo wetknęła nóż w pulchny dymiący krążek, cofnęła rękę przy pierwszych słowach męża; przez cały czas, póki nie skończył, jej niespokojne oczy biegały od jednej twarzy do drugiej. Teofil siedział nieruchomo, patrzył w swój pusty talerz i tylko lekkim rumieńcem zdradzał wrażenie, jakie na nim sprawiały słowa ojca. On zaś mówił powoli, dobitnie, bez uniesienia, unikając wszelkich uczuciowych komentarzy. Pomijał zupełnie sprawę przekonań Teofila, przez co odbierał całej historji jej polot, zostawała tylko niedorzeczna awantura, z której gołowąs wyplątał się dzięki pomocy starszego rozsądnego pana.

— No, Zosiu, daj nam tego ryżu, nim całkiem wystygnie.

On jeden zjadł swą porcję z apetytem. Grodzicka sobie nawet nie nałożyła, Teofil rozdrobił wszystko po talerzu i końcem widelca wydziobywał małe skrawki jabłka. W pewnej chwili poczuł, że go coś ściska za ramię; była to dłoń ojca, który pochylił się ku niemu:

— Odłóż widelec i podaj mi rękę. Myślę, że nie jesteś już dzieckiem, i że możesz mi powiedzieć, czy omyliłem się mówiąc księdzu, że tego rodzaju rzeczy już się więcej nie powtórzą?

Teofil mógł przyrzec z czystem sumieniem. Od owego popołudnia na Wysokim Zamku stracił ochotę do następnych zebrań. Jak sam to sobie określał — „wypompował się“ wtedy docna.

Wysypał im wszystko co wiedział, pozostały mu tylko marne okruchy, z któremi nie warto obnosić się po ogrodach. Czyż nie lepiej żeby zachowali w pamięci ten kwadrans, kiedy naprawdę był kimś w ich oczach, i żeby raczej przypuszczali, że jest zdolny dać jeszcze więcej niż żeby im dowiódł, że niema już nic do ofiarowania?

Czuł zresztą niechęć do swych towarzyszy. Wayda — bezczelny typ, który czeka tylko sposobności aby go wyśmiać; Lewicki — głuptas; Siwak — bezduszna istota. Jeden Kościuk wart tego, by się potrudzić o jego szczere wierne serce. Ale to on właśnie zawiesił nad Teofilem pytanie, na które nie otrzymał odpowiedzi.

— Niesłychana historja!

Teofil był oszołomiony splotem zdarzeń, który zadzierzgnął się wokół niego i rozwikłał, zanim miał czas domyśleć się, że cokolwiek się dzieje. Dziwiąc się wyrażał uznanie życiu. Nie podejrzewał, że ten bieg uporządkowanych godzin, który dotychczas nazywał życiem, jest zdolny do podobnych fantazyj. Rojek w ich domu! Katecheta zaczajony w podsłuchu! Tajemnicza konferencja! Ileż tu zagadek! Wszystko było niejasne jak sen, i miało też swą dokuczliwą trzeźwiącą chwilę przebudzenia. Był przecież o krok od największego nieszczęścia jakie sobie wyobrażał: wyrzucenia z gimnazjum. Tak, to było podobne do snu. Kiedyś śniło mu się, że tonie, i w chwili gdy nie widział już ratunku, a woda zalała usta otwarte do krzyku, wyszarpnęła go wgórę czyjaś dłoń, silna i pewna. Nie było na świecie innej oprócz tej, której uścisk czuł teraz na ramieniu.

Przez kilka następnych dni wracał z gimnazjum rozczarowany. Wszystko szło po dawnemu, jakby duch tych murów już zdążył zżuć jego tajemnicę i trawił ją teraz pospołu ze staremi katalogami, dziennikami i zeszytami, które rzucano mu na pożarcie. Tak jednak nie było. Ksiądz Grozd, który spocządku podejrzywał dyrektora, że ten, oszołomiony wizytą radcy Dworu sam „się wygadał“, prędko porzucił to przypuszczenie i razem z nim debatował, w jaki sposób wiadomość o konferencji doszła do Grodzickiego w kilka czy kilkanaście godzin później. Zastanawiali się po kolei nad każdym z profesorów, ale żaden z nich nie pozostawał w stosunkach z Grodzickim. O tem żeby któryś, choć nie-

znajomy, mógł go umyślnie uprzedzić — nie było mowy. Nazwisko zaś Rojka wogóle nie przyszło im na myśl.

— Już wiem — rzekł katecheta, wchodząc do dyrektora na trzeci dzień. — Profesorowie po konferencji poszli do restauracji i tam napewno gadali dość głośno. Grodzicki mógł tam być również i wszystko słyszał. To się zgadza z tem co mi mówił: że dowiedział się o wszystkiem przez dziwny przypadek.

— Oczywiście! Nie mogło być inaczej! — zawołał Zubrzycki, uradowany. Cierpiał bowiem nad tem, że któryś z profesorów miałby się okazać niegodnym zaufania.

Po namyśle dodał:

— Jeśli nawet nie był sam, mógł tam być ktoś z jego znajomych.

Tego znów katecheta sobie nie życzył. Słowa dyrektora poważnie go zaniepokoiły. Jeśli tę historję rozbębnią po mieście, cały z niej pożytek gotów pójść na marne. Cóżby to było, gdyby słuch o tem doszedł do wyższych władz szkolnych! Nie, to jednak nie jest tak groźne. Wyższe władze szkolne mają w swem gronie gorliwych obrońców wiary, ale nie takich znów fanatyków, aby chcieli ścigać syna radcy Dworu. A gdyby to dostało się do prasy?

Ksiądz Grozd miał niejasne pojęcie o prasie. Wyobrażał sobie, że poza „Przeglądem" i „Gazetą Lwowską" wszystkie inne pisma są albo radykalne albo wręcz socjalistyczne, żadnemu z nich więc nie zależałoby na potępieniu młodego niedowiarka. Mogłyby jednak ogłosić to jako „tryumf wolnej myśli", mogłyby zająć się obroną buntowniczego chłopca, zmyślić historję prześladowania. Stąd tylko krok do interpelacji w Parlamencie. Daszyński czyha na takie okazje. Ksiądz Grozd wzdrygnął się na to imię djabelskie. Nie tak dawno powtarzało się ono co tydzień w „Gazecie Kościelnej" spowodu słynnej interpelacji w sprawie konfiskaty bluźnierczych „Legend" Niemojewskiego. To byłoby okropne. Zamieszany w awanturę gazeciarską, ośmieszony lub oszkalowany musiałby się pożegnać z marzeniami o kanonji.

W takiej rozterce przeżył tydzień, oczekując lada chwila katastrofy. Nic jednak nie zaszło, cała sprawa poczęła przygasać. Ten i ów z profesorów próbował zagadać o niej z katechetą, ale, nie znajdując w nim zachęty, przechodził na inny temat. Zubrzyckiemu, który przez Kowalskiego wiedział z jakiem męstwem bro-

niono w jego gabinecie „praw Boga do człowieka“, wystarczyło krótkie oświadczenie księdza: „Radca Dworu dał mi słowo, że to się już nigdy nie powtórzy“. Jeden Kos, wysłuchawszy wszystkiego, mruknął do Szeremety:

— Albo się nastraszyli albo w jakiś inny sposób przeszachrowali tę chryję.

Był rad, że się tak skończyło. Przez niepoprawne gadulstwo zabiąkał sie w życie chłopca, który i jego mógł pociągnąć w swój upadek. Nie znał go przecież; skądże pewność czy przy jakiemś badaniu młody Grodzicki nie wtrąciłby i jego nazwiska, w podnieceniu, przez roztargnienie lub szukając obrony? Dr. Wincenty Kos, zuchwały w dyskusji, nie był pozbawiony rozsądku w potocznem życiu. Omijał więc Teofila, co przychodziło mu tem łatwiej, że jego przedmiot nie dawał mu wiele sposobności do stosunków z uczniami.

Na logikę była przeznaczona jedna godzina w tygodniu i zdawało się, że wszystkie święta, obchody cesarskie i inne uroczyste próżnowania sprzysięgły się, aby tę właśnie godzinę uszczknąć z programu nauki. Dr. Kos zaledwie raz dotychczas pojawił się w klasie VII A. Na jego widok Teofil zadrżał i zbladł; oczekiwał, że lada chwila nastąpi coś niezwykłego. Doznał zawodu. Głos, który Teofil pamiętał w różnorodnych tonach ironji, uniesienia, namiętności brzmiał spokojnie, wyjaśniając etymologję wyrazu logika, potem zakres pojęcia, wreszcie stanowisko logiki wśród nauk filozoficznych.

W obrazie dziejów logiki dr. Kos nie wyszedł poza Arystotelesa. Zetknąwszy się bowiem z pociągającą postacią Stagiryty, opowiedział w krótkich i barwnych rzutach jego pracowity żywot, pełen dziwactw i samotniczych przyzwyczajeń. Parę anegdot, zaczerpniętych z Diogenesa z Laerty, rozweseliło klasę. Już po dzwonku, profesor, z kapeluszem w ręce, zakończył wykład słowami: „Po śmierci Arystotelesa znaleziono w jego mieszkaniu mnóstwo glinianych naczyń różnych kształtów i wielkości, i nikt nam już nigdy nie powie w jakim celu zbierał je i przechowywał“. Od tych garnków klasa przezwała go „druciarzem“ i z przyjemnością oczekiwała następnego wykładu.

Dr. Kos nie pokazał się przez kilka tygodni. Teofil widywał go na korytarzach, gdy szedł do ósmej klasy na godzinę psychologji, i kłaniał mu się z zamaszystem szurganiem nogami po ka-

miennej posadzce, na co tamten odpowiadał nieuchwytnem skinieniem głowy i takiem spojrzeniem, jakby Teofil był przezroczysty i niewidzialny na tle ściany, po której cwałowała jazda efebów partenońskich w szeregu dużych fotografij.

Taki był najwidoczniej styl życia, nowej czarnoksięskiej siły, z którą Teofil zetknął się po raz pierwszy. To ona zmieniła Kosa — przedmiot jego uwielbienia — w postać obcą, a Rojka wydobyła nagle z mroku. Stary filolog z dokuczliwego widma, jakiem był dotychczas, przeobraził się w człowieka, który myśli, czuje i pamięta.

Między katedrą, przy której stał zgarbiony nad otwartą książką, gładząc łysinę i kołysząc się niezgrabnie na jednej nodze, a trzecią ławką od drzwi nawiązała się nić sympatji, cienka lekka i drżąca, jak przędza babiego lata snująca się jeszcze za oknem. Profesor i uczeń patrzyli na siebie. Lecz, gdy bystre oczy chłopca mogły policzyć wszystkie zmarszczki na twarzy filologa, Rojek, przez źle wytarte szkła, dostrzegał tylko zarys brwi, jasne czoło pod ciemną pręgą włosów, czerwień ust, i nawet pamięć nie przychodziła mu z pomocą, aby te oderwane szczegóły połączyć w znajomą całość.

Nigdy nie widział Teofila zbliska. Nasuwały mu się teraz najrozmaitsze pomysły, jakby go przywołać do katedry, więdły jednak natychmiast, gdyż obawiał się, że zmarnuje sposobność nie spojrzawszy nań wcale. Mógł zato słyszeć jego głos. Wystarczyło wymówić nazwisko, które do niedawna tak uparcie omijał, a z ławki podnosiła się smukła trzcina ludzka i na chwilę orzeźwiała oschłe powietrze swojem dźwięcznem tchnieniem. Jakby to był ulubiony instrument, któremu niepodobna się oprzeć, Rojek po kilkanaście razy w ciągu godziny „wyrywał“ Teofila.

Na tem głuchem pustkowiu jakiem była godzina greki myśli ucznia i profesora spotykały się i pozdrawiały zdaleka:

„Kimże jesteś, stary dziwaku, który przychodzisz po nocy, aby zakłócić spokój domu i ocalić go od większych niepokojów?“

„Skąd się tu wziąłeś, chłopcze, który walczysz z Bogiem, a odludków sprowadzasz pod dach przyjaciół?“

„Czy mam w tobie cenić coś więcej oprócz młodości mego ojca, której jesteś wspomnieniem?“

„Zjawo mglista, zrodzona w dniu, w którym na zawsze po-

rzucił mię mój syn, czy nie minęłaś się z nim w drodze, schodząc na ziemię?“

Tak rozmawiały ze sobą dwie dusze ponad owadzim zgiełkiem sali szkolnej, w trzasku słów greckich, które pękały jak łupiny orzechów, aby ukazać swój jędrny miąższ, wydobyty spod przyrostków, spójek, augmentów.

Te właśnie słowa stanowiły jedyny przedmiot jawnej rozmowy profesora z uczniem. Jakiś trudny homerycki zwrot, jakiś czasownik niby poczwarka zaczajony w nieregularnej formie, jakiś zaułek składni — snuły się po całej klasie, dręcząc i nudząc, póki Teofil nie zbudził ich do lotu. Zaufanie, z jakiem Rojek powierzał mu zawiłości z któremi inni nie dawali sobie rady, ożywiło w nim pragnienie aby go nigdy nie zawieść. To zmuszało do pilnej uwagi i znacznego nakładu pracy, w której znajdował upodobanie. Zbierał słówka greckie, jak dawniej znaczki, cieszyła go rosnąca ich kolekcja i coraz większa łatwość w rozpoznawaniu ich zmiennych kształtów. Była kiedyś taka gra: markę chowało się w dłoni i tylko mały jej koniuszek ukazywało się spod kciuka; po ząbkach brzegu, po kolorze, po nikłych zaczątkach ornamentu miało się odgadnąć jej pochodzenie; Teofil doszedł w tem do wielkiej wprawy i nie byłby zdolny pomieszać Egiptu z Heiderabadem. Teraz w podobny sposób grał z profesorem o słowa.

Ileż uczuć można wyrazić potwierdzającem skinieniem głowy! Jakże wymowne są zmarszczki koło oczu! Cóż to za bogaty gest, gdy nagle podniesie się ręka i końce palców przesuną się po wąsach! Milsze od wszelkich not były Teofilowi te milczące objawy uznania jakiemi profesor obdarzał jego odpowiedź. Niekiedy wywiązywał się krótki spór. Rojek, gwałtownie trąc łysinę, powtarzał przeciągłym głosem ten sam wyraz, jakby zaklinał jego ducha, który wciąż nie chciał się ukazać; Teofil zaś rzucał słowo za słowem, coraz bliższe i bardziej dokładne, aż wreszcie to jedyne właściwe trafiało w atmosferę greckiego pojęcia. Na parę sekund uczeń i profesor trwali w niemem wzruszeniu, jakby ponad nimi przeleciał świetlisty meteor.

Wśród tych słów Odyseusz wracał do Itaki. Drogą ubitą aorystami zeszedł do przystani, wstąpił na okręt Feaków, i zasnął. Statek, odbiwszy się od brzegu porównaniem do czwórki cwałujących ogierów, wypłynął w silnym i równym oddechu imperfektów, a za nim biegła „wielka purpurowa fala niemilknącego

morza". Boski tułacz spał, zapomniawszy o przebytych niedolach, które ćwierć wiersza niosło nad nim w majestatycznem plusquam-perfectum, brzmiącem jak cząstka wieczności.

Rojek zubożył swą klasę o cudny ranek, który zastał Odyseusza śpiącego na rodzinnej wyspie, nieopodal groty Nimf, albowiem opuścił półtrzecia pieśni, jakby już nie mógł doczekać się powrotu Telemacha. Na kilka minut przed dzwonkiem Teofil wprowadził swego rówieśnika w orszaku heksametrów otwierających księgę szesnastą. Czytał je jasno i bezbłędnie, nie rozumiejąc jeszcze nic, tylko poszczególne słowa przelotnym blaskiem rozświetlały wokół siebie odrobinę mroku. Profesor nie patrzył w książkę; słuchał. Wiersze tak zużyte przez doroczne powtarzanie, że utraciły wszelki sens oprócz tego, który da się wyłożyć w terminach gramatycznych, wiersze zjedzone przez czas i przestrzeń jak i ta książka, którą odłożył, a która towarzyszyła mu po wszystkich gimnazjach jego nauczycielskiej włóczęgi, od Tarnopola do Przemyśla, — zabarwiły się nagle świtem.

W tym porannym świecie głos chłopca stworzył chatę, ognisko rozpalone, psy które wybiegły na drogę bez ujadania, odgłos zbliżających się kroków. Gdy nareszcie Telemach stanął w drzwiach, przestąpiwszy próg heksametru dwiema stopami, a trzeci daktyl zawisnął przed cenzurą jak ramię współpodniesione na powitanie, — odezwał się dzwon szkolny. Targnęły nim trzy mocne szarpnięcia, które po całym gmachu rozrzuciły chaos skłóconych dźwięków. Lecz ucho Rojka, oczarowane ciszą, jaka zebrała się w tej chwili w sercu Odyseusza, przeobraziło ów metalowy krzyk w srebrną sygnaturkę. Kołysała się ona gdzieś u szczytu nieba, daleka i krucha, — nieśmiałe przypomnienie, że wspaniały świat, który wyrósł z tuzina wierszy, leży poza granicami czasu.

Teofil odrazu zamknął książkę, ale stał jeszcze, jakby go znieruchomiły myśli tego starego człowieka, który nań patrzył i widział w nim promienne zjawisko u drzwi nędznej pastuszej chaty. Patrzył nań w milczeniu, tak samo jak tamten ojciec patrzył na syna, którego nie znał.

Jednego z następnych dni Rojek przyszedł do klasy z mapą. Czując za sobą zdumienie, które tu i owdzie wybuchało stłumionym okrzykiem lub śmiechem, drżącemi rękami rozwinął ją na tablicy, poczem wrócił do książki i zajął się zwyczajnem dłubaniem słów, jakby zapomniał o mapie. Przez pół godziny wisiał nad

salą wielki liść Grecji, podobny do tych które za oknem opadały z klonów, a słońce wyjrzało zza chmur i osiadło na niebieskich wo⸗dach Egejskiego morza. Lecz, kiedy Wayda, manewrując zręcznie otwartą gramatyką i prozajkerem, który pod nią ukrył, porał się z czterema pytaniami Telemacha i bliski już odgadnięcia, że ostat⸗nie zawiera accusativus cum infinitivo miał przetłumaczyć omszały żart o tem, że niepodobna do Itaki przejść na piechotę — profesor wywołał Grodzickiego. Zdaniem, które po trzykroć zacięło się na najprostszych słowach, kazał mu podejść do mapy i znaleźć wyspę Odyseusza.

Teofil, jak ćma urzeczony blaskiem, którym biedne polskie słońce zapragnęło ogrzać archipelag egejski, zaczął obijać się o zło⸗ciste szczątki dawnego kontynentu śródziemnomorskiego, od Ta⸗zos do Krety i od Salaminy do Samos. Znalazł po drodze Troję, odkrył Delos, zatrzymał się chwilę koło przylądka Malei, skąd Boreasz odrzucił Odyseusza w kraj Lotofagów. Rojek stał przy nim. Patrzył na szczupłą rękę, której bronz brzmiał jeszcze po⸗chwałą lata, na długie proste palce, pod któremi południki drgały jak struny, na ramię zgięte w łokciu nakształt owej dźwigni Archi⸗medesa mającej ziemię wyważyć z ekliptyki. Nagle, gdzieś mię⸗dzy Rodos a Cyprem, wszystko znikło; Teofil cofnął rękę i opu⸗ścił ją bezradnie wzdłuż ciała. Rojek został sam na tych zdradziec⸗kich wodach, skąd wulkan Tery wyglądał ku niemu skurczoną źrenicą drapieżnego zwierza.

Ze wszystkich serc, jakie kiedykolwiek należały do starych filologów, żadne chyba nie biło tak mocno przy mapie kraju, z którego wyszedł język dający im uczciwy zarobek. Pocóżby jed⸗nak przez pół wieku nosić w sobie serce, jaśliby nie było ono zdol⸗ne do niespodzianek, jeśliby nie umiało liczyć sekund wyczeku⸗jącej ciszy? Pod gradem szybkich chwil, Rojek stał skulony, pe⸗łen niepokoju, jakby szło nie o znalezienie małej brunatnej plamki na mapie, ale jakby sama wyspa miała w jego oczach wyłonić się z morza wśród pryskających fal.

Teofil wyciągnął ramię. Wskazujący palec zatrzymał o cal przed Itaką, jakby ją rzeczywiście stwarzał tym samym gestem, którym Demiurg na fresku Michała Anioła podnosi Adama z dzie⸗wiczej ziemi. Rojek odwrócił głowę. Miał nakoniec przed sobą tę twarz, o którą tak długo i niezgrabnie zabiegał. Zdumiał się, że jest taka właśnie, jak ją sobie wyobrażał. Po raz pierwszy w życiu rze⸗

czywistość go nie zawiodła, i trwalsza od snu patrzyła nań parą dużych ciemnych oczu, których niezwykły blask odbijał od długich rzęs rozwiniętych jak wachlarze.

Nie skończyło się na mapie; Rojek przychodził odtąd do klasy z obrazkami, z książkami. Profesor Rudnicki, kierownik gabinetu archeologicznego, nie miał teraz spokoju. Rojek godzinami myszkował po bibljotece, domagał się tablic ściennych Seemanna, odlewów gipsowych, wykrył gdzieś w kącie od lat poniechany model okrętu homeryckiego. Wyglądało tak jakby on pierwszy przejął się ostatniemi rozporządzeniami ministerjalnemi, które z naciskiem podkreślały, że „greczyzna ma otworzyć młodzieży oczy na piękny, pogodny świat helleński".

Każdą swą zdobycz Rojek ustawiał, rozkładał, rozwieszał w klasie przy pomocy Teofila. Ich ręce spotykały się na grubym tomie Baumeistra albo przy maszcie dziecinnego stateczku, na którym jednak szczęśliwa chwila w życiu profesora odbywała swą podróż między dziennikiem klasowym a kałamarzem. Chociaż Odyseja nie nastręczała już do tego sposobności, rozpatrywali wszystkie rodzaje zbroi epickiej, posługując się kolorowemi tablicami. Wrócili pod Troję, opuszczoną w końcu zeszłego roku, aby na nowo zbudować obóz Achajów i stoczyć bitwę u wyciągniętych na brzeg łodzi. Rojek, niewyczerpany w słownictwie militarnem, gromadził przed Teofilem arsenały tarcz, nagolenic, pancerzy, dzid, mieczów, rydwanów wojennych, jakby go obsypywał zabawkami, i brodząc wśród tych metalicznych słów bawił się w wojsko z chłopcem, który już wyrósł z ołowianych i tekturowych żołnierzy.

Zwolna przypominał sobie Rojek, że Grecja stworzyła rzeczy doskonalsze nawet od adiectivum verbale. W klasie zaczęły pojawiać się reprodukcje rzeźby, fotografje świątyń, z których to lub owo nie wracało już do gabinetu archeologicznego. Uczniowie sami cichaczem pomnażali te zbiory, czyniąc szczerby w dekoracji klatki schodowej i korytarzy; Kościuk, zawsze obładowany podręcznem gospodarstwem, dostarczał gwoździ. Żółte nagie ściany przykryła biała nagość marmurów greckich. Krzyż znikł w ich tłumie, jak niegdyś w atrium Aleksandra Sewera, gdzie Chrystus stał na szarym końcu setki bóstw upominających się o panowanie nad światem.

Zdawało się, że Rojek już ostatecznie wyrzekł się gramatyki

i na resztę życia zostanie hierofantem. Opuścił swoje samotne podjum, na którem trwał dziesiątki lat jak na pustyni, i jakby już „dopełniły się czasy“ nauczał, chodząc między ławkami. Klasa siedziała teraz w cieniu olbrzymiego drzewa genealogji boskich, po którem Teofil wspinał się z pomocą profesora. Doznawał nie⸗raz zawrotu głowy, gdy Rojek zostawił go samego na wysokim ko⸗narze, gdzie jakieś potomstwo Dzeusa rozrosło się i wybujało w nierozwikłany splot gałęzi.

Tymczasem Odyseusz napróżno wyczekiwał, kiedy Eumajos wyjdzie z chaty i pozwoli mu dać się poznać Telemachowi. Za⸗pomniano o nim. Rojek, jakby mu zbrzydło słuchać króla Itaki, z którym przeżył połowę życia, sam teraz chciał mówić. Opowia⸗dał bajki, na które nie było dotychczas miejsca w jego świecie niedokończonych snów i niewylęgłych nadziei. Stojąc nad Teofi⸗lem i kładąc mu rękę na ramieniu, pod pretekstem, że chce go uprzedzić aby nie podnosił się z ławki, wymawiał parę imion mitycznych. Miało to wyglądać jak nawiązanie do poprzedniego wykładu, a w istocie było sekretnem badaniem na coby chłopiec miał ochotę. Lecz Teofil nie dawał żadnego znaku i nie miał się nigdy domyśleć, jak długo w noc stary profesor wahał się mię⸗dzy dzikiem kalidońskim a wyprawą Argonautów, przewracając się na swym stęchłym wygniecionym sienniku.

Opowiadał stare wzruszające bajki, w które kiedyś zapewne wierzono. Sam gotów był w nie uwierzyć, albowiem wróciły mu młodość. Oddały mu spowrotem wszystkie dni mgliste i słonecz⸗ne, słotne i śnieżne, które przesiedział w salach uniwersyteckich i w bibljotekach, ścigając widma wśród stosów książek. Zwoje mózgu, które niepożyteczny czas zasnuł pajęczyną, odzyskały pa⸗mięć tak niegdyś zahartowaną w surowym klimacie nauki nie⸗mieckiej. Całemi rozdziałami przypominała się ogromna „Götter⸗lehre“ Welckera, powracał nabożny Usener, który pragnął aby wszystkie religje głosiły chwałę monoteizmu, Forchhammer, boha⸗tersko gardzący śmiesznością co czyhała nań w każdym jego po⸗myśle, Preller, odnawiający się i grubiejący z każdem wydaniem, dziesiątki innych.

Rojek żył tam kiedyś, żył w tym świecie żarłoków, dla któ⸗rych setka przeczytanych tomów była ledwie przekąską do roz⸗kosznej uczty, zwanej „literaturą przedmiotu“; wśród niesamowi⸗tych derwiszów bez wytchnienia wirujących przez całe życie wokół

jednej idei, póki już żaden kształt realny nie był zdolny poruszyć ich umysłu; wśród zapamiętałych herezjarchów, burzących wszystkie świątynie nie ich wiary, a nawet już obalone, nawet ostatnie ślady, nawet cienie śladów, a wypłoszone bóstwa krążyły nad niemi jak nietoperze, straszydła ich pracowitych nocy.

Teraz to wszystko wydobył Rojek, trochę zleżałe i zakurzone, lecz ciekawe jak zawartość starego kufra, który — gdyby nie ten chłopiec o zamyślonych oczach — byłby przeleżał na strychu aż do ostatecznej przeprowadzki. Opowiedziawszy mit, Rojek natychmiast podnosił go niejako do drugiej potęgi, dając mu naukowe objaśnienie, które było nowym mitem, jeszcze bardziej skomplikowanym. Oto Helena z królowej Sparty zmieniała się w księżyc, Parys opuszczał swe stada na górze Ida, aby wzejść na niebie jako słońce, wojna trojańska była zimową walką żywiołów. Było to widowisko powabne i zastanawiające, ale wrychle straciło na blasku, gdy okazało się, że każdy mit można przeobrazić w ten sam sposób.

Wyprawa Argonautów opowiadała z wielką fantazją spowszedniałą historję horyzontu od świtu do nocy, Odyseusz również przedzierzgał się w słońce i wędrując po Itace w żebraczych łachmanach symbolizował zimę, a Panelopa czekała nań w postaci księżyca, otoczona stu osiemnastu zalotnikami, w których ukrywała się liczba dni zimowych południowego kraju. Teofil zaczynał się niecierpliwić, gdy z każdego mitu wychodziły same słońca i księżyce, i gdy niebo mitologiczne zmieniło się w nieustanną wystawę ciał niebieskich, w nadmiernej ilości i w monotonnym układzie. Jeszcze bardziej dokuczało, że niektóre postaci nie mogły się zdecydować czem właściwie chcą być. Odyseusz stawał się rywalem Poseidona i jako bóg morza jednocześnie pływał po niem i sam je przeciw sobie burzył, Achilles zaś, jak kapryśny strojniś, przymierzał wciąż nowe kostjumy, raz był bogiem rzeki, to znów bogiem światła, wreszcie sięgał po księżyc — ach! i on jeszcze — po księżyc, zdawałoby się dostępny tylko dla istot żeńskich.

Zanosiło się na to, że Rojek, uwięziony w mitologji, będzie jej odtąd służył z tym samym uporem, z jakim dotychczas trwał w niewoli u słówek i gramatyki. Klasa cieszyła się z tej przemiany. Można było siedzieć bezczynnie, bez obawy niespodzianych

napaści, i napół sennie patrzeć jak stary belfer opala skrzydła baśniom. Lecz on dokopał się w swej pamięci nowych pokładów.

Niegdyś była to gruba warstwa starannie ułożonych kartek, na których przez parę lat zapału i cierpliwości zbierał materjały do kultu Dionizosa. Z tym radosnym bogiem wiązał nadzieje o nauce, uniwersytecie i sławie. Być może zachowały się jeszcze papiery trwalsze od nadziei i butwiały gdzieś w przepastnych szafach, które ćwierć wieku temu pochłonęły dobytek szczęśliwej młodości, sukienki panieńskie, frak, bukiet ślubny, wyprawkę dziecka, mnóstwo rzeczy zwarzonych przez los, — w tych szafach, które dziko opierały się rękom ludzkim, gniotąc palce szufladami, drapiąc zamkami najeżonemi jak szpony, a po nocach straszyły hukiem i trzaskiem, jakby je dusiła zmora. Rojek nie odważyłby się tam zajrzeć i nie myślał o tem, stojąc nad Teofilem, którego obecność miała moc rozbudzania jego pamięci.

Wychodziły z niej teraz na jaw opieczętowane świątynie, prastare idole obwieszone plastrami miodu, zagadkowe obrzędy przy pustej kołysce, pieśni śpiewane nad brzegiem morza i przerywane mistycznem milczeniem, jakby się oczekiwało, kiedy wreszcie brzemienna fala pęknie od piorunowych narodzin, procesje z koszami do których nikomu nie wolno było zajrzeć, nocne schadzki w górach i tańce w ostępach leśnych, srebrne od księżyca i czerwone od krwi żywcem rozszarpywanych zwierząt. Chociaż słowo profesora nie było zdolne ogarnąć potężnego chóru tych widm, one same znajdowały sobie drogę, aby wtargnąć do oszołomionej sali i napełnić ją owym dygotem kosmicznym, od którego drżą „Bakchantki“ Eurypidesa, gdy daje się słyszeć zapowiedź: że „wnet cała ziemia pójdzie w tan“.

Znowu wielki liść Grecji pojawił się na tablicy, soczysty bujny dojrzały, jakby zgromadziły się w nim dusze wszystkich liści, które już tymczasem pomarły w nocnych przymrozkach, i Rojek w towarzystwie Teofila odbywał zapamiętałe wędrówki w poszukiwaniu miejsc, gdzie Dionizos zbierał swych wiernych do modlitwy. Wracali obaj z tej pielgrzymki osnuci zapachem winnic i upojeni tysiącem dźwięcznych nazw jak młodym moszczem. Teofil był zaskoczony powagą i namiętnością religji, o której sądził dotychczas, na podstawie swych podręczników, że była czemś w rodzaju zabawnego kaprysu, i że chrześcijaństwo przyszło w sa-

mą porę, aby wybawić starożytność z tej gorszącej i zbyt długo⸗trwałej swawoli.

— Rojek zwarjował — rzekł Siwak na pauzie. — Pocóż za⸗wraca nam głowę tem starożytnem bałwochwalstwem? Jest rzeczą udowodnioną, że ludzkość z postępem cywilizacji przechodzi od politeizmu do monoteizmu.

— Jeśliby tak było — odparł Teofil — Palestyna byłaby bar⸗dziej inteligentna od Grecji, a dzisiejsza Japonja ciemna i dzika w porównaniu z Turcją.

— Banzaj! — zawołał Wayda, zwietrzywszy dyskusję.

— A ja wierzę w Allaha i proszę nie obrażać moich uczuć religijnych — wdarł się między nich wysoki dryblas, Zapotoczny, i rozłożywszy ramiona wołał: — Hurysy, hurysy czekają na mnie, na tym i na tamtym świecie!

Siwak odciągnął Teofila na bok:

— Nie słuchaj tego błazna. Powiedz mi jednak: przecież wielobóstwo jest nielogiczne. Jak to pogodzić, że naród inteligent⸗ny, o wysokiej cywilizacji trzyma się wiary sprzecznej z rozumem?

— Mógłbyś sobie oszczędzić tego pytania — Wayda znów się przyłączył — mówiliśmy ci przecież już kiedyś (zerknął drwią⸗co ku Teofilowi), że to leży w usposobieniu ludzkiem, aby wie⸗rzyć w rzeczy sprzeczne z rozumem. Prawda, jak ja to ładnie po⸗wiedziałem? Lepiej i Grodzicki nie potrafi.

Teofil milczał. Zjawił się Lewicki.

— O, — zaśmiał się Siwak — jeszcze brak Kościuka, a był⸗by Wysoki Zamek.

— To prawda — rzekł Lewicki — czemu ty już z nami nie rozmawiasz?

— Ja ci za niego odpowiem — Wayda trącił go łokciem. — On jest antyspołeczną jednostką. Indywidualista! Taki był jego kaprys, teraz mu to przeszło. A my dla niego motłoch.

Teofil wzruszył ramionami:

— Et, głupi jesteś.

Ale nawet Waydę zastanowiła ta dziwna głęboka zmarszczka, która pojawiła się między pięknemi łukami brwi Teofila.

„Czuję się tak, jakbym nadużył ich zaufania — zapisał Teo⸗fil w swoim zeszycie, w którym notował swoją antyreligijną lek⸗turę. — Będę jednak milczał dalej, choćby mię to nie wiem ile ko⸗sztowało“.

A zaraz pod tem:

„Z wykładów Rojka wynika, że monoteizm zubaża życie umysłowe, wysusza wyobraźnię. Czy któryś z bogów greckich byłby zdolny przelać krew tysięcy ludzi o jedno słowo, jedną sylabę?...“

Po lekcjach greki został w klasie czad pogański i ksiądz Grozd, ilekroć wypadła mu godzina po Rojku, czuł się nieswojo w tych murach, które, zamieszkałe przez bogów, zdawały się natrząsać z jego wykładów. Dążył więc, aby jak najśpieszniej skończyć z dogasającą starożytnością, która w okresie Hunów i Gotów wrzała jeszcze nieposkromioną swadą dialektyki greckiej, kiedy sobory zamieniały żyworodne słowo ewangelji w subtelny pył, tworząc z niego dogmaty tak eteryczne i wolne od rzeczywistości, jakiemi były niegdyś pomysły Eleatów. Katecheta opuszczał całe stronice Historji Kościoła, spragniony średniowiecza. Lecz i ono wlokło się zbyt powoli i zbyt długo trzymało się romańskich bazylik.

Ksiądz Grozd niecierpliwie wyczekiwał gotyku, co pozostawało w związku z jego myślami, krążącemi wokół katedry lwowskiej. Ksiądz Malinowski był bardzo chory, lecz nie przyjął jeszcze ostatnich Sakramentów. Miało to swoje dobre strony, gdyż katecheta zyskiwał na czasie, aby starannie obmyśleć powody do różnych użytecznych wizyt. Teofil jednak trwożył go nieustannie. Z lekcji na lekcję odwlekał wywołanie jego nazwiska i zdaleka obchodził jego ławkę, jakby tam krył się złowrogi nabój, gotów wybuchnąć za lada dotknięciem. I w tym samym czasie, kiedy Rojek uczył się na pamięć twarzy, w której zmartwychwstał dlań jego syn, ksiądz zapominał nieomal, jak wygląda Teofil Grodzicki.

XVII.

Niezwykłe rzeczy działy się w sieni. Gdy Teofil, przeskoczywszy trzy schodki dzielące ją od bramy, znalazł się w tym trapezoidzie, który, ze wszystkich stron podziurawiony drzwiami, służy za plac przechodni dla dwóch mieszkań, prewetów, piwnicy, podwórza i klatki schodowej, trzęsącej się nad nim w nieustannym niepokoju swych przeżytych i skołatanych stopni, — sień, w ponurej zawierusze mroku usiłującego zdławić słabą za-

kopconą lampkę, wielkim głosem rozprawiała się z eschatologją chrześcijańską.

— A czy świat nagród i kar jest moralny? Komu wiara w nagrodę pośmiertną jest niezbędna, aby nie stał się opryszkiem, ten nic nie wie o etyce. I kogóż to zbawiacie? Wtrąciliście do piekła całą ludzkość przed Chrystusem, obiecujecie to samo wszystkim poganom, żydom, mahometanom, heretykom, biljonom ludzi, którzy nie zdążą, nie potrafią lub nie będą mogli się nawrócić!

Podniósłszy głowę, Teofil zobaczył profesora Kalinę, lokatora z pierwszego piętra. Trzymał się oburącz poręczy schodów i przechylony przez nią połową ciała, puścił swą siwą brodę na hańbę z mizernym chorowitym blaskiem lampki naftowej, który gmerał w niej żółtemi refleksami. Na ostatnim stopniu stał ojciec, na rozdrożu między własnem mieszkaniem dokąd pragnął czemprędzej uciec, a tym głosem tyrańskim, który odbierał mu stanowczość kroku.

— Ależ panie profesorze, panie profesorze, jeśli ktoś bez własnej winy nie zna prawdziwej religji, nie musi być potępiony...

Kalina uderzył pięścią o poręcz, aż schody zatrzęsły się i jęknęły:

— To pan sobie tak wmawia i niech się pan z tego wyspowiada. Pierwszy lepszy ksiądz pana pouczy, że poza kościołem niema zbawienia. To samo zresztą sądzą prawosławni i protestanci, którzy was znowu posyłają do djabła. Tylko Zwingli...

Drzwi otwierały się po wszystkich piętrach; jakaś dziewczyna, wracając z podwórza z konewką wody, zakrzepła wpół drogi i z rozdziawioną gębą patrzyła w skotłowany mrok schodów, skąd szła na nią nawałnica słów twardych jak kamienie; hałas wypłoszył z wychodku stróża, który nagwałt dopinając spodni, śpieszył ku zarysowującej się sposobności do krzyku, pomocy lub kija. Wreszcie Grodzicka wyjrzała z kuchni i hofrat wśliznął się w uchylone drzwi, padając wprost w jej oszołomione objęcia. Teofil wrócił w chwilę później, gdy po urągliwych skrzypieniach i chichotach schodów, rozległ się na piętrze trzask drzwi zamykających się za astronomem.

Zastał ojca w jadalni, jak z rękami w kieszeniach, chodząc po pokoju objaśniał swoją przygodę. Było to już po gwałtow-

nym wstępie, w którym z wielką pasją oświadczył: że niepodob-na dłużej mieszkać w tej „jaskini“.

— Zaczęło się od Dąbrowskiej — mówił trochę uspokojony — którą los rzeczywiście pokrzywdził. Już nie rusza się z miej-sca i doprawdy ciężko patrzeć na jej ręce, poprzerastane gulami, tak, że nie doliczysz się palców. I ot mówię co zwykle w takich razach mówi się chorym: że Bóg doświadcza, ale i pamięta; że kto tutaj na ziemi... no, wiesz przecież. Na to przyniosło tego astronoma. Przyszedł tak samo z czynszem i posłyszał jeszcze w przedpokoju jakieś moje zdanie, i zaraz huzia! Nie odzywałem się spoczątku, ale coś mnie ugryzło w język i powiedziałem mu, że materjalizm mechanistyczny (bo takie właśnie poglądy wygła-szał) jest wstrętny jak arytmetyka, a jego świat nie jest moralny. Od tej chwili już mnie nie puścił, sama widziałaś. Tybyś, Zosiu, łatwiej się z nim dogadała, bo nie wierzysz w piekło.

W jadalni było ciemno. Na ulicy nie zapalono jeszcze latarń. Zgrzybiały listopadowy zmierzch dogorywał w brudnej pościeli chmur, roniąc resztki światła, jak mętną kleistą ciecz, miksturę słoneczną, którą dzień napróżno starał się utrzymać go przy ży-ciu. Grodzicka, powierzchownie wysłuchawszy opowiadania mę-ża, wybiegła do kuchni, gdzie świeżo narodzony cwibak krzyczał na cały dom szafranową wonią.

— Mój Boże, jak się to szerzy! — szepnął sam do siebie Grodzicki.

Teofil stał oparty o uszak drzwi swego pokoju. Ojciec, wędrując tam i sam, natknął się nań niespodzianie, chrząknął i dopiero, znalazłszy się o parę kroków dalej, zaczął mówić:

— Każdemu jego wiara jest święta i trzeba ją uszanować. To zuchwalstwo wtrącać się do cudzej duszy i buszować w niej jak w swoim kuferku. Nawet gorzej — to pachnie występkiem. Bo, zanim komuś odbierze się to co uważa on za najdroższe, wy-pada najpierw pomyśleć czy ma się coś lepszego do ofiarowania.

Teofil przełknął ślinę.

— Co mówisz? — zapytał ojciec.

— Są ludzie, którzy przysięgali na sztandar prawdy i uwa-żają za swój obowiązek, aby mu służyć i dochować wierności wszędzie i zawsze!

Oszołamiające zdanie buchnęło zeń tak nagle, że na chwilę ogłuchł, jak kanonier po wystrzale. Pokój zapadł się w noc zu-

pełną. Grodzicki zatrzymał się w miejscu. Jakby domniemana przestrzeń dzieląca go od niewidzialnego syna rozrosła się cichaczem, podniósł głos:

— Chyba nie myślisz o sobie?

— O sobie — odpowiedział głos daleki jak echo.

Grodzicki ruszył w tamtą stronę, kierując się brzegiem stołu, który, nakryty białą ceratą, żył jeszcze z zaoszczędzonego światła, sam jeden pośród wszystkich sprzętów doszczętnie już zjedzonych przez mrok. Dotarł tak w strefę obecności Teofila, i mógł widzieć jego oczy, — dwa ostrzegawcze błyski w tym trudnym przesmyku, pełnym raf i skał.

— Sztandar prawdy! A gdzież ją znajdziesz, tę prawdę?

— W nauce.

Grodzicki wzruszył ramionami, zdając sobie jednocześnie sprawę, że w tych warunkach wszelki gest idzie na marne.

— Jakgdyby nauka miała już gotową prawdę! Daleko jej do tego i chyba nigdy tego nie osiągnie. Zdziwiłbyś się, gdybym ci opowiedział co nauka uważała za prawdę, kiedy byłem w twoim wieku. Nie zdaje mi się żebyś wiele na tem zyskał, jeśli zamienisz wiarę w autorytet Kościoła na wiarę w autorytet takich panów jak ten, który mieszka nad nami. To jeden z tych co wolą sto błędów wymyślonych przez ludzi niż jedną prawdę pochodzącą od Boga.

Teofil przepadł gdzieś w ciemności i w milczeniu. Nawet oczy jego znikły. Grodzicki poczuł się boleśnie samotnym. Zaczął powolny odwrót, spotykając po drodze same rzeczy martwe — krzesła, krawędź kredensu — które usuwały się z pod dłoni, tchnąwszy na nią w przelocie chłodem nicości.

Nagle wtargnęło z ulicy światło latarni, i jak nieokrzesany włóczęga zaczęło się szwendać po pokoju, którego nie znało dotychczas, gdyż codzień napróżno krążyło pod oknami, nie znajdując nawet lichej szpary w storach. Grodzicki, zadowolony, że nareszcie coś czemu bodaj w przenośni można przypisać odrobinę życia znalazło się pośród tych brył mroku i kamiennych myśli, przyjął łaskawie natręta, i razem z nim zasiadł przy śnieżnym stole.

— Nie wiem co sobie tam myślisz — rzekł, nie patrząc w stronę Teofila. — Skądże mogę wiedzieć? Nie okazałeś mi zaufania i nie przyszedłeś do mnie, aby się zwierzyć. To nie było rozsądne. Czy było ci lżej z tą tajemnicą i czy nie pomyśla-

łeś ani razu, że może byłoby lepiej rozważyć ją z tym samym człowiekiem, który cię kiedyś uczył pacierza?

— Wiedziałem, że ojciec jako człowiek wierzący...

— Zechce cię przekonywać i bałeś się, żeby mu się to nie udało. Czy to chcesz powiedzieć?

Teofil pokręcił głową przecząco. Przez smugę zielonawego światła wyglądał jak w szklanym dzwonie, opuszczonym na dno morza. Grodzicki wziął ten obraz za to czem był w istocie: za przestrogę, że dzieli go od syna obcy i wrogi żywioł.

— Czy aż tak dalece twoje nowe przekonania wydawały ci się mocne? Daruj, nie chcę cię urazić, ale trudno mi w to uwierzyć. Z tego co mi opowiadała matka i czego pozatem mogłem się domyśleć, wygląda, że straciłeś wiarę przez książki, których prawdomówności nie potrafisz ocenić. Musiałeś chyba zadać sobie pytanie: czy te książki nie znalazły opowiedzi, czy nie zostały odparte, i jak się to dzieje, że jeszcze są ludzie, którym one nie odbierają spokoju?

— To mi właśnie najtrudniej zrozumieć.

— A widzisz!

Grodzicki wstał i zmieszał się z tłumem cieni, które latarnia napędziła do pokoju. Jakieś obce głowy tułały się po suficie, jakieś obce ręce w niewyjaśnionych gestach sięgały na chwilę ku ścianom i zsuwały się po nich, przepadając po czarnych kątach.

— A widzisz! — powtórzył Grodzicki. — Bo religja jest czemś zupełnie innem niż zawartością kilku ksiąg, które można zaczepić z tej lub owej strony. Ludzie nie są wrażliwi na dokumenty, i mają rację. Przypuśćmy, że muszę na niejedno przymknąć oczy i nie wglądać zbyt dokładnie w szczegóły, ale cóżbym zyskał, gdybym przez pedanterję poświęcił wielki skarb dla paru centów, z których nie potrafiono mi się wyliczyć?

Teofil zdziwił się: czyż nie powiedziano wtedy, w antykwarni, że „jeżeli ktoś nie nauczy się przymykać swego rozsądku na podobne rzeczy, musi go bardzo wiele kosztować zachowanie wiary“? Spojrzał na ojca w taki sposób, że ten dał się uwieść najzłudniejszej nadziei, która obudziła w nim świeżą werwę:

— Nie wiem czy umysł ludzki rozwija się w ciągu wieków, ale napewno się zmienia, i taka stara książka jak biblja nie może

sama przez się nadążyć za temi zmianami. Musi za nią ktoś stać, aby ją uzupełniać i wyjaśniać. To właśnie robi Kościół.

— Ale ta robota wymaga tajemnicy i Kościół katolicki nie pozwala każdemu czytać Biblji.

— Kto ci to powiedział?

Teofil nie pamiętał skąd wie o tem. Był wdzięczny ojcu, że ten nie wykorzystał jego zakłopotania, ale, zauważywszy je, zbył milczeniem i wrócił do dalszych myśli:

— Mówisz mi o nauce. Dobrze. I ona przyda się na to, aby człowiek czuł się mniej obco na świecie. Tylko to djablo mało. To czego ludziom potrzeba — to wyjaśnienia życia, całkowitego, bez niedomówień i odsyłania na później!

— Cóż to za wyjaśnienie, którego trzeba bronić przeciw zdrowemu rozsądkowi!

— Wielu rzeczy trzeba bronić przeciw zdrowemu rozsądkowi. Naprzykład: że ziemia się obraca.

— Ale można podać na to przekonywujące dowody.

— Siła dowodów zależy znacznie więcej od dobrej i złej woli niż się to napozór wydaje. Ty sam możesz służyć za przykład. Z dobrą wolą wysłuchałeś dowodów przeciw wierze katolickiej i odrazu dałeś się przekonać.

— O, wcale nie przyszło mi to tak łatwo!

Grodzicki, odwróciwszy się, nie znalazł syna na tem samem miejscu. Stał na rozdrożu światła i mroku, w środku krzyża, którym cień ramy okiennej rozpinał się na podłodze. Bezwiednie Grodzicki podszedł do chłopca, aby go zdjąć z tej symbolicznej przestrzeni. Ramię, którego dotknął, drgnęło. Tem silniej je ujął i obaj przeszli wzdłuż pokoju, nie mówiąc nic. Kiedy wreszcie Grodzicki odezwał się, jego słowa brzmiały jak dalszy ciąg czegoś co już zaczęło się w milczeniu.

— Pomyśl, że to przecież coś znaczy, jeśli cała nasza istota ogląda się za Bogiem. Nazwijmy to t e o t r o p i z m e m na podobieństwo terminu, który określa zachowanie się roślin wobec słońca. Czyż ze wszystkich instynktów — a niewątpliwie jest to instynkt—ten jeden miałby być pozbawiony rzeczywistego celu?...

Teofil dał się ojcu prowadzić po pokoju, który przemierzali wolnym krokiem, tam i zpowrotem, i wsłuchiwał się w ton jego głosu. Nie był to jeszcze szept, ale czuło się już w przygasaniu końcówek, że za chwilę słowa utracą swój ciężar i staną się lekkie jak

oddech. Coraz trudniej było je rozumieć, w rozruchu własnych myśli.

„Bóg — Bóg — Bóg!“ — dawało się słyszeć z głębi duszy jak kucie dzięcioła w lesie. Nadpłynął powiew żywiczny, mrok uchylił się na szmat jasnego nieba, moment ciszy wewnętrznej przyniósł wspomnienie miękkiego mchu i półsnu, niesionego koczowniczym obłokiem ponad szczytami drzew.

„Bóg — Bóg — Bóg!“ — walił czarny młot w rozpalone żelazo, sypały się iskry gorące, a kłęby dymu zasnuwały duszę sadzą. Z ognistej sztaby każde uderzenie wydobywało część kształtu: — ni to kotwicy ni serca.

„Bóg — Bóg — Bóg!“ łomotał potężny tłok, tonna metalu pracująca jak ramię. Z odmętów wydarła się pierś stalowa, zabłysły czerwone oczy, wicher zgrzytów chrzęstów turkotu gnał pośród nocy.

„Bóg — Bóg — Bóg!“ — rósł ogłuszający tętent, gwiazdy umykały po drodze jak światła miast, otwierały się ciemne czeluście ugorów kosmosu, komety przelatywały nakształt krótkich sygnałów, tor ginął w śreżodze mgławic, i znów straszliwa pustosz mroku sklepiała się ponad nieubłaganym pędem.

„Bóg?!“...

Z dalekiej ziemi znajomy głos starał się przebić przez zawieruchę. Do Teofila dotarło jakieś źdźbło słowa, które brzmiało jak: dokąd? Zatrzymał się i oprzytomniał. Ojciec patrzył nań w milczeniu. Twarz syna wydała mu się zimna, ostra i zacięta. Puścił jego ramię. Okrążywszy bezmyślnie pokój, stanął przed stołem i zajął się zapalaniem wiszącej lampy. Pani Zofja wróciła z kuchni.

— Ależ, Biniu, mieliśmy iść do Pańci.

— A któraż to godzina? — Wyjął zegarek. — Już szósta?

Pani Zofja z niepokojem spojrzała na Teofila stojącego przy oknie, potem na męża.

— Rozmawialiśmy sobie tutaj — rzekł Grodzicki, ruchem ręki biorąc na świadków krzesła, które porozbiegały się w różne strony, jakby jakieś kłótliwe towarzystwo opuściło je przed chwilą.

— Czy Teofil pójdzie z nami? — zapytała, nie znajdując nic więcej na zażegnanie popłochu, w jaki wprawiła ją myśl o tej rozmowie.

— Nie, mamo, — Teofil odwrócił się od okna. — Jeszcze nie odrobiłem lekcji.

„Etap" — pomyślał, przypomniawszy sobie, że tak samo został w domu w pierwszy dzień Wielkanocy, niezapomniany dzień, w którym zaczęła się jego podróż.

Pani Zofja przeszła do swego alkierza, otworzyła szafę, ale, posłyszawszy głos męża, stanęła nieruchoma.

— Powiedz mi co zamierzasz dalej z tem wszystkiem robić?

— Muszę — Teofil zawahał się, szukając słów — muszę przemyśleć wszystko... Zbadać...

— Przez książki, oczywiście? Skąd je weźmiesz?

Teofil spuścił oczy, aby nie patrzeć na ojca, który wydał mu się pospolity i odrażający w tej aluzji do zależności materjalnej. Grodzicki odczuł to.

— Nie mogę ci przecież dostarczyć środków na coś co nie zgadza się z mojem sumieniem.

— Nie żądam tego. Proszę tylko, aby mi ojciec nie przeszkadzał.

Pani Zofja ukazała się w drzwiach. Teofil nie zauważył jej, gdyż szedł już do swego pokoju. Grodzicki, na jej błagalne spojrzenie, machnął ręką niecierpliwie.

— Poczekaj, jeszcze słowo. Co zrobiłeś ze swoim medalikiem?

— Nic. Leży w szufladzie.

— Proszę cię, oddaj mi go.

Grodzicka ukryła się w alkierzu, aby na to nie patrzeć.

Medalik z wyobrażeniem Matki Boskiej zawiesiła na szyi syna, gdy miał trzy miesiące. Poświęcał go proboszcz św. Mikołaja, ksiądz Gorazdowski, który uchodził za świętego. Wręczając go jej, podniósł medalik do ust i rzekł: „To tarcza. Na niej zatrzyma się kula, zaraza, ogień i gorsze od nich — ukąszenie piekielnego węża". Srebrna blaszka wydawała się coraz mniejsza, w miarę jak rósł Teofil. Co parę lat kupowała nowy sznurek jedwabny, za każdym razem nieco dłuższy. Dawne składała tam, gdzie przechowywała jego pierwsze włosy, jasne jak len. Sznurki miały zapach jego ciała. Ten sam zapach wszedł w sam medalik, w srebro, które zczerniało, jakby wzięło w siebie wszystkie trucizny i jady zagrażające ciału. Nie opuszczało go bowiem nigdy, płonęło z niem razem w gorączkach, czuwało wiernie przy piersi

obrzuconej plamami odry, duszącej się w rozpalonych kleszczach kokluszu, chwytającej ostatni oddech, gdy dziesięcioletniego chłopca wyłowiono prawie nieżywego zpośród sitowi i wodorostów Wereszycy.

Posłyszała przez ścianę, jak Teofil wrócił ze swego pokoju, potem kroki męża, otwierającą się szufladę jego biurka, zgrzyt kluczyka w zamku, i łzy zalały jej twarz.

— Nie wiem czy dobrze zrobiłeś — rzekła do męża, gdy wyszli na ulicę.

— Czemuż nie mówisz otwarcie? Z pewnością uważasz, że postąpiłem źle. Ale któż mi powie co się robi w takich wypadkach? Jak świat światem, żaden Grodzicki nie znajdował się w mojem położeniu. Gdyby mnie się przydarzyło to co Teofilowi, ojciec dałby mi poprostu w skórę rzemieniem którym się opasywał. Dałby mi w skórę, i aniby mu na myśl nie przyszło, że obraża Pana Boga, jeśli sądzi, że tą drogą można kogoś przekonać o Jego istnieniu.

— Ach, jakie to wszystko straszne!

— Pewnie. Mam pięćdziesiąt dwa lata, połowę z tego borykałem się z życiem, w drugiej połowie nauczyłem się niem kierować. Tak mi się przynajmniej dotychczas zdawało. Bo teraz widzę, że jestem głupcem, bezradnym głupcem. Smarkacz zadał mi lekcję, do której nie umiem się wziąć.

— Mój Boże, czem się to skończy!

Grodzickiego rozdrażniło to nowe westchnienie.

— Ty obrałaś lepszą cząstkę. Wzdychasz, płaczesz, boisz się, i wkońcu myślisz, że jakoś to będzie. Ale zastanów się: co warci są rodzice, którzy umieli wydobyć dziecko ze wszystkich bied i niebezpieczeństw, jakie groziły jego ciału, a stoją z założonemi rękami, gdy dusza tego dziecka jest bliska zguby?

Gwar uliczny położył kres rozmowie. Grodziccy z trudem przepychali się przez tłum, ciągnący z ulicy Sykstuskiej w ulicę Karola Ludwika i ku Wałom Hetmańskim, gdzie tramwaje dzwoniąc nieprzytomnie wołały o wolny przejazd. Ten tłum był również poruszony metafizyką, a raczej jej rdzą czy śniedzią, trędowatym nalotem zabobonu. Chłopcy sprzedawali broszurkę, zawierającą oświadczenie księdza Pranajtisa w sprawie mordów rytualnych. Kurator diecezji turkiestańskiej, cytując Talmud i historję, podnosząc klechdy ze starych cmentarzy i dając wiarę anonimo-

wym kronikom upominał się w imię nienawiści tysiącletniej o ciało młodziutkiego Juszczyńskiego, które pokłóte czternastu ranami (dwa razy siedem) wisiało ciężką krwawą zmorą nad sądem kijowskim. Ten głos z wnętrza Azji, pra-matki guseł i demonów, szerzył się teraz pod Wiedeńską Kawiarnią, zagłuszając walce i marsze kapeli tyrolskiego pułku strzelców i burząc krew poczciwych mieszczuchów, którzy nagle zaczęli spoglądać drapieżnie na cylindry starych żydów, wypróbowanych towarzyszy konszachtów i plotek spod pomnika Sobieskiego.

Grodzicki, zaprzątnięty własnemi myślami, nie zauważył podnieconego tłumu, który wziął prawdopodobnie za zwyczajne rojowisko wieczorne. Przechodząc przez plac Marjacki, zdjął kapelusz przed statuą Matki Boskiej, błyszczącej girlandą żarówek.

— To niepojęte — odezwał się — jak codzienne kłopoty zagłuszają w człowieku te rzeczy! Niby to zmówi się ranny i wieczorny pacierz, pójdzie się w niedzielę do kościoła, odbędzie się raz do roku spowiedź, i już uporałeś się z Bogiem. Aż tu przychodzi młokos i daje ci do zrozumienia, że nic nie wiesz o najważniejszej sprawie na świecie. Bo to mu trzeba przyznać: jego to naprawdę obchodzi. On wie, że od tego wszystko zależy, że żadna rzecz nie jest warta uwagi, jeśli się tej jednej nie rozpatrzyło z każdej strony.

— Ależ, Biniu, Bóg wcale nie żąda, aby każdy katolik był teologiem.

— A cóż Mu odpowiesz, gdy cię zapyta: w jaki sposób starałaś się nawrócić swego syna? dlaczego byłaś niema, gdy on przeczył Jego istnieniu? dlaczego twoja wiara nie znajdowała innych słów oprócz zdań z dziecinnego katechizmu i czemu nie dorosła do jego wątpliwości? Czemuż to ja mogę wyśmiać tego chłopca, gdy zechce wtrącać swoje trzy grosze do ustaw administracyjnych, a staję się durniem, gdy on żąda, abym uzasadnił swoją wiarę? Chyba nie powiesz, że szpargały, z których składa się moje życie, są ważniejsze od ewangelji? albo, że człowiek jest mądry, jeśli potrafi usprawiedliwić istnienie tego oto gmachu, a nie umie wyrazić na czem polega nieodzowność tamtego drugiego, z krzyżem na wieży?

Wskazał ręką Namiestnictwo, pod którem przechodzili, potem kościół Karmelitów.

Dwa światy — doczesny i wieczny — stały obok siebie w jaskrawym kontraście.

Surowy blok Namiestnictwa, którego posępnej ciemności nie naruszało ani jedno oświetlone okno, więził pod sobą ziemię okutą w szczelne płyty, głucho powtarzające miarowy krok szyldwacha. Było widoczne, że duch tych murów bierze na serjo przestrzeń i czas, i spodziewa się, że one również będą go traktowały z respektem. Czarny dwugłowy orzeł na żółtej tarczy bynajmniej go nie uskrzydlał; obciążony złotem jabłkiem i mieczem wyrzekał się lotu, chciał trwać na wieki przy tej ziemi, którą sto lat temu zagrabił i złupił.

Kościół natomiast lekceważył ziemię, a ona ścigała go schodami, terasami, całem tem wzgórzem, uniesionem w zachwycie drzew, których korony marzyły, że kiedyś dosięgną krzyża. Ale dwie wieżyczki umykały im, na śniadej od starości miedzi skupiła się skądś odrobina światła, jakby w uśmiechu wyszła na jaw dusza, która od wesela w Kanie Galilejskiej przeżyła wszystkie cuda, od kazania na Górze przemyślała całą niedolę ludzką; która widziała jak w ogniu soborów słowa pękają na zgłoski, a poszczególne litery tryskają z nich i lecąc z wiatrem roznoszą pożar po świecie; która zapamiętała wszystkie noce Tebaidy, w przeraźliwej ciszy pustyni, i szkarłatne wieczory rzymskie, i ciężkie południa, obrzękłe jadowitem słońcem, kiedy zaraza dusiła ludzi, a gromady szaleńców porywał taniec demoniczny, i świty dziewiczych krajów, gdzie w oparach bagien budził się dzień pierwszych misjonarzy; która czytała Pismo święte w katakumbach przy lampce oliwnej i w katedrach gotyckich przy blasku świec i na placach publicznych przy płonących stosach i przy księżycu, w celach klasztornych, w godzinach zachwycenia; która upijała się myślą aż do dna absurdu i trzeźwiała, aby znów szukać zamroczenia w dysputach scholastyków, w bełkocie mistyków; dusza, która umiała pomieścić w sobie pokorę i pychę, mądrość i głupotę, natchnienie i gnuśność, litość i gwałt, — dusza tajemnicza, wyzywająca, skryta, chciwa serc ludzkich i gardząca światem.

Nagle z ogłuszającym hurkotem, od strony placu Cłowego, wyleciał wóz straży pożarnej, za nim drugi, trzeci. Ogromne czarne konie waliły kopytami w bruk, który pryskał skrami, trąby zawodziły ponuro, hełmy pompierów chwytały w przelocie wszystkie refleksy światła. Grodziccy stanęli; pani Zofja przeżegnała się

i serce w niej zamarło. Ale piekielne wozy skręciły ku Dominikanom; ta część horyzontu, pod którą został jej syn, była bezpieczna. Pani Zofja wierzyła tylko w zło idące od ziemi, jej stworzeń i jej żywiołów.

W milczeniu doszli do domu Pańci. Grodzicki, zamyślony, zamiast sięgnąć do dzwonka, wyjął własne klucze; jego podświadomość wypowiadała tym nierozsądnym gestem jak dalece bliski, swój i przyjazny był mu ten dom. Wchodziło się przez kuchnię i pani Zofja zawsze z tą samą przyjemnością witała cztery jasne ściany, obwieszone rondlami, patelniami, kociołkami o wspaniałym blasku, podłogę nieskazitelną i żółtą od aniliny, łóżko służącej, opięte białem jak śnieg prześcieradłem...

Pańcia, witając się z Grodzickim, tajemniczo mrugnęła okiem:

— Mam dla pana niespodziankę.

Niespodzianką był ksiądz Grozd. Uprzedzony zawczasu, kogo spotka u Pańci, z doskonałym spokojem podał rękę Grodzickiemu, który nie potrafił opanować zdziwienia. Jeszcze gorzej zachowała się Grodzicka. Zaczerwieniła się po uszy i niewiadomo dlaczego zaczęła zdejmować rękawiczkę, co trwało długo i wyglądało śmiesznie, bo ksiądz stał naprzeciw niej z wyciągniętą dłonią.

Zanim usiedli do kolacji, Grodzickiemu udało się przyłapać Pańcię w półciemnym alkierzyku przy kuchni.

— Skąd się on tu wziął?

— O, to mój stary znajomy. Z Truskawca. Dotąd nie bywał u mnie, ale dziś spotkałam go koło katedry i zaprosiłam.

Wyjęła z szafy parę butelek i obładowana niemi pobiegła do gości.

Grodzicki niepotrzebnie kręcił głową; Pańcia mówiła prawdę. Przed trzema laty siedziała w Truskawcu na ławce, niedaleko źródła, pod swą nieodstępną parasolką, szarą w czerwone pasy, i zobaczyła na ścieżce księdza, który szedł wolno, wachlując się kapeluszem z czarnej słomki. „Dzień dobry księdzu dobrodziejowi" — zaczepiła go z tą samorzutną życzliwością, z jaką zapraszała konnych policjantów przejeżdżających pod jej balkonem, aby wstąpili przy niedzieli na kieliszek ratafji. — „Straszny dziś upał". Ksiądz ukłonił się i powiedział, że może być jednak deszcz i ostrożność nakazuje mu odbyć przepisany spacer. „To proszę przyjść do mnie wieczorem na preferansa". Podziękował, zapytał o adres

i odszedł, zapomniawszy się przedstawić. Ale, kiedy zjawił się wieczorem, Pańcia wiedziała o nim wszystko czego można się było dowiedzieć na poczekaniu, w miejscowości kuracyjnej. Najważniejsze było to, że uczył w gimnazjum Teofila. O tem właśnie przypomniała sobie dzisiaj, spotkawszy go po nieszporach koło katedry.

Ksiądz Grozd przepadał za preferansem. Obok egzegetyki i ramiarstwa, była to jego trzecia namiętność. Niestety, nie miał jej zaspokoić tego wieczora. Oprócz Grodzickich była jeszcze kapitanowa Siekierska i jedyną grą, która mogła połączyć tę piątkę — był labet. Ksiądz Grozd z rezygnacją wziął się do tasowania kart.

— Gramy po cztery centy — zapowiedział Grodzicki, co nastraszyło księdza.

Podwoił wrodzoną ostrożność, nie dowierzał pojedyńczym atutom, przy większej puli szeptał.: „Pas", i składał karty na stole, nakrywając je dłońmi. Grodzicki zaś hazardował, budząc podziw i okrzyki kapitanowej. Systematycznie rabował chłopca, najzdradliwszą z kart, i wygrywał, często wbrew najśmielszym przewidywaniom. Ale bo to był jego chłopiec, jego własny syn, na którego stawiał! Grał o niego z losem, ze złemi przeczuciami, ze swą czarną troską, i wygrywał go przeciw posępnym damom pikowym, przeciw asom, symbolizującym w jego myślach coś czego nie ważył się bliżej określić, a co na jedno mgnienie zabawę przemieniało w walkę Jakóba z Tym, który nie chciał wyjawić swego imienia.

Wpadł w wyśmienity humor. Grozd wobec tego hucznego powodzenia całkiem upadł na duchu i przegrywał w sposób najbardziej godny politowania: płacąc stawki gry, z której natychmiast tchórzliwie umykał.

— Czy ksiądz wie — mówił rozweselony hofrat — że ta gra pochodzi z Francji i nazywa się właściwie: l'abbé czyli ksiądz. Wymyślono ją w XVIII wieku i stała się ulubiona w tych kołach, w których świeccy, bardzo towarzyscy księża zasłużyli sobie na poufałą nazwę: labusiów. Na obrazach i sztychach z tych czasów widzimy ich w otoczeniu pięknych i wesołych pań, które były mocno dekoltowane...

— Ależ, Biniu! — zgorszyła się pani Zofja.

— Niestety, łaskawa pani — zwrócił się do niej katecheta — to prawda. Duchowieństwo miało wtedy gorszące obyczaje i te-

mu należy przypisać ówczesny upadek wiary. Bezbożnictwo, jakie się rozpleniło przez książki Woltera i innych, nie znajdowało żadnej tamy w Kościele, którego słudzy nie umieli zachować godności. Dzisiaj...

Tu przerwał, albowiem przy rozdawaniu kart wyświęcił asa, pierwszego jaki doń tego wieczoru zawitał.

— Chyba to już ksiądz weźmie? — zagadnął Grodzicki.

— Wezmę.

Lecz, zajrzawszy do swoich kart, struchlał; odrzucił wszystkie, kupił znów same śmieci i oszołomiony wyszedł z atutowego asa.

— Któż tak robi! — żachnęła się Pańcia.

Przegrał, a Grodzicki wziął ostatnią lewę, gdy się już nikt tego nie spodziewał, — wziął ją na waleta karo, na swego chłopca!

— Pańciu! — zawołał — proszę mi podarować tę talję kart. Schowam ją na pamiątkę.

Uśmiechnęła się doń życzliwie, uradowana, że jej zieleniak tak dobrze usposabia gości. Ksiądz Grozd przesiedział jeszcze kwadrans, dopóki nie wyczerpała się pula, którą napełnił swoją klęską (cena jednej z tych marnych mszy wziętych od Bernardynów), poczem wstał, aby się pożegnać.

Grodzicki, znalazłszy się z nim przez chwilę na osobności, zapytał półgłosem:

— A jak zdrowie księdza Malinowskiego?

— Dziś właśnie przyjął ostatnie Sakramenta.

— Ach! — Grodzicki zamyślił się. — Namiestnik wraca w przyszłym tygodniu. To będzie chyba w sam czas?

Katecheta skinął głową nieznacznie.

XVIII

Wbrew temu co mówiły karty, Grodzicki przegrał ze swym niewidzialnym partnerem. O tej samej bowiem godzinie, kiedy Pańcia rozłożyła zielony stolik, Teofil siedział z wciągniętemi pod krzesło nogami naprzeciw profesora Kaliny, który — siwobrody, rumiany, w czerwonej atłasowej czapeczce — wyglądał jak król dzwonkowy, jedyna karta, jakiej Grodzicki przez cały wieczór ani razu nie miał w ręku.

Myśl o pójściu do profesora spadła na chłopca nagle, nad talerzem jajecznicy, którą spożywał w smutku i samotności, przeżuwając słowa ojca. Czuł się poniżony, w całkowitej skali tego uczucia: od krzywdy do śmieszności. Klęska, która spotkała Straussa w dziupli wierzby brzuchowickiej, odcięła Teofila od wypożyczalni; wolał stracić kaucję i nie pokazywać się tam więcej niż szukać przebaczenia zapomocą jakiejś zmyślonej historji. Cóż tu zresztą począć z trzema szóstkami w kieszeni? Jakkolwiek wyprawa po niebo jest najmniej kosztowna ze wszystkich bojów świata, i ona również może doznać niepowodzenia w dokuczliwych warunkach ekonomicznych. Ale oto w ościennem mocarstwie czekał nań potężny sojusznik. Teofil przekradł się doń pod osłoną nocy, — straceniec, banita, zdrajca.

— Więc to ty jesteś synem radcy Dworu? — pytał suty bas z głębi rozłożystego fotela. — A twoja matka to ta wysoka pani? Tak, tak, miałem sposobność... Bardzo ciekawa kobieta!

Komplement odnosił się nietyle do samej Grodzickiej, ile do jej broszki. Profesor który zachował doskonały wzrok, zauważył u niej kiedyś, podczas przypadkowego spotkania u właścicielki domu, piękną starą broszkę. W złotej oprawie był brylant, a wokół niego perły, które ułożono w ten sposób, że u góry i u dołu tworzyły po cztery półkola, jedno nad drugiem, a z boków po pięć krótkich promieni, co całości dawało pozór owada z rozstawionemi nóżkami, ale w oczach astronoma nasuwało zupełnie inne podobieństwo. Przypominało bowiem najoczywiściej zdjęcia kryształów pięciowodnego siarczanu miedzi metodą Lauego. Taki właśnie obraz uzyskano rok temu, gdy promienie Roentgena padły prostopadle do jednej z trzech osi kryształu, ujawniając układ atomów. Dziwna broszka nieraz zaprzątała myśli profesora, który odtąd kłaniał się Grodzickiej z wielką atencją.

— Podobny jesteś raczej do matki. Tylko, że ona ma oczy szare. Prawda?

Teofil skinął głową i zaczerwienił się, w tej chwili bowiem zobaczył cienką białą tasiemkę, która, wykradłszy się przez szparę między dwoma ostatniemi guzikami u spodni profesora, zwisała na łokieć bezmała długości, dyndając za każdem jego poruszeniem.

Kalina był już w tym wieku, kiedy to różne części stroju odzyskują swą wrodzoną złośliwość i korzystają z roztargnienia,

pośpiechu, niezręczności człowieka, aby mu dokuczyć. Najbardziej zdradziecka była owa tasiemka czyli „sztraflik“, jak ją nazywano na całym obszarze Galicji i Lodomerji, służąca do zawiązywania w pasie kalesonów. Jej długość i cienkość oszukiwała palce profesora, i natrętne pasemko płótna wychylało się ze swego ukrycia w najbardziej nieodpowiednich momentach. Za ostatniego pobytu monarchy, kiedy senat akademicki...

— Czemu się śmiejesz, moje dziecko?

Teofil skłamał, że przypomniała mu się scena na schodach, i obrócił się na krześle, aby nie patrzeć na krnąbrną tasiemkę, która gotowa była zrobić z niego błazna.

— Tak, twój ojciec ma trochę staroświeckie poglądy. Przemówiliśmy się. Nie umiem w tych sprawach trzymać języka za zębami.

Ostatnie zdanie zwięźle streszczało życie uniwersyteckie profesora Kaliny.

Poprzednikiem jego był Fryderyk Dohle, Niemiec, który, objąwszy katedrę fizyki „z uwzględnieniem kosmografji“ w okresie germanizacji, sam się spolszczył z odmianą stosunków. Zacny safanduła znosił z pogodą figle słuchaczów, którzy conajmniej pięć razy w ciągu semestru zawieszali mu na tablicy nieżywą kawkę. Dohle brał ostrożnie ów totem swego rodu, otwierał okno i wyrzucał ptaka. Nucił przy tem kuplet z jakiejś archaicznej operetki, który słyszał i zapamiętał w szczęśliwych wiedeńskich czasach:

In meinem Käfig hatt‘ ich zwei Dohlen;
Eine hat gestern mir Josef gestohlen,
Ich hab‘ jetzt nur eine,
Drum weine ich, weine...

Nieprawdopodobny absurd słów i dyszkant profesora wprawiały salę w frenetyczną wesołość. W ten sposób ubywało we Lwowie kawek, unoszących się chmarami nad Ossolineum, ogród Botaniczny, wówczas bardzo zaniedbany, otrzymywał odrobinę nawozu w postaci skromnej padliny, a parę tuzinów młodych ludzi łatwiej znosiło „Neue Ansichten über die Molekulartheorie“, nieśmiertelne wykłady, których skrypt ocalił z pożaru w roku 1848 bohaterski i niezapomniany Koźma, ratując zbiory fizykalne.

W zakresie astronomji Dohle wsławił się odkryciem, że w nocy z 24 na 25 grudnia 12 roku naszej ery pojawiła się nad Betlejem kometa Halleya i była widzialna w tych stronach aż do połowy stycznia następnego roku, co w pół wieku później powtórzył Westberg w swej „Biblische Chronologie“, nie cytując autora. Kiedy zjechał do Lwowa, po studjach zagranicą, młody docent, dr. Józef Kalina i rozpoczął wykłady (w lutym 1870 roku, w czasie najsroższej zimy, przy 30 stopniach mrozu) zdawało się, że to ów tajemniczy „Josef“ z kupletu ukazał się nareszcie, aby sprzątnąć i tę drugą kawkę. Już wtedy nie umiał „trzymać języka za zębami“ i przy jakiejś okazji zapytał starego Dohle czy nie sądzi, że w dniu, w którym Jozue zatrzymał słońce wypadła właśnie w Grecji owa podwójna noc, kiedy to Dzeus z Alkmeną płodził Heraklesa. Żart obiegł całe miasto, jak i parę innych tego rodzaju. Kalina mówił, że Dohle wyżej ceni Newtona komentarze do Apokalipsy niż jego prawo powszechnej grawitacji.

Walka profesora z docentem trwała kilka lat, roznamiętniała młodzież, była utrapieniem władz; Kalina otrzymał katedrę dopiero po śmierci Dohlego. Odtąd siedział na niej twardo mocą swej znakomitej wiedzy, drwiąc sobie ze wszystkich zabiegów, jakiemi wydział teologiczny starał mu się ją wydrzeć. Nie został jednak rektorem. Gdy natomiast przekroczył siedemdziesiątkę nikt nie zdołał zapobiec mianowaniu go profesorem honorowym, co nastąpiło właśnie w tym roku. Słuchacze zgotowali mu owację.

— Nigdy nie ukrywałem swoich przekonań — rzekł profesor. — W żadnym wypadku. I nie uważam tego za bohaterstwo. Są one tak jasne i oczywiste, jak tabliczka mnożenia. Któżby się krępował przyznać, że wie ile jest pięć razy pięć? Powiesz mi, chłopcze, że za tabliczkę mnożenia nigdy nikogo nie prześladowano? Być może, nie znam tak dokładnie historji. Ale, jeśli się to jeszcze nie zdarzyło, nic nas nie upewnia, że nie zdarzy się kiedyś. Korzystajmy więc z chwilowej swobody i głośmy otwarcie tabliczkę mnożenia. Korzystajmy również z tej drugiej, tak samo chwilowej lecz mniej szerokiej swobody, która nam pozwala patrzeć na wszechświat okiem rozsądku. Nasz czas jest bezcenny. Ludzkość rozwija się skokami, między jednym a drugim okresem fanatyzmu i ciemnoty. Co się da zrobić w takiej chwili spokoju, jak nasza, to może będzie musiało wystarczyć na parę wieków. Śpieszmy się, może to już koniec tej chwili? Może pokolenie,

które teraz się rodzi, odwoła z wygnania wszystkie gusła i przesądy, i spowrotem odda się im w niewolę?

Zdrowa twarz starca jaśniała pogodą, sprzeczną ze smutkiem tych przepowiedni. Gładząc swą długą siwą brodę, wpatrywał się ciekawie w chłopca, który nie odrywał od niego oczu, i dwa spojrzenia — ciemne i niebieskie — zawierały przyjaźń w cichem świetle lampy.

— Widzisz, mój drogi — uśmiechnął się Kalina — z twoim ojcem pokłóciliśmy się o moralny ustrój świata. Jak to się najczęściej zdarza, nie było między nami różnic co do istoty sporu. Twój ojciec wyznaje dokładnie tę samą etykę co ja, nosi jednak niepotrzebnie brzemię cudzych przekonań, które nauczył się uważać za własne. Trzyma go pod niem posłuch dla najsroższego z tyranów, tego, którego człowiek sam sobie wymyślił. Wierzy on w istotę nieskończoną, która po niezliczonych eonach samotności stworzyła świat. Był to czyn nierozważny, który istota nieskończona okupiła swą niezależnością. Zaczęły się dla niej czasy niepokoju, gniewu, rozczarowania i żalu. Mając dzień w dzień do czynienia z nową istotą myślącą czyli z człowiekiem, postanowiła istota nieskończona stworzyć etykę. Dla istoty, która tak długo przedtem bytowała w absolutnej samotności, było to zadanie trudne i bolesne. Zostało ono rozwiązane równie popędliwie i niedbale jak stworzenie świata. Tak jak przez niepojęte skąpstwo czy przez jeszcze bardziej niepojęte zapomnienie demiurg nie postarał się o osobne pożywienie dla wszystkich rodzajów zwierząt i zmusił je do wzajemnego pożerania się, tak samo pierwsza moralność, którą narzucił światu, miała cechy kapryśnych rozkazów naczelnika dzikiego szczepu nomadów, a kary, któremi obłożono najbłahsze przewinienia, były zgodne z samowolą i wszechwładzą karzącego nie zaś ze słabością i bezbronnością winowajcy.

Teofil siedział nieruchomo. Czuł to co mógłby czuć kawałek żelaza naprzeciw magnesu: że oto istnieje w nim jeszcze pewna siła oporu, której coraz ubywa, pośród ociągania się, żalu i rosnącej chęci poddania. Kalina wyciągnął rękę, a Teofil drgnął, jakby się przestraszył że profesor zbliża się ku niemu. On jednak sięgnął do leżących na stole książek. Wziąwszy tę która była na samym wierzchu, zaczął powoli przerzucać kartki. Po chwili znalazł miejsce którego szukał, wsunął palec wskazujący w środek książki i trzymał ją tak w pogotowiu.

— Odegraliśmy dzisiaj — rzekł — z twoim ojcem scenę dysputy teologicznej, śmieszną i niewinną. Ale, wróciwszy do domu, wziąłem tę oto książeczkę. Są to pisma Vaniniego. Znajduje się w nich takie proste rozumowanie: „Świat jest taki, jakim go Bóg zamierzył; jeśliby chciał, aby był lepszy, byłby lepszy. Jeśli istnieje grzech, widać, że Bóg tak chce; napisano bowiem, że wszystko czego chce może zrobić. Jeśli zaś nie chce, a grzech mimo to istnieje, należy go nazwać albo nieprzewidującym, albo bezsilnym, albo okrutnym, skoro czy to nie był świadom swej woli czy nie mógł jej wykonać, czy też jej poniechał". Tak pisał Vanini. Spalono go na stosie, ponieważ w żaden sposób niepodobna mu było udowodnić, że jego rozumowanie jest błędne. Zauważ, że stało się to w roku 1619, czyli, że od trzystu lat ta kwestja jest rozstrzygnięta jasno i w sposób dostępny dla każdego umysłu. A przecież sam wiesz, że miljony żyją dziś tak, jakby Vanini nigdy nie istnaił. Oto masz gorzki przykład, jak dalece myśli ludzkie idą na marne.

Książeczka, którą trzymał, wymknęła mu się z palców. Teofil zerwał się z krzesła aby ją podnieść, ale i profesor schylił się po nią i w tej chwili zobaczył nieszczęsny „sztraflik" wałęsający się między kolanami. Roześmiał się, trochę zażenowany.

— Oto co znaczy starość. Robi z człowieka niechluja i gadułę. Siedzisz tu już dobry kwadrans, a ja do tej pory nie dałem ci przyjść do słowa i nie zapytałem czego sobie życzysz.

Mówił to, stojąc, odwrócony do ściany; odszedł bowiem na parę kroków, aby doprowadzić swe ubranie do porządku. Teofil dopiero teraz zdał sobie sprawę z jego olbrzymiej postawy, nieomal atletycznej.

Starzec wsparł się obu rękami o brzeg stołu i patrzył na Teofila. Chłopiec wstał; nie potrafiłby mówić siedząco do takiego człowieka.

— Proszę pana profesora — zaczął Teofil — już drugi raz zdarza mi się taka rozmowa i wogóle mam wrażenie, jakby mnie coś sprowadzało na drogę ludzi...

Kalina wyciągnął ku niemu ramię hamującym gestem:

— Powiedziałeś: coś? Nigdy nie używaj słów nieokreślonych. Pochodzą one z okresu magicznego i mieści się w nich lęk, ojciec zabobonów.

— Dobrze. Ale w ostatnich czasach zdarzają mi się przy-gody...

— Sam je stwarzasz — przerwał mu znów Kalina. — One rodzą się tu — dotknął palcem jego czoła tak nagle, że chłopiec gwałtownie cofnął głowę.

— Być może. Z pewnością. Ale to nieważne — Teofil machnął ręką niecierpliwie. — Rzecz w tem, że takie słowa jak te, które przed chwilą od pana słyszałem, przynosząc mi ulgę lub niepokój... Bo widzi pan profesor, jestem gotów porzucić świat pojęć w którym się wychowałem, rozumiem, że jest on bezużyteczny jak stare żelaziwo...

— Wybornie powiedziane! — Kalina trząsł brodą, wyrażając gorącą aprobatę. — Tak, tak, żelaziwo przeżarte rdzą do tego stopnia, że nie da go się nawet przetopić.

Teofil spojrzał nań z wyrzutem. Kalina zrozumiał:

— Przepraszam cię — rzekł — mów dalej.

— Idzie mi o to, że ateizm...

Astronom zamachał rękami, a jego cień na ścianie spróbował lotu jak olbrzymi ptak.

— Zawsze ten głupi rzeczownik! Ateizm! Cóż za insynuacja w tym wyrazie! Tak jakby teizm rozumiał się sam przez się!

Teofil usiadł, wyczerpany daremnem oczekiwaniem, kiedy porywczy starzec pozwoli mu powiedzieć słowa, z któremi i bez tego nie umiał sobie dać rady. Profesor roześmiał się szczerze:

— Pół wieku profesury to pół wieku monologów. Ale ja i tak wiem o co ci chodzi. Tak, mój mały — duża ciężka ręka spoczęła na ramieniu Teofila — nie mylę się. Jesteś człowiekiem, na którym można polegać. W twoim wieku dziewięciu chłopców na dziesięciu przechodzi podobny kryzys, lecz iluż jest takich, którzy to biorą na serjo? Trochę się tam w nich zagotuje, trochę zakłębi potem wszystko ostygnie, i ani się spostrzeżesz, a oni znów siedzą w starym rodzinnym domu i opowiadają stare brednie małym smykom, którzy znów kiedyś powtórzą ich gnuśny bunt i tak samo jak oni skończą na różańcu.

Kalina przeszedł się po pokoju, nagle stanął przed jedną z szaf, otworzył ją i rzekł:

— Tego ci potrzeba, prawda?

Teofil skinął głową.

— A widzisz, jak my się rozumiemy?

Z otwartej szafy wionął ów szczególny zapach, jaki wydzielają książki trzymane w zamknięciu: dla nosów pospolitych zwyczajna stęchlizna, ale dla chłopców szukających nowej wizji świata — haszysz zawrotny. Książki były zbite w ciasnych rzędach, za któremi wtyle czuło się taki sam tłok; w każde wolne miejsce wciskały się broszury, zeszyty czasopism.

— Niema tu ładu — zatroskał się Kalina — i nie umiem ci dać nawet żadnych wskazówek. Sam korzystam tylko z tych książek, które stoją z brzegu. A tam w głębi — dżungla. Ale odwagi, młodzieńcze! Możesz tu przychodzić kiedy chcesz i brać co ci się podoba.

Wsunął palec między książki i wydobył z nich jedną: „Teodyceę" Leibniza.

— Okropny nieład! Cóż za honorowe miejsce wybrał sobie ten lekkoduch! Powinien stać daleko od ludzkich oczu.

Przerzucił parę kartek i pokiwał głową:

— Oto masz nowy przykład zamętu. Tę książkę pisał człowiek, który obdarzył ludzkość rachunkiem różniczkowym, a jednocześnie trwonił swój genjusz na usprawiedliwienie biblijnego Boga. Powiada on, że zło na świecie nie powinno nas dziwić, gdyż Boga ograniczał pewien rozum zgóry już w rzeczach zawarty, który sprawia, że pewne kombinacje się wykluczają, że pewne dobra istnieć nie mogą. Bóg — rozumuje on dalej — naprzód przejrzał wszystkie światy, jakie tylko mógł stworzyć, i wybrał nasz, jako możliwie najlepszy. Tak uczył Leibniz i za to podziwiały go i kochały księżniczki, a monarchowie obsypywali go tytułami. Musiałeś słyszeć o nim. Żadna dogmatyka nie ominie tego nazwiska. Przynajmniej tak było w moich czasach, a nic nie wiadomo, żeby dogmatyki zmieniły swe obyczaje w ciągu stulecia. Imię Leibniza jest drogie wszystkim co dziękują Bogu, że stworzył świat i chwalą go za to, że stworzył inny, w którym błędy naszego świata zostaną naprawione. Ale my rzucimy go na sam spód!

Astronom w istocie cisnął Teodyceę na ostatnią półkę, gdzie stare omszałe butelki po atramencie przyjęły ją z pełnym popłochu brzękiem. Za drugim razem wyjął broszurowany tom o nierozciętych kartkach.

— Weź to na początek — rzekł. — To książka mojego starego przyjaciela. Tęga głowa, cokolwiek sądzą o nim jego wrogo-

wie. Ma swoje wady, oczywiście. Naprzykład: nie może pogodzić się z myślą, że miałby odejść w niebyt, pozostawiwszy na ziemi parę nierozstrzygniętych tajemnic. Ale pocóż cię uprzedzać? Sam czytaj i myśl!

Wtulił mu książkę pod pachę, poczem objąwszy go ramieniem, patrzył nań z zachwytem. Zawołał:

— Chłopcze! wyruszasz w piękną drogę. Żaden z tych co pierwsi widzieli ślady swych stóp na śniegu Mont Blanc, żaden z tych co zobaczą je kiedyś na Evereście nie mają pojęcia o radości jaka cię czeka tam, gdzie niebawem się znajdziesz. Będziesz patrzył na horyzont nieskończoności oczyma bez trwogi i zdawać ci się będzie, że jesteś pierwszym człowiekiem na ziemi, która dopiero co ostygła. Śpiesz się!

Tak pobłogosławiony, Teofil zbiegł ze schodów i przeleciał przez kuchnię jak wicher, ku przerażeniu służącej. Zmiótł ze stołu książki i zeszyty, i otworzył tom który mu dał profesor. Był to „Zarys filozofji monistycznej“ Ernesta Haeckla. Na drugiej karcie po okładce były te słowa, nakreślone szerokiem porywczem pismem:

Meinem lieben Freund
Dr. Josef Kalina
über sende ich dieses Buch
das mir wie ein Gruss aus seiner
Heimat kommt, in Erinnerung
an die schönen Jenaer Tage.
Ernest Haeckel
Jena, 3 Oct. 1904.

Haeckel, o ośm lat starszy, poznał Kalinę w Jenie, gdy ten dwudziestoletni olbrzym robił karjerę wśród burszów, którzy go ubóstwiali i którym on „siekał mordy“ co drugi dzień w jednym z uroczych lasków nad Saalą, gdzie Bolesław Chrobry wbijał pale graniczne. Haeckel uzyskał właśnie „veniam legendi“ rozprawą z systematyki korzenionogów i pracował nad swą znakomitą monografją Radiolarjów. Kalina przesiadywał u niego po parę godzin, ilekroć zabrakło mu weselszego zajęcia. Haeckel, nie mając czasu na rozmowę, częstował gościa mikroskopem.

Widziało się w nim hełmy o kształtach urojonych, puklerze, włócznie, kolczugi, jakby arsenał krasnoludków; herby, godła, or-

dery nieznanych na ziemi odznaczeń; kosze plecione ze srebra rękami duchów, misy, dzbany, wazony — zdawało się — lżejsze od powietrza, wreszcie gwiazdy o rozmaitości płatków śniegu. Największe z tych cudów zajmowały przestrzeń pół milimetra. Były zrobione z krzemionki, tej samej, która przemienia się w kryształ górski. Twórcą ich była Radiolarja, która przez niepojętą alchemję łowi krzem z wody morskiej i przez jeszcze bardziej niepojętą działalność swej jedynej komórki przerabia go na tratwę, unoszącą tę niedostrzegalną bryłkę śluzu po oceanie. Od miljonów lat kilka tysięcy gatunków, nakształt pracowni rzeźbiarskich, tworzy to mikroskopijne piękno, każdy gatunek według własnego dziedzicznego wzoru, nieprześcigniony w swej doskonałości, — tworzy na krótką chwilę życia, nie myśląc cieszyć niem czyichkolwiek oczu i porzuca je po śmierci na dno morza, gdzie pośród szlamu gromadzą się muzea i galerje tych klejnotów, strzeżone przez ślepe ryby.

Wieczorami, przy kiełbasie turyngskiej i szklance Lichtenhainera, Haeckel opowiadał, jak czyhał na radjolarje w zatoce mesyńskiej, na wodach Scylli i Charybdy, i jak te stworzenia swem światłem zamieniają noc morską w mistyczną baśń. Opisowi tego dziwnego światła brakło jednego słowa, na które wtedy było jeszcze za wcześnie, słowa: świt. To był świt życia: jednokomórkowe radjolarje powtarzały swem usilnem istnieniem brzask świata organicznego. Dwaj przyjaciele obmyślali dla nich nazwy. Z greckich i łacińskich słów powstawały niezwykłe skojarzenia, wierszami jak siecią łowili gatunki radjolaryj, przyswajali im stare mity, i tak we wspólnem natchnieniu rodziła się Nausicaa Phaeacum albo Melusina Formosa.

Taka była treść owych „pięknych dni jenajskich“, które w pół wieku później przypominała dedykacja na polskiem tłumaczeniu „Welträtsel“.

Teofil przyjrzał się jej z nabożnem zdumieniem. Po raz pierwszy miał w ręku książkę, która nie pochodziła od pospolitych i bezimiennych ludzi, ale którą dwaj uczeni podawali sobie z uśmiechem i westchnieniem ponad przestrzeń i czas.

Zanurzywszy dłonie we włosach i zmarszczywszy brwi, zabrał się do lektury. Słowo za słowem czytał z takiem napięciem, jakby mu groziła kara za przeoczenie przecinka. W ten sposób zgruntował przedmowę, w której autor przedstawiał się czytelnikowi nie

ukrywając swych zasług i obiecywał mu wszechwiedzę nie mówiąc wyraźnie czy sam ją już posiada. Teofil był gotów mu ją przypisać, rzuciwszy okiem na treść rozdziałów i nie miał wątpliwości, że Haeckel rozwiąże siedem zagadek bytu, które postawił przed nauką małoduszny du Bois-Reymond...

Płomyk lampy skurczył się. Teofil spojrzał na zegarek i zdumiał się: była jedenasta. Trzy godziny przesiedział nad książką i kajetem, w którym notował szczegóły godne zapamiętania. Czuł w głowie czad, nogi miał zdrętwiałe. Otworzył okno. Ulica była pusta i ciemna; większość latarń już pogaszono.

Po niebie kłębiły się chmury jak dym. Pożar trawił tajemnicę wysokich błękitów. Ogień, podłożony w dzień Wielkiej Nocy ręką dawnego seminarzysty, podsycany wciąż nowym podpałem objął wszystkie wiązania nieba. Spłonęły już sny i domysły dawniejsze od dzieciństwa, dziedziczne, wymajaczone wśród różańców, po ławkach kościelnych, pod oknami szarej godziny, po przyzbach chałup przez wszystkie matki, babki, prababki, sny uwieszone na sięgającem chmur drzewie rodu, którego korzenie tkwiły w popieliskach nieodgadnionych przodków, wymarłych za starych bogów. Firmament z kryształu, pałace ze złota, łąki i sady Raju, stopnie zawrotnych schodów prowadzące do szczytów światłości obróciły się w niwecz, porywając w swą zagładę hierarchje anielskie, niepojęte Trony, Moce, wieloskrzydłe chóry Serafinów. W spustoszonym wszechświecie zabrakło miejsca na tron Wiekuistego, a on sam, tułacz bezdomny, szukał schronienia na coraz dalszych wysokościach, w wichurze mgławic, pod ulewą dróg mlecznych, samotniejszy od króla Lira, i gotów już był ostatecznie zapaść się w jakieś czarne bezdno.

Teofil wzdrygnął się jakby go dotknęło czyjeś spojrzenie. W rozchyleniu chmur błyszczała jedna jedyna gwiazda, osobliwie świetna. Ze ściśniętem sercem patrzył w to „oko nocy“, obdarzając je potęgą, gniewem i obrazą. Mylił się; był to Syrjusz, który, oddalony o ośm lat świetlnych, widział go jeszcze w dziecinnem łóżku, z puklami włosów rozsypanemi po poduszce, pod obrazem Anioła Stróża.

XIX

Jak się to nieraz zdarza, ksiądz kanonik Malinowski, po przyjęciu Ostatniego Namaszczenia, wrócił do zdrowia. Skoro tylko odzyskał przytomność, pierwsze jego słowa były:

— Żebyś mi tu nie wpuszczała tego katechety co dzień w dzień przychodzi patrzeć kiedy zamknę oczy.

Stara Filomena, która już spakowała manatki, by szukać przytułku u św. Łazarza, rozpłakała się ze szczęścia; dopiero teraz uwierzyła naprawdę, że niebezpieczeństwo minęło. Nic tak bowiem, w jej pojęciu, nie świadczyło o ciężkiej chorobie kanonika, jak uległość z jaką znosił te codzienne wizyty, — on, który cybuchem od fajki przepędzał natrętów. Szacunek jednak, jakim w ciągu ćwierćwiecza służby w cieniu katedry przywykła otaczać każdą sutannę, nie pozwolił jej wykonać tego zlecenia tak jakby tego pragnęła w swem popędliwem sercu, i kiedy ksiądz Grozd zjawił się (wcześniej niż zwykle) powiedziała, zatrzymując go na progu i do połowy tylko uchylając drzwi:

— Ksiądz kanonik czuje się lepiej, ale potrzebuje spokoju.

— O, dzięki Bogu — szepnął katecheta. — Odprawiłem dziś mszę na jego intencję.

Nie było to prawdą. Ksiądz Grozd odprawił tego dnia ostatnią mszę z rejestru, wręczonego mu przez prowincjała Bernardynów, tylko przez dziwny zbieg okoliczności imię umrzyka, za którego się modlił, brzmiało tak samo jak księdza Malinowskiego: Kajetan.

Ksiądz Grozd niósł właśnie w swym rzymskim portfelu zaświadczenie czy jakby pokwitowanie wszystkich odprawionych mszy, z dokładnemi datami. Pod tym spisem widniały sakramentalne słowa: „Ego infrascriptus praesentibus hisce sub iuramenti fide coram Deo attestor me omnibus et singulis Missarum oneribus, de quibus supra, fideliter ad amussim satisfecisse". Następowała data dnia dzisiejszego i podpis, którego rozmach świadczył, że ksiądz Grozd był zrana w wybornem usposobieniu. Dokument spoczywał w zaklejonej kopercie; ksiądz Grozd miał zamiar wysłać go pocztą, gdyż spodziewał się, że nie będzie już w przyszłości potrzebował tego rodzaju zarobków. Lecz, wyszedłszy z domu księdza Malinowskiego, skierował się ku Bernardynom.

Kościół poucza, że nagłe powroty do zdrowia, należące do

zbawiennych skutków sakramentu Ostatniego Namaszczenia, zdarzają się wtedy, gdy taka zmiana rzeczy nie sprzeciwia się zamiarom bożym. W tym wypadku było widoczne, że Opatrzność troszczy się więcej o niezakłócony tok spraw w c. k. Namiestnictwie niż o rokietę i czerwony pas dla księdza Grozda. Niewiadomo bowiem do czegoby doszło, gdyby radca Dworu Grodzicki w takiej właśnie chwili zwrócił się do namiestnika z prośbą o protekcję u arcybiskupa. To nie był czas na głupstwa!

Ekscelencja wrócił z Wiednia oszołomiony, zachwycony, szczęśliwy. Jego półtoragodzinna audjencja u cesarza wywołała sensację w kołach politycznych i w prasie całej monarchji. Dotyczyła sejmowej reformy wyborczej i namiestnik potrafił wywołać cień troski na pogodnem dobrodusznem obliczu potomka rycerzy z Jastrzębiej Góry, opisując mu zjadliwość stronnictw, zwłaszcza ruskich. W pewnej chwili cesarz drgnął: nawiedziło go wspomnienie Andrzeja Potockiego. Była to już druga przykrość tego dnia; z samego rana stary wypróbowany „Fremdenblatt" podał niemal dosłownie przemówienie posła Karolyi w sejmie węgierskim, gdzie między innemi znajdowało się zdanie: „Prezydent ministrów przedstawia się opozycji jako herszt bandy rabusiów!" Lecz namiestnik wyzyskał tę chwilę, aby przeskoczyć nagle z czarnego w białe i w jak najgorętszych słowach wyrazić nadzieję, że cała akcja niewątpliwie mu się powiedzie. Cesarz, którego oddawna karmiono samym pesymizmem, zatrzymał go jeszcze pół godziny i niemal napraszał się ze swoją łaską „für das schöne, tüchtige Land von Galizien."

Odznaczenie byłego ministra Finansów, Zaleskiego, tytułem hrabiego było sprawą ostatnich dni, o której wciąż jeszcze się mówiło i pisało, nie ukrywano więc przed namiestnikiem, że i on może żywić podobne nadzieje. Żywił je, oczywiście, i przez całą drogę z Wiednia do Lwowa nie zmrużył oka. W Krakowie, o świcie, kazał przywołać do wagonu naczelnika stacji i dał mu do wysłania depeszę, w której prosił marszałka Gołuchowskiego, aby na wieczór zwołał konferencję matadorów sejmowych.

— Drogi panie Albinie — rzekł witając się z Grodzickim — na panu polegam całą duszą. Dla wielu rzeczy nie będę miał teraz głowy, a potrzeba mi prędkiej i rzetelnej opinji w najważniejszych bieżących sprawach. Niech pan na początek bierze tę tekę.

I wręczył mu plik papierów w zielonej kartonowej teczce.

Kiedyindziej ten nowy dowód zaufania byłby poruszył lojalne urzędnicze serce Grodzickiego, lecz od paru dni zobojętniał on na pospolite zjawiska, z których składa się świat zewnętrzny. Wróciwszy do swego gabinetu, odłożył teczkę na bok i wyjął z szuflady książkę.

Był to drugi tom „Obrony religji katolickiej", serji apologetycznej, rozpowszechnianej przez Wydawnictwo Dyecezialne Przemyskie. Wybrał go z dwóch, które mu zaproponowano w księgarni. Tom pierwszy, zawierający pracę biskupa Pelczara p. n. „Jak wielkim skarbem jest religja katolicka i dlaczego ta religja ma dzisiaj tylu przeciwników" odstręczył go gadatliwością tytułu, objętością i ceną. Tom drugi natomiast odrazu go pociągnął. Tytuł brzmiał prosto i uczciwie: „Czy i jaki jest Bóg", i obiecywał rozstrzygnąć to kapitalne pytanie za opłatą dwóch koron sześćdziesięciu halerzy.

I autor również zasługiwał na zaufanie. Był nim ksiądz Kazimierz Wais, którego parę razy zauważył Grodzicki na przyjęciach w Namiestnictwie. Wysoki poważny ksiądz należał do nielicznych gości, po których można się było spodziewać, że nie wyjdą z kieszeniami pełnemi cukierków, mandarynek i cygar.

Czytając go jednak, przekonał się, mniejwięcej od stronicy szesnastej, że ksiądz Wais jest trudniejszy w pożyciu niżby się to napozór zdawało. Zacząwszy bowiem od pięknej rewji filozofów i uczonych, którzy wierzyli w Boga, a których długi zastęp stwarzał miłe poczucie bezpieczeństwa, ksiądz Wais raptownie otworzył ogień na pozytywistów i agnostyków, nie podając sił liczebnych przeciwnika. Odtąd z każdej strony wychylał się nowy wróg — fideiści, ontologiści, Kant — a teolog, miażdżąc ich bez litości, stawał się tak samo bezwzględny dla czytelnika.

Grodzicki, który po dwukrotnem przeczytaniu ustępu o „rzeczy w sobie" truchlał na sam wyraz: byt, oglądał się nieomal z żalem za temi trzema niewinnemi literami, gdy przyszło mu tonąć w rozważaniu zasady tożsamości i racji dostatecznej. Wszystko jednak co robił, robił gruntownie (ten rys fatalny wziął po nim Teofil), nie pozwalał więc sobie na żadne opuszczenia, bojąc się zresztą, że porywczy ksiądz, skoro mu się raz wymknie, będzie już nie do doścignięcia. Czytał nawet przypisy, w których myśl autora stawała się jeszcze bardziej szczelna i gdzie były od-

syłacze do cudzych książek. Grodzicki tę lub ową o ciekawszym tytule „fajkował“ czerwonym ołówkiem, tym samym którym w aktach i okólnikach zaznaczał dla podwładnych miejsca wymagające szczególnej uwagi. W ten sposób przedarł się przez pierwszy rozdział, aby na początku drugiego przeczytać z goryczą, że: „rozwinięty umysłowo człowiek dochodzi łatwo i jakby samorzutnie do poznania Boga.“

Kiedy radca Dworu schował książkę i sięgnął nareszcie do zielonej teczki, by poświęcić nieco uwagi tej cząstce wszechświata, w której żył dotychczas raczej beztrosko, był w takiej alteracji, że nie rozpatrzywszy się ze zwykłą sumiennością w tuzinie papierów z planami, wykresami i cyframi, na ostatnim z nich napisał opinję: „Godne całkowitego załatwienia“, zadzwonił na woźnego i polecił mu odnieść teczkę ekscelencji. Temu roztargnieniu zawdzięczał Lwów zasiłek na roboty kanałowe, który miasto otrzymało z funduszów rządowych w kwocie 325.000 koron, w chwili gdy po długotrwałych zabiegach, zmieniając co kwartał kosztorysy na coraz skromniejsze, nie liczyło już na więcej niż trzecią część. Był to jeden z tych cichych cudów, których catholicissima urbs (Sykstus V nazwał tak miasto trzech stolic arcybiskupich) zaznawała nieraz w ciągu swych heroicznych dziejów.

Nazajutrz ksiądz Wais przemówił do wyobraźni Grodzickiego.

Przez całą noc wisiała nad miastem gęsta mgła, lecz ranek wstał pogodny, z przymrozkiem, który wilgoć pozostałą na drzewach zamienił w szron. Grodzicki, już mając wsiąść do tramwaju, cofnął się w ostatniej chwili i poszedł pieszo, uniesiony pięknością świata, który przez zwykły proces marznięcia wody przeobraził się w bajkę o bieli, lazurze i złocie. Z okien swej kancelarji mógł patrzeć na lipy i kasztany, których nagie gałęzie zakwitły kryształami, diamentami i gwiazdami. W taką to porę ksiądz Wais zaczął swój drugi wykład: „Widok wspaniałego nieba i niezliczonych tworów ziemi, ich niewyczerpana rozmaitość, przedziwne piękno i ład zdumiewający“...

Radca Dworu z zachwytem zdobywał to czego wcale nie potrzebował: dowody na istnienie Boga. Wracał codzień do domu obładowany mnóstwem rzeczy, któremi naprzód się cieszył jak niespodzianką. Między zupą a mięsem wykładał je powoli

na stół. Był tam i pociąg o nieskończonej ilości wagonów, który stojąc pośród wieczności, czekał na lokomotywę, i zegar bez sprężyny, i łańcuch przyczyn, i różne inne sprzęty w tym rodzaju, które można dostać u apologetów, stare już i zużyte, ale zawsze jeszcze powabne w oczach nowicjuszów. Osobliwość jednak polegała na tem, że nowicjuszem był pięćdziesięcioletni hofrat, a bezwąsy smyk spoglądał nań z życzliwą pogardą.

— Celowość w przyrodzie — mówił Teofil — jest zastanawiająca, ale nie usprawiedliwia takich wniosków. Ojciec bierze ją przez analogję do stosunków ludzkich. Analogja nie jest dowodem.

— Zaraz, zaraz, kochanku, weź tylko na rozum...

Grodzicki teraz wszystko „brał na rozum", choćby tę szczyptę soli, którą posypywał „kwiatek" mięsa z rosołu. Bo jakże to: sód który jest metalem i chlor który jest ostrym trującym gazem tworzą taki oto niewinny i zdrowy związek!

— Doświadczenie wcale nam nie wskazuje, że wszystko ma przyczynę — odparł Teofil — tylko, że każda zmiana ma swoją przyczynę. A to jest ogromna różnica!

Grodzicki mrugnął do żony i szybkiem skinieniem głowy wskazał na chłopca, jakby i ona miała wiedzieć, że Teofil wyraził w tej chwili zarzut Johna Stuarta Milla, o którym opowiadało się w encyklopedji Orgelbranda, że mając lat siedem, czytał Platona w oryginale. Tłumiąc wzruszenie, jakiem napełniała go bystrość umysłu syna, Grodzicki skarcił go surowo zapomocą „przyczyny niezależnej i bezwzględnej" oraz „bytu który jest konieczny sam w sobie", dwóch strasznych pocisków szerzących w dziele księdza Waisa zagładę wśród oponentów.

Teofil miał do wyboru kilka sposobów zachowania się w dyskusji, z których każdy zmierza ku temu, by dokuczyć przeciwnikowi. Przyjął z nich najłagodniejszy czyli tak zwaną flegmę. Podparł się łokciem na stole, układał kółko z rozsypanych okruszynek chleba i mówił jakby od niechcenia:

— Być może. Ale to nam właściwie nic nie objaśnia, bo nie daje odpowiedzi na najważniejsze pytanie: jaki jest cel samego świata?

Radca Dworu prostodusznie powtórzył zwrot, ulubiony przez księdza Waisa:

— Człowiek, szczyt i korona stworzenia.

Natychmiast tego pożałował i nawet trochę się zmieszał.

— Czemże to ten kręgowiec i ssak zasługuje na takie wyróżnienie? — uśmiechnął się pilny czytelnik Haeckla.

Grodzicki, który spodziewał się bardziej zjadliwej odpowiedzi, odzyskał na chwilę humor:

— Ach, więc ty się upierasz przy małpie?

Wychowany w czasach największej popularności Darwina, kiedy dzień w dzień pisma, karykatury, kuplety ośmieszały „małpi rodowód", Grodzicki zamknął swą młodość przekonaniem, że teorja ewolucji raz na zawsze utonęła w śmiechu. Teofil spojrzał nań surowo:

Upieram się nietylko przy małpie, ale i przy tem, że ziemia nie daje nam pojęcia o wszechświecie. Ojciec zabiera się do koronacji człowieka, zanim możemy stwierdzić z całą pewnością czy człowiek jest jedyną myślącą istotą w kosmosie. Tak można było sądzić, dopóty, dopóki nie było jeszcze gwiazd, tylko światełka służące do urozmaicenia nocy. Ale dziś astronomja otwiera nam wspaniałe perspektywy kosmologiczne...

— Wspaniałe perspektywy! Czy tak nazywasz smutny pogląd, że ziemia jest nikłym pyłkiem, a człowiek zwierzęciem po którem zostanie trochę nawozu? Wyobrażam sobie ile trudu musi cię kosztować przyzwyczajenie się do podobnych myśli!

Korzonki i szarańcza na miodzie byłyby stosowniejszym posiłkiem przy tego rodzaju rozmowach niźli wieprzowina z kapustą. Hofrat bardzo źle trawił obiady, podczas których jego umysł nie miał wytchnienia, a uczucie porażki, z jakiem wstawał od stołu, burzyło kwasy w żołądku. Godziny snu popołudniowego marnował na dalszy ciąg dyskusji, którą toczył sam ze sobą, tracąc nieraz świadomość, że mówi głośno.

Pani Zofja była w rozpaczy. Przychodziła do syna, aby mu powiedzieć:

— Mógłbyś przecież ustąpić ojcu!

I do męża:

— Mógłbyś przecież mieć wzgląd na dziecko!

Tu składała ręce błagalnie, tam rozkładała je gestem perswazji. Napróżno. Grodzicki nie chciał się wyrzec nadziei, że odzyska syna. Był gotów walczyć o niego, pragnął go zdobyć, na

rzucić się jego myślom jakąś wątpliwością, obudzić w nim odruch słabości.

Ku zgorszeniu woźnych i niewyspanych kancelistów, radca Dworu zjawiał się w biurze najwcześniej, w porze nie licującej z jego wysoką rangą. Zaczęto mu po kątach zarzucać „szteberstwo" czyli niezdrową gorliwość, mającą na celu awanse i ordery. On zaś śpieszył się do swej szuflady, w której ukryty sojusznik, ksiądz Wais, czekał aby go pocieszyć i zahartować.

Czynił to jednak coraz mniej skutecznie. Wielomówny i opryskliwy, nie zwracał uwagi na pytania któremi nań Grodzicki nacierał. Zaprzątnięty pogromem nieprzyjaciół, których zawczasu rozbroił, upojony zwycięstwem odniesionem w istocie przed bitwą, unicestwiał pogardliwem milczeniem nieśmiały szept marginesów, gdzie Grodzicki uczciwie zapisywał objekcje Teofila. Nie było sposobu wydobyć od teologa wyznania, jaki jest cel świata.

A tu znów Teofil zapytał:

— Cóż ma do roboty wszechmoc i jaki jest zakres jej władzy, jeśli jest ona związana prawami przyrody, które opierają się na zasadzie przyczynowości?

Żal było patrzeć w jak niedbały sposób ksiądz Wais szedł z pomocą starszemu Grodzickiemu. Podając mu dwa palce z wysokiego brzegu, zdaleka od zdradzieckiej toni, jakby się bał zamoczyć bodaj kraj sutanny, upominał go by pamiętał o możliwości cudów. Ale Grodzicki, omijając to rogate słowo, przedsięwziął obronę na własną rękę:

— Przyczynę wiążecie (Teofil zasiadał już w owem „wy" które mu pochlebiało) z prawem natury, prawu natury dajecie oparcie w sile przyrody, a tę już zostawiacie bez objaśnienia. Wszystko się u was porusza bez początku ni końca. Perpetuum mobile, którego nie potrafiliście skonstruować na ziemi, przenieśliście w nieskończoną przestrzeń.

Lecz Teofil śmiało brał na siebie część odpowiedzialności:

— Wszystko podlega pewnym prawom. Niektórych praw jeszcze nie znamy. Te dwa proste twierdzenia zawierają cały sens nauki. Niema w nich miejsca na wypadki, w których prawa są zawieszone przez wyższą wolę.

Pani Zofja wyrwała się z Milatynem i Lourdes, znajdując nakoniec sposobność, by przypomnieć o swem istnieniu. Teofil stłu-

mił w sobie słowa, które mu się cisnęły na usta, gdyż dla ignorancji matki miał znacznie więcej szacunku niż dla wiedzy ojca.

Hofrat wybrał parę książek z pośród cytowanych w odsyłaczach księdza Waisa (Zimmermann „Ohne Grenzen und Enden“, Schanz: „Apologie des Christentums“, Rolfes: „Die Wahrheit des Glaubens“) i zamówił je z Wiednia, podając adres Namiestnictwa. Nigdy jeszcze podobna przesyłka nie zawitała w tych murach. Grodzicki, podpisując recepis i wpłacając listonoszowi należność (paczka przyszła „per Nachnahme“), nie mógł ukryć lekkiego zmieszania, a obecny przy tem eks-profesor Majewski, który przyniósł jakieś akta z Rady Szkolnej, powziął zgodne z własnemi skłonnościami podejrzenie, że kryją się tam „dyskretne“ wydawnictwa.

W nowych książkach na każdej stronicy spotykało się starych znajomych: pierwszą przyczynę, Ding an sich, ratio sufficiens, szanujące się wzajemnie towarzystwo pojęć, przypominające potrosze pastorów, potrosze księży ubranych po cywilnemu; te same obrazy i porównania — trawki, kwiatki, ptaszki, doskonałość oka, ruch planet — opiewały cudowny ład stworzenia; tak samo szło się drogą łagodnego rozumowania i pogodnej logiki, szpalerem cienistych słów, udając, że się nie widzi na jego końcu kapliczki ukrytej w powoju abstrakcyj.

Grodzicki nie wiedział, że świat, z którego pochodziły te książki nic się nie zmienił od dnia, kiedy to, korzystając z feryj podczas winobrania, Oktawjusz zasiadł z przyjaciółmi na wybrzeżu pod Ostją, niedaleko chłopców puszczających „kaczki“ po falach morza, i zabrał się do nawracania bezbożnego Cecyljusza. Miły i skromny dialog Minucjusza Feliksa wydał niezliczone i groźne potomstwo.

Żyjąc wciąż z tej samej substancji, której nigdy nie przybywało, literatura apologetyczna mnożyła się przez podział nakształt pierwotniaków, równie jak one plenna i jak one wyobrażała gnuśną, jałową i niedorzeczną nieśmiertelność. Każda myśl, kiedyś być może świeża, młoda, jędrna, niepowrotnie zgrzybiała w nieskończonym szeregu coraz bardziej pospolitych wcieleń. Słowa zgorzkniały, spotykając się ze sobą wciąż w tych samych zdaniach, i mając za jedyną rozrywkę skromne odmiany składni. Minął dla nich nawet czas, kiedy urozmaiceniem było przyjmować strój nowego języka. Jakie to dawne czasy, gdy po raz pierwszy z łaciny prze-

brały się w język francuski, włoski, niemiecki! Od stu lat i ta zabawa skończyła się, i biedne stare słowa nudziły się w swych różnojęzycznych kształtach, jak w posępnym międzynarodowym hotelu, którego z jakichś djabelnych powodów nie wolno opuścić.

Któż policzy (i w jakim celu) autorów co przez dwa tysiące lat bezmała, z garścią oderwanych pojęć, z tuzinem sylogizmów i z paru naiwnemi podstępami, mającemi akt wiary przekształcić w czynność rozumu — trudzili się uparcie i namiętnie, aby udowodnić byt Istoty, która, gdyby istniała, nie potrzebowałaby dowodu? Te cierpliwe termity wędrowały ślepo swą drogą, pożerając wszystko co im czas odrzucał — nowy obraz świata, odkrycia, wynalazki — i nie zatrzymując w swym organizmie nic oprócz najlichszych odpadków, a rodzące się z nich pokolenia, twardoszczękie i bezlitosne, szły dalej, uporawszy się najpierw z przodkami ,których pochłonęły i strawiły.

W tem mrocznem królestwie inna była przestrzeń i inny był czas. Przestrzeń jak punkt nie rozszerzała się wcale, droga była złudzeniem, ten kto szedł nie zmieniał swego miejsca, wszystko stało nieporuszenie w tym samym kręgu. I czas był złudzeniem. Od poranka na wybrzeżu Ostji do „Wieczorów nad Lemanem" nie upłynęło bynajmniej osiemnaście wieków, był to ten sam dzień i nawet ta sama pora, wbrew urojonym dekoracjom świtu i zmierzchu, pora sieroca samotna, pozbawiona radości i smutku mijania, obca wszelkiemu jutru.

Grodzicki nie poddawał się jeszcze. Codzień opuszczał Namiestnictwo z karteczką w kieszeni, na której miał wypisane w „schlagwortach" dowody, argumenty, zarzuty. Trzymał je w zaciśniętej dłoni i na ukłony woźnych odpowiadał skinieniem głowy, nie decydując się wypuścić z ręki swojego świstka, jakby to był ładunek dynamitu. Szkodził sobie tem zachowaniem w opinji ludzkiej. „Honores mutant mores" — zaczęto szeptać po kancelarjach.

Wracał do domu tramwajem, bo to mu dawało czas na parokrotne przejrzenie karteczki. Ale rzekomy dynamit nie wybuchał. Pryskał tylko i było z niego trochę swędu i hałasu przy talerzach, widelcach, szklankach, i gdy hofrat z trzaskiem zamykał drzwi od jadalni, idąc po obiedzie do swego pokoju.

Gdyby Teofil miał dwa razy więcej lat, być może zdobyłby

się na litość i milczenie wobec tej dziwacznej walki, której stawką było jego serce, a polem chaotyczny świat pojęć. Lecz on był młody i okrutny.

— Rozumiem — mówił — wiarę w Boga, w tajemniczą istotę, o którą opiera się świat. Rozumiem, że można dojść do takiej wiary, jeśli się nie znajduje dostatecznego wyjaśnienia w teorjach naukowych. Ale czego w żaden sposób nie rozumiem, to żeby używać wszystkich środków logiki i filozofji po to, aby utrzymać przy życiu jedno z niezliczonych bóstw wschodnich, które tylko dziwny zbieg okoliczności uratował od zapomnienia.

Pani Zofja, grzesząc ciekawością, zapytała o jakiem bóstwie mowa.

— Ialdabaoth —odparł Teofil z wielką powagą.

— Powarjowaliście całkiem — rzekła, zbierając talerze. Miała za złe mężowi, że tak się unosi spowodu — jakże to mówił Teofil? — semickiej personifikacji piorunu.

Grodzicki zarzucał synowi, że „robi z siebie Woltera", że ciasno patrzy na Pismo święte.

— Nie czujesz tej głębokiej poezji. Nie rozumiesz alegorji.

— Ach, więc do tegośmy doszli? Alegorja! Któż na niej poprzestaje? Religja nie chce być alegorją, religja chce być dosłownie prawdziwa. Religja żąda od lingwisty, żeby wyrzekł się badań nad pochodzeniem języków i — jak mówi Rojek — wierzył, że powstały one pod wieżą Babel.

— Rojek? — zdziwił się Grodzicki. — Kiedyż on wam takie rzeczy mówi?

— Nie żadnym wam, tylko mnie samemu. Tydzień temu, na tem krześle, na którem ojciec teraz siedzi.

— Co ty pleciesz? — żachnęła się pani Zofja.

— Ależ nie patrzcie na mnie jak na idjotę. Rojek naprawdę tu był, tylko nikogo oprócz mnie nie zastał. Było to w dniu odsłonięcia pomnika Smolki.

— Aha!

Był to dzień szczególnie pogmatwany. Grodzicki przemarzł na rannych uroczystościach, zaczem wypił za wiele na śniadaniu u marszałka Gołuchowskiego, i wróciwszy do domu spał tak długo, że zostało mu potem tylko pół godziny, aby się przebrać na obiad u namiestnika. Narobił dzikiego spustoszenia w szafach,

połamał spinki, zranił się w palce, nareszcie wybiegł, zapominając przy drzwiach, których nie zamknął, pęk kluczy, co mu się nigdy dotychczas w życiu nie zdarzyło. O dziesiątej przyjechał po żonę fiakrem, aby ją zabrać na raut do prezydenta miasta. Przez całą drogę kłócił się z nią, potem musiał czekać w szatni, póki ona nie zapudruje śladów łez na twarzy. A teraz dowiaduje się, że jakby tego wszystkiego było za mało, djabeł posłał tu jeszcze Rojka, aby mu buntował syna wieżą Babel.

Ludzie są niepojęci. Nigdy niewiadomo jaka błahostka wytrąci ich z równowagi, z powziętych zamiarów, z szlachetnych intencji. Grodzickiego podcięła wieża Babel. Odczuł nagle głupotę i nieużyteczność swoich wysiłków; wydał się sobie śmiesznym, zrozumiał, że w ciągu miesiąca, dzień po dniu, tracił na szacunku w oczach syna. Tak jakby na stare lata zapragnął przykuć go do siebie rzucaniem i łapaniem pięciu piłek jednocześnie; piłki wymykały mu się z rąk i biedny zasapany warjat łaził za niemi na czworakach po podłodze. Zgroza! Wieża Babel!

Nazajutrz własnoręcznie, z wrodzoną starannością, zapakował wszystkie książki jakie nagromadził w swej kancelarji w ostatnich czasach, na laku wycisnął pieczątkę ze swemi inicjałami, i kazał woźnemu odnieść paczkę do czytelni Towarzystwa Szkoły Ludowej, bez podawania nazwiska ofiarodawcy. W pięć minut później przypomniał sobie, że należało wpierw wytrzeć radyrką uwagi na marginesach, które mogłyby osłabić siłę argumentów apologetycznych. Machnął ręką i zabrał się do swoich urzędowych papierów.

Tak poczciwy Rojek ocalił dla spraw monarchji tę wybitną głowę urzędniczą, wystawiając własną na wichry losu. Tego dnia bowiem, kiedy, po ciężkiej walce z nieśmiałością, zdecydował się po raz drugi odwiedzić starego kolegę i zjawił się w porze, w której, jak sądził, wszyscy już będą po kolacji, a zastał samego Teofila (radca Dworu był już w drodze do Namiestnictwa, a pani Zofja nie wróciła jeszcze od fryzjera) i nasycił swe samotne serce rozmową z chłopcem, — ksiądz Grozd dojrzał go wychodzącego z bramy. Katecheta oddawna wiedział, że tu mieszka Grodzicki, i w mgnieniu oka olśniła go myśl, że to Rojek zaniósł wówczas wiadomość o konferencji.

Odrazu znienawidził filologa, który dotychczas był mu obojętny. Zatrzymał się na moment, tknięty siłą tego uczucia. Jakby

nagle podniosła się tama, która od miesiąca więziła w skrytych i milczących zastojach duszy złość, gorycz, obrażona próżność, rumowisko planów tak bliskich urzeczywistnienia — cały ten ja=dowity strumień wystąpił z brzegów i zalał świadomość księdza Grozda, porywając ją w swym biegu ku nowemu celowi, nowe=mu działaniu, co, w złem czy dobrem, jest prawem życia wszel=kiego stworzenia, czy to będzie skorpjon czy człowiek.

Śnieg, który jak wszystkie dary przyrody nie czyni wyboru między ludźmi, skrzypiał cicho pod dużemi stopami księdza Grozda, a jego brat — mróz migotał w powietrzu srebrnemi igiełkami. Na kopcu, ponad Wysokim Zamkiem, płonęły stosy drzewa ku czci pana o słynnych wąsach, który, w czamarze i pół=żupanku z bronzu, stał teraz na granitowym cokole i spoglądał uważnie wgłąb ulicy Jagiellońskiej, jakby się wahał czy nie pójść do Musiałowicza na filiżaneczkę gorącego krupniku. Ta myśl była w powietrzu, w cudownem mroźnem powietrzu, i Rojek uległ jej bezwiednie. „Pijak" — szepnął z odrazą ksiądz Grozd, który szedł z nim równolegle po drugiej stronie ulicy.

Nazajutrz katecheta odwiedził swego wiernego sojusznika, Majewskiego, w Radzie Szkolnej.

Eks=profesor, przeniesiony ze stanu nauczycielskiego do służ=by administracyjnej (pismo z 13 maja 1913 1.5081/III), siedział w małym pokoiku wychodzącym na podwórze, w jednej z tych ciemnych wilgotnych komórek, skąd awans wydobywa człowie=ka razem z gichtem. Majewski jeszcze zbyt mało znaczył, aby stać się użytecznym komuś ktoby potrzebował pomocy, ale mógł się już przydać, gdy szło o to aby szkodzić. Ksiądz Grozd, po=wołując się na swój obowiązek duszpasterski, wyjawił mu wąt=pliwości — „przykre i ciężkie" — czy profesor, którego talenty naukowe i pedagogiczne są bardzo skromne, a życie domowe bynajmniej nie budujące, który pozatem w ostatnich czasach nie stroni od kieliszka — jest na miejscu w jednem z najlepszych gimnazjów, w stolicy kraju. Majewski szczerze potwierdził te wątpliwości.

Jeszcze ksiądz Grozd nie dotarł do Wołoskiej Cerkwi, gdy młody gorliwy urzędnik miał już gotowy „koncept" referatu, który z piaskowego bruljonowego papieru zaczął przepisywać staranną kaligrafją na gładkim lśniącym arkuszu kancelaryjnym

o niebieskawym odcieniu. Była to piękna robota, arcywzór inicjałów, odstępów, marginesów, jeden z tych powabnych aktów, którym żaden szef nie odmówi podpisu.

XX.

Przemówienie Teofila miało być wstępem do drugiej części programu, przyszło mu zatem czekać całą godzinę, którą spędził na korytarzu, w jakimś małym pokoiku bez światła, na schodach, prowadzących do garderoby. Na górze ubierali się i hałasowali studenci, mający odegrać „Radę“ z Pana Tadeusza. Szeremeta, oszołomiony jeszcze swą mową na otwarcie wieczoru, chwytał w garście długie poły anglezu i wciąż biegał po tych schodkach, w pościgu za czemś, czego ani rusz nie mógł sobie przypomnieć. Ilekroć natknął się na Teofila, zatrzymywał go:

— Jesteś przygotowany? No, pamiętaj! Tylko krótko i z uczuciem.

Polonista druh-sokół znał się na „uczuciu“. Kwadrans temu Teofil słyszał jego baryton, który, odbijając się od przepełnionej sali, przedzierał się poza kulisy i jeszcze tu, w korytarzu — ptak omdlały po długim locie — zamierał w słowach patetycznych, wstrząsających i proroczych. Teofil cierpiał na myśl, że nie zdoła mu sprostać, i te kartki, które bezwiednie miął w kieszeni, szeleściły mu w palcach jak zwiędłe liście. Trzymał je przy sobie „na wszelki wypadek“, co znaczyło właściwie czarną otchłań, w którąby spadł, gdyby go pamięć zdradziła.

W nagłym popłochu zaczynał szeptem powtarzać sobie swój tekst, ale niesposób było wyjść poza pierwsze zdania, gdyż wszystko dokoła wrzało od nieustannych zdarzeń. Oto trzeszczały oklaski po deklamacji „Smutno mi, Boże“; oto z głębokiej ciszy wylęgało się solo skrzypcowe; oto wzbijał się huragan orkiestry, pod batutą groźnego Branda, który już od początku roku prowadził próby ze swymi wychowankami i dwa razy na tydzień wzniecał istny pożar dźwięków w gmachu gimnazjum, obumarłym i pustym w godzinach popołudniowych. Za chwilę znów Szeremeta szarpał Teofila za ramię, albo jakiś pajac w kontuszu zlatywał ze schodów, i Teofil umykał przed nim w strachu o fryzurę i nieskazitelność stroju.

Nigdy jeszcze nie był tak starannie ubrany. Nowa bluza, czarna; spodnie tak ciemne, że nieomal czarne; pod studenckim kołnierzem sztywny kołnierzyk, dość wysoki, aby widać było u góry jego biały rąbek; włosy matka przypiekła mu zlekka żelazkiem. Na piersi pyszniła się wspaniała biało-amarantowa kokarda. Były i rękawiczki. Białe, glacé. Kupione w południe, nie wyjrzały jeszcze ze swej bibułki. Teofil trzymał je w ręce, aby włożyć dopiero w ostatniej chwili.

Kiedyż nareszcie?

Nikomu nie zależało na pośpiechu, a najmniej temu, który właśnie zaczynał „Pieśń Wajdeloty". Na korytarzu nie słyszało się ani słowa, tylko głos, który podnosił się i opadał w równych odstępach, mierzony wierszami jak łokciem. Teofil, rozdrażniony, uciekł do ciemnego pokoiku, gdzie odrazu potrącił stojak, na którym leżały maczugi ćwiczebne i parę z nich z hałasem potoczyło się po podłodze. Poomacku odnalazł krzesło i usiadł, nie troszcząc się o kurz i brud; nogi uginały się pod nim.

Wtem posłyszał swoje nazwisko. Szeremeta wołał nań rozdzierającym głosem.

— Mój Boże, myślałem już, żeś się gdzieś zawieruszył! Zaraz twoja kolej — krzyczał nad uchem Teofila, pośród zgiełku, który opanował korytarz.

Była dziesięciominutowa przerwa. Orkiestra, soliści, ich znajomi, krewni, studenci z różnych klas — wszystko to wyroiło się nagle. Szeremeta, stojąc na schodach, zagradzał drogę do garderoby i odpędzał natrętów.

— Czekaj za kulisami! — wrzasnął do Teofila.

Chłopiec ostrożnie wsunął się przez wąskie i niskie drzwi. Panował tu półmrok, w którym rozróżniało się deski dziwnie ze sobą pokrzyżowane, części dekoracji, krzesła bez nóg, rozmaite sprzęty pozrzucane na kupę. Pachniało jak na strychu: sosnowem drzewem, kurzem, pajęczyną. Podnosząc wysoko nogi, aby o coś nie zawadzić, Teofil zbliżył się powoli do szczeliny, przez którą padało ostrzejsze światło. Były to drzwi z cienkiej dykty, prowadzące na scenę. Na scenie, u góry, paliły się dwie mocne lampy i podnosiły przepych dekoracji, stanowiącej tło dla wieczoru ku czci trzech wieszczów. Olbrzymie malowidło powtarzało w mizernej kopji kurtynę Teatru Miejskiego. Pod wiosennem niebem rozciągał się „widok ogólny" Lwowa, skrócony jednak o katedrę św.

Jura, czy to, że zabrakło dla niej miejsca, czy też uznano, że arcydzieło generała de Witta może wywierać wrażenie niepolityczne. Nad obrazem wisiała czerwona tarcza z orłem białym.

— Na bok!

Teofil odskoczył jak oparzony. To woźny „Sokoła“ wniósł na scenę mały okrągły stolik, — dla niego. Ze wszystkich stron rozległy się dzwonki, jednocześnie Szeremeta wbiegł za kulisy.

— Zaraz zaczynasz — ogarnął go zdyszanym szeptem. — Stój tutaj, a kiedy podniosą kurtynę, wyjdziesz.

Teofil wyjął rękawiczki i rozwinął je z bibułki. Dłonie miał spotniałe; wytarł je chustką. Cztery palce prawej ręki weszły w rękawiczkę dość gładko, ale na piąty jakby zabrakło miejsca: napróżno rozciągał delikatną jedwabistą skórę, aż do granic jej wytrzymałości. Pozostawił ją na razie, z myślą, że się „uleży“ i zajął się lewą ręką. Lecz już ciężka pomarańczowa draperja rozsunęła się z gwałtownym poświstem. Zdarł z palców niedociągnięte rękawiczki i cisnął je w jakiś kąt, nie obejrzawszy się nawet.

Gdy stanął przy stoliku i oparł na nim swe zaczerwienione ręce, uspokoił się natychmiast, otrzeźwiał ,jakby te niezliczone oczy, które miał przed sobą, opadły nań zimnym tuszem. Posłyszał swój głos i, czując, że jest za słaby, dodał mu więcej siły. Pohamował również pośpiech; trzecie zdanie, które było dość długie, wytrzymał na jednym oddechu, akcentując dobitnie każde słowa.

Patrzył na salę i zaczynał ją widzieć. Rodzice siedzieli w pierwszym rzędzie, obok wiceprezydenta Rady Szkolnej, dyrektora, katechetów. Ksiądz Grozd splótł ręce na kolanach i przymknął oczy; ksiądz Skromny schował dłonie w rękawach sutanny i słuchał z głową nieco zadartą i z rozchylonemi ustami. W drugim rzędzie, wśród profesorów, dojrzał Rojka. Lecz dalej była już gęstwina głów kobiecych i męskich, wąsy, brody, kapelusze z piórami, i jeszcze dalej — zbity tłum stojącej młodzieży. W sali było duszno, stare liche żarówki dawały żółte słabe światło.

Ksiądz Grozd nie poruszał się wcale, jakby usnął. Teofil, parę razy zawadziwszy o niego spojrzeniem, doznał przeszywającego ukłucia nienawiści. Rąbnąć w ten spokój niespodzianem słowem, rozdeptać ten bezpieczny sen jak ślimaka! Lecz strumień słów zalewał przelotną pasję, i Teofil poddawał mu się z mimowolnem zadowoleniem.

Mówił o kulcie trzech wieszczów. Pośród banałów, za które nie był odpowiedzialny, gdyż brało się je poprostu z powietrza, z dziwnej ówczesnej atmosfery magnetycznej, rozkwitającej za lada podmuchem w białoczerwone zorze borealne, — pośród zdań gotowych i uświęconych jak liturgja, bez których nie do pomyślenia były zaduszki narodowe — trafiały się w jego wypracowaniu wyrazy osobiście odczute i tak własne, że aż niezgrabne. Zdobywał się na nie ów głód czci, pokłonu, uwielbienia który nękał Teofila odkąd znalazł się on pod pustem niebem. Te wyrazy cieszyły go i podniecały, starał się je wyodrębnić szczególną intonacją, i ogarniała go rozpacz, gdy przemijały pozostawiając go w posusze frazesów.

Nie można bezkarnie mówić i jednocześnie myśleć naprzekór temu co się mówi, choćby to myślenie odbywało się skokami po nikłych sekundach. Jeden taki skok zachwiał równowagę Teofila.

Zdarzyło się to w momencie największej pewności siebie, kiedy, jakby stojąc pośrodku tekstu i widząc cały jego obszar z nieomylną wyrazistością, pozwolił sobie podnieść wzrok ku nowej myśli, która jak jastrząb wisiała wysoko w górze, gotowa celnym lotem spaść w upatrzone miejsce. Ach, jakże zawrotna, upajająca chwila! Takie oto bowiem zdanie narosło w Teofilu, zapierając mu oddech: „Wychowani w ponurem bałwochwalstwie, nauczeni klękać i odkrywać głowę przed symbolami, które są obce naszej ziemi — kiedyż wreszcie ustanowimy religię według naszego serca i uderzymy czołem przed świętością, której już ani rozum nam nie odbierze, ani uczucie nasze jej się nie powstydzi?“

Teofil zdaleka widział dwa zdania, między które miał cisnąć to trzecie, świeżo zrodzone, drżące jak bomba bliska wybuchu. I oto nagle znalazł się w gęstej mgle, pamięć wyskoczyła z toru. mózg napełnił się bezładnym łoskotem, w którym poplątane słowa rozbijały się na miazgę. Trwało to parę sekund. Teofil kurczowo ściskał w palcach brzeg stolika, płuca nie śmiały zaczerpnąć powietrza. Rozpaczliwym wysiłkiem woli nakazał sobie spokój, jeszcze jedna sekunda przeszła wśród chłodu i żaru, nakoniec ta piekielna wieczność minęła. Przed wzrokiem pamięci ukazała się spowrotem stronica zapisana dużemi kształtnemi literami. Teofil chwycił się jej skwapliwie i porywczo.

Wzbudził podziw. Nagła przerwa która wielu poruszyła (nawet ksiądz Grozd otworzył oczy) wydała się teraz umyślną, wszy-

scy byli przekonani, że mówca chciał tem milczeniem podnieść powagę nowego ustępu. Teofil dojrzał łzy w oczach matki; wiceprezydent Rady Szkolnej Krajowej nachylił się do ojca i coś mu szepnął; ojciec skinął głową z uśmiechem. Jeden tylko Rojek kręcił się niespokojnie i skubał wąsy, jakby się czegoś domyślał.

Teofil odzyskał spokój, lecz ostatecznie stracił dla siebie szacunek. Pokonywając niesmak który go toczył, ciągnął swą mowę, jak mu się zdawało: mozolnie i niezgrabnie, a w istocie robił wszystko aby nie przepadł ani jeden efekt. Gdy skończył, sala — jak się to mówi — „zatrzęsła się od oklasków". Nieświadom rzeczy zmieszał się, poczerwieniał, i wyszedł, nie ukłoniwszy się ani razu. Szeremeta wypadł nań z jakiegoś kąta za kulisami; uścisnął mu rękę, potem chwycił za szyję i pocałował.

Teofil nie myślał czekać do końca wieczoru, który miało zamknąć przedstawienie „Rady". Potrzebował powietrza i ruchu.

Na dworze była odwilż. Teofil rozpiął płaszcz pod szyją, aby czuć na sobie wilgotne dotknięcie nocy.

— Grodzicki!

Odwrócił się, przystanął. Jurkin, zrównawszy się z nim wsunął mu poufale rękę pod ramię.

— Straszny smród w sali — rzekł. — To mikrusy mają takie nieodpowiedzialne odbytnice. Zresztą po twoim odczycie nic tam już ciekawego nie zajdzie.

Pochwała ośmioklasisty mile połechtała Teofila; milczał w nadziei, że jeszcze się czegoś doczeka.

— Chciałbym zakurzyć — odezwał się Jurkin. — Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, stańmy sobie w tej uliczce, gdzie nas nikt nie zobaczy.

Był to ślepy zaułek, którym podzielił się bednarz ze stolarzem, i odpadki ich warsztatów — dziurawe beczki, roztrzęsione paki, kupy wiórów — walały się dookoła.

Jurkin wyjął dwa „sporty".

— Palisz?

Teofil wziął papieros bez wahania. Z tym gatunkiem papierosów łączyło się wspomnienie żandarma w Lubieniu, z dawnych dziecinnych czasów. Stróż ładu publicznego słusznej postawy i z gęstemi do góry podkręconemi wąsami, w pełnym rynsztunku, z hełmem błyszczącym na głowie (taki sam pojawiał się na zagadkowej dla Teofila reklamie prezerwatyw) w każdą niedzielę za-

chodził do domu wójta, gdzie mieszkali Grodziccy, i otrzymywał z rąk matki paczkę „sportów“ za niewiadome usługi. Ale w gryzącym dymie rozpłynął się natychmiast miły pejzaż dzieciństwa, i tylko, jakby zdaleka, przypominał się park zakładowy w Lubieniu, gdzie odpływy wód siarczanych cuchnęły jak otwarte kanały. Dwaj koledzy stali o krok od zionącego zlewu.

— Bardzo to wszystko pięknie powiedziałeś dzisiaj — rzekł Jurkin. — I tak mi się zdawało, że ty nietylko mówisz, ale i myślisz i czujesz tak samo. Dlatego chciałbym cię o coś zapytać.

Jurkin zmienił „fason“ od zeszłego roku. Nie pozował już na „zblazowanego“, trzymał się prosto, nie nosił rękawiczek, mówił spokojnie, patrząc w oczy.

— Słuchaj, Grodzicki. Czy ty myślisz, że my jeszcze drugie sto lat będziemy tak żyli? Że będziemy wieczorami zbierali się uczczenie trzech wieszczów albo konstytucji Trzeciego Maja, a za dnia chodzili do c. k. gimnazjum albo do c. k. biura?

— No, więc co?

— No, pytam się czy ci to wystarcza, że ksiądz biskup Bandurski raz w roku, podczas rekolekcji, zapowie ci zmartwychwstanie Polski, nie podając daty?

— Myślałby kto, że przygotowujesz powstanie...

— Przedewszystkiem rzuć papieros, bo widzę, że ci nie smakuje. O, tak. A potem: nie wymawiaj odrazu słów, które warto uszanować w inny sposób niż niemądrą gadaniną.

Teofil zapiął płaszcz, poczuwszy nagle chłód w całem ciele. Czyżby to było możliwe?...

Nie. Jurkin miał widocznie coś innego na myśli, coś trudniejszego, coś co się nie dało tak raptownie zmieścić w jednem pięknem słowie, gdyż jego szare oczy długo nie schodziły z twarzy Teofila, zanim znów zaczął mówić.

— Nigdyśmy właściwie ze sobą nie kolegowali, mimo to znam cię dobrze. Na tobie nie można się omylić. I już dawno chciałem rozmówić się z tobą.

Teofil wsunął ręce do kieszeni i mocno zacisnął pięści, aby opanować dreszcze, któremi go przejmowała ta niezwykła chwila w ciemnym smrodliwym zaułku. Rozstrojony mózg podsuwał mu szalone obrazy: oto nagły strzał rozrywa ciszę wieczoru, konie cwałują po ulicach, tłum ludzi z krzykiem biegnie ku miastu.

Jurkin trzymał papieros w dwóch palcach, a czerwony ognik świecił się w jego dłoni jak ślepa latarka.

— Czy pamiętasz, że w styczniu odczytano w klasach rozporządzenie Rady Szkolnej o tem, że nie wolno studentom należeć do drużyn i związków strzeleckich?

Teofil nie pamiętał. Może nie było go wtedy w szkole. Powiedział to na swoje usprawiedliwienie, chociaż był pewny, że w tym czasie nie opuścił ani jednej godziny. Widocznie ów fakt ominął go, jak tyle innych, na które nie zwracał uwagi, gdyż wcale go nie dotyczyły. Czuł jednak, że nie zasłużyłby na pochwałę, gdyby się z tem zdradził.

— Otóż, widzisz, są takie związki, do których wbrew zakazom należymy i w których ty powinieneś być również. To sprawa poważna, musisz się nad tem dobrze namyśleć. Stanowisko twojego ojca może ci to utrudniać, to ci mówię odrazu.

— Ale co to jest?

Jurkin pochylił się do jego ucha:

— Wojsko.

Teofil spojrzał nań z niedowierzaniem. To proste słowo nie kreśliło się jasno w jego wyobraźni, która wahała się między pospolitym oddziałem żołnierzy maszerujących z bębnem i trąbą w takt ośmieszonej austrjackiej melodji, a barwnym trzepotem kit, proporczyków, amarantowych mundurów wysnuwających się w tętencie koni z akordów mazurka Dąbrowskiego.

Jurkin potrząsnął go za ramię:

— Zbudź się. Wiem, że jesteś mądrzejszy od innych, ale zachowujesz się czasem tak, jakbyś nie rozumiał najprostszych rzeczy. Co się z tobą właściwie dzieje? Kochasz się, czy co?

Teofil nachmurzył się i cofnął o krok, co odrazu doprowadziło go do konfliktu z jakąś paką, która chwyciła go za płaszcz dwoma ostremi gwoździmi.

— Chodźmy stąd — rzekł szorstko.

— Nie pędź tak — mówił Jurkin, idąc za nim. — Zaraz się pożegnamy. Mieszkam na Polnej.

Teofil zwolnił kroku, a za chwilę odwrócił się nagle, zatrzymał Jurkina, chwycił go za klapę płaszcza:

— Jurkin, powiedz mi wszystko!

Przyjemnie było patrzeć w te piękne rozpłomienione oczy.

— Wyglądasz jak panna — uśmiechnął się Jurkin. — Nie

mówię tego żeby cię obrazić... Ale jest w tobie coś takiego, co to niewiadomo na czem się skończy: na pocałunku czy na dozgonnej nienawiści.

Teofil go nie puszczał.

— Nie żartuj, Jurkin. Dopiero co mówiłeś, że znasz mnie, i że na mnie nie można się omylić...

— Tak rzeczywiście myślałem.

— Nie, nie, Jurkin. To prawda. Powiedz mi wszystko.

Dojrzalszy kolega położył mu dłoń na ramieniu:

— Uspokój się. Na to ani czas teraz ani miejsce. Przyjdź do mnie. Dasz mi znać w szkole, kiedy przyjdziesz.

Swą suchą chłodną dłonią uścisnął gorącą zwilgotniałą dłoń Teofila i odszedł. Z głębi ulicy odwrócił się jeszcze, a widząc, że Teofil nie ruszył się z miejsca, wskazał mu dom, dwupiętrową kamienicę, stojącą obok niezabudowanej parceli, i pożegnawszy jeszcze skinieniem ręki otworzył bramę.

Grodziccy, mimo że zostali do końca produkcji, siedzieli już dość długo w restauracji, zanim zjawił się Teofil. Byli już po wódce i po kanapkach; radca dworu z uwagą przeglądał jadłospis.

— Jest zając — rzekł.

Stary tłuściutki Józef, który pamiętał Teofila od pierwszego srebrnego paska, obiecywał mu „cesarski“ kawałek combra. Teofil zgodził się obojętnie i milczał nachmurzony.

— Patrząc na ciebie, niktby się nie domyślił, że dziś wieczór robiłeś takie furory — odezwał się ojciec.

— Robiłem ze siebie idjotę!

— Bój się Boga! co ty wygadujesz? — żachnęła się matka.

— Pozwól, Zosiu. Niech się młody człowiek wypowie.

Draśnięty „młodym człowiekiem“, Teofil wybuchnął:

— Idjotę, tak jest, idjotę! Nie powiedziałem tego co myślę, zabrakło mi odwagi. Wychowanie, dyscyplina, obyczaje, wszystko co człowieka krępuje — odebrało mi odwagę. A miałem ochotę — uśmiechnął się złośliwie — rąbnąć takie jedno słówko, po którem gorąco zrobiłoby się w sali.

— I bez tego było gorąco — rzekł radca dworu. — Ale ty zdaje się żałujesz, że nie powiedziałeś jakiegoś głupstwa?

— Była to jedyna mądra rzecz, którą miałem do powiedzenia.

— Mów ciszej, bo zaczynają zwracać na nas uwagę — szepnęła pani Zofja.

Nawet i tu nie miała spokoju. Lubiła restaurację, do której szło się „aby zobaczyć ludzi“. Miała ich tu poddostatkiem, różnego gatunku. Wielu z nich znała upodobania i zwyczaje. Oto staruszek w rudawej peruce znów z irytacją domaga się swej ulubionej sztrucelki z makiem; oto siwy generał, jak zawsze, zżyma się, że mu nie podano cytryny do sznycla wiedeńskiego. Zajmowały ją kobiety, których historję znała z krótkich dobrodusznych facecyj Józefa, opowiadanych przy zbieraniu talerzy. Gwałtowna rozmowa męża z synem przeszkadzała jej patrzeć.

— Mogę się mniejwięcej domyśleć — mówił Grodzicki — co chciałeś powiedzieć, i sądzę, że poza wszystkiem krępowało cię przyrzeczenie, które mi dałeś. Ale pociesz się. W pewnej mierze osiągnąłeś swój cel. Wiceprezydent Rady Szkolnej, żegnając się ze mną, powiedział: „Syn pański czci ojczyznę jak Boga“.

Zając ich rozbroił. Razem z półmiskiem Józef przyniósł dwie bomby Pilznera, których pieniste czapy, spiętrzone nakształt tjary asyryjskich królów, były arcydziełem kunsztu kelnerskiego. Przez długą chwilę myśli całej trójki były zaplątane w wężowisku macaroni i nie miały do rozstrzygnięcia innych problemów jak te, które nastręcza znakomity sojusz mięsa, sosu, kartofli, buraczków i śliskiego wijącego się ciasta. Skończywszy swą porcję, radca dworu pociągnął chwalebny łyk piwa, którym do połowy opróżnił kufel. Otarł serwetą pianę osiadłą na wąsach. Wyjął trabuco ze skórzanego étui, obciął je starannie i zapalił. Był gotów do dalszej rozprawy.

— Wyobraź sobie, że i mnie twoja mowa nie bardzo się podobała. Powinno ci to sprawić przyjemność, skoro także źle o niej myślisz. Była to jedna z tych mów, których słyszałem w życiu tysiącami. No, bo o czemże innem mówimy od pół wieku, jak nie o Polsce? Mówimy o niej za wszystkie trzy zabory, z których dwa mają zamknięte usta. Ale powiedz mi, mój mały — Grodzicki, odkąd pozbył się metafizyki, wrócił do dawnych proporcyj — w jaki sposób ty myślisz o Polsce?

Teofil, pokłócony z całym światem i ze sobą samym, odparł ze złością:

— Czy to właściwe miejsce na takie zwierzenia?

— O, ten odruch starczy za całą odpowiedź. Wydaje ci się niegodnem mówić o Polsce w knajpie, ponieważ w twojej głowie istnieje Polska taka niematerjalna, że boisz się ją spłoszyć stuknię-

ciem widelca o talerz. Ale i ta wzgardzona knajpa musi przecież znaleźć się w Polsce, jeśli Polska ma kiedyś istnieć inaczej niż w przenośni. O to właśnie chodzi, że wy wszyscy, marzyciele, nie umiecie sobie zadać najprostszych pytań, a to: jak ona ma powstać? czem ma być, gdy powstanie: królestwem czy republiką? jakie będą jej granice? jakie wojsko i urzędy? Założę się z każdym, że marząc o Polsce, nie przewidział w niej na przykład takich osobistości jak ja, albo ten radca skarbu, który zjadł już trzy kanapki z kawiorem, pije drogie wino, a ja ani rusz nie mogę się domyśleć, z czego on to płaci na tydzień przed pierwszym. A już żeby w tej Polsce miał być policjant i nie daj Boże kryminał — któż się odważy pomyśleć, że Chrystus narodów wprowadzi ze sobą do raju taką hołotę!

Pani Zofji krew uderzyła do twarzy:

— Zmityguj się, Biniu! Wstyd słuchać!

Grodzicki nagle zamilkł i jakby się stropił. Ścigany chmurnemi spojrzeniami żony i syna, spuścił oczy. Gdy je znów podniósł, miały one dziwny wyraz zamyślenia, smutku i lęku. Na krótki moment skrzyżowały się ze spojrzeniem Teofila. Wtedy chłopiec przypomniał sobie słowa ojca, wypowiedziane w Wielką Sobotę: „Ojczyzna to straszna rzecz, rozumie się w takich warunkach w jakich my żyjemy.“ I niepojęty żal przeszył mu serce. Jakże mało wiedział o tym człowieku! Jakże niesłusznie go lekceważył!

— Tatusiu — chyba od lat nie odezwał się w ten sposób — proszę mi powiedzieć...

Nerwy, które przez cały dzień trzymały Teofila w napięciu, które podczas odczytu naciągnął jak struny, które zniosły dwa uderzenia: jedno gdy był o krok od śmieszności wobec tłumu ludzi, drugie gdy na pustej ulicy zamajaczyło przed nim widmo czegoś strasznego i uroczego — zerwały się wreszcie. Gardło zdusił kurczowy uścisk, niewymówione słowa zamarły.

— Boże! — szepnęła Grodzicka. — Co to jest? Czego on tak pobladł? Chodźmy do domu!

— Za chwilę — rzekł Grodzicki, marszcząc brwi.

Poprzez stół wyciągnął rękę i chwycił dłoń syna. Teofil uśmiechnął się do niego jakimś zamierzchłym dziecinnym uśmiechem.

— Już ci lepiej?

Chłopiec skinął głową; jeszcze wargi mu drżały.

Grodzicki zawołał kelnera, by zapłacić rachunek.

W tej chwili kwestarz Towarzystwa Szkoły Ludowej, potrząsając biało czerwoną puszką zjawił się w sali i zaczął krążyć wśród stołów.

Siwy staruszek, z konfederatką pod pachą, w wyszarzałej czamarze, z dobrotliwym uśmiechem wyciągał dłoń po jałmużnę dla narodu, któremu niegdyś chciał oddać życie. Powstaniec z 63 roku, od rana — deszcz, śnieg czy zawieja — snuł się po wszystkich cukierniach, kawiarniach, restauracjach, zbierając miedź i nikiel na oręż innego rodzaju niż ten z którym rozstał się w lasach litewskich. Brzęk jego puszki rozlegał się przy hałaśliwych stołach pijackich i w ciemnym kąciku w którym ukryła się para zakochanych, mieszał się z hukiem otwieranych butelek szampana, z gorliwym zgrzytem widelców w tanich jadłodajniach, z myślami samotników drzemiących nad gazetą. Iluż to ludziom w ciągu dnia przypominał, że ponad ich zgorzkniałem lub marnotrawnem, poczciwem lub drapieżnem życiem istnieje to niewymowne, zaklęte, oderwane od zwykłego bytu słowo: Ojczyzna!

Omijając stolik generała, kwestarz ukłonił mu się zdaleka, na co ów odpowiedział uśmiechem i skinął ręką, w której trzymał zawczasu przygotowaną monetę. Tak co wieczór dwaj starzy, którzy nigdy nie zamienili ze sobą słowa, rozgrywali tę samą scenę dyskretnej dyplomacji; kwestarz szanował neutralność munduru, a mundur przełamywał obyczaj, w imię nieprzepartej sympatji, jaką sędziwy weteran koszar, parad i „exerzierplatzów" żywił dla rówieśnika, który był kiedyś prawdziwym żołnierzem. Bywały dni, kiedy na sali wpadał do puszki tylko jeden „szóstak", — z ręki zaborcy.

Grodzicki, gdy staruszek stanął przy ich stole, zgarnął całą resztę, którą mu właśnie wydał Józef — mogło być około dwu koron, według oceny pani Zofji — i wrzucił do puszki.

XXI

Jurkin napróżno czekał na Teofila. Wyrzekł się dla niego ślizgawki, wymówił się od kółka polonistów, zmaltretował siostrę aby ją wyprawić z domu, i ostatecznie strawił godzinę w ponurej milczącej wściekłości nad kompendjum historji literatury, śledząc

w roztargnieniu i bez szacunku drogę mesjanizmu polskiego, którą autor prowadził aż spod wesołego dworku Mikołaja Reja.

— Małpa! — uderzył pięścią w stół.

Było to najłagodniejsze słowo, jakiem godziło się napiętnować Teofila. Jurkin nie byłby na niem poprzestał, gdyby go mógł widzieć w tej chwili, jak z ręką na biodrze, z głową nieco na bok przechyloną, stał obok profesora Kaliny i ciekawie wpatrywał się w ilustrację, którą mu ten pokazywał w otwartej książce. Wyobrażała ona mapę nieba z XII wieku. Stare konstelacje, nawrócone na chrześcijaństwo, zmieniły nieco swój wygląd: Bliźnięta były Adamem i Ewą, Andromedę zdobiła stuła, Wenus była w habicie mniszki; pośród sfer unosili się aniołowie, a na samym szczycie Bóg błogosławił stworzenie, z wyrazem takiej pogody, jakby wciąż jeszcze „widział, że było dobre".

— Aniołowie tutaj — objaśniał astronom — nie są dla dekoracji. Są to kierownicy sfer. Pytanie kto kieruje niebem Wenery: Księstwa czy Trony, było wówczas przedmiotem poważnych dyskusyj. Od odpowiedzi na to pytanie zależał przyrodniczy i moralny ład świata. Wystarczy rzucić okiem na tę kartę, aby się przekonać jak naturalną rzeczą była wtedy religja. Ograniczony obraz świata był ostoją i podporą dla wyobraźni i w żadnym szczególe nie kłócił się z potoczną wiarą. Takiemi rycinami ozdabiano biblje. Któryż teolog odważyłby się na to dzisiaj? A przecież żaden uczciwy człowiek nie może zaprzeczyć, że tylko taka mapa nieba zgadza się w zupełności i bez wykrętów z Pismem świętem, zarówno Starego jak i Nowego Zakonu. Pod takiem niebem Tomasz z Akwinu pisał swoją Summę, żyjąc we wszechświecie zbudowanym nakształt katedry.

Dla mapy nieba z XII wieku Teofil zapomniał o przyszłej mapie Polski, o której miał mówić z Jurkinem. Zapomniał tak doszczętnie, że kiedy, wróciwszy od Kaliny, spojrzał w swym pokoju na zegarek, nie mógł ani rusz wyczytać z jego obojętnych strzałek, na co przeznaczył godzinę, którą one właśnie wskazywały.

— No, jakże tam Grodzicki? — zapytał od progu tłusty czerwony Szolc, daleki potomek Wolfganga Scholza, który za Zygmunta Starego, spłodziwszy z Hazówną dwunastu synów, stał się praojcem jednego z najliczniejszych rodów lwowskich; w ciągu paru wieków zarówno przy wadze i łokciu, jak i przy

działach i muszkietach Szolcowie budowali i wspierali wielkość i wolność Lwowa.

— Nie mów mi o tym gówniarzu! — krzyknął Jurkin. — Wcale nie przyszedł.

— Sam tego pożałuje — odparł Szolc, i litował się nad straconym kolegą.

Teofil był rzeczywiście stracony. Pożarty przez intelektualną namiętność, zaparł się świata i zostawił mu tylko swój kształt zewnętrzny, który biernie znosił bieg dni i zdarzeń.

Widywało się po dawnemu ten kształt w szkole, lecz obcy wszystkiemu co się dookoła działo. Gdy Zapotoczony spowiadał się głośno ze swych uciech płciowych ze służącą, którą mocno idealizował aby nie wyszło najaw, że jest to zwalisty „kocmołuch“ o srogich cycach, tłustym brzuchu i połączonej woni sadła, ścierki do mycia naczyń i kuchennego swądu; gdy Siwak, blady z emocji, słuchał jakby od niechcenia wskazówek Zitronenblatta którędy idzie się na Miodową i jak można rozpoznać burdel po kolorowych szybach w bramie i po siedzącym pod drzwiami stróżu, który mruga na przechodniów; gdy chłopcy, niewinni aż do rozpaczy, licytowali się znajomością ciała kobiecego i wyrafinowanych podbojów — Teofil nie słyszał. Lewicki, ze swej ławki po drugiej stronie klasy, zasypywał go listami, w których skarżył się na obojętność; nie otrzymywał odpowiedzi. Tak samo głuchy był Teofil na wszystkie kółka, pracownie introligatorskie, wycieczki, sport; podczas przerw brał płaszcz i wychodził na ulicę. Pędził życie dziwaka, unikając spotkania z Jurkinem, który go wcale nie szukał.

Gdyby nie Siwak, który zawsze w odpowiedniej chwili podsuwał własną książkę, Teofil nigdy nie miałby na pulpicie ani Cicerona, ani „Hermann und Dorothea“, ani „Pana Tadeusza“, albowiem codzień zapominał w domu połowę potrzebnych rzeczy. Niełatwo było zgadnąć w jaki sposób radził sobie przy tablicy, gdzie pod iksami w kwadratach następny człon ćwiczenia:

$$a + b = (a + bi) + (a - bi) = a + a = a + b$$

budził w człowieku odruchowy żal, że dał się swego czasu nakłonić do nauki abecadła; było tajemnicą z jakich zasobów pamięci wydobywał garść wiadomości zdolnych zaspokoić staruszka Kowalskiego we względzie ruchów wahadła lub wzorów objaśniających mechanizm wielokrążka; zdawało się nieprawdo-

podobieństwem, by ten pusty kształt sprostał wszystkim dokuczliwym wymaganiom tuzina starszych panów, których kiedyś nieopatrznie przyzwyczaił do odpowiedzi liczących się z podręcznikiem. Być może, pośród zasadzek nauki szkolnej, prowadził go jakiś zmysł ukryty, jak ten co somnambulików trzyma w równowadze na dachach i gzymsach wysokich domów.

Jeden Rojek mógł jeszcze spodziewać się po Teofilu pewnej uwagi, chociaż i jemu odmawiał niekiedy posłuchu, i stary filolog, zawieszony w samym środku długiego perjodu Demostenesa, napróżno wyczekiwał, kiedy roztargniony chłopiec połączy ze sobą dwa człony zdania warunkowego, które, jak para kochanków w romansach, szukały się wzajemnie pośród przeszkód i manowców.

Jeśli w szkole zachowywał Teofil pozory obecności, w domu ograniczył się do samego istnienia, i ten fakt, chociaż dał się stwierdzić i uzasadnić pozostawał zbędny w układzie rzeczywistości. Wszystkie sprawy omijały Teofila, a zgromadziło się ich niemało w tym czasie.

Dzień w dzień toczyły się przy stole jadalnym i w pokoju ojca długie rozmowy o „fochach" i „fumach", które jakoby starzy znajomi zarzucali Grodzickim. Fajtowie nie mieli odwagi przekroczyć „wysokich progów", Piekarscy, Siekierscy trzymali się zdaleka, Bieniek na tydzień przed świętami posłał życzenia, utrzymane w tonie przesadnej rewerencji. Wszystkich kłuło w oczy nowe stanowisko radcy Dworu, niedostępne przyjęcia w których wraz z żoną brał udział, kobiety nie mogły wybaczyć pani Zofji strojów.

Bóg jej świadkiem, że te stroje, narzucone jej przez okoliczności, nie dawały jej szczęścia. Cóż z tego, że parę razy na miesiąc zasiądzie na kanapie z filiżanką herbaty, która jej zawadza, w salonie wiceprezydenta c. k. Krajowej Dyrekcji Skarbu lub Dyrektora kolei, aby trzy kwadranse milczeć w towarzystwie pań, również jak ona obcych w tym domu? Albin za każdym razem obiecywał, że odtąd będzie „miał na nią oko" aby nie czuła się samotna, i przy następnej sposobności porzucał ją niemal na progu; jakieś ręce wydzierały jej go poprostu i na cały czas tonął w kącie salonu lub w przyległym pokoju, we mgle dymu cygarowego, gdzie poważni dygnitarze hałaśliwie obgadywali swoje sprawy.

Zrodzona do skromnego otoczenia, pani Zofja lubiła niewy- bredne rozrywki: łaźnie raz na tydzień, gdzie znajome panie przynosiły specjały swej kuchni i raczyły się niemi nawzajem po kąpieli, w hallu między kabinami, wśród plotek, pustoty i śmiechu; restaurację od czasu do czasu (zamienianą w lecie na „ogródki“ w okolicach Snopkowa, Łyczakowa, Pohulanki), te- atr w szczególnych wypadkach, przyjęcia u siebie lub u znajo- mych, w pokojach i przy zastawie na jej miarę. Teraz widziała ze smutkiem jak ten świat rozsypuje się w gruzy, aby zrobić miejsce nowemu; czuła to co czuć może człowiek, który ogląda swój stary zacny dom już rozebrany w dwóch trzecich, ze ścia- nami bezwstydnie odsłoniętemi, w nagich i oszpeconych malo- widłach, gdzie rozpoznaje się ślady po zdjętych obrazach, po szafach, łóżkach, otomanach, wypędzonych brutalnie ze swych wieloletnich kryjówek.

Szczęściem nie przyszło jej na myśl napomknąć o tych zgry- zotach Teofilowi. Nie powstrzymałby się chyba: — uderzyłby śmiechem w te dobre szare oczy, które szły za nim pokornie i w milczeniu, gdy po obiedzie rzucał na stół „Dziękuję!“ z ob- raźliwym pośpiechem jak pieniądz, i wracał do swego pokoju, aby się nie pokazać aż do kolacji. Roześmiałby się — niema wąt- pliwości, bo cóż mogły go obchodzić rozsypujące się lepianki, skoro jemu ręce płonęły od budowania świata!

Budował go według najlepszych metod, które podbiły wiek dziewiętnasty i trzymały się jeszcze mocno w swych mechanistycz- nych zasadach.

Jak z kokona wysnuty z pierwotnej mgławicy hipotezą Kan- ta - Laplace'a, układ słoneczny przed miljardami lat rozpoczął swój bieg, wśród którego planety krzepły i ostygały. Na stężałej skorupie ziemskiej pojawiła się pierwsza kropla wody, rosa zwia- stująca świt życia. Atomy węgla łącząc się z innemi pierwiast- kami, w jakiś dzień cudu, — jeśliby godziło się użyć tego słowa wśród naturalnych i koniecznych procesów — stworzyły zawią- zek plazmy, żywe ziarenko, które mnożąc się przez podział po- krywało ziemię coraz liczniejszym rodem pierwotniaków.

Teofil wahał się między samorództwem a panspermją: pier- wsze wydawało mu się bardziej proste, druga była piękniejsza. Myśl, że cały wszechświat jest w jakimś stopniu ożywiony, była

mu sympatyczna przez podświadome wspomnienie księdza Prus=soty, a wizja zarodków organicznych, niesionych z przestworzy ku ziemi promieniami światła, przejmowała go swym urokiem. Odkładając na później ostateczny wybór, cieszył się tymczasem prakomórką, po której wszystko już szło bez oporu.

Komórki zbierały się w gromady; pierwsze metazoa, gastree i gąbki, utworzyły pierwszy słój drzewa życia. Rozwijało się ono w poszumie czasu, i człowiek siedzący na najwyższej gałęzi mógł widzieć swych przodków: małpę człekokształtną, małpiątkę, kan=gura, dziobaka, jaszczurkę, salamandrę, jesiotra, minoga, nako=niec lancetnika, który w swych zwinnych ruchach pływał wzdłuż granicy królestwa kręgowców.

W cichem świetle lampy, okrytej mleczno białą umbrą, pro=fesor Kalina, w szlafroku i czerwonej atłasowej czapeczce, wete=ran walk i triumfów nauki, z uśmiechem przypominał dawne dzieje:

— Pod koniec osiemnastego wieku zaczęły wychodzić z zie=mi potwory. Były to szczątki mastodontów i megaterjów, które i przedtem znajdowano i w których widziano kości upadłych aniołów. Ale szkielet pierwszego ichtjozaura przeraził ludzi. Nie było wątpliwości, że ten twór nigdy nie miał skrzydeł i nie należał do chórów niebieskich. Czy jednak był w raju i czy zgi=nął tylko dlatego, że nie zmieścił się do arki? Odpowiedź była inna: ichtjozaury, megaterja, mamuty należą do wcześniejszego stworzenia, — przed Adamem. Nauczono się czytać między wier=szami biblji i z pomocą tej umiejętności odcyfrowano niewidzial=ny szyfr o paru kolejnych stworzeniach, z których każde miało swą faunę i florę. Najbystrzejsze oko w tem czytaniu nieczytel=nych tekstów miał Cuvier. Odkrył kilka praświatów i dowiódł, że zginęły one przez szereg katastrof, w ogniu lub w potopie. Cuvier był Francuzem, za dni młodości przeżył wielką rewolu=cję i miał ją we krwi; nie wierzył w przemiany inne niż gwałtow=ne, w swych dziełach pustoszył, niszczył, palił glob ziemski, jak sankjulota, ze śpiewem Ca ira! Od tego nowego teroru wybawił geologję Lyell, Anglik wychowany w starej umiarkowanej kon=stytucji, i zdołał nas przekonać, że świat zmienia się powoli przez niedostrzegalne działania sił ewolucyjnych. Jego to właśnie książ=kę wziął ze sobą młody Karol Darwin, na drogę dookoła świata.

Wziął również Miltona „Raj Utracony". Gdyby słowo wróżba znaczyło cośkolwiek, użyłbym go w tym wypadku, albowiem Darwin utracił raj, jeśli się nie mylę, gdzieś niedaleko Patagonji.

— Trzeba ci wiedzieć — astronom dotknął piersi Teofila końcem swego długiego cybucha, który po staroświecku nazywał „antypką" — trzeba ci wiedzieć, że raju szukano swego czasu i w Ziemi Ognistej. Niema takiego miejsca na ziemi, a nawet poza ziemią, gdzieby nie szukano śladów Adama. Raj był już i w trzeciem niebie i w czwartem, i na księżycu, i na górze sąsiadującej z niebem księżycowem, i pod ziemią, i na biegunie, i w Tartarji, i nad Morzem Kaspijskiem, i nad Gangesem, na Cejlonie, w Chinach, w Afryce... Pamiętam (miałem wtedy dwanaście lat), jak się spłakałem, gdy przyszła z nad równika wiadomość od Livingstona, że odkrył on tam raj „poza wszelką wątpliwością". Darwin wierzył w raj i jak każdy anglik czytał biblję, dopóki w Ameryce południowej nie odkrył wygasłego gatunku pancerników.

Kalina wziął z pudełka garść tytoniu, nabił fajkę, zapalił i wielki kłąb dymu wzniósł się wgórę, jak ofiara dla duchów, które wyroiły się z jego wspomnień przez chwilę zadumy.

— Agassiz! Agassiz! — mówił półgłosem, jak nekromanta, wpatrzony w wynikające z mroku widmo. Poczem roześmiał się nagle. — To była postać, jakiej już dzisiaj niepodobna sobie wyobrazić. Tęgi ichtjolog, dobry obserwator lodowców (urodził się w kantonie fryburskim), miał w sobie krew, usposobienie, wiarę i wytrwałość tych szwajcarów, którzy od trzystu lat stoją w sieni Watykanu z halabardą i w czerwono-żółtych kaftanach. Tak uzbrojony walczył z Darwinem. Niedostępny dla humoru i śmieszności, głosił, że paleontologja odsłania nam pracownię rzeźbiarską, w której widzimy wiekuistego artystę jak wciąż udoskonala swe dzieło, odrzucając formy mniej udane.

Teofil śmiał się i dziwił; Haeckel, ów święty Paweł darwinizmu, wpoił mu teorję ewolucji z fanatyzmem płomiennego wyznawcy i z niewyrozumiałością twórcy dogmatów.

Istniało pewne powinowactwo między upartym chłopcem a starym biologiem, który do dwudziestego roku życia był wierzący, a nigdy właściwie nie przestał porać się z Bogiem. Magiczne imię nie opuszczało jego książek, z których jedna z najgłośniejszych: „Naturalna historja stworzenia" była jakby odpo-

wiedzią na biblję. „Przestarzałe wyobrażenie osobistego Boga utraci wszelki sens w ścisłej filozofji jeszcze przed upływem tego wieku“ — przepowiadał w roku 1892, żywiąc skrytą nadzieję, że niebawem można będzie opuścić w tem zdaniu słowa: „w ścisłej filozofji“. Nigdy jednak nie zdołał wyrzec się tych czterech liter, które w języku niemieckim określają najwyższą istotę w krótkiej ostrej sylabie jak trzask gromu. Chciał je ocalić bodaj jako nazwę „nieskończonej sumy wszystkich sił w przyrodzie“.

Teofil nie potrzebował tak skonstruowanego bóstwa. Codzień powtarzał sobie nowe credo:

Wszechświat jest wieczny i nieskończony. Rządzą nim dwa prawa naczelne: zachowania materji i zachowania energji. Wszystko pochodzi z kombinacji pierwiastków, których liczba jest określona. Zróżnicowały się one z jednego prapierwiastka, który w niedalekiej przyszłości zostanie wykryty i spełni sny alchemików o przemianie pierwiastków. Najdrobniejszą cząstką materji jest atom, — kulisty, nieelastyczny, niepodzielny, niezmienny. Z nieskończonej ilości tych kuleczek składa się kosmos, jednolity w swej budowie, znajdujący się w ciągłym ruchu, który co chwila w różnych okolicach bezkresnej przestrzeni rozżarza nowe słońca, a stare gasi na długotrwałą, może wieczną noc.

Teofil, wcielając się w byronowskiego Kaina, którego czytał w tym roku, z melancholijną rozkoszą przeżywał nanowo żeglugę smutnego Adamity po oceanach niebieskich. Lecz Kain oglądał tylko skromny kosmos z końca XVIII wieku, a jego przewodnik, Lucyfer, nie znał więcej gwiazd niż ich zawierał katalog Bradleya. Teofil zaś miał przed sobą nieskończoność mierzoną miljonami lat świetlnych i mrowie jasnych punkcików, wysiewane przez gigantyczne teleskopy z niepowstrzymaną rozrzutnością.

Ogrom gwiazd, ich przeraźliwa temperatura, oszołamiająca szybkość ich obrotów i biegu wystawiały jego wyobraźnię na ciężką próbę. Widział niebo w postaci tych map, na których kreskowane linje przedstawiają drogi morskie, przecinające się nawzajem, to znów zbierające się w zwarte pęki, albo okrążające się w półkolach i parabolach. Bądź też jeszcze wyraźniej: jak sieć kolei o niezliczonej ilości pociągów, wychodzących co sekunda z niezliczonej ilości stacji.

Z głową, napełnioną temi obrazami, zasypiał w swym ciemnym małym globie, jak dróżnik w budce, stojącej przy szynach

dalekiej zapomnianej „lokalki“, i zrywał się wśród nocy, zbudzony przeraźliwym trzaskiem kosmicznych „ekspresów“, które, zderzywszy się, leciały w przepaść bez ratunku. Urągała mu cisza uśpionego domu, a niekiedy, gdy tak leżał z otwartemi oczami, wpatrzony w sufit, na górze dawało się słyszeć odsuwanie krzesła lub jakiś inny szmer, — znak, że profesor Kalina, spokojnie i cierpliwie, porównywa i zestawia fotografje Drogi Mlecznej, nadsyłane mu z obserwatorjów amerykańskich, te niepojęte czarne karty, z których każda, obejmując sześćdziesiąt pięć stopni kwadratowych nieba, zawiera ponad dwa miljony gwiazd!

Myśl o nieskończoności wyczerpywała Teofila. Przybity cyframi, w których jedynki jak oszalałe kury bez opamiętania znosiły zera, zamieniając wszechświat w potworną wylęgarnię tych jałowych elipsoidów, — żałował chwilami, że dał się wyzuć z przestrzeni skrojonej na miarę człowieka. Pragnął jakiegoś kresu, jakiejś granicy, jakiejś dotykalnej krzywizny, o którą możnaby stuknąć palcem jak o przezroczystą ściankę szklanego klosza.

Tymczasem stary Kalina, nieprzekupny skarbnik kosmosu, udzielał mu z coraz większem skąpstwem materji na pokrycie przestrzeni. Teofil, któremu wczoraj dech zapierało bogactwo nie do udźwignięcia, nazajutrz — nędzarz zrozpaczony — stał wobec głuchej ciemnej zastygłej pustoszy, gdzie rzekoma niezliczoność gwiazd nikła bez śladu jak garść piasku. Poprzez niespokojne sny Bóg kiełkował nanowo w duszy Teofila...

Nie było na to rady: Teofil w nocy miał duszę, którą za dnia usiłował zmienić w psychoplazmę lub zgoła w sumę czynności komórek zwojowych i włókien nerwów. Za pomocą tego skomplikowanego przyrządu podziwiał niefrasobliwość ludzi, którzy oswajają się z nowym obrazem świata, jak z żarówką elektryczną. „Przychodzi im to łatwo — myślał — ponieważ nic nie rozumieją. I aby jeszcze było łatwiej, wkręcają żarówkę do starej lampy naftowej, którą się w tym celu nieznacznie przerabia“.

XXII.

Porównanie z żarówką nie nasunęło się Teofilowi przypadkiem. Było ono odpryskiem rozmów, jakie toczyły się przy stole rodzinnym; nie brał w nich udziału, ale one mimo to przenikały

do jego świadomości. Gdyby raczył im poświęcić trochę uwagi, dowiedziałby się, że Ditmar obiecywał przerobić wszystkie lampy naftowe na elektryczne po cenie bardzo przystępnej. Jego kosztorys, pojawiając się od tygodnia na stole jadalnym, gdzie poddawano go nieustannym badaniom, utracił pierwotną świeżość i zmięty, pełen tłustych plam, zdradzał wyczerpanie jak subjekt zmaltretowany przez wymagającego klijenta.

Szły wielkie zmiany. Radca Dworu, mimo prośby i bierny opór pani Zofji, wynajął nowe mieszkanie. Wbrew powszechnej tradycji i zdrowemu rozsądkowi, postanowił wyprowadzić się przed wiosną.

Stara Dąbrowska, której złożył to oświadczenie wraz z czynszem i życzeniami Nowego Roku, bardzo to „sobie wzięła do serca". Z Grodzickimi bowiem traciła w swem skąpem życiu ludzi do których przywykła, lokatorów, którzy płacili regularnie i w ciągu piętnastu lat nieomal wszystkie „naprawki" pokrywali z własnej kieszeni, wreszcie paromiesięczny czynsz gdyż nie spodziewała się tak rychło znaleźć następców na to mieszkanie — pocóż przed sobą ukrywać? — pełne niedostatków. Gdy jeszcze objęła ją zgrozą myśl o obniżce czynszu, rozpłakała się.

Grodzicki, wzruszony, ucałował to, co niegdyś było ręką, a z czego reumatyzm zrobił niegodny człowieka korzeń mandragory, i pocieszał ją, że do lutego zostaną pod jej dachem. To słowo wydarło ze staruszki ciężkie westchnienie, albowiem z samego rana stróż, złożywszy jej życzenia (podrażniony zresztą skąpem noworocznem), oznajmił, że „jak dalej będą takie śniegi, to ten dziurawy dach tego nie zniesie".

Pani Zofja zaklinała męża na sąg drzewa, wybornego bukowego drzewa, pod jej dozorem rżniętego na cztery kawałki i rąbanego na zgrabne polana, które „nie obtłukały pieców"; zaklinała go na świeżo napoczętą beczkę kapusty, na ogórki i kartofle, na wszystkie zapasy piwnicy, z któremi śmiech „tryndać się" po mieście w wozie meblowym i na furach, pośród zimy. Hofrat był nieubłagany; drwinami, gniewem, upartem milczeniem zmusił nareszcie żonę do rezygnacji.

— Tak jakby nas djabeł pędził — szepnęła z goryczą pani Zofja.

Jeśli djabeł może przyjąć postać starego profesora z siwą brodą, który wita człowieka przy spotkaniu ironicznym uśmiechem

i przesadnym ukłonem, tedy domysł jej był słuszny. Radca Dworu nie chciał żyć dłużej pod jednym dachem z Kaliną; wpadł na trop jego konszachtów z Teofilem i od tej pory ostatecznie obmierzł mu dom, w którym spędził szczęśliwe lata. Nie zdradzał się z tem jednak, tak samo jak ukrył urazę do syna.

Nowe mieszkanie znalazł przy ulicy Pańskiej. Na pierwszem piętrze, pięć pokoi z balkonem, własny klozet. Łazenki nie było, ale nikt o nią nie dbał; Grodziccy byli fanatykami zakładu kąpielowego św. Anny.

Pani Zofja, wszedłszy do pustego zimnego lokalu, załamała ręce. Ściany były odrapane i brudne, posadzki zniszczone, kuchnia z popękanemi kaflami i przepaloną blachą miała wygląd złowrogi: dziki zwierz, którego Bóg wie jak długo i z jakiemi stratami trzeba będzie oswajać; piece musiały kryć w sobie szatanów czadu i dymu.

— Strasznie dużo drzewa tu pójdzie!

— Ale z dołu nie ciągnie — bronił się Grodzicki.

Wzruszyła tylko ramionami; na dole było parę sklepów, na których ciepło nie ma co liczyć, i brama, gorsza od piwnicy.

Dwie rzeczy jej się podobały: balkon i ganek. Na balkonie zapuści się powój albo dzikie wino, a ganek, wychodzący na miłe jasne podwórze, zamknięty z dwuch stron wysuniętemi ścianami, nie miał sąsiedztwa i zapowiadał wielką wygodę w zakresie suszenia ścierek albo „drobnych kawałków“ z podręcznego prania. Stłumiła jednak w sobie tę iskrę optymizmu i wyszła nachmurzona, milcząca, smutna.

Nie mieszała się do spraw nowego mieszkania. Grodzicki rządził w niem sam i rządził źle. Wstępował tam codzień z biura, przez chwilę oddychał z przyjemnością zapachem świeżego wapna, lakieru lub heblowanego drzewa, lecz wkrótce głód odbierał mu cierpliwość; pragnąc jak najprędzej znaleźć się w domu, słuchał piąte przez dziesiąte żądań, narzekań, objaśnień, któremi zasypywali go robotnicy, i uciekał ze zwitkiem nowych rachunków w kieszeni.

Głównym jego prześladowcą był malarz, majster Gileta. Pięć pokoi w pełni zimy — to był uśmiech losu, a los w ostatnich czasach skąpił Gilecie uśmiechów. Rozbił więc namioty na długie oblężenie, w szlachetnym zresztą zamiarze, aby w te ściany, z któ-

rych zeskrobał parę warstw wcześniejszych malowideł, tchnąć cały swój kunszt, całą fantazję i pomysłowość, niegdyś tak cenione.

Był rzemieślnikiem starej daty, nawykłym do solidnej roboty, i brzydził się partactwem młodych drapichrustów, którzy rozrabiają farby czystą wodą. On potrzebował mleka. W rachunkach pojawiało się ono w ilościach tak znacznych, że hofrat zatajał je przed żoną, ale w rzeczywistości, conajmniej w dwuch trzecich, zamieniało się codzień na alkohol, przez fatalne sąsiedztwo z restauracją, u wylotu ulicy Zielonej. Nigdzie nie przyrządzano tak znakomicie „fałszywego zająca", który świeżo wyrzucony z foremki, jeszcze ciepły, był ozdobą bufetu, pełnego zresztą innych powabnych rzeczy. Tam właśnie, przy kieliszku żytniówki, rodziły się najpiękniejsze plany, z których nowe mieszkanie Grodzickich wyłaniało się z majestatyczną powolnością.

Dopiero w początkach lutego dzieło było skończone.

— Za pozwoleniem — mówił majster Gileta, jakby mu się ktoś gwałtownie sprzeciwiał — za pozwoleniem, pan hofrat dobrodziej będzie łaskaw nic jeszcze nie mówić.

I prowadził Grodzickiego z pokoju do pokoju, stąpając na palcach.

Wszędzie były znane i od wieku ogólnie przyjęte desenie, gdzie kwiaty, gałązki, liście w nieustannie powtarzających się kombinacjach kryły pod sobą tło zielone, różowe lub białe. Ale nie chodziło o ściany, nad któremi pracowali czeladnicy: — duch majstra Gilety objawiał się na sufitach.

W warunkach mało co lżejszych niż te, w których Michał Anioł zaludniał strop kaplicy Sykstyńskiej, Gileta rozrzucił po tych odłogich białych płaszczyznach nieprawdopodobne mnóstwo farb, splatając z nich bukiety, girlandy, kosze kwiatów. Posługiwał się patronami, ale ani jednego nie odbijał w całości; łączył razem dwa, trzy, niekiedy brał tylko środek, albo róg, i płodził twory dziwaczne, zawiłe, i zdarzało się, że zielona łodyga napróżno szukała swego ulistwienia, które w innym pokoju mieniło się wszystkiemi barwami tęczy, nie znajdując oparcia bodaj w małej witce.

Skoro nabrał przekonania, że radca dworu jest już dostatecznie podbity, wprowadził go do jadalni.

— Hm! — zdumiał się Grodzicki.

Malowidło imitowało drzewo. Ściany były wyłożone jakby

deskami, bladożółtemi, na których sęki odznaczały się ciemniejszym odcieniem, prawie brunatnym. Rzekome deski powinnyby sięgać od podłogi do sufitu, któremu znów należałoby się jakieś imitacje belek i sosrębów, ale całe życie majstra Gilety cierpiało na brak konsekwencji: w przystępie niecierpliwości obciął deski u góry szerokim granatowym pasem, a sufit pozostawił biały i powierzył czeladnikom, którzy w godzinę zasypali go florą z paru niezużytych jeszcze patronów.

Pani Zofja weszła do mieszkania dopiero w dniu przeprowadzki. W bramie i na schodach spotkała dwie dziewczyny, niosące konewki z wodą, co było dobrą wróżbą (zainscenizowaną i opłaconą przez męża, w wielkim sekrecie). Pokoje, które przed sześciu tygodniami odpychały lodowatym chłodem, przyjęły ją teraz serdecznem ciepłem; w paru piecach ogień jeszcze nie wygasł od rana. W dziełach majstra Gilety odnalazła ten sam styl, z którym zżyła się od dzieciństwa, a pewne dziwactwa wzięła za oryginalność nowych czasów. Stróż domu przyszedł się jej przedstawić, pocałował ją w rękę, pomówił o wodociągach, o strychu, o piwnicy, i pożegnał się, ofiarując swe usługi i życząc szczęścia.

Zostawszy sama, oparła się o wnękę okna. Przez zamarznięte szyby jak przez haft firanki patrzyła w ulicę i starała się odczytać jej żwawy tekst.

Panował wielki ruch, tramwaje dzwoniły, dudniły wozy, hałasowali dorożkarze, torując sobie drogę; przechodniów można było naliczyć więcej w ciągu paru minut niż na górnej Sykstuskiej w ciągu pół godziny. Rząd sklepów ogłaszał się szyldami, z których najgadatliwsze były dwa wiszące po dwu stronach handlu napojów wyskokowych, a skład żelaza, niby zarozumiały mruk, nie miał nad sobą nic więcej oprócz krótkiego nazwiska starej i znanej firmy. Była pozatem i papiernia, i warsztat ramiarski, i owocarnia, i nawet cukiernia, do której wchodziło się po trzech schodkach.

Pani Zofja oderwała oczy od ulicy i podniosła je ku kamienicom, stojącym naprzeciw. Oprócz jednej, wszystkie były dwupiętrowe. Nic więcej nie można się z nich było domyśleć; okna połyskujące na gładkim murze albo ujęte w ozdobne gzymsy, patrzyły martwem bielmem mrozu. Zadumała się pani Zofja...

Było to czwarte mieszkanie w jej życiu.

Pierwsze — w którem przyszła na świat i z którego wyszła za

mąż — mieściło się przy ulicy Koralnickiej, w trzech ciemnych pokojach, gdzie ojciec, oficjalista sądowy, przez dwadzieścia pięć lat oddawał się upartym a nierozsądnym marzeniom o awansach i podwyżkach pensji. Bez matury, bez studjów uniwersyteckich, nie mógł w istocie na nic liczyć i umarł, zostawiając wdowie i sierotom prawo do 86 koron, po które młodziutka Zofja chodziła co miesiąc do Dyrekcji skarbowej, witana w bramie uśmiechem wspaniałego szwajcara w błękitnym płaszczu ze złotemi galonami. Tymczasem matka trudziła się w kuchni, aby uczynić zadość ćwiartce kartonu, która w jednem z okien wzywała zgłodniałych słowami:

W i k t d o m o w y

T a n i i z d r o w y.

Ten wiersz, wypisany dużemi czerwonemi literami naśladującemi druk, był utworem młodszej siostry, Marji, dziewczyny rezolutnej, krzykliwej, trochę narwanej, która wrychle znalazła sobie podobnego do siebie męża i znikła z ich życia, aby po paru latach odezwać się listem z Ameryki.

W pewne lipcowe południe, młody urzędnik Namiestnictwa, odwiózłszy swych rodziców do Lubienia — jechało się wtedy zamówioną landarą, którą można było wrócić bez dopłaty — wysiadł z hałaśliwego powozu na Chorążczyźnie i zastanawiał się gdzie należy szukać posiłku na czas nieobecności matki. Wybór jego padł na słynną mleczarnię Komunickiej, której pierożki, kluseczki, budynie odżywiały połowę młodzieży urzędniczej, lecz, przechodząc przez Koralnicką, zobaczył ów wiersz roztrzepanej Maniusi, i zaufał mu natychmiast. W połowie sierpnia, płacąc za dziesięć ostatnich obiadów (po trzydzieści centów), był już po słowie z Zofją.

Drugie jej mieszkanie było na Chorążczyźnie, tam gdzie w ów dzień lipcowy zatrzymała się landara, czyli tak blisko, że nie opłaciło się brać dorożki, — stróż przeniósł kufer z jej rzeczami. Ale stary dom po paru latach rozebrano by zrobić miejsce wielkiemu gmachowi, a pani Zofja, popychając wózek z małym Teofilem przebiegła prędko ulicę Sykstuską, szczęśliwa, że udało się jej umknąć przed deszczem, pierwszym w tym roku wiosennym deszczem, który lunął ledwo stanęła w bramie...

Grodzicki podszedł na palcach. Nie odwróciła się, nie przestraszyła, odrazu wiedziała, że to on.

— Czemu płaczesz?

Nie odpowiedziała, nie poruszyła się nawet. Albin, onieśmielony jej milczeniem, zcichł natychmiast i posłusznie zapatrzył się w okno. Wrychle odnalazł jej myśli pośród listowia mrozu, i odtąd myśleli razem. Czuli ten sam niepokój, że oto wybiła godzina, od której czas zaczyna się liczyć wstecz i że trudno już dać życiu inną treść niż rozmyślając o uczciwej i godnej pamięci przeszłości.

Tak ich zastała służąca, która krzyknęła od progu:

— Proszę pani, wóz jedzie.

Trwało to dobry tydzień, zanim wszystko przyszło do porządku. Pani Zofja co wieczór „nóg nie czuła" od zmęczenia.

Miała teraz wspólną z mężem sypialnię, pierwszą w życiu. Ich miłość, rozdzielona pokojami, zdana była zawsze na niespodziankę i tułactwo, nigdy nawet nie przespali jednej nocy razem. Można im wybaczyć, że nazywali swą miłość „cygańską". Gdy więc na pierwszą noc znaleźli się w sypialni, w której nakoniec ich orzechowe łóżka wraz ze stolikiem nocnym, komodą i szafą spotkały się w komplecie niby rodzina żyjąca dotychczas w rozłące, i gdy zapaliło się światło małej lampki pod różowym abażurem — ogarnęło ich zawstydzenie.

Oboje naraz zaczęli się uskarżać na trudy dnia i, zdaleka życząc sobie dobrej nocy, weszli do swych łóżek. Stare deski, zbite pośpiesznie godzinę temu, nie znalazły jeszcze swych łożysk i skrzypiały nielitościwie; Albin i Zofja przyczaili się, nie mieli odwagi się poruszyć, udawali przed sobą, że śpią, i rozdrażnieni niewygodą pół nocy przeleżeli bezsennie, zachowując absolutną ciszę.

Kiedy już ostatni gwóźdź został wbity, a służąca po raz ostatni zatarła na froterowanej posadzce ślady nóg stróża, pani Zofja wsparta na miotełce od kurzu jak na lasce, pan Albin z rękami założonemi na piersiach — w milczeniu kontemplowali swoje nowe gniazdo. Nie wiedzieli co o niem sądzić, wahając się między przywiązaniem do starych sprzętów a ich niewyraźnym wyglądem w zmienionych warunkach.

Meble Grodzickich nie były przyzwyczajone do mocnego światła i wielkiej przestrzeni, stąd też wydawało się jakby się sku-

liły, podwinęły nogi pod siebie, poodwracały do ścian, — nieśmiałe, nieufne, zastraszone.

W salonie kanapa, pół tuzina foteli i okrągły stół skupiły się ciasną struchlałą gromadką niby rozbitki na wyspie, którą był dla nich strzyżony dywan; ani na cal nie wychodziły poza jego obręb, oblany zewsząd gładką śliską błyszczącą pustką posadzki. Nie poznawały się w lustrze, które, pełne blasku, z pychą odbijało ich potulną skromność, i stało się nagle tak obce, że nie domyśliłyby się w niem dawnego marzyciela w wiecznie zamglonem spojrzeniu, gdyby nie ta sama oprawa rzeźbiona, ta sama konsola z marmurowym blatem i stojący na niej pod kloszem krzyż ze soli wielickiej. Daleko, jakby na nieznanym brzegu, znalazł się ich wypróbowany towarzysz — gipsowy słup, do połowy okryty błękitnym pluszem, z równie gipsowym Amorkiem i wysoki stolik na którym stała palma, a obrazy — ach! obrazy rozbiegły się tak jakby już nic nie znaczyła na świecie długoletnia zażyłość.

Wszystkie niemal obrazy pozmieniały swoje miejsca. Teofilowi odebrano Anioła Stróża i żłóbek betlejemski, a zamiast nich dano portret matki, który w jasnym salonie zdradził wszystkie naraz swoje wady: twarz z jednej strony nabrzmiała jak od fluksji, śmieszne rumieńce, brudne ciemne smugi pożerające jak trąd bluzkę lila w białe centki. Tak samo jak matki przerobiony z fotografji, portret syna, gdy miał pięć lat, powędrował do gabinetu ojca, wypłaszając stamtąd dużą reprodukcję „Hołdu Pruskiego“. W salonie został tylko Leon XIII, wyhaftowany na chuście jedwabnej, w olbrzymich ramach z zielonego pluszu, mając po dwu stronach starych Grodzickich, w nienaturalnie kosztownych oprawach, natrząsających swem złotem z prostoty ich ubrań i twarzy, w których na zawsze stężała chwila niepokoju i onieśmielenia, gdy z zapartym oddechem siedzieli naprzeciw aparatu fotograficznego.

Albin i Zofja, wychowani w natłoku gratów, pośród ścian gadatliwych jak stare ciotki pełne wspomnień o rzeczach i ludziach, nie czuli się dobrze w mieszkaniu, które po wszystkich kątach ziało pustką. Znów tedy, jak przed laty, widywano ich w halach aukcyjnych, w składach mebli; starzy kupcy poznawali swych dawnych klijentów i wyciągali spod kurzu i pajęczyn butwiejące już księgi, z których odczytywali im lapidarną opowieść o stole, otomanie lub krzesłach, nabytych w takim to roku i za taką to cenę.

Szli pod ramię, zatrzymując się przed wystawami, cofali się od samych drzwi sklepu aby się jeszcze naradzić, przypominali sobie dawne adresy i dziwili się, że niektórych firm już niema, w odległych dzielnicach gubili drogę, sprzeczali się, — byli szczęśliwi.

Z marcowych roztopów w których płynęły śniegi, z wilgotnej mgły wychodziło ku nim miasto, w burym habicie, obwieszone różańcami latarń — poczciwy Bernardyn, gotów pożartować z młodzieżą na Akademickiej, wstąpić na lampkę wina do Stadtmüllera, wyspowiadać czyjąś samotną duszę w zaułku Ormiańskim, rozruszać opieszałego dzwonnika u św. Mikołaja, by (zawsze ostatni!) wykołatał pozdrowienie anielskie swą starą gderliwą sygnaturką.

Jakże cudowne są ulice, gdy idzie się niemi bez celu lub gdy ów cel jest tak nieokreślony, że prędzej da się osiągnąć przypadkiem niż namysłem! Można wejść wszędzie albo nigdzie, i zwędrowawszy pół miasta zatrzymać się nagle: „Cóżeśmy to właściwie mieli załatwić?“ I nie widzieć, że miasto, rozbawione tą parą, grozi im figlarnie kolumną bł. Jana z Dukli jak podniesionym wskazującym palcem i nie słyszeć, że kałuże chlupiące pod nogami sarkają na pięćdziesięcioletnich panów, którzy nie pamiętają o kaloszach.

Skutkiem tych wędrówek kolacje marniały w rurze, a służąca Ewka, od roku przyzwyczajona do rozsądnego życia wśród drobiazgowych rozkazów, nie wiedziała co począć i przesypiała pół nocy na krześle, jak wartownik którego zapomniano zluzować. Grodziccy wracali późno, świeżo naoliwione zamki i zawiasy nie skrzypiały, Teofil tylko słyszał nieraz, jak w gabinecie ojca otwiera się szafkowa umywalka, lecz senne wrażenie szmer wody, zamieniało na plusk deszczu w rynnie.

XXIII

Teofil przeszedł w zamyśleniu swoją zwykłą drogę z gimnazjum, wbiegł do bramy, trzasnął drzwiami w sieni i zatrzymał się dopiero przed kuchnią, która była zamknięta. Tu przypomniał sobie, że od dziś jego dom jest na Pańskiej.

W nowem mieszkaniu zjawił się już o zmroku i pierwszą

rzeczą, którą zobaczył, była świeżo zawieszona lampa w jadalni. Stary znajomy sprzęt, pobrzękujący zarozumiale łańcuszkami, mieniący się od czerwonej emalji, tryskał jaskrawem światłem żarówki, którą osadzono tam gdzie dotychczas nalewało się naftę. Na ten widok Teofil roześmiał się głośno, budząc niepokój rodziców i zdumienie montera, który patrzył za młodym człowiekiem dopóki ów nie znikł za drzwiami.

Odnalazłszy swój pokój, gdzie wszystko już stało na miejscu, Teofil rzucił płaszcz i czapkę na krzesło, a na półce położył książkę, z którą wrócił z gimnazjum, z popołudniowej godziny historji Polski. Tak przeprowadził się Teofil Grodzicki.

Jego pokój sąsiadował z jadalnią i jak ona wychodził na podwórze. Majster Gileta dał mu tło różowe, na którem kłębiła się zamieć drobnych białych kwiatków. Oprócz portretu matki, na ścianach nie było nic więcej, ale Teofil zaledwie zwrócił na to uwagę; to że go porzucił Anioł Stróż sprawiło mu ulgę. Wstydząc się wyznać przed sobą, żałował jednak lampy naftowej, jej zapachu, jej ciepła, jej światła, i gdy po raz pierwszy w szklanej kuli rozżarzył się drucik wolframowy i zalał stół ostrym jałowym blaskiem, Teofil odsunął się z książką jak najdalej.

Ojciec zajrzał przez drzwi:

— Nie siedź do późna. Musisz teraz wstawać wcześniej. Ale może mi się uda jeszcze w tem półroczu przenieść cię do trzeciego gimnazjum. Będziesz miał wtedy dwa kroki.

Ach! o tem wcale nie pomyślał. Smutno będzie porzucać starą budę. Codzień wychodząc ze szkoły, oglądał się jeszcze, jakby już jutro nie miał jej zobaczyć.

Nurtowały go skryte obawy, że w nowem gimnazjum nie będzie miał łatwego życia. Czyż znajdzie się tam drugi ksiądz Grozd, który wprawdzie węszy dokoła jego ławki i łypie nań łapczywem okiem, ale ostatecznie zostawia go w spokoju? Czyż może być drugi ksiądz Skromny, który, biorąc grzech na własne sumienie, przyjmuje od niego kartkę bez spowiedzi? Czyż zdoła się gdzieindziej ukryć, że Teofil nie przystępuje do komunji?

Zmieniwszy wiarę, Teofil pragnął w nowej znaleźć to wszystko co utracił w starej. W tych usiłowaniach dzieciństwo mieszało się z wzniosłością.

Tylko ten kto sam tego doświadczył wie jak drży ręka, jak krew pulsuje w skroniach, ile złośliwej uciechy (z odrobiną lę-

ku) czuje w sobie człowiek, gdy po raz pierwszy pisze „bóg“ od małej litery. Powiecie, że to głupstwo? To znaczy, że nigdy nie mieliście wiary i nigdy nie było wam dane ją stracić. Zamienić święte imię na pospolite słowo zrównać je ze wszystkiemi innemi — czyż to nie rzucić je w proch? Słyszycie głuche uderzenia młota? To świeży mnich, wczoraj dopiero nawrócony, gorliwiec nowej wiary strąca głowę posągowi Jowisza. To samo dzieje się tu, gdy pióro, od lat nawykłe kreślić dwa brzuśce, spływa nadół zostawiając ogołoconą kreskę, jak uschły badyl.

Teofil unikał Boga nawet w nic nie znaczących powiedzeniach, dziwiąc się, wzdychając mówił: Bogowie! Zdejmował czapkę przed pomnikiem Mickiewicza, aby okazać niebu, pod którem płonął bronzowy znicz na wysokiej kolumnie, że odtąd jedynie na ziemi szukać będzie przedmiotów swej czci. Wyzuwszy się z lekkomyślnego „jak Boga kocham“, stał się fanatykiem „słowa“. Nie dawał go nigdy napróżno. Nie kłamał. Przed sobą i przed światem chciał stwierdzić, że etyka może się obejść bez przykazań głoszonych wśród gromów. Napisał to nawet w swym wiernym kajecie, napisał — nie śmiejcie się! — po angielsku, tą krostowatą angielszczyzną, której nabrał po trzech latach nauki pod kierunkiem profesora Matza: „I‘m convinced that, since, I‘m one atheist, I‘m very, I‘m more moral than before, when I was a pious Christian“.

Nowa wiara! Trudno to nazwać inaczej niźli tem odwiecznem słowem, które nigdy chyba nie przestanie towarzyszyć człowiekowi na drodze do pojęcia świata.

Teofil po miesiącach nieporadności wewnętrznej znów wierzył i znów miał szereg świętych wyrazów, któremi się krzepił. Substancja, energja, przyczynowość, ewolucja, atom — takie były teraz imiona bóstw zawartych w cząstkach czasu lub w cząstkach przestrzeni jak starorzymskie indigitamenta. A wśród nich jedno, szczególnym otoczone urokiem, czarodziejskie mistyczne „arreton“ nowoczesnej nauki, dla którego żadne słowo nie było dość ostrożne, o którem należałoby myśleć z podejrzliwością dawnych Latynów: sive mas sive femina, sive deus sive dea — Eter.

Eter (seu alio nomine appellari vis) wypełnia cały wszechświat i wszystkie przerwy między atomami. Sam nie składa się z atomów i nie posiada żadnych własności chemicznych. Ma swój osobliwy stan skupienia, różny od wszelkich innych tego rodzaju

stanów. Nie jest ani gazem ani ciałem stałem. Jest nieważki. Jest nieskończony i niezmierzony jak przestrzeń, którą wypełnia. Znajduje się w nieustannym ruchu, który jest ostatnią przyczyną wszelkich zjawisk.

Umysł, od dzieciństwa przyzwyczajony do pojmowania niepojętego, z radością powitał ten nowy dogmat. To jakby znów tajemnica transubstancjacji, lecz jeszcze bardziej ponętna, bo nieoczekiwana. Któż mógł się spodziewać, że pośród gruzów zakwitnie lilja? że pustynia ożywi się rosą?...

Teofil nie pożegnał się z Kaliną.

Stary profesor, w porze w której zazwyczaj odwiedzał go młody przyjaciel, wstawał od biurka i podchodził do drzwi aby nasłuchiwać czy nie idzie. Włożywszy kciuk między dwa guziki kamizelki, bębnił palcami po brzuchu i z wysuniętą dolną wargą patrzył w zadumie na własny cień, nieruchomo stojący na ścianie. I jemu nakoniec wypadło czekać, i tak samo napróżno, jak przedtem Rojkowi, gdy go Teofil porzucił nagle na przełomie szóstego i piątego wieku, w najpiękniejszej chwili rzeźby greckiej, gotowej lada dzień wejść w złoty okres, — jak Jurkina, jak ojca, który nie mógł się doczekać, kiedy syn wezwie go, by skończył swą spowiedź o Polsce.

— Czy nie przychodził tu ten student? — zapytał Kalina, uchyliwszy drzwi do kuchni.

Antoniowa załamała ręce:

— Ale pan profesor to naprawdę!... A to już będzie ze dwa tygodnie, jak oni się wyprowadzili.

Teofil był wolny. Po żmudnem rozplątywaniu węzłów (ani jednego nie przeciął; tak i ojciec nigdy nie kaleczył sznurków, ale oswobadzał je z supełków, cierpliwie i uparcie, choćby miał sobie połamać paznokcie), po niepokojach i udrękach, po zimnych czasach podejrzliwości i obawy, że staje się ofiarą złudzeń — nie mógł się nadziwić wolności, która z szumem wpadła weń jak wiatr...

Był szklisty dzień gołoledzi i białego słońca, kaprys marcowy, który dachy domów przystroił koronką jarzących się sopli; po ulicach dzwoniły sanie. Teofil, z paczką książek pod pachą, biegnąc do szkoły ślizgał się po długich smugach lodu, które przed nim, spod chropawej skorupy zamarzniętego błota. wydobyły podeszwy sztubaków. Pogwizdywał.

— Cóż to panicz dziś taki wesoły?

— Wajda! — zawołał Teofil, biorąc go pod ramię. — Przebacz, że pozwalam sobie na chwile wesołości, mimo, że świat wciąż jeszcze jest niedoskonały. Pożycz mi ten jeden dzień, niech to będzie zaliczka na te lata szczęśliwej przyszłości, które nam stworzysz.

— Oto godne słowa sytego prosięcia!

— Co masz przeciw prosięciu? Z prosięcia będzie świnia, a ze świni szynka. Ty lubisz szynkę, i widzę po spuchniętej kieszeni, że znów niesiesz dziesięć deka.

Wajda odtrącił Teofila, który sięgnął ręką do jego płaszcza. Grodzicki, zwyczajem baciarów, wparł się weń ramieniem i patrząc spodełba rzucił mu przez nos:

— Z kim pluskwa?

Było to tak nieoczekiwane, że Wajda się roześmiał.

— Obywatele! — krzyknął, gdy weszli do klasy. — Czy widzicie kto ze mną przyszedł?

Paru chłopców niedbale obejrzało się w jego stronę.

— Cicho, panowie! — zawołał ktoś. — Wajda chce powiedzieć dowcip.

— Nie pozwalam! jestem jeszcze naczczo!

— Skarbie mój! — Zapotoczny przyskoczył do Wajdy, chwycił go w objęcia i przewalcował z nim przez salę, strącając pióra, scyzoryki, kałamarze. Nagle puścił go, porzucił gdzieś w kącie, i stanął przed Teofilem:

— W jakim stopniu jesteś waść odpowiedzialny za ten stan umysłu przyszłej chluby socjalizmu i rewolucji?

— Koledzy! przyjaciele! bracia! — jęknął Teofil głosem dziada na odpuście. — Zmiłujcie się...

Powszechny ryk nie dał mu skończyć.

— Ależ to czary!

Wszyscy wybiegli z ławek, zaczęli go oglądać, obracać, dotykać.

— Puśćcie mnie, coś wam powiem.

— Nie, nie! To byłoby zbyt piękne.

Zapotoczny objął go za szyję:

— Grodzicki, kocham cię. Patrz na mnie. Szaleję. Na pierwszej pauzie musisz mi udowodnić, że nie jesteś panną.

Wszedł Szeremeta z paczką zeszytów; sala jeszcze dygotała śmiechem.

— Co się stało?

— Grodzicki wrócił.

Polonista nachmurzył się:

— Nie czas na żarty. Lewicki!

Lewicki rozniósł po klasie zeszyty. Szeremeta podyktował temat zadania: „Żywioł liryczny w „Marji“ Malczewskiego“!

Teofil nachyla się w stronę Siwaka:

— Którego dzisiaj?

Eks-chyrowiak końcem pióra pokazuje mu datę, którą właśnie wypisał na czele stronicy: 10 marca 1914.

„Pół roku!“ — myśli Teofil. — Dokładnie pół roku potrzebował na to, aby móc odpowiedzieć na pytanie, zadane mu pod starym klonem, który tymczasem zżółkł, zrzucił liście, a za dwa, najdalej trzy tygodnie zacznie puszczać nowe.

Teofil ogląda się za siebie. W piątej ławce jedno miejsce jest puste. Gdzie Kościuk?

Kościuk umierał. Jeszcze w połowie lutego przyszedł do szkoły, — po trzymiesięcznej nieobecności. Siedział w swej ławce milczący, poważny jak zawsze; lekcje miał starannie odrobione. Mówiono, że wychudł, ale przecież nigdy nie był tłuściochem. Włosy znacznie mu się przerzedziły. Dawniej zaczesywał je do góry, i te gęste żółte nitki przypominały profesorom świeżo otwarte pudełko Pursiczanu. Teraz była to już resztka, dziwnie chaotyczna i wyblakła. Nie kaszlał.

— Zostało mi jeszcze trochę chrypki — mówił. — Ale to już głupstwo.

Po tygodniu znów przestał chodzić do szkoły, ale Teofil dopiero tego dnia dowiedział się, że jest z nim bardzo źle.

Kościuk mieszkał przy ulicy św. Teresy, na „stancji“ u dwojga zacnych ludzi, Tymurów, którzy nie mając własnych dzieci przywiązali się do chłopca i nigdyby im na myśl nie przyszło oddać go do szpitala. Z kuchni, w której przez sześć lat stało jego łóżko, przeniesiono go w początkach choroby do pokoju, jedynego pokoju, jaki Tymurom służył za sypialnię małżeńską i salon. Większą część dnia leżał samotny, drzemiąc, nasłuchując krzątaniny swej gospodyni, i patrząc w okno.

Nie było tam wiele do oglądania. Dom stał w tej części ulicy św. Teresy, która tworzy kolano, rozprostowujące się o kilka kroków dalej ku hałaśliwej i barwnej ulicy Leona Sapiehy. Z parterowego okna widziało się tylko wysoki czerwony mur ogrodu należącego do Zakładu wychowawczego św. Teresy i parę czarnych akacyj, które raz do roku, na krótko, czarodziejstwem swych kwiatów cuciły ten jałowy zaułek z pleśni i stęchlizny. Widziało się również jezdnię o niewysychającej topieli błota.

Temu właśnie błotu zawdzięczał Kościuk najmilsze chwile. Grzęzły w niem bowiem przejeżdżające fury, chłopi w baranich kożuchach wywijali batem, krzyczeli: wio! hejta! wio!, zeskakiwali na ziemię, podpierali wóz, który chwiał się na wszystkie strony, klęli, zdejmowali czapki i ocierali pot z czoła. Zdawało się Kościukowi, że przez podwójne szyby czuje zapach ludzi i zwierząt, mokrej ziemi, zleżałej słomy, starej skóry w uprzężach. Wiele wozów poznawał już zdaleka po skrzypieniu kół i brzęku żelastwa, pojawiały się znajome twarze ludzkie, znajome konie — siwki, gniadosze, srokacze, kasztany — niejeden zdradził mu swe lata, ukazując zęby w otwartym pysku, gdy szarpał się w ściągniętych lejcach; pamiętał parę imion, któremi chłopi wołali na swe wałachy i kobyły.

Kiedy Teofil przyszedł go odwiedzić była pora zmierzchu. W kuchni siedział Tymura i moczył nogi w ciepłej wodzie. Jego żona, na pytanie Teofila, powiedziała:

— Śpi. Może panicz chwilkę poczeka.

Podała mu krzesło, otarłszy je wpierw rogiem fartucha.

— Panie studencie — odezwał się nagle Tymura — ile ziemia ma kilometrów w pasie?

— Na równiku? Około czterdziestu tysięcy.

— Takem też myślał. Czy pan student da wiarę, że te nogi przeszły już ziemię naokoło i teraz już drugi raz maszerują, ale zdaje się, że drugiego kółka już nie zrobię.

— Przeżegnaj ty się krzyżem świętym! — zawołała Tymurzyna.

Nie zwrócił na nią uwagi. Mówił dalej:

— Takem to sobie wyliczył. Ale śmiech powiedzieć, że przy tem chodzeniu nigdy nie byłem dalej jak w Zimnej Wodzie. Pan wie, jestem listonoszem.

Potwierdzały to insygnja jego zawodu: torba leżąca na łóżku, bluza którą rozwiesił na oparciu krzesła, zarost w stylu Franciszka Józefa; nigdzie bowiem nie spotykało się tylu sobowtórów monarchy co wśród niższych funkcjonarjuszów pocztowych.

— A tam znów — wskazał palcem zamknięte drzwi — leży chłopiec z sercem jak złoto, i za tydzień będzie gnił w ziemi. Panie studencie, jaki to wszystko ma sens? — krzyknął nagle.

— Daj spokój, Szymonie, zbudzisz go.

— Poco ma spać? Dosyć się wyśpi, kiedy mu robaki oczy wyjedzą.

— Cicho — szepnęła Tymurzyna, nasłuchując.

Chory zakaszlał. Uchyliła drzwi:

— Stefciu, nie śpisz? Kolega przyszedł do ciebie. Zaraz wam tu zaświecę.

Zapaliła lampę, której światło wydobyło na jaw pokój, aby Teofil miał czas ochłonąć ze zgrozy jaką go przejął widok Kościuka. Przeszedł zaledwie trzy kroki, a już znalazł się wobec twarzy zjedzonej przez śmierć. Aby nie patrzeć, rozejrzał się bezmyślnie po pokoju.

— Prawda, jak tu ładnie? — odezwał się chory.

Po siedmiu latach jeszcze się nie oswoił z temi ścianami, na których trzy gołębie — lecący, siedzący na gałązce, dzióbiący ziarno — powtarzały się w jakąś nieskończoność ptasich zaświatów. Wysokie łóżko gospodyni, gdzie pod pluszową kapą czuło się zasobność pierzyn, kołder, poduszek; dywanik z sarenką pośród zimowego lasu, szafy, stół nakryty wiśniową serwetą, obrazy jaskrawe i błyszczące — cały ten dobytek długich lat porządnego oszczędnego żywota dwojga bezdzietnych ludzi dzień w dzień rozpowiadał chłopskiemu synowi historję bogactw, zbytku i rozkoszy miasta.

— Dziękuję ci żeś przyszedł. Nie, nie podawaj mi ręki. Mam obrzydliwe wilgotne ręce. Gdybyś ich raz dotknął, nie wróciłbyś może więcej. A ja bardzo chcę żebyś przyszedł jeszcze. Wciąż czekałem na ciebie.

Uśmiechnął się. Była to zupełnie nowa rzecz: Teofil nie przypominał sobie uśmiechu na tej twarzy, którą nawiedził on zbyt późno — kwiat surowej zimy.

— Nie widzieliśmy się tak dawno! Aha, prawda. Byłem jeszcze w szkole dwa tygodnie temu. Ale to się nie liczy. Wciąż

mi się zdaje, że ostatni raz widzieliśmy się na Wysokim Zamku, kiedy to rozeszliśmy się bez pożegnania. Schowałem sobie na pamiątkę liść z tego klonu, pod którym wtedy stałeś. Gdzieś tam leży między kartkami „Fizyki“.

Obrócił głowę w stronę mahoniowej półeczki na której leżały jego książki. Była ona jego własnością, upominkiem, który przed dwoma laty dostał od Tymurów na imieniny.

— Liść nie miał jeszcze ani jednej żółtej plamki — dodał po chwili.

Tymurzyna przyniosła choremu garnuszek gorącego mleka, poprawiła mu poduszki, wyszła.

— Czy pamiętasz, Teofilu, jakie ci wtedy zadałem pytanie?

Grodzicki skinął głową, wzruszenie nie pozwoliło mu przemówić. Kościuk odezwał się doń po imieniu, nie po nazwisku, jak to było zwyczajem studentów. Ależ bo on porzucał już zwyczaje szkoły i życia, i przyjmował te które człowieka znają tylko z imienia: zwyczaje świata umarłych i tych co się modlą za nich.

— Nie odpowiedziałeś mi wtedy. Szczęśliwy jestem, że to pytanie zostało między nami nierozstrzygnięte. Sam teraz idę po odpowiedź i mogę mieć jeszcze nadzieję, że będzie ona taka jakiej się spodziewam.

Odwrócił głowę ku oknu, które pokryte bielmem zmierzchu martwo odbijało ciemną pustkę ulicy.

— Poznaję po twoich oczach — rzekł po chwili, ciszej — co mógłbyś mi dziś odpowiedzieć. Dziękuję ci, że milczysz. Taka resztka człowieka jak ja chwyta się nawet milczenia.

Kilkanaście sekund stało między nimi milczenie jak mur. Kościuk je przebił:

— Jakżebym miał iść do ziemi bez Boga? Ateizm jest wiarą żywych, zdrowych i silnych, wiarą ludzi którzy w jakiejś cząstce duszy ukrywają, przekonanie że nigdy nie umrą.

Czoło chorego zrosiło się potem. Wyłysiałe, wysokie, o silnem sklepieniu było niepodobne do dawnego wąskiego śniadego przesmyku między linją brwi i włosów, na którym pośród prostodusznych zmarszczek przeciągały leniwie myśli tego przeciętnego chłopca.

— Przychodzą mi różne rzeczy do głowy — Kościuk znów obrócił na gościa swe czarne węgle, płonące w głębokich oczodołach. — Kiedy tak leżę całemi dniami i nocami, widzę świat umar-

łych. Albo raczej: czuję. Tłumy umarłych, których ziemia nie może udźwignąć. Są tam genjusze i tacy mali jak ja, są dziwne umysły, szalone nadzieje, szlachetne przywiązania, najpiękniejsze zamiary, wielka wiedza, i także zwyczajna codzienna głupota. Jest tam tego tyle, że wystarczyłoby chyba, aby z tej mądrości świat stworzyć i tą głupotą zniszczyć go do szczętu. I powiedz mi, Teofilu, gdzie to wszystko ma się podziać? Czy niema na to już żadnego miejsca? czy to wszystko ma sczeznąć bez śladu?

Zakaszlał się. Teofil podał mu garnuszek z mlekiem. Na szklistej polewie był wymalowany portret Franciszka Józefa i rumiana twarz niepożytego starca w sposób gorszący uśmiechała się tuż pod bezkrwistemi wargami suchotnika. „I cóż począć z ludzką rozpaczą?“ — pytał sam siebie Teofil. A tamten pytał go szeptem, który był jakby cieniem głosu tak dalece nie czuło się poza nim ciała:

— Czemuż to z takim zapałem upominać się o nicość? Pocóż to po gruzach wiary, w szalonem uniesieniu jakby się szło po najwyższe szczęście, dążyć do niebytu?

Kościuk przymknął oczy. Woskowa twarz o zapadłych policzkach drgała, czoło przebiegały krótkie zmarszczki.

„Stefanie! — wołało w Teofilu zdumienie — jak roślina w cieplarni twój mózg dojrzał i rozkwitł w gorączkach przedśmiertnych. Wynagradza ci teraz wszystkie upokorzenia jakie zniosłeś, stojąc przy tablicy i krusząc w palcach kredę, oszołomiony kołem pociętem znakami trygonometrycznemi, i kiedy napróżno starałeś się przyzwyczaić swoje zacne chłopskie gardło do niemieckich słów, i kiedy sens „Dziadów“ umykał przed tobą, porzucając cię w ulewie wierszy“!...

— Ty może będziesz się śmiał — Kościuk przesunął po czole ręką jakby utkaną z pajęczyny — ale zdaje mi się, że ludzie, przynajmniej niektórzy ludzie, nie uznają Boga przez zawiść. Zazdroszczą mu. Nie mogą mu darować nieśmiertelności, spokoju, szczęścia... Bo pomyśl — nieoczekiwanie podniósł głos niemal do krzyku — gdyby nasze życie trwało bez końca i nie znało cierpienia, czy ktośby się zapytał poco świat istnieje?

Tymurzyna wpadła do pokoju.

— Bój się Boga, Stefciu! co ty tak krzyczysz? O, a jaki spocony. Nie wolno ci tyle mówić. Ten panicz przyjdzie innym razem.

— Przyjdziesz jeszcze? — szepnął Kościuk.

Teofil wyszedł na palcach, bo zdawało mu się, że chory nagle usnął.

„Oto najgłębsze źródło wiary — myślał Teofil na drodze: — lęk przed nicością, pragnienie indywidualnego trwania. Ten biedak chce żyć po śmierci, chce żyć sam, indywidualnie i świadomie, a nie w jakiejś innej formie, w której musiałby mu ktoś udowodnić, że on tam jest."

„Ależ to nonsens — otrząsnął się natychmiast — to nonsens uważać, że istnienie, które ma początek nie ma mieć końca!"

Schodząc w dół ulicy Kopernika spojrzał na niebo, na którem zdaleka widać było dwa krzyże, katedry i Dominikanów, — dwa znaki dodawania z nieziemskiej algebry, rozwiązującej człowieka i świat w szalonem równaniu o samych niewiadomych.

„A jednak to wzruszające: protest śmiertelnika przeciw śmierci, bunt ducha przeciw materji, żądza ujarzmienia jej choćby ręką Boga, z którym można zawrzeć sojusz, na najgorszych, lecz nie beznadziejnych warunkach."

Mając sobie tyle do powiedzenia, zawstydził się na myśl, że przez cały czas u Kościuka ust nie otworzył. „Wrócę tam jutro!"

Ale rano było już wiadomo w szkole, że Kościuk umarł tej nocy. Na godzinie łaciny zjawił się w klasie Motyka z dyrektorską księgą i profesor Rudnicki odczytał z niej zapowiedź pogrzebu. „Piękne zalety jego młodocianej duszy — pisał w swem orędziu dyrektor Zubrzycki — jednały mu powszechną miłość, a w ciężkiej chorobie z którą się zmagał jak bohater (wszak do ostatniej chwili myślał o swych obowiązkach) doświadczał najgłębszego współczucia swoich kolegów i przyjaciół."

Za trumną szli wszyscy, z innych klas tylko paru repetentów, którzy znali Kościuka. Było kilku profesorów, wśród nich Rojek. Pogrzeb prowadził ksiądz Skromny, on bowiem każdego chłopca witał na progu szkoły, żegnał przy maturze i odprowadzał do grobu, jeśli tak los zrządził. W starym strzępiącym się ornacie, dreptał drobnemi kroczkami przed karawanem, nie wstydząc się łez, które rozcierał dłonią, gdy mu przeszkadzały czytać modlitwy. Oprócz niego płakała tylko Tymurzyna, lecz ojciec zmarłego, wysoki barczysty chłop w baranim kożuchu, miał oczy

suche, których nie odrywał od długiej wąskiej trumny kołyszącej się na wybojach ulicy Janowskiej.

Katecheta wygłosił krótkie przemówienie, kilkanaście zdań, które opracował sobie ćwierć wieku temu i które odtąd powtarzał jak pacierz. „Non omnis moriar“ — cytował Horacego, co w jego ustach brzmiało jak urywek psalmu. Potem już w liturgicznych zwrotach wypowiadał wiarę w zmartwychwstanie.

Teofil, drugi po starym Kościuku, rzucił w rozkopany dół grudkę wilgotnej ziemi. On jeden z całej tej gromadki nie spodziewał się już nigdy zobaczyć biednego Stefana. Nawet Wajda, nawet Siwak zataili w sobie jakiś cień nadziei, — kto tam zresztą wie, co może róść pod takim cieniem! Lecz w Teofilu nic już nie wzejdzie. Złożywszy swej nowej wierze ofiarę z nieśmiertelności duszy, doznał uczucia, że odtąd nic już na własność nie posiada.

XXIV

Staruszkowie, urodzeni przed „wiosną ludów“ powiadają: „Do świętego Ducha trzymaj się kożucha“ i robią wszystko co w ich mocy, aby zachować wierność tej zasadzie. Lecz od ich czasów świat odmłodniał o parę tygodni; nowe, bardziej płoche pokolenie daje się wziąć na kwietniowe zalecanki: obłoki zrumienione słońcem jak baby wielkanocne, deszcz rzęsisty i krótki, smugi ciepła wędrujące w powietrzu.

Na gwałt otwierają się okna. Już wydłubano z nich wałki watoliny, zeskrobano paski papieru, któremi zaklejone były najmniejsze szpary, wyjęto podłużne poduszeczki, leżące między szybami, obsypane makiem zdechłych much. Zamki zacinają się, gryzą w palce, ten i ów syka z bólu i pośród szamotania wypycha okna na ulicę, jakby je chiał zrzucić na bruk.

U Grodzickich niema ani dziadka ani babki coby podnieśli krzyk o przeciągi, jest natomiast młody człowiek, który pierwszy wybiega na balkon.

Po wszystkich domach dziewczyny o buraczanych nogach myją szyby, które im słońce zalewa złotem. Pierzyny, kołdry, poduchy, bez żadnego wstydu, jakby to nie była ulica Pańska, — pchają się do otwartych okien i wydychują na miasto swój sen

zimowy, sen długich stęchłych nocy, z przywidzeniami, zmorami, duszny, zapiekły, chmurny. Lecz wiosna bierze lekko podobne sprawy, — czyż obręcz atmosfery, gruba na sto kilometrów, nie zniesie garstki pcheł i odrobiny ludzkiego swędu?

Oto i deszcz. Jakaś mała niezgrabna chmurka, oślepiona słońcem, potknęła się na drodze i parę kropel wylało się z jej dzbana.

Czyż to powód ,żeby zaraz uciekać z balkonu i jeszcze za-mykać za sobą drzwi? Tak myśli Teofil, i dziwi się, i czeka parę minut. Deszcz ustał, ale balkon naprzeciw nie ożył już więcej. Nawet spuszczono tam firanki; trudno zgadnąć czy ktoś patrzy z głębi owego nieznajomego pokoju.

— Wiecie — mówi Teofil na progu jadalni — zdaje się, że tu naprzeciw mieszkają Fajtowie.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — pyta matka.

— Widziałem jednego z Fajtów — bąka pod nosem. Ale że brzydzi się kłamstwem, dodaje po chwili, głośniej: — Może mi się przywidziało.

— A wiesz, Zosiu, że to możliwe — odzywa się ojciec ze swego gabinetu. — Fajtowa gdzieś w tych stronach ma kamie-nicę. Pańcia o tem wspominała...

Teofil jednak znika w swoim pokoju, jakby go to już nic nie obchodziło. Przy kolacji mówi się o czem innem. Radca Dworu przypatruje się pilnie swemu synowi, i zdaje mu się, że go nie widział od dość dawna.

— Bój się Boga! albo to cień taki pada ci na twarz, albo naprawdę zaczyna ci się broda sypać!

Pani Zofja obrzuca Teofila szybkiem spłoszonem spojrze-niem. Niema wątpliwości! Przez ten czas, który jej tak słodko minął w ostatnich tygodniach, w domu zagospodarował się no-wy mężczyzna. Opiera głowę na dłoni, zamyśla się i, z jakichś jej tylko wiadomych powodów, rumieniec zapala się na jej po-liczku. Na szczęście, nikt na nią nie patrzy. Starszy mężczyzna mówi do młodszego:

— Jutro pokażę ci jak masz obchodzić się z brzytwą.

I oczywiście przypomina, jak to mały Teofil zakradł się on-gi do biurka, wyjął brzytwę i pokiereszował sobie twarz, fakt

znany i popularny dzięki kronice, która opowiada o tem corocz-nie we wrześniu czy też w październiku.

Nazajutrz Teofil wychodzi z domu z dwiema szramami na policzkach ,dumny jakby odbył pojedynek. Zatrzymuje go zna-jomy głos:

— Od kiedyż to mieszkacie tutaj?

Teofil odwraca się, zdejmuje czapkę i jednocześnie wycią-ga rękę do uścisku. Te dwa ruchy nie mogą być wykonane bez przeszkód, książki wylatują mu spod pachy.

To się rozumie, że jeśli człowiek pochyli się gwałtownie ku ziemi, krew uderza mu do twarzy.

— My? — powiada. — Miesiąc albo i więcej. A to niespo-dzianka!

Alina również niesie książki i zeszyty, są one jednak zamknię-te w skórzanej teczce. Pierwsza rzecz o którą trzeba prosić oj-ca — to o taką teczkę.

— Pomogę ci nieść.

— Nie trzeba. Zupełnie lekka.

Zapewne. Cóż w takiej szkole panieńskiej może być za na-uka? Okazuje się przecież, że nie jest łatwiejsza niż u chłopców. Na dziś tak samo zadana jest „Żmija" Słowackiego.

— A z greki? — rzuca Teofil znienacka, w nadziei, że przy-łapie ją na zwietrzałym Herodocie.

— Czytamy teraz „Antygonę".

Oczywiście! A Rojek, jak na złość, wybrał Edypa.

— Mam jeszcze trochę czasu — mówi Alina. — Mogę cię odprowadzić kawałek.

Słońce gra na dachach jak na złotych cymbałkach. Teofil, za-miast przemykać się bocznemi ulicami, któremi codzień skraca sobie drogę, rusza ku Akademickiej. Niewiele to znaczy o tej po-rze ,gdy u bram stoją stróże z miotłami, służące idą na rynek, urzędnicy spieszą do biur, ale Teofil sądzi, że taki spacer z pię-kną panną nie może ujść niczyjej uwagi. Szkoda tylko, że mówią sobie ty; ludzie gotowi pomyśleć, że to siostra.

Siostra jednak nie odezwałaby się w ten sposób:

— Właściwie nie widzieliśmy się od roku.

— Tak. Ale ja ciebie widziałem ostatni raz we wrześniu.

— Gdzie?

— Na Wysokim Zamku — patrzy na nią posępnie.

Alina nie pamięta. Dwa łuki brwi ściągają się, nad nosem zarysowuje się lekka zmarszczka.

— Siedziałem na ławce, ty nie mogłaś mnie widzieć. Szedł z tobą jakiś młody pan.

— A, ten z krzywemi nogami! To znajomy z lekcji tańca.

Teofil nie zauważył krzywych nóg, lecz nie miałby nic przeciw temu, gdyby ów elegant do reszty je połamał.

U wylotu Zimorowicza Alina zatrzymuje się:

— Muszę już wracać.

Podają sobie ręce.

— Czy ty zawsze jeszcze chodzisz na angielskie?

— Nie. Odkąd mieszkamy tak daleko, nie mógłbym zdążyć zaraz po obiedzie.

— Aha! No, to bądź zdrów.

Teofil kłania się, odchodzi, wsuwa rękę do kieszeni, i zaciśniętą w pięść trzyma przez całą drogę, jakby się bał, że uleci z niej ciepło tamtej dłoni, miękkiej, puszystej jak ptak.

Musiał ją jednak wkońcu wyjąć z kieszeni, a co gorsza, wziąć w palce kawałek kredy.

Stał przy tablicy, w sali fizyki. Profesor Kowalski, wsunąwszy brodę w szeroki staroświecki kołnierzyk, w paru zdaniach objaśniał o co mu chodzi. Szło o jeden z tych wzorów, w których początkowe litery łacińskich wyrazów oznaczających prędkość, siłę, czas i masę układają się w symboliczny szyfr.

— No, więc proszę.

Teofil napisał wzór:

$$v = A \frac{t}{m}$$

Profesor, zaskoczony szybkością z jaką poza jego plecami kreda skrzypiała na tablicy, odwrócił się na krześle. Jeszcze raz poprawił okulary i jeszcze raz się zdumiał:

— Doprawdy, Grodzicki, coraz trudniej się z tobą dogadać. Skądże wziąłeś tu A? Co znaczy: A?

Teofil milczał. Wzór, w którym jego pamięć opuściła znak wyrażający pojęcie siły zamroczył go swym metaforycznym sensem. Czytał go tak:

$$\text{ver (wiosna)} = \text{A (lina)} \frac{\text{t (eofil)}}{\text{m (iłość)}}$$

To jasne. I patrzył z uśmiechem na profesora, który, nie mogąc doczekać się odpowiedzi, wzruszył ramionami:

— Idź na miejsce, Grodzicki. Jesteś dziś niemożliwie roztargniony.

Teofil ocknął się dopiero na ostatniej godzinie.

Jak tajemnicza ta chwila nocy,
Kiedy noc kona, księżyc blednieje:
Już dzień na wschodzie, a na północy
Jeszcze lśnią gwiazdy, jeszcze lśnią jasno,
I wschód się złoci, blednie, czerwieni,
Niebo się mieni,
Gwiazdy w lazurze
Już gasną, gasną
I polne róże
Powstają z rosy perłami...

Takie oto słowa czyta Janota, który ma bardzo piękny głos i który kiedyś będzie aktorem. Teofilowi serce zamiera z zachwytu. Rytm wiersza faluje w nim, drży jak trawa na wietrze. Słychać szelest, gałązki chwieją się trącone czyjąś ręką, pochylają się główki kwiatów nadeptane lekką stopą: — Alina przeszła wśród tej strofy.

Teofil wraca do domu. Wdół ulicy Kopernika płynie rynsztokiem strużka wody; na jej powierzchni wiruje piórko; wróbel spada na nie, chwyta je i unosi. Spłoszone własnym niepokojem, wrony zrywają się z drzew na stoku Cytadeli, i kraczą. Na rogu Ossolińskich studnia bije dwoma srebrnemi prętami wody. O! wszelki ślad zaginął po lodzie i śniegu, który zimą wypełniał jej kamienne łoże.

Skwer na placu Dąbrowskiego otacza niziutkie ogrodzenie ze sztab żelaznych, wmontowanych w żelazne słupki; każdy słupek ma okrągłą malutką główkę; Teofil nachyla się, aby zamknąć w dłoni jedną taką główkę, ciepłą od słońca.

Przechodzi koło bramy, przy której wisi rączka od dzwonka, — długa, gładka, kusząca jak owoc nieznanego drzewa. Bez namysłu podbiega i sięga ku niej. Ale oto brama otwiera się i stróż patrzy nań surowo.

— Chciałem zapytać czy tu mieszka...—mówi Teofil i krztusi się od śmiechu, i rwie co ma siły w nogach.

Domyśla się raczej niż słyszy jak stróż mu złorzeczy:

— Już pod wąsem, a takie figle trzymają się głowy!...

„Stróżu! dozorco! panie odźwierny! otwórz mi ulice, rozsuń domy, wyrąbaj mi pasaż abym miał krótszą drogę! Daj mi klucz od piwnicy, w której na noc zamykasz słońce!“

Po obiedzie Teofil wychodzi na balkon. Za chwilę, w kamienicy naprzeciw, uchyla się okno i jasnowłosa głowa zapala się w słońcu.

Przemawia, chociaż nic nie mówi; cóż stąd?

Jej oczy mówią, oczom więc odpowiem — —

tak rzekł Romeo pod oknami Julji.

Teofil i Alina spotykają się na rogu. Teofil poznaje po okładce księżkę z wypożyczalni.

Gdy Alina wchodzi na górę, on czeka na nią na ulicy, patrząc bezmyślnie na wystawę optyka. Ileż razy mógłby ją był tu spotkać, gdyby przez nieszczęsnego Straussa nie stracił wstępu do wypożyczalni! Ale oto ona wraca.

— Co wzięłaś?

Bierze z jej rąk książkę: „Serduszko“ Żmijewskiej. Nic nie wie o tej książce, ale instynktem czuje, że należy ona do liczby tych, któremi się słusznie pogardza.

Alina musi wracać, wybierają drogę okólną przez Czarnieckiego. Milczą i mówią. Mówią i milczą. Nikomuby nie przyszło na myśl iść za nimi i podsłuchiwać. Nie warto: taka sobie zwyczajna gadanina sztubacka, pachnąca kredą i atramentem...

Ku zmartwieniu i zgubie Teofila jego podział godzin nie zgadzał się z podziałem godzin Aliny. Jeśli on miał we wtorek: grekę, polski, matematykę, historję, religję i gimnastykę, to ona, z wyjątkiem historji, wszystkie przedmioty inne. Ani jeden dzień w tygodniu nie dawał im sposobności do spotkań wśród tych samych słów, rzeczy i myśli. I w podręcznikach niepodobna się było odnaleźć: zawsze albo on był o parę stronic dalej albo ona go wyprzedzała.

Niekiedy, buntując się podświadomie, przychodził do szkoły tak, jakby po drodze zamienili ze sobą książki. I rozkładając je na ławce, myślał: „Ona teraz może opowiada treść Jungfrau von Orleans“ — „Ona teraz wyjmuje logarytmy“. I tęsknił za nią, i zabierał się do pisania listu, który następnie darł na drobniutkie kawałki.

O teczce jakoś zapomniał. Wkrótce zresztą i rzemyk okaże się zbyteczny, z każdym bowiem dniem ubywa jakaś książka.

Rubin, Stand, Bodek, Igel, Koehler, wszyscy antykwarze z ulicy Batorego znają dobrze tego pięknego chłopca, który im przynosi schludne podręczniki, starannie owinięte w papier, „zupełnie jak nowe", i nie patrząc co mu kładą w garść, kręci się, niecierpliwi, wygląda przez uchylone drzwi, wreszcie wybiega, by nazajutrz znowu powrócić. Stoją na progu swych sklepów, z rękami w kieszeniach w których pobrzękują pieniądze, i ścigają wzrokiem wysoką czapkę zsuniętą na tył głowy: „Czyż to ten sam chłopak, który jeszcze miesiąc temu marzł przy naszych wystawach, i wodził nosem po szybie, i wspinał się na palce aby przeczytać tytuły książek stojących w najdalszym kącie?"...

Teatr i kina pożerały dobytek szkolny Teofila. Któżby tego żałował?

Oto matematyka przemieniła się w „Śluby Panieńskie" i z liter, zmarnowanych w tym grubym tomie, układał się nowy tekst.

Wierz mi — są dusze dla siebie stworzone — — —

mówił Gustaw, a Teofil drżał z radości, że Alina to słyszy. Za cenę Historji i Dziejów Ojczystych — Peer Gynt podróżował po świecie i wierna Solveiga śpiewałą swą rozdzierającą kołysankę. Fizyka chlubnie zakończyła swój żywot w sali „Apolla", tworząc uroczy rozdział optyki. Historja Kościoła zdobyła się wkońcu na rozsądny morał dzięki „Nędznikom" Wiktora Hugo, w długiej wąskiej sali kina „Pasaż". Jedna tylko Logika zgasła marnie, jak obłudna przyjaźń dr. Wincentego Kosa, — w plugawem kinie przy ulicy Szajnochy, na starym, zrudziałym obrazie, na którym niesposób było wytrwać do końca.

Zdarzało się nieraz, że przyczajeni w swym kącie, Alina i Teofil zostawali na dwóch programach, i po paru godzinach ciemności i światła wychodzili na wieczorne ulice jak zanarkotyzowani. Szalały w ich głowach tłumy ludzi, wiraże dróg górskich, lokomotywy pędzące na oślep, łodzie na jeziorze, palmy u brzegu pustyni, domy, łóżka, miłość, krew.

Ileż to razy Teofil czuł dłoń Aliny chwytającą jego rękę! Ileż to razy widział jej głowę wtył przechyloną i usta wpółotwarte jakby do krzyku! Dziś, dziś dopiero to czarnoksięskie płótno zaczyna wysiewać swoje zawrotne bogactwo!

Nawet ten kto siedzi na trzeciem piętrze, ma prawo korzy-

stać ze wszystkich wspaniałości teatru, a więc z marmurowych schodów i złota, obrazów, rzeźb, które je zdobią, nic mu nie odbierze widoku na ów krater lamp i czerwonego pluszu, który z ostatnim dzwonkiem zapada się w purpurowy mrok, a znów rejchanowski plafon dopiero na tej wysokości pozwala oglądać swój Triumf Sławy, i tu dopiero Muzy krążą wokół żyrandola, jakby pragnęły wejść w ten zamek z kryształu.

I dla każdego również otwiera się w przerwach foyer i każdy może z loggii patrzeć na najpiękniejszą perspektywę Lwowa.

Rzeczywistość zawarta w tej rozległej przestrzeni zdaje się układać na wzór złudy, którą się opuściło przed chwilą. Rozżarzone czerwienią klomby, stojące jak w koszach w swych ogrodzeniach plecionych z żelaznych prętów, przypominają te płomienne ogródki z „Fausta", które zapalają się szkarłatem gdy zbliża się Mefistofel i przygasają gdy Małgorzata śpiewa przy nich swój melodyjny niepokój. Hetman, ukryty między kasztanami, w swej zimotrwałej zieleni starego bronzu czeka tylko na stosowny tekst aby wejść na scenę jako urywek dobrodusznej dawności lub widmo wielkich czasów. Sobieski, depcący w swym nieruchomym cwale buńczuk i koło strzaskane, wzywa podniesioną buławą wszystko co dokoła żyje w kamieniu lub metalu, od skrzydlatych alegoryj na gmachu Teatru do nagich bożków z kamienicy Hausnerowskiej. I wreszcie, u kresu spojrzenia: na szczycie kolumny mickiewiczowskiej słońce zapala spiżowy znicz.

Jest godzina czwarta. Cicha dobra pora pustych ulic, koni śpiących przy dyszlach fiakrów, tramwajów, które nie dzwonią i zatrzymują się długo na przystankach i opuszczają je leniwie jakby zmorzone sennością. Policjant stoi pośrodku Wałów; błyszczący półksiężyc, który nosi pod szyją, czyni go postacią z jakiejś zabawnej bajki. Wszystko jest nieprawdziwe, wesołe i piękne. Teofil bierze w płuca oddech głęboki jak westchnienie, i rozrzewnia go smak powietrza, które jeszcze pamięta południowy deszcz i któremu drzewa zwierzają się z radości swych młodych listków.

To upajające popołudnie (grano na popołudniówkę „Pigmaljona" Shawa) nabył Teofil za cenę Demostenesa, który mu już nie jest potrzebny, Cicerona, który jest konieczny i Sofoklesa, którego brak zasmuci biednego Rojka.

Rojek, niepokojąc się o Teofila, zawędrował pewnego dnia na Pańską.

Zastał Grodzickich w gabinecie: hofrat czytał gazetę, pani Zofja coś szyła. Filolog zmieszał się na jej widok, odwykł bowiem od kobiet które uśmiechają się do człowieka i podają mu miękką białą czystą rękę. Trąc dłonią łysinę, wypowiedział z trudem parę zdań których sens nie dawał się łatwo pochwycić.

— Cóż robić? — odparł hofrat, mając niewyraźne poczucie, że jego syn znów stoi wobec jakiegoś niebezpieczeństwa. — Od września Teofil przeniesie się do gimnazjum Franciszka Józefa.

Rojek westchnął:

— I ja tam również nie zostanę.

— Jakto?

— Przenoszą mnie do Brodów.

— Niesłychane! — oburzył się Grodzicki. — Profesora w twoim wieku i w twojej randze? No, pozwól, to już ja załatwię.

— Ależ nie, nie. Bardzo cię proszę, nic nie rób. Ten kto mi chciał w taki sposób dokuczyć, nie wie, że może wyświadcza mi przysługę. Cieszę się, że stąd odchodzę.

— A cóż ty będziesz robił w Brodach?

— Może więcej niż tutaj. Dr. Blatt, który teraz wykłada w uniwersytecie gramatykę porównawczą, tkwił latami w Brodach i nie najgorzej tam pracował.

— Et...

Grodzicki patrzył ze zdumieniem na Rojka: albo go wzrok myli albo na tej zwiędłej twarzy rzeczywiście jawi się uśmiech. Jakież nadzieje wiezie ze sobą ten stary człowiek do Brodów? Rojek zaś uśmiechał się na myśl o drodze, w którą wybierał się sam, pozostawiając za sobą wszystko co go zawiodło.

Nie siedział już długo. Grodzicki, odprowadziwszy go do przedpokoju, wrócił z rękami w kieszeniach, zamyślony.

— Zosiu, co on właściwie mówił o Teofilu?

Nie pamiętała. Nie słyszała może. Jej słuch, obrócony ku wnętrzu, czatował na znak tego nowego życia które w sobie nosiła.

XXV

Alina odsunęła talerz pierożków z mięsem.

— Znowu nic nie jesz — zmartwiła się Fajtowa.

— Głowa mnie boli.

Wstała i poszła do swojego pokoju. Położyła się, zapomniawszy zdjąć kapę z łóżka co zawsze doprowadzało matkę do irytacji. Dobrze jeszcze, że zrzuciła buciki; leżały daleko, gdzieś koło drzwi, jakby je cisnęła ze złością.

Po jej wyjściu jeden z braci, Stanisław, obejrzawszy się za siebie, szepnął:

— Miałbym dla mamy nowinę, która warta dziesięć koron, ale odstąpię ją za pięć, bo przed pierwszym.

Starszy brat, który miał grubsze rachunki do załatwienia, wybrał bezinteresowność.

— Wiem to samo co ty: Alina chodzi z młodym Grodzickim.

— No, to co z tego? przecież to smarkacz.

— To widać mama mu się nie przyjrzała.

Fajtowa kazała służącej sprzątnąć ze stołu, a sama włożyła fartuch i zabrała się w kuchni do rozrabiania ciasta.

Tworząc z mąki, jaj, masła, wody nowe ciało, zdobywała w tej pracy spokój i poczucie siły. W jej tłustych rękach mieszały się elementy, którym mogła dać kształt swej woli, i widząc ich uległość utwierdzała się w swym majestacie gospodyni, pani domu, matki. W jej prostej duszy zrodziła się pewność, że w taki sam sposób można urobić przyszłość siedemnastoletniej dziewczyny.

Umywszy ręce pod wodociągiem i wytarłszy je w fartuch, ruszyła do pokoju córki.

Alina spała. Fajtowa zatrzymała się na progu: sen jak chleb, — nikomu go odjąć się nie godzi. Schyliła się tylko i podniosła buciki leżące na podłodze. W swoim pokoju wrzuciła je do szafy, którą zamknęła na klucz.

Alinę zbudził głos Teofila. Zerwała się z łóżka. Był już zmierzch, napróżno szukała bucików. Słyszała jak starszy brat mówi:

— Czuła się niezdrowa. Teraz leży. Co mam powiedzieć?

— Przyniosłem pannie Alinie preparację.

— Dziękuję.

— Do widzenia.

Drzwi skrzypnęły.

Alina w pończochach wybiegła do salonu. Nikogo tam już nie było. W pokoju braci rozlegały się głośne śmiechy.

Fajtowa wróciła z nieszporów. Widząc światło u córki, weszła.

— Moje dziecko — zaczęła stanowczo, — i urwała.

Alina zbliżała się do niej powoli, krok za krokiem, i w miarę jak szła wydawała się coraz większa, rosła w oczach, a jej ręka wyciągnięta przed siebie, w oślepionych strachem źrenicach matki, nabierała kształtów potwornych. Coś błyszczało w tej ręce, coś ostrego, długiego, niesamowicie długiego. Fajtowa nie mogła się ruszyć, nie mogła ust otworzyć, — jak w złym duszącym śnie.

Alina stała przy niej — czarna w oczach, z ogniem na wargach — jak szatan.

— Jeśli mi się jeszcze raz odważysz... — szepnęła zduszonym głosem. — Tą, tą szpilką oczy ci wykłuję!...

Ach, gdyby ją Teofil widział w tej chwili!...

Teofil nie znał Aliny. Nie znał ani jej twarzy, ani włosów, ani rąk, ani nóg, nie mówiąc o reszcie ciała, której się wręcz nie domyślał. Nigdy nie sprawdził koloru jej oczu, w których widział czysty błękit, włosy ciemnej szatynki wydawały mu się złote, i w swem miłosnem roztargnieniu gotówby przysiąc, że opadają one na plecy w dwa warkocze, chociaż Alina oddawna upinała je we fryzurę jaką noszą dorosłe panny. Usta raz na zawsze wyrysowało mu wspomnienie ich pierwszego pocałunku; były one drobne, lekkie, delikatne, żywe płatki róży, i nie miały nic wspólnego z pięknemi niewątpliwie, ale mięsistemi ostremi wargami dziewczyny.

Ona zaś umiała go na pamięć.

Zanim włożył czapkę, miał zwyczaj odrzucać wtył głowę aby poprawić włosy wymykające się długiemi kosmykami, i wtedy, na moment, odsłaniała się śnieżna blizna u kresu czoła; gdy nagłym ruchem wyciągał przed siebie ramię, rękaw bluzy zbiegał się w kierunku łokcia, wychodził na jaw śmieszny i niezawsze czysty mankiet koszuli, spięty pospolitą stalową spinką, ale ramię było mocne i pokryte gęstym ciemnym włosem; gdy siedząc zakładał nogę na nogę, można było dostrzec, że skarpetki trzymają się na łydce dzięki tasiemkom od kalesonów. Sto podobnych rzeczy widziała Alina u swojego chłopca, nawet małą plamkę od atramentu, wysoko na spodniach, doprawdy bardzo wysoko.

I mogłaby w każdej chwili powiedzieć za co go kocha, — bez pomocy złudzeń. Za czoło i brwi, za oczy i rzęsy, za nos i usta,

za całą tę twarz, której uroda z chłopięcej stała się po roku męska; za ręce o długich smukłych palcach; za wartki krok któremu nie mogła nieraz nadążyć; za uwagę z jaką jej słuchał pochylając się zlekka w jej stronę i za roztargnienie z jakiem ją porzucał w pół słowa podnosząc nagle wzrok wgórę; za to, że mówi, za to że milczy, za to że j e s t.

To mogłaby powiedzieć każdemu, jeśliby się poniżyła do usprawiedliwień. To mogłaby powiedzieć koleżankom, zamiast stać w klasie, oparta o piec, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, z zaciśniętemi ustami, głucha na drwiny tych komicznych dziewic, które kochają się w łysych profesorach i marzą o nieznajomych oficerach.

Rok, który ich oboje rozdzielił, każde z nich wychował inaczej.

Teofil dojrzał pośród słów, pojęć, abstrakcyj, pośród dni samotnych i nocy udręczonych; był to jego „czas pustyni". Całemi miesiącami żył sam na sam z Bogiem, jakby pod krzakiem ognistym, który nakoniec spalił się do szczętu, nie zostawiając nawet garstki popiołów. Wciąż jeszcze dzwoniła mu w uszach głęboka cisza, która nastała w dniu gdy, obejrzawszy się za siebie, zobaczył tylko własny cień na drodze bez kresu. Pielgrzym niebieski, poruszał się niezgrabnie na ziemi, jakby nieustannie czuł pod stopami okrągłość tej malutkiej kuli, którą tyle razy tracił z oczu w majakach nieskończoności.

Alinę natomiast wychowywała ziemia. Wychowywała ją w swych prastarych zdrowych zasadach, któremi przez wieki utrzymywała się w centrum świata — równa, płaska, oblana horyzontem jak strumieniem Oceanu. Na jej stałej powierzchni nie doznawało się zawrotu głowy. Jej żeński rodzaj nie był kaprysem języka, lecz pełną treści tajemnicą odkrytą w nieznanych czasach, kiedy młodzieńcy zapładniali ziemię własnem nasieniem w dzień wiosennego zrównania.

Bóstwo to, jak prawdziwa kobieta, nie zdradziłoby dziewczynie swego wieku, i Alina nie troszczyła się o te miljardy lat, jakie wyliczała ziemi panna Weryho, nauczycielka fizyki, stary koczkodan o sztucznych zębach i wyschniętych wymionach. W oczach Aliny ziemia z hożego podlotka zmieniała się w drażniącą kobietę o złotawem ciele i znojnym zapachu, o bezwstydnym hałaśliwym śmiechu, w którym słyszało się gardłowe chrzęsty doznawa-

nej rozkoszy, mięsistej i płodnej; potem znów rodziła w szkarłatnych krzykach jesieni, potem stała u zamglonych okien z czołem pobladłem i bolesnemi ustami, napróżno wypatrując kochanka, który ją porzucił, wreszcie, w osamotnieniu i zgryzocie, starzała się, grzybiała, okrywała siwizną, aby nagle powrócić, odmieniona przez czary, ze skromnie spuszczonemi rzęsami, z dziewiczym rumieńcem na anemicznych policzkach, ze ściśniętemi kolanami, drżąca, zalękniona, w nieustannym popłochu, jakby z każdym wiatrem szła siła mająca ją zgwałcić.

O naturze rzeczy Alina wiedziała i pragnęła wiedzieć to tylko co mieści się w pierwszych dwudziestu pięciu wierszach poematu Lukrecjusza, i gdyby jej ta książka wpadła do rąk, nie przeczytałaby więcej. Teofil zaś, który przeżył pół roku jakby w komentarzu do wszystkich sześciu ksiąg, przeoczył ów wstęp i teraz dopiero zaczynał go sylabizować.

Cóż u licha! czy przez całe życie ma być sztubakiem i wysiadywać ławy szkolne?

Ta, na której siedzi różni się od innych. Zbita z paru sosnowych desek, z oparciem opadającem tak nisko, że ma się wrażenie bujającego krzesła, stoi na pochyłości pagórka, pośród świerków, które przyspieszają wieczór. Wdole widać i słychać aleje parku, rąbek stawu błyszczy, drzewa na przeciwległem wzgórzu czerwienią się od zachodu.

Alina opuściła go przed chwilą. Tak dzieje się teraz codzień, z jej woli. Nie chodzą już razem, umawiają się tylko na spotkania, zawsze w innem miejscu, do domu wracają osobno. To przysparza ich miłości tajemnicy, obawy i występku. Wszystkie te rzeczy zostały odkryte przez dziewczynę.

Bez niej również nie potrafiłby odczytać miasta, w którem się urodził, stałby przed niem zakłopotany jak smarkacz przed „ślepą“ mapą.

To ona pośród brzóz na Pohulance, pod kasztanami łyczakowskiego parku, wśród zarośli cmentarnych na Paparówce, w Cesarskim Lasku i w Miodowych Górach odnajdywała czarowne zakątki, odosobnione i jedyne, jakby je sama stworzyła przed jego przyjściem. Zawsze bowiem była pierwsza i jej krótkie wołanie: Filu!, jak krzyk ptaka z gęstwiny, wskazywało mu drogę.

Alina opuściła go przed chwilą.

— Najwcześniej za kwadrans możesz sobie pójść — powiedziała.

Tak jakby miał jeszcze do odrobienia lekcję, po godzinie. Dobrze więc, siedzi i uczy się.

W rozchyleniu między drzewami wisi kawał ciemnego nieba jak tabliczka z łupku. Wysoki świerk podnosi swój ostry szczyt jak świeżo temperowany rysik. Jawi się gwiazda, pierwsza biała kropka na czarnej tabliczce, jakby ręka zabierająca się do pisania nie wiedziała od której litery zacząć.

Od pierwszej, oczywiście. Od tej która, zrodziwszy się ongi z wyobrażenia głowy byka, szlifowana przez czas, nabrała ostrości i suchego rysunku figury geometrycznej, — od tej która składa się z dwóch części: z górnego trójkąta, wyrażającego wszystko co skończone i zamknięte, i z niemożliwej do przewidzenia doli dwóch linij rozchodzących się w dwie strony, — od tej która, jak namiot z podwiniętem u wejścia płótnem, stoi pośród nocy gwiaździstej.

A. Ileż przestrzeni jest w tym dźwięku! Jak szeroko otwiera on płuca! Nadlatuje cicho jak motyl i na brzeżku swych skrzydeł przynosi cień woni jaśminów.

Teofil patrzy na wiszącą w górze tabliczkę z łupku i widzi, że obok pierwszej białej kropki pojawiła się druga. Nie, dość już na dzisiaj i — na zawsze. Drugiej literze alfabetu poświęcił tyle czasu ile było potrzeba i nie myśli tracić go więcej.

Spotykają się codzień i po paru minutach, w których streszczają przeżyty dzień, milczenie zakuwa ich w kajdany.

— Powiedz mi, Alino — mówi Teofil pewnego dnia — cobyśmy robili, gdybyśmy byli pierwszymi ludźmi na ziemi?

— To samo co tamci. Jabym zerwała jabłko, tybyś je zjadł i poznalibyśmy, że jesteśmy nadzy.

I wybucha gwałtownym urywanym chichotem, który dreszczem przejmuje Teofila.

Idą w milczeniu, piasek chrzęści pod stopami. Teofil myśli o białem wybrzeżu, o gorących kamieniach, o morzu którego nie zna.

— Pojutrze wyjeżdżamy.

Z końca długiej, długiej ciszy nadbiega głos dziewczyny, zdyszany:

— Zrobię wszystko, aby być tam gdzie ty będziesz.

Wtedy on odwraca się nagle i chwyta ją za ramiona.

Jeszcze wystarczy dnia, aby widzieć, że oczy, które nań patrzą nie są błękitne, ale szare; — i on kocha te oczy; że z twarzy zgruchotanej jakimś bolesnym skurczem uleciało piękno: — i on kocha tę twarz; że włosy nie są złotę; — i on kocha te włosy ciemne, ciemne jak noc która nadchodzi, i zanurza w nie palce.

— Co ty robisz? — szepcze Alina, a włosy, oswobodzone ze szpilek, spadają jej na plecy.

— Rusałko! dziwożono! panno leśna! — wzywa ją gorącym oddechem.

Walczy o nią ze zmierzchem który ją łowi w swą sieć, walczy o nią z zapachem lip który okrada ją z woni jej ciała.

Alina drży, zimny pot występuje jej na czoło. Serce przestaje bić. Śmierć.

Ostatnim odruchem życia zaciska zęby i rozgryza w nich jakąś słodycz gryzącą, jakąś gorycz rozkoszną, jakiś miąższ szkarłatny.

To warga Teofila. Świadomość napełnia próżnię jej duszy z łomotem wody puszczonej ze śluzy.

Ten ból — to palce Teofila zaciśnięte na jej ramieniu. Pod stopami ziemia zamienia się w mgłę i jedynym ratunkiem jest oprzeć się o to ludzkie drzewo, które zaplotło na niej swe konary i którego tajemnicze życie czuje swem ciałem i rozumie, jakby już wrosła w jego słoje.

— Filu!

Ten ptasi krzyk cuci czerwcową noc, bliską szaleństwa.

XXVI

— Ależ, drogi panie Albinie, jest pan naprawdę przesadny.

Ekscelencja gładził pieszczotliwie głowę bronzowego lwa, który od czasów Agenora Gołuchowskiego służył wszystkim namiestnikom za przycisk do papierów i w ich dostojnych rękach stracił połowę swej pozłoty.

— Jedno mnie zastanawia — odparł Grodzicki — to konferencja hrabiego Berchtolda z ministrem wojny i z baronem von Hötzendorf...

— No, dobrze. Ale pomyśl pan kiedy to było: osiem dni

temu! Nie, panie Albinie, niema się czego obawiać, nawet zmiany na stanowisku wspólnego ministra skarbu. Biliński zostaje, jak panu wiadomo.

Namiestnik uważał zabójstwo w Sarajewie za rzecz załatwioną przez kondolencje, które w ostatnim dniu czerwca przyjmował od władz i społeczeństwa, przez flagi opuszczone do pół masztu, przez nabożeństwa żałobne, które odprawił arcybiskup Bilczewski.

— Nie wypada lękać się, skoro monarcha wrócił do Ischlu — uśmiechnął się na pożegnanie. — Życzę panu przyjemnych wywczasów.

Tak więc w dwa dni po powrocie cesarza do Ischlu radca Dworu, Albin Grodzicki, ruszył z żoną i synem do Abacji.

Za dwa cygara i pięć koron, rozdane umiejętnie wśród służby kolejowej, zabezpieczył sobie coupé drugiej klasy i utrzymał je w wyłącznem posiadaniu aż do Wiednia. Więcej od słów namiestnika uspokajał go widok mijanych stacji, naczelników w czerwonych czapkach, którzy znikali z oczu tak szybko jakby w następnej chwili zamieniali się w maki rosnące po dojrzałych łanach zboża. Przez opuszczone do połowy okno wpadał ciepły aromatyczny powiew lata. Pani Zofja rozkładała na serwecie smażone kurczęta, herbata była w termosie, odkorkowano butelkę wina.

Teofil siedział nieruchomo w swoim kącie i nie spuszczał oczu z pęku róż, które leżały na górnej siatce. Przyniosła je Alina. Jej zjawienie się na dworcu było arcydziełem.

— Co za niespodzianka! — zawołała, natknąwszy się jakby przypadkiem na panią Zofję, która stała przy walizach i patrzyła w okna wagonu, gdzie Albin z pomocą tragarza szukał wolnego przedziału. — Państwo wyjeżdżają? Dokąd? Proszę, niech pani weźmie te róże. Przyniosłam je dla koleżanki, ale smarkula obejdzie się bez kwiatów.

— Jak się masz? — zwróciła się do Teofila i, znalazłszy się za plecami pani Zofji, położyła na ustach palec dając mu znak, aby milczał. — Zazdroszczę ci Abacji. Nigdy nie byłam nad morzem. Przyślesz mi kartkę, prawda?

Matka, oszołomiona jej słowami, z bukietem w ręce, obracała się za nią to w jedną to w drugą stronę, gdyż dziewczyna

nie mogła ustać na miejscu. Wreszcie Alina pocałowała w rękę panią Zofję, potrząsnęła mocno dłonią Teofila, skinęła zdaleka głową Grodzickiemu, który pojawił się w drzwiach wagonu, i pomknęła „na poszukiwanie swej panny". W kwadrans później, gdy pociąg ruszał, jeden Teofil widział Alinę, która, ukryta za budką z gazetami, przesłała mu ręką pocałunek.

Teraz chciałby wziąć te kwiaty i zatulić w nich twarz. Jemu one przecież się należały, nie powinienby pozwolić aby kładziono na nie torebkę i parasolkę. Nie ruszał się jednak, wierny pieczęci milczenia, którą dziewczyna nałożyła mu swym gestem.

Nikt się nie troszczył o jego milczenie. Rodzice jedli, popijali z aluminjowych kubków, rozmawiali przyciszonym głosem jakby tam w kącie siedział nie syn, ale obcy pasażer. Matka jednak spoglądała nań od czasu do czasu, zapytując na migi czy nie zjadłby czego; ojciec jakby zupełnie o nim zapomniał.

Teofil rozpiął kołnierz, który go ugniatał. Błyszczały na nim cztery złote paski. Co u innego mogło być dumą ,u Teofila było hańbą. Nie miał prawa do tej pysznej dekoracji. „Trzy dwóje jak dzwon", według zagadkowej metafory ojca, widniały w księdze klasyfikacyj, gdy radca Dworu zjawił się w gabinecie dyrektora Zubrzyckiego. Przez jakie czary zmieniły się one w trójki ,o tem zapewne nigdy się nie dowie. Było mu to obojętne. Czy to nie śmiech stroić człowieka w sztubacki mundur, gdy jego serce jest dorosłe i krwawi, a dusza ma tysiąc lat?

Starym natomiast ubywało wieku, z każdą stacją. Spuścili z rzemienia okno starali się odczytać nazwy mijanych miejscowości ,odnajdywali w nich wspomnienia, które ich odmładzały. Za Przemyślem pani Zofja wstała, oparła się o okno, mąż trzymał ją za pasek u sukni jak dziecko, wiatr rozrzucił jej włosy. Na Sanie kończył się znany jej świat, nigdy w życiu nie była dalej, i mimo że pola wciąż były takie same, chałupy jednako słomą szyte, upierała się, że odtąd wszystko jest inaczej. Teofil, wzruszywszy ramionami, wymknął się na korytarz.

Patrzył w stronę przeciwną do biegu pociągu i miał uczucie, że uchodzi przed pościgiem. Dziwny zbieg — pragnął żeby go schwytano. Liczył na lasy zabiegające mu drogę ukosem, na rzeki rzucające za nim swe srebrne pętle, na miasta wyrastające

jak spod ziemi, i lżył zadyszany tłusty pejzaż, który zawsze gdzieś wkońcu potykał się i leciał na łeb w załom widnokręgu.

Razem z przestrzenią ginął czas. Na słupkach kilometrowych, jak na kreskach i cyfrach olbrzymiej tarczy zegarowej, raz jeszcze przemijały wstecz tygodnie spędzone z Aliną, wieczory przeżyte u Kaliny, miesiące samotnej walki, Rojek wyzgrzytał swą godzinę ze wzruszającą uległością starego mechanizmu, który ożywiono na chwilę, nawet Kos odezwał się zdaleka jak senny kurant przed świtem. Wzniosłe rozrzewnienie ogarnęło Teofila. Poczuł się pełny jak kłos, z tą porywającą radością i z dotkliwym smutkiem jakie wszelką dojrzałość czynią słodką i gorzką zarazem.

Po dniu spędzonym w Wiedniu, Grodziccy późnym wieczorem ruszyli dalej. Przedziały były prawie puste, co zaniepokoiło hofrata. Konduktor jednak objaśnił, że podróżni wybierają pociągi dzienne, aby nie tracić widoku gór.

Na jednej ławce położyła się pani Zofja, drugą Grodzicki wysunął tak, żeby pomieścić się na niej razem z synem. Teofil słyszał jeszcze chwilami półgłośne rozmowy rodziców, wkońcu zapadł w sen, pośród chrzęstu i łomotu żelaza.

Zgłębi nocy wywołał go Jurkin. Stał w dziwnem przebraniu, — żołnierz, niepodobny do żadnego z tych jakich się widuje ,w szarym czy też w szaroniebieskim płaszczu, oparty na karabinie. Patrzył wprost w oczy Teofila i tem spojrzeniem wołał go jak krzykiem. O parę kroków za Jurkinem, na drzewcu wbitem w ziemię, wisiał sztandar amarantowy z białym orłem pośrodku, Powietrze drżało od nieustannego huku.

Niepojęte siły drzemiące w człowieku ze świtu, który płonął w oknie wagonu, z łoskotu pociągu, który echem odbijał się w górach, z chłodu alpejskiej nocy — stworzyły wyroczne widziadło. Teofil, ocknąwszy się, zobaczył twarz ojca i matki, obie spokojne, chociaż i nad niemi wisiała pożoga. Nie widzieli jej, nie czuli.

Klucznik czasu, otwierający wrota nowemu Eonowi, pominął te dwie prostoduszne istoty, które spały snem rybaków pod Górą Oliwną, i zatrzymał się nad duszą Teofila, pełną trwogi, oczekiwania i nadziei.

K O N I E C